



15
HENRYK HR. RZEWUSKI.

ADAM ŚMIGIELSKI,

STAROSTA GNIEŹNIEŃSKI.

Sic inter infirmitatem unius, temeritatemque multorum, medium optimates possederunt locum, quo nihil potest esse moderatius: quibus rempublicam tuentibus, beatissimos esse populos necesse est, vacuos omni cura et cogitatione, aliis permissio otio suo, quibus id tuendum est, neque commitendum, ut sua commoda populus negligi a principibus putet. Nam aequabilitas quidem juris, quam amplexantur liberi populi, aequè servari potest: ipsi enim populi, quamvis soluti effrenatique sunt, precipue multis multa tribuant, et est in ipsis magnus delectus hominum et dignitatum; eaque, quae appellatur aequabilitas, iniquissima est. Quia enim par habetur honos summis et infimis, qui sint in omni populo necesse est, ipsa aequitas iniquissima sit: quod in his civitatibus, quae ab optimis reguntur, accidere non potest.

Cicero, de Re Publica.

WARSZAWA.

NAKLAD I DRUK S. LEWENTALA.

—
1875.

19410

Дозволено Цензурою.

Варшава, 20 Сентября (8 Октября) 1875 г.



61642

K-84/76/63973

ZMARŁYM:

**Konstantemu Jaroszyńskiemu
i Teofilowi Bukarowi.**

ŻYJĄCYM:

**Księdzu Ignacemu Hołowińskiemu,
Biskupowi Karystyńskiemu,
Michałowi Grabowskiemu
i Józefowi Kraszewskiemu.**

Przypominam wam, zacni przyjaciele, szczęśliwe chwile, któreśmy przepędzili lat temu dziesięć pod moją strzechą. Niestety, zdaje się że to nie tak dawno, a już dwóch z nas przeniosło się do lepszéj siedziby, gdzie na nas czekają, a właśnie najmłodszy nas wyprzedzili.

Pokazywaliśmy sobie wzajemne prace, powierzaliśmy nasze literackie przedsięwzięcia bez zawzięci, bez złośliwości, bo patrzaliśmy na to, co każdy miał oddać publiczności, jako na wspólną pracę podjętą dla pożytku ziomków. Jeden w drugim znajdował zachęty, szczere rady, pobłażanie, zwłaszcza ja, który dopiero kilka kroków byłem zrobił na polu literatury i tak słabe miałem zasługi.

Rzecz pewna, że tyle byłem nieufny w sobie, że gdyby nie to nasze kilkudniowe połączenie z sobą, małe i krótkie obrazki były-

by dotąd jedyne twory, na jakie byłbym się odważył. Prace dłuższego tchu wydawały mi się przechodzić siły, jakimi Bóg mnie obdarzył. Z tém nie tailem się przed wami. W moich wywnrzeniach była sama prawda. Bo kiedyście mnie zachęcali do ogłoszenia powieści na szerokie rozmiary, do czego mnie poniekąd przynaglał bezimienny krytyk Pamiątek Starego Szlachcica w jedném czasowém piśmie w Poznaniu ogłaszaném, ja wam odpowiadałem, że z wielkiém upodobaniem czytam romanse wystawujące współczesną obyczajowość, ale ich liczby nigdy nie powiększę, bo nie umiem patrzeć na terażniejszość, gdyż organ widzenia mojego umysłu jest takiej natury, że przedmiot na który patrzy powinien być nieco oddalony, żeby został odemnie schwyconym; że jestem z rodzaju tych słabowidzących, co dla czytania zmuszeni są pismo od oczu przedzielać jakąś przestrzenią, bez czego litery mieszają się, płaczą przed niemi tak, że ich rozpoznać nie umieją.

Forma przybrana od Walter-Skotta była odpowiedniejszą mojemu usposobieniu. I nie zdołam nigdy wypowiedzieć wrażenia, jakie na mnie sprawuje każdy płód tego znawcy serca ludzkiego, nawet z liczby tych, które krytyka w drugorzędnym stopniu postawiła. Nie jestem tyle zuchwały, bym swoje przekonania innym narzucał, ale też nie wstydzę się moich przekonań. Powtórzę to, co wówczas przed wami mówiłem, że wedle mnie najpierwszym pisarzem XIX wieku jest Walter-Skott. Bo on jeden urzetelnił w sobie w olbrzymich rozmiarach wszystkie warunki prawego pisarstwa. Jest on albowiem największym poetą, największym historykiem, największym moralistą. Bez używania, a tém mniej wymyślania formuł filozoficznych, a może właśnie dlatego, jest najpotężniejszym filozofem narodowym (a wy wiecie, że oprócz Filozofii ściśle narodowej, innej jako rzeczywistą naukę ani przyjmuję, ani pojmuję); że co najwięcej mogłaby być jakaś ogólna metoda dla Filozofii, czego nawet nie jestem pewny, ale że ogólnej Filozofii być nie może, jak to utrzymują ci, co nieco ostrzelani z nauką mają siebie za filozofów, lubo w pismach swoich na każdym kroku dowodzą, że wyobrażenia nie mają o tém, co stanowi Filozofią, że nawet rozróżnić nie umieją formuły filozoficznej od jej metody.

Ale właśnie, że umiałem cenić nieśmiertelne zalety Walter-Skotta, nie śmiałem puścić się na szlak przez niego utworowany, pomimo wszystkich moich pociągów.

Co najwięcej mnie odstraszało od naśladowania tego wielkiego meża, to była właśnie jego forma, rzecz najłatwiejsza do schwyceń. Bo nie może być nic niedźniejszego nad czczość, ozdobioną nadobnością formy. Któż bez ziewania zdoła czytać Henryadę, ten zbiór jałowości francuzkich w formie Homerycznej? Jestli na świecie maż światły, któryby powtórzył czytanie błędzacego żyda i Tajemnic Paryża, gdzie forma Ariosta jest tak widocznie przybrana? Cały klassycyzm XVIII wieku, pomimo jego rzeczywistych zasług, dlaczego z taką nawet przesadą odrzucony został smakiem racjonalnym późniejszego pokolenia? oto dlatego, że formą starożytną, jakkolwiek nadobną, usiłował oblekać myśli i wyobrażenia, płody zupełnie odmiennej natury. Przekonany byłem i trwam statecznie w tém przekonaniu, że każda ewolucya myśli ludzkiej, wyrażająca się w piśmiennictwie, musi wyrobić dla siebie nową formę, zawsze wypadkową, bo ściśle zjednoczoną z rzeczywistą naturą przedmiotu, a wcale niepoślubioną a priori wyrozumowanym wyborem. Prawo to bezwzględne nie tylko w Literaturze, ale we wszystkich wyrobach umysłowych ludzkości, gdzie forma o tyle jest prawą, o ile z góry nie była obmyślana.

Bywały między nami o to częste dyskusyje, które gdyby były zapisane, przyniosłyby jakiś pożytek dla młodych literatów. Jakkolwiek bądź, waszym zachętom, waszym radom wniemam, iż wziąłem się do powieściopisarstwa na szersze rozmiary. Wkrótce po naszym rozstaniu zacząłem pisać Listopad, a ta praca ciągle przerywana zatrudnieniami urzędowania, któremu się oddałem z pełnem poświęceniem dla moich współobywatelów, lubo być może, że nie umiałem im się podobać, dopiero w stolicy dokonana była; później w trybie życia ciągle swobodniejszego ogłosiłem Zamek Krakowski. Nie wiem, czy wam powinienem być wdzięcznym za to, żeście mnie ośmielili do tego zawodu. Zdaje mi się jednak, że tak jest. To prawda, że pisma niewiele chwaliły te utwory, ale pochwały piśmienne są wielce podejrzone, jeżeli są współczesne samemu przedmiotowi tych pochwał. W danym czasie, autor

mierny musi mieć więcej chwalców niż dobry, bo ma więcej kolegów, a tén samém przyjaciół. Mierny autor nie posiada się z radości, kiedy go jakiś piśmiennik pochwali i zaraz się stara wywciążyć podobną monetą. Tym sposobem robi się ciasne koło konwencyjnych pochwał, pieniądź papierowy zdyskredytowany, który tylko między obszarpancami intelektualnemi kursuje, a którym nie tylko geniusz, ale nawet prawdziwy talent się brzydzi. A co do nagan! Mój Boże! quando duo dicunt idem, non est idem. Nagana jednego jest prawdziwą nagana, ta sama nagana w innych ustach staje się rzeczywistą pochwałą. Wszakże mądrość narodów wyrzekła: vituperia stultorum laus est. Co do mnie, przyznam się wam, zacni przyjaciele, że nigdy nie byłem zupełnie zadowolniony żadnym moim utworem. Jeżeli który z was pochwałił go w nader chlubnych dla mnie wyrazach, pomyślałem sobie: może być w nim jakaś zaleta względna, ale że tak znakomici mężowie nad nim się unoszą, to zwyczajnie stronność przyjacielska, zachęta zasłużonych pisarzy dana rozpoczynającemu ten zawód, który sami już świetnie odznaczyli. Ale daleko mi jeszcze do prawdziwiego dobrego autorstwa.

Dopiero kiedy szubrawcy rzucili się na mnie z krytykami niby pism moich, ale rzeczywiście mojej osoby, i kiedy z pierwszych okresów mogłem już poznać naturę ich umysłu i ich ukształcenia, a jeszcze łatwiej domyślić się o poziomości ich towarzyskiego położenia, zacząłem o sobie lepiej trzymać, nabyłem samopoznanie jakiej wartości. Powiedziałem sobie: jużci musi być coś dobrego, i bardzo dobrego w moich pismach, kiedy ludzie podobnego kalibru tak są niemi przerażeni, że aż wpadli w stan gorączkowy, w jakąś maligną umysłową; delirium już zaczyna być ich stanem normalnym. Żeby przynajmniej delirium wesole, ale ponure, hipochondryczne, jakiemu ulegają zwykle ci, którzy mając o sobie przesadzone wyobrażenia, położeniem swoim są odepchnięci od wyższych warstw towarzystwa, niecném, a nawet beczelném grubiaństwem nie mogąc ich uwagi ściągnąć ku sobie. Poruczajmy ich Bogu, prosimy Go, żeby im dał opamiętanie, a uciekajmy jak najspieszniej od tego smrodliwego kału.

Wyście może zapomnieli o jednej okoliczności owoczesnego na-

szego zjednoczenia. Ale ja ją dobrze pamiętam: oto postanowiliśmy każdy z nas uczcić pamięć tego zebrania jakimś pismem, poświęconém tym, którzy je składali. Nie śpieszyliśmy z wykonaniem naszego postanowienia; ale starzec, który lekkim połotem leci niczém niewstrzymany, za nadto pośpieszył, kiedy aż zabrał dwóch z pomiędzy nas; najwłaściwiej mnie najpierwшему dotrzymać danego słowa, bo że jestem od was najstarszy wiekiem, najmniej mi wolno dowierzać czasowi. Oddaję więc wam mojego Śmigielskiego. Przyjmcie go nie wedle jego rzeczywistej wartości, nad którą się nie zaślepiam, ale wedle tych uczuć szacunku i przyjaźni, jakie mam dla was, a które przynajmniej z mojej strony nigdy zachmurzone nie będą. Jeżeli ta nowa powieść zasłuży na jakąś wdzięczność potomności, to chyba dlatego, iż stanie się powodem wywiązania się waszego nowém wzbogaceniem literatury naszej. O co śmiem was upraszać, gdyż moją rzetelnością nabyłem jakiegoś prawa do tej śmiałości, a niecierpliwość, z jaką oczekuję od was dobrego skutku mojej prośby, ledwo że się nie równa tymże uczuciom, z jakimi mam zaszczyt być

Waszym Sługą i Przyjacielem,

AUTOR LISTOPADA.

ADAM ŚMIGIELSKI.

Adam Śmigielski.

I. Wstęp.

Za króla Sasa było szlachcicowi do pasa, takie to było przysłowie ludu, nieomal dokuczliwe dla króla Stanisława Augusta, bo jak wiadomo, on jeszcze w stanie rycerskim będąc, był jawnym przeciwnikiem saskiej krwi, lubo ten dom wyniósł jego ród nieznanym w Polsce na najwyższe dostojeństwa. Któż nie wie, że pan stolnik Poniatowski, posługując z ziemi Litewskiej na sejmie, miał ten nieszczęśliwy zaszczyt, iż go zerwał, co mu nieraz przypominano kiedy został królem. Jeszcze to wtedy byłby rozsiekany przez stronników wówczas panującego króla, gdyby pan Mokronowski, mąż dla osobliwszych przymiotów serca i rozumu, mający wielkie zachowanie u szlachty, nie był go zastąpił i rozbroił szlachtę zręcznie przytoczonym wierszem Lukana:

Quis furor, o Cives, quae tanta licentia ferri?

To pewna, że za królów Sasów dobrze się Polsce działo, lubo na to literaty nie chcą pozwolić; ale i to niemniej pewno, że nie głos literatów, ani nawet filozofów, ale głos ludu jest głosem Bożym.

Rzeczpospolita cieszyła się pokojem i obfitością, która z pokoju wypływa. Nie znała praw fiskalnych tamujących handel; do kraju wszystko swobodnie wpuszczano, wszystko też z niego wypuszczano. Pieniądzy było w bród, bo jeszcze nie były się rozprzestrzeniły po narodzie zbytki, które później szerokie dostatki rozproszyły. Magnaci żyli zwykle ze swojemi licznymi dworami na wsi, w zamkach spadkowych, a tych wewnętrzne ubranie, dziś nie tylko dla podpanka, ale ledwo że nie dla dzierżawcy zdałyby się zanadto ubogie. Kuchmistrzów z zagranicy nie wypisywano. Wojewoda na swoim stole nie takiego nie widział, czegoby znaleźć nie mógł i u swojego podstaro-

ściego, jeno że nie w takiej obfitości, i że strawa nie tylko piwem i miodem, ale winem była zakropiona: a jeżeli był zbytek, bez jakiego społeczność ludzka ani może, ani nawet powinna się obchodzić, ten okazywał się jedynie w wielkiej ilości sług, domowników, gości, niemniej w koniach, zbrojowniach, bogatych rzędach i licznie myśliwstwie.

Bez wątpienia, województwa ruskie były narażone bez przestanku na napady Tatarów krymskich, kozaków zaporozkich i hajdamaków. Wszakże to złe nie było tak wielkie, jak go zniewieścianość naszego wieku sobie wyobraża. Bo w narodach jeszcze nie zużytych tą jakąś ogładą, która przywłaszcza sobie nazwisko ukształcenia, zawsze wyrabiają się same z siebie jakieś prawidła moralne, łagodzące chuci mordercze i łupieżcze. I tak, między rozbójnikami obudwóch brzegów Dniepru, a nawet między Tatarami, wyrobiło się jakieś silne uszanowanie dla chleba, jako dla pierwotnego daru Bożego człowiekowi wygnanemu z raju. Nie było przykładu, żeby gumno komu podpalo-no, właśnie dlatego, że w przekonaniu tych ludzi na pół zdzieczalych odwrócenie tego Bożego daru od pożytku człowieka było istnym świętokradztwem: a że bogactwo szlacheica Rusina szczególnie opierało się na chlebie, o tyle mniej w nim szkody ponosił. Na noc zapędzał swój dobytek do tego, co w każdej prawie wsi nazywano zamkiem, a rzeczywiście było folwarkiem słomą pokrytym, ale otoczonym wałami i ostrokołami, z po za których odbywali straż kozaki nadworni, uzbrojeni w spisy i samopały, a gumno swoje poruczał opiece Boskiej, która go nigdy nie zawodziła.

W czasie zimny napadów nie bywało, dla niedostatku paszy. Inkursye rozpoczynały się w maju, kończyły się przed żniwami. Dzierżawca, dożywotnik, czynszowy szlacheic trzy części roku żył spokojny; prawda że czwarta była niewygodna, bo z rodziną swoją nigdy nie nocował w domu, ale w polu, i to co noce w inném miejscu. Często potykał się z najazdem, często korzystne zwycięstwo odnosił. Wzwy- czaił się był do tego homerycznego życia, które stało mu się oby- czajem, i w rzeczy samej nie musiało być bez powabów, kiedy mnóstwo szlachty przesiedlało się z Wielkopolski i Podlasia na Ukrainę, a nie było przykładu, żeby szlacheic ukraiński przeniósł się do jakiejś spokojniejszej części Rzeczypospolitej. Chłop tylko Tataara mógł się obawiać, bo Zaporozec i Hajdamaka tylko szlacheicowi i żydowi był wrogiem, a tamtego owszem przyjacielem, często kumostwem, pokrewieństwem, lub nawet serdeczném uczuciem z jego chałupą związanym.

Żydzi wprawdzie byli w ciągłej obawie, ale i oni umieli sobie po- radzić. Żyli w miasteczkach, a każde miasteczko było albo królew- skie, albo jakiego magnata, bądź duchownego, bądź świeckiego. Jeżeli

królewskie, w niem mieszkał starosta, albo jego substytucja, jeżeli ma- gnackie, gubernator. Starostowie i gubernatorowie mieszkali w zam- kach aż nadto obronnych przeciw najezdnikom, którzy oprócz ręcznej, innej broni nie mieli. Żydzi kupey w tych zamkach mieli swoje skła- dy, a ci z pomiędzy nich, co trzymali w dzierżawie szynki wiejskie, je- żeli doświadczały od najezdników krzywdy, mieli też z nich i zyski, za bezcen częstokroć kupując od nich łupy, jakie im się udawało zdobyć. Zgoła, lubo takowego stanu rzeczy nie myślę podawać za wzorowy, wszakże można było do niego się wzwyżać, i to pewna, że szlachta była do niego wdrożona, a żydzi, lubo najwięcej na niebezpieczeństwo narażeni, przecie w powszechności umieli siebie wzbogacać.

Nie ma przyczyny bez skutku, a ten stan rzeczy szkodliwe skutki przynosił Ukrainie. Małych władztw w niej jeszcze nie było. Sz- erokie ukraińskie niwy były wyłączną własnością kilku magnatów, albo królewsczyzny po większej części tymże magnatom spuszczone. Gdyby oni mieszkali w tych swoich dobrach, ich siły połączone były zdolne zabezpieczyć spokojność mieszkańców, ale ich oficyaliści, których potom- kowie składają przynajmniej w wielkiej części nowe nasze obywatel- stwo, tego właśnie się lekali więcej niż morowego powietrza. Nie przestawali straszyć swoich panów to Tatarami, to Zaporozcami, to ich własnymi poddanymi, przypominając im jeszcze niezbyt oddalone cza- sy pożóg Chmielnickiego, podczas gdy sami więcej im szkody rzeczy- wiście przynosili niż te, którychby mogli doświadczyć od obcych nie- przyjaciół. Już dziś dla kogo jest tajemnicą, że wszystkie buntury ludu ukraińskiego, poczynszy od Chmielnickiego, a kończąc na rzezi hu- mańskiej, nie z winy samych panów, ale z nieludzkiego i nieroztropne- go obejścia się ich oficyalistów powstały? że dziś nawet, chłop niegdyś ruskich województw ma jakiś niezatarty pociąg do krwi wywłaszczo- nej dawnych magnatów, a ponurą karmi nienawiść w sereu przeciw tak od siebie nazwanym podpankom, od których dotąd doświadcza ucisków wszelkiego rodzaju, nie upatrując w nich żadnej wyższości moralnej. Rzecz tak pewna, że odkąd Szczęsny Potocki osiadł na Ukrainie (*) wkrótce po rzezi humańskiej, odtąd szlacheic i żyd nie- przerwanym cieszyli się pokojem i byli wolni od napadów.

(*) Szczęsny Potocki, tak spotwarzony w swoim zawodzie politycznym, był re- czywistym dobroczyńcą Ukrainy. Nie było jednej gałęzi pomyślności tego kraju, któ- réjby nie dał popędu on i jego krewny Prot Potocki. Kiedy Szczęsnemu urodził się pierwszy syn, nazwany także Szczęsnym, on gromady Humańsczyzny przywołał, by go trzymały do chrztu. Szczęsny był chrzestnym synem całego ludu humańskiego. To przymierze religijne, zawiązane między całym narodem a spadkobiercą władzy nad- nim, było skutkiem wielkiej i zbawienniej myśli politycznej, zwłaszcza jeżeli zechce- my sobie przypomnieć okres, w którym ów mąż ją pojął. On był prawdziwie ojcem swoich poddanych; całą Humańsczyznę obdarzył swobodą, znosząc powinności inwe-

Inne części Rzeczypospolitej były w stanie tyle kwitnącym, że już nie miały czego zazdrościć ościennym państwom. Wszędzie się wznosiły zamki smakownej struktury, wszędzie miasta i miasteczka zaludniały, wszędzie był ruch, handel, wszędzie oświata rozwijała się na zasadach religijnych; nawet gdzieś niedługo jawiły się rękodzielnie, stosownie do rzeczywistych potrzeb narodu. Wielkopolska zwłaszcza umiała kojarzyć porządek niemiecki z duchem szczeropolskim, nie dopuszczającym zatarcia rodzinnych cech narodowości słowiańskiej, która szczególnie w stanie szlacheckim się piastowała.

I tak szlachcie patrzył bez zawiści na Niemca i Żyda wzbogacającego się handlem, a sam pracował na roli swojej, jeżeli ją miał z łaski Pana Boga, lub na cudzój, jeżeli był ubogim, albo ćwiczył się w palestrze, jeżeli mu się udało skończyć szkołę, a jeżeli nie, szukał służby po panach, ażali nie wyjdzie na człowieka. Tu się mówi jeszcze o pewnym doborze rycerskiego stanu, bo masa szlachecka, nie każąc bynajmniej rodowitości swojej ani podłemi czyny, ani cierpliwością nikczemną na przemoc, która by jej sławie uszczerbek przynieść mogła, zewnętrznie tym tylko różniła się od poddaństwa, że każdy nosił szablę u boku, nawet kiedy pługiem lub pluzycą rozdzierał ziemię jemu zaczynszowaną.

Ale z pomiędzy tej mniejszej liczby, która przedsiębrała siebie w cokolwiek wyższym zawodzie kierować, młodzieniec wychodzący z domu rodzicielskiego dla szukania szczęścia po szerokim świecie, uważał siebie za dobrze opatrzonego, jeżeli za całkowity fundusz otrzymał z rodzicielskim błogosławieństwem kontusinę i żupan nowy, pas jedwabny od święta, kapotę sierakową na codzień, opończę z grubej wełny od mrozów i deszczów, szablę doświadczoną, dziesiątek tyńfów na drogę, i kilkadziesiąt plag odjezdnego. Taki bywał pospolicie jego inwentarz materyalny: co do zapasu duchowego, wielka wiara, wielka odwaga, wielka sumienność, wielkie wyobrażenie o swoim klejnocie szlacheckim, żeby go nie splamić żadnym niecznym uczynkiem, i trochę łaciny, a chłopiec szlachetny, bogaty w nadzieję, z tym zasobem puszczał się na wolą Bożą, i nie było przykładu, żeby go Bóg opuścił, a Wiel-

tarskie, a natomiast zaczynszowując jej włościan. Włościanie też umieli mu być wdzięczni. Z rozrzewnieniem przypominam to sobie, kiedy jeszcze w wieku dzieciennym nawiedzałem Tulczyn z moim ojcem, i mogłem się przypatrzeć temu przepychowi gościnności magnackiej, która tam się zachowywała przez długi czas, nawet po śmierci Szczęsnego. Tam znakomici mężowie, jako Trembecki, Jan Potocki, Meel, Dyzma Tomaszewski, Benedykt Hulewicz, rozsiewali że tak powiem poezię, nauki i dowcip. Nie wiem, czy pomimo tak okrzykanego naszego postępu dziś podobne towarzystwo dobraćby można. Co arystokracja zrobiła dla narodów, to aż nado wiadome. Od dawna czekamy dobra, które ma przynieść demokracja. Dotąd utrzymaliśmy od niej wiele obietnic a jeszcze więcej niespełniła.

kopolska, trzymała się obyczajów rozpowszechnionych w narodzie jeszcze ściślej, niżeli inne części Rzeczypospolitej.

Już w owym czasie Krotoszyn, miasto leżące w województwie Poznańskim, a własność potężnego rodu Potockich, odznaczało się nawet w Wielkiej-Polsce swoimi jarmarkami i piękną kamienicą otaczających jego rynek. Joachim Potocki, wojewoda Bełzki, osadził był w tym mieście wielu kupców i rzemieślników z Saksonii i Szlązka, wyrobił dla nich magdeburską, wystawił im swoim sumptem Kirchę, opatrzył utrzymanie przyzwoite pastora, i nadał im wiele przywilejów. Pod koniec życia wymurował obszerny ratusz na środku rynku, nawet wójta i ławników dwa razy na rok w zamku przypuszczał do swojego pańskiego stołu, nie bez jakiego zgorszenia swoich sług, którzy wszyscy byli ze szlachetnego rodu. Syn jego Józef, później wojewoda Poznański, przydał jeszcze nowe przywileje mieszczanom Krotoszyńskim, których liczba znacznie się powiększyła.

Mieszczanie Niemcy żyli w kamienicach rynku i ulic przytykających doń. Żydzi mieli oddzielną siedzibę w innej części miasta koło kollegiaty; mieszczanie polscy, zajmujący się szczególnie handlem wieprzów (*), mieszkali w swoich drewnianych domach na przedmieściu nazwanym Pilawce, gdzie był klasztor Augustynów, a to przedmieście łączyło się z innem, nierównie obszerniejszem, nazwanem Zawale, zamieszkałem od czynszowej szlachty i gracyalistów zasłużonych domowi Potockich, którzy mieli dożywotnie prawa na dworki i grunta. Zawale było częścią najweselszą Krotoszyna i rozciągało się amfiteatrem aż do rzeczki Krotoszyńką nazwanej; nad tym amfiteatrem wznosiło się kolegium Jezuitów, a jeszcze wyżej błyszczały baszty przepyszne-go zamku Potockich.

Nie tylko czynszownicy i gracyaliści tego domu, ale nawet niezawisła od nikogo szlachta garnęła się do Zawali i budowała dworki, lub je najmowała od posiadaczy dla bliskości kolegium Jezuitów, gdzie oddawała swoje dziatki na wychowanie. W całej okolicy nie było dietnego obywatela, co by nie starał się o jakieś locum standi dla siebie w Krotoszynie, by w nim utrzymywać dziatwę z dyrektorem, i samemu kilka razy na rok przynajmniej kilka dni posiedzieć. A do dworku, gdy obywatel zajechał, tyle tylko że w nim nocował, bo z rana chodził do Jezuitów na nabożeństwo i śniadanie, poczem na obiad i wieczór do wojewody, który wtedy tylko miał siebie za zupełnie

(*) Handel wieprzów był tak wielki w Krotoszynie, że zoledzie lasów otaczających Krotoszyn, jedyna puszcza dębowa obszerna w Wielkiej-Polsce, przynosiły rocznego dochodu sześćdziesiąt tysięcy ostatniemu wojewodzie Poznańskiemu z domu Potockich.

szczęśliwego, kiedy jego pokoje były tak pełne, że zaledwo w nich przecisnąć się można było przez szlachtę.

Miedzy temi dworkami odznaczał się jeden nie tyle strukturą, która była podobną do wszystkich innych, ile obszernością swoich attynencyj. Był przy nim duży sad, niżej łąka w części lnem zasiana, a w samym dole po nad ruczajem ogród warzywny, ledwo okiem zmierzony, gdzie w jesieni wyglądała kapusta, jakby głowy Turków w zawojach na pobojuwisku Chocimskim. Sad spuszczał się ku łące między południem a zachodem, tak był szczęśliwie położony, że gospodarz między owocowymi drzewami, starownie obcinanymi z wszelkich pasżytych gałęzi, zasadził winnice i doczekał się, że co roku po kilka antałów wina wytłaczał; z tych jeden ofiarował zawsze ojcem Jezuitom na trzy mszy śpiewane na jego intencyę; drugi antał był dla jasnie wielmożnego wojewody, który ten upominek przyjmował uprzejmie, a gospodarz miał przyjemność widzieć swoje domorośłe wino na pańskim stole; inne antały spijał z przyjaciółmi, bo dociekl, że nad dwa lata nie dawało siebie zachować bez nabycia nieznośnego obrzasku.

Winnica była więc dla niego zabawą i podsyceciem gościnności, a nie zyskiem, ale miał w ogrodzie swoim pszczelnię, która mu rzeczywistą korzyść przynosiła, bo gdy się rozpowszechniło przekonanie, że jego miód z kwiatów winogrodowych wyrabiany miał być osobliwie podatnym do sycenia, w jesieni nie mógł się opędzić od żydów, tak jeden przed drugim wyrwali sobie jego miód. Dworek opierał się tyłem na ogród, z czoła miał przed sobą obszerny dziedziniec szczerze oparkaniony, gdzie się zamykały zabudowania gospodarskie, jako: obory, stajnie, koszary, chlewy, kurniki, wszystko porządne, schludne, dobrze opatrzone, tak że z pierwszego rzutu oka zaraz osądzić można było, że to musiało być mieszkanie szlacheica rządowego, starannego, i jeżeli nie bogacza, to przynajmniej mającego dobry i smaczny kawał chleba: mówię szlacheica, bo nad wrotami dziedzińca, po pod którym siedł gościniec na dwie części rozdzielający Zawale, na tablicy drewnianej był zawieszony odmalowany olejno herb Łódzia, wedle starodawnego obyczaju, który dopiero wtedy stał się przedmiotem pośmiewiska, kiedy namnożyło się w obywatelstwie naszym takich, co lubo jakimś herbem się pieczętują, wiedzą w sumieniu swoim, że do niego nie mają prawa. Ale w owym czasie każdy, mieniący siebie szlacheicem był nim rzeczywiście, miał niezaprzeczone prawo do swojego godła, którego znaczenie pojmował, a więc nie potrzebował podkradać się pod cudzy herb, do jakiegoby, naturalnie przywiązania mieć nie mógł.

W samą rzecz ten dworek z attynencyami swojemi dziś, kiedy w wieku postępowym województwo Poznańskie postąpiło na wielkie

księstwo, byłby uważany za majątność. Wtedy był uczciwą szlachecką zagrodą. Ale dotąd nie wiemy, kto był ten szlacheic, co wytłaczał wino, herbem się popisywał na cudzym gruncie, i widać, że nie musiał mieć własnych poddanych, kiedy mieszkał w dobrach Potockich. Poczekajcie, zaraz się o tém dowiecie.

II. O przodkach naszego bohatera.

Dożywotny właściciel tego dworku był Zacharyasz Śmigielski herbu Łódzia, potomek starożytnego w Wielkiej Polsce domu, bo nawet jest miasto w województwie Poznańskim nazwane Śmigiel, założone przez jednego z jego antenatów za panowania Kazimierza Wielkiego. Dom ten stopniami, przez podziały ojcowizny i wyposażenie dziewczek upadał tak dalece, że już za Zygmunta III przestał być osiadłym w swoim gniazdowym województwie. Wszakże dziad Zacharyasza był żonaty z siostrą owego sławnego Lubienieckiego, co go nazywano papieżem Aryanów, a ta mu przyniosła w posagu wieś Psarki, w województwie Sandomierskim, powiecie Radomskim. Syn jego a ojciec Zacharyasza odziedziczył tę wieś po matce. Był to jeden z dzielnych rycerzy na wojnach Batorego króla i w pierwszych wyprawach Zygmunta III, a że wysokich nie dostąpił zaszczytów, to z dwóch przyczyn. Raz, że był upartym Aryaninem, powtóre że przywiązawszy się do domu Zebrzydowskich dał siebie wplątać do tego rokoszu, który omal że nie stracił z tronu Zygmunta. On to był napadł na namiot króla i tam go szukał z szablą wydobytą, krzyząc: „a gdzie ów Szwed?”

Nic dziwnego, że po uśmierzeniu tego rokoszu miał dla siebie przegrodzone wszelkie ścieżki do pomyślnego zawodu. Do króla nie było po co się udawać, a dom Zebrzydowskich wyzuty ze znaczenia, a zubożały tym rokoszem, już nie był w możności wywiązania się jemu za jego poświęcenie. Rycerz, kiedy jeszcze wszelkie nadzieje nie były go opuściły, chociaż już podżyły, ożenił się był z młodą panienką, która w posagu nie przyniosła mu nic innego, tylko najradsze cnoty, gładkość lica, płodność i zacne imię, gdyż będąc Buczaćką, pieczętowała się tą samą Pilawą co i dom Potockich, a na domiar nieszcześcia pan Stanisław, bo takie było jego imię, swoje Psarki tak był obciążył długami, że w nich spodziewać się nie mógł znaleźć życie swobodne i spokojne.

Jedna mu pozostała nadzieja, że gdy wszedł do rokoszu Zebrzydowskiego za radą wuja swojego Lubienieckiego, który uważał detronizacyą króla jako rzecz najzbawienniejszą dla wyznawców arianizmu: tém samém nabył u swoich współwierców niemałych zasług, i że ci mu przepaść nie dadzą. Udał się więc do wuja, ale ten uczo-

ny fanatyk najgorzej go przyjął i wyraźnie mu oświadczył, że prawowierni mają go słusznie za fałszywego brata, gdyż ośmielił się pojąć żonę poganę, papieżniczkę, ze wzgardą prawa Bożego, które zabraniało Izraelitom kojarzyć się z Amalecytkami; że Ezaw za podobny występki straconym został z dostojności pierworodztwa, że więc pod żadnym względem nie powinien się spodziewać od niego najmniejszego wsparcia.

Poruszony do żywego pan Stanisław udał się z małżonką do swojej mateczyny, którą zatradowaną zastał tak, że z miłosierdzia wierzycieli dostała mu się chałupa i zagon, gdzie znakomity niegdyś towarzysz pancernego znaku, wraz z żoną zacie urodzoną, pracować musieli jak zaciężne chłopstwo. Nędza była wielka; sam już niemłody i niezdalny do rolniczej pracy, zupełnie dla niego nowęj; żona jako młoda, mogąca prędkiej do niej się wdobyć, ale ciągle brzemienna, a za ledwo wyda na świat dziecko, zaraz się z niem i rozstaje, tak że po chrzcinach, wkrótce następuje pogrzeb. Aryanie ich się zaparli, katolicy jeszcze większy czuli wstręt od rodziny, której głową był kacerz. Można sobie wyobrazić, co też to się dziać musiało w sercu męża szlachetnego, dumnego, przywiązanego do żony, a na którego udreczenie nędza przybierała wszelkie postaci, żeby się nad nim paścić.

Nakoniec nienawiść, którą czuł dla swoich współwierców, spadła i na ich wyznanie. Z wielką radością pobożnej małżonki rewokował swoje błędy i pojednał się z Kościołem prawowiernym, który jego ojciec był opuścił. A na dowód szczerego nawrócenia, wkrótce po uczynionej professy wiary katolickiej, gdy się spotkał w Staszowie na jarmarku z jednym wielce poważnym duchownym profesorem Akademii Rakowskiej, chciał go przedysputować i nawrócić, ale gdy tamten nie dał się przekonać, i w zapale argumentacji nazwał go apostatą, pan Stanisław tak niemiłosiernie go wybił, że doktor teologii Socyniańskiej omal że życiem jego napadu nie przypłacił. Mnóstwo arianów znajdowało się na tym jarmarku, niemniej było i katolików. Aryanie zbiegli się na ratunek swojego mistrza, katolicy stanęli za swoim; ze zwady przyszło do strasznej bitwy. Pierwszy sprawca bitwy samorzutnie zrobił się naczelnikiem szlachty i wieśniaków katolików, prowadził ich z nieubłaganą zaciętością, kilkadziesiąt było trupów z obu stron; wszakże Aryanie zwyciężeni, do ucieczki zostali zmuszeni. Tym pan Stanisław nabył niemałej wziętości, lubo niedługo nią się cieszył.

We dwa tygodnie po owym wypadku, w dzień ściecia świętego Jana, niemała radość spotkała to nieszczęśliwe dotąd stadło. Pani Swidzińska, starościna Radomska, wdowa bogata, a gorliwa katoliczka, na odgłos bitwy Staszowskiej chciała się odwiedziczyć temu no-

wemu Godfredowi, który tak dzielnie dowodził krucyatą przeciw tym niegodziwym przecznikom bóstwa Chrystusa Pana, a dowiedziawszy się o jego ubóstwie, wyprawiła do Psarek kilka fornalek, naładowanych rozmaitem ziarnem, słoniną i masłem, żeby to wszystko wręczyć panu Śmigielskiemu z własnoręcznym pismem, napelnionem oświadczeniami. Łatwo pojąć, z jakim podniesieniem serca ten upominek przyjętym został.

Stadło było bezdzielne, ale pani Śmigielska wedle swojego zwyczaju była brzemienna. Była to z rejestru jej dziewiąta ciąż. — Moja Małgosi — odezwał się pan Stanisław — Bóg miłosierny pamięta, co zrobiłem dla Jego świętej sprawy. Oto dziś nastąpiło przesilenie, mam jakieś przecucie, że odtąd z tobą dobrze się dziać będzie, i że synek co go nosisz, nie umrze jak tamci, ale wyrośnie dla twojej pociechy. Poznoś-że do śpiczlerza i do spiżarni dotąd próżnych, to co nam Bóg dał przez ręce pani starościny, a te dobre ludzkie tobie do tego pomogą. Ja pójdę do karczmy, moją zasłużoną szablę zastawię u żyda, żeby mieć czem ich poczęstować, a Bóg da, że ona wkrótce się wykupi. Ty, Małgosi, przyprowadź nam obiadek, jakiegośmy dawno nie jedli. — Poszedł pan Stanisław z szablą do karczmy, wrócił rozbrojony, ale zamiast szabli u boku, w jednej ręce trzymał półgarncową flaszkę gorzałki, a w drugiej spory gąsiorek piwa.

Gorzałką i chlebem uczęstował woźniców, a szlachcica mającego nad niemi zwierzchność zaprosił do swojej misy. Jedząc, rozmawiając, a rozmowę zakrapiając, obaj się rozweselili. Szlachcice z próżnemi fornalkami wyjechał, a pan Stanisław w nadzwyczajnych czułościach dla swojej Małgosi tak był dla niej wylany, jakby to był pierwszy księżyc ich pożycia. W takich wzajemnych wynurzeniach miłości, noc ich zaskoczyła. Odmówili razem pacierz dziękczynny, polecieli siebie Bogu i Jego aniołom i zasnęli!

Jeszcze byli w pierwszym śnie, kiedy krzyki i gwałtowne stukania ich przebudziły; drzwi zostały wysadzone, i kilku ludzi uzbrojonych w miecze i topory wpadło do alkierza. Pan Śmigielski zerwał się z pościeli i wziął się machinalnie za poduszkę dla uchwycenia szabli. Niestety! ona spoczywała u arendarza wiejskiego. Rozbójniki obces na niego, i zaczęli bezbronnego rąbać, aż jeden ugodził go po łbie toporem, on jęknął, wstrząsł się, padł bez duszy na środku izby, a żona zemdała.

Kiedy przyszła do siebie nieboga, przebóg! jaki widok ją uderzył! Izba, pościel, ona sama krwią zbroczona, trup męża, jeszcze noc była... Wybiegła nieszczęśliwa z chałupy, obudziła sąsiadów, wszyscy się do niej zbiegli. Mało co mniej od niejże samą przestraszyli się nieszczęściem, które ją dotknęło; pocieszali ją jak umieli, nakoniec doczekawszy się pierwszych brzasków dziennych, rozpoznali ślady ko-

pyt konskich na dziedzińcu i za kołowrotem, a że ani w izbie, ani w spiżarni nie było najmniejszej szkody, łatwo wpadli na wniosek, że ta zbrodnia musiała być skutkiem zemsty osobistej, zabrali więc z sobą trupa i tłumnie poszli do sołtysa.

Nie będę utrudzał czytelnika opisem szczegółowym przechodu tej sprawy. Przyszła ona do starosty; ten, jako inni, w duchu był przekonany, że Aryanie byli sprawcami tego morderstwa, ale najmniejszy dowód prawny tego sprawiedliwego podejrzenia nie popierał: skupiło się na żydzie arendarzu, który nie tylko ze skazanym został na oddanie wdowie tej szabli z nawiązką, ale jeszcze na cielesną karę.

Ledwo więc promyk szczęścia był zabłysnął dla Małgorzaty Śmigielskiej, a już ją noc jeszcze posępniejsza ogarnęła. Wdowa na złęzieniu, bez sposobu do życia, zmuszoną została opuścić chałupę, by szukać przytułku po sąsiadach; ale zabierając swoje mizerye z domu, jakoś natrafiła w szafie na list własnoręczny nieboszczyka swojego męża do pana Potockiego kasztelana kamienieckiego pisany. Wyczytała w nim te wyrazy:

„Jaśnie wielmożny kasztelanie! Byłem w chorągwi twego ojca, „i razem z jaśnie wielmożnym panem parę lat w niej byłem towarzy- „szem, bo chociaż pan byłeś dzieckiem, miałeś w niej sowity poczet, „a kiedy nieboszczyk wojewoda, nasz rotmistrz, robił nasz popis, by- „wało pana, jako naszego kolegę nam pokazują, i nieraz go na rękach „nosiłem, siedząc na koniu. Wszystko to było, nim mnie pan marszał- „ek Koronny Zebrzydowski, niech tego Bóg mu nie pamięta, wciągnął „do swojego rokосу. Lubo pochlebiać sobie mogłem, iż mam jakieś „zasługi w domu jaśnie wielmożnego pana, nigdy do niego nie śmia- „łem się udać po wsparcie, taki czułem wstyd, że za niedobrą sprawę „gardłowałem; lubo Bóg świadek, iż taką nędzę cierpię z moją żoną, „że mnie towarzyszowi pancernego znaku nieraz przechodzi zazdro- „ścić dziadom kościelnym. Pókim żyw, do jaśnie wielmożnego nie „udaję się, ale jak jaśnie wielmożny pan ten mój list odbierzesz, już „mnie nie będzie na tym świecie. A pamiętaj, panie, że pozostała po „mnie wdowa może brzemienna, nie ma po mnie z czego żałoby so- „bie sporządzić, a że jest przecie Buczačka z domu, i pieczętuje się „tymże samym klejnotem szlacheckim, co i jaśnie wielmożny pan“.

Jak pani Śmigielska odczytała ten list, natychmiast uczuła w sercu wzrastającą nadzieję, tym więcej kiedy się dowiedziała, że pan kasztelan Kamieniecki najczęściej mieszkając w Wrszawie lub w Kroto- szynie, właśnie wtenczas znajdował się w Opatowcu, dobrach swoich w Sandomierskiem województwie, których tak dobrze jak nie znał. Wszystko to przyjęła nieszczęsna wdowa za przyjazną wieszczbę, i pomimo siedmiomiesięcznej ciąży, poleciwszy siebie Bogu, za tą bie-

dną nawiązkę, którą jej przysadzono po żydzie, kupiła wózek, kobylinę i parcianą uprząż, najęła sobie pacholka i tak puściła się do Opatowca.

Za wyraźnem rozporządzeniem Boskiej Opatrzności, pierwsza osoba, która do niej przemówiła w Opatowcu, był właśnie stary kolega jej męża, pełniący wówczas obowiązki koniuszego podróznego jaśnie wielmożnego kasztelana. Ośmielona jego uprzejmością, gdy mu opowiedziała swoje nieszczęście i powód jej przyjazdu do Opatowca, on zaraz ją wziął w opiekę swoją, i nie dawszy czasu odetchnąć, zaprowadził ją prosto do swojego pana.

Zastali go przy stajni, gdzie robił przegląd swoich koni. Pani Śmigielska niziuteńko jemu się skłoniła i podała pismo nieboszczyka. Kasztelan był mężem hojnym i rzadkiej dobroci serca; rozczulił się ledwo że nie do łez i listem swojego ojca podkomendnego, i opowiadaniem jego nieszczęśliwego zgonu od pozostałej wdowy tulącej się do jego opieki. Pokilkakrotnie powtarzał: — Czemu się do mnie nie zgłosił? ja bym mu nie dał przepaść. — Skończyło się na tém, że ją osadził na prawie dożywotniem w porządnym dworku w Opatowcu, z ogrodem i łąką, przeznaczył dla niej sowitą ordynaryę, dał jej na zagospodarowanie sto tynfów, a odjeżdżając powiedział jej: — Daj Boże, żeby imość swój połóg szczęśliwie odbyła. A dziecię co Bóg jej da, jeżeli będzie chłopiec, wezmę go w opiekę, a jeżeli dziewczka, to w mojej żonie znajdzie opiekunkę.

Wkrótce po odjeździe kasztelana, ta sama kobieta, która była urodziła ośmiorgo dzieci tyle słabowitych i nikłych, że żadne z nich sześciu tygodni nie dożyło, pomimo strasznego wydarzenia jej ostatniej ciąży, jakby dla dopełnienia szczęścia w którym już poufalić się zaczynała, wydała na świat chłopca tak dużego, tak silnego, że baba, która go odebrała, jemu wydziwić się nie mogła. Rzecz tém osobliwsza, że jego ojciec już był starcem. Otóż z tego dziecka zrobił się potem ów Zacharyasz Śmigielski, właściciel dożywotni tego dworka, winnicy i ogrodu, o których tylko co mówiłem. Wszakże nim do niego przyszedł, niemało przygód doświadczył.

Jak doszedł do lat pięciu, matka, że miała o czém go wychować, dobrała mu dyrektora, który więcej lat dwóch się namęczył, nim go czytać wyuczył; gdyż Zacharyaszek o ile był silny fizycznie, o tyle był moralnie tępy. Był z niego chłopczyk potulny, pełen dobrej woli, rzadkiej jak na dziecko pobożności, ale jak najnędzniejszych zdolności umysłowych. Matka za nim przepadała, bo to był żywy wizerunek jej męża. Ale to podobieństwo było jedynie w powłoce. Bo nadzwyczajna odwaga cechowała nieboszczyka Stanisława, a Zacharyaszek za ledwo swojego cienia się nie lękał. Tak jak Jakób I król angielski i z podobnej przyczyny, na widok wydobytą z pochwy sza-

bli cały się trząsł, i tego uczucia nigdy nie mógł przezwyciężyć. A kiedy inne dzieci z nim swawoliły w sposobie dla niego bolącym, ten brak odwagi zupełnie uniweczył nadzwyczajną siłę, którą natura od dzieciństwa była go obdarzyła. Bywało jak który jego rówieśnik na niego krzyknie, Zacharyaszek zaraz się przestraszy, rękoma twarz sobie zasłania, i daje siebie bić bez oporu od takiego, coby go jedną ręką z łatwością mógł pokonać. Był też męczennikiem dzieci oficyalistów opatowieckich.

Gdyby jego ojciec powstał z grobu, umarłby powtórnie ze wstydu, iż mógł spłodzić syna z tak zajęczem sercem. Matka była na to wyrozumiała, i nieraz mawiała: — Wolałabym go widzieć męznym, jak był mój Stanisław, jednak i w tém zgadzam się z wolą Pana Boga. Nie będzie z Zacharyaszka junak, ale przynajmniej będzie poczciwym człowiekiem. Nie pójdzie szukać guza, a kawałek chleba zawsze dla siebie znajdzie. — I w samém rzeczy miał on enoty przeważające jego przyrodzoną tchórzliwość. Nigdy najmniejszego nieposłuszeństwa nie dopuścił się ani względem matki, ani względem dyrektora; unikał wszelkiej swawoli, modlił się z upodobaniem, i jakkolwiek tępy do nauki, nigdy plag nie dostał, raz ze swoją potulnością rozbrajał, powtórę, matka była przekonana, że gdyby go na stołku położono, umarłby z samego strachu.

III. Wojak ex abrupto.

Rósł sobie Zacharyaszek i wyrósł. Był wykapanym ojcem co do powierzchowności, rosły, silny jak lew, postawa bohatera, ale zawsze tchórz, zawsze błędący na widok gołej szabli. Pan Potocki, już wojewoda Bełzki, przypomniał sobie Zacharyaszka, kiedy się jemu kończył rok szesnasty, i zalecił gubernatorowi opatowieckiemu, żeby go umieścił jako Manualistę w kancelaryi ekonomicznej. Już miał więc zapewniony kawał chleba, i można mu przyznać było, że go darmo nie jadł.

Umiął on statkiem i pilnością pozyskać zaufanie gubernatora, a z jego polecenia często objeżdżając folwarki, nabył wkrótce głęboką, bo zupełnie praktyczną naukę gospodarską. Bojąc się ludzi, wtapiał się w rozważaniu natury, i został jój wielkim znawcą. Wszystkie zmiany powietrza umiał przewidywać, wiedział jak schwycić najwłaściwszą porę do siejby, żęcia, do rozpoczęcia kosowicy, tak że w zawodzie rolniczym gubernator, z nim się nie naradziwszy, niczego nie śmiał przedsiębrać. A że był mężem wysokiej enoty, dalekim od wszelkiej zawiści i próżności, o téj zdatności Zacharyasza ledwo że nie w każdym raporcie wojewodzie donosił.

Król Jan Sobieski wówczas panujący, właśnie wtedy wyruszał na

wyprawę wiedeńską. Sejm uchwalił pospolite ruszenie. Szlachta sandomierska mająca wojewodę obciążonego wiekiem, za nadto szacowała swoich podkomorzonych, żeby ich poddać pod zwierchność im równego w stopniu kolegi. Przyłączyła się więc do szlachty bełzkiej i poddała się pod naczelnictwo wojewody bełzkiego. Z tego powodu wojewoda przybył do Opatowca z synem swoim, już kasztelanem lwowskim, a znakomitym wojownikiem. Tam wraz z innemi oficyalistami był im przedstawiony Zacharyasz Smigielski. Szlachcie jak dąb, barczysty, mina gęsta lubo zamyślona, wszystko w nim zapowiadało tak dzielnego wojaka, że wojewoda i kasztelan po nim obiecywać sobie mogli, iż po dziesięć głów tureckich na dobę zmiatać będzie. — Mości panie — rzekł do niego wojewoda — z waści wielki gospodarz, i waścina praca jest dla mnie wielce korzystną, ale wszystko na stronę, kiedy chodzi o ojczyznę. A więc zabieram waści z sobą, żebyś się dał w znaki bisurmanom. — Były popisy szlachty w Opatowcu, na których rad nierad musiał się pokazać i Zacharyasz. Kiedy szlachta dobywa szabel, ledwo utrzyma się na koniu, tak poty na niego biją, wszakże jakoś tego nikt nie spostrzegł, i to wszystko poszło za wojewodą pod Wiedeń.

Zacharyasz radby był o sto mil być od tego pospolitego ruszenia. Ale na to nie było rady. Szedł jak delinkwent na śmierć skazany, i był pewny, że z wyprawy nie powróci. Jego matka nie śmiała prosić wojewody, żeby jój synalka zostawił, bo wiedziała, że to było zapóźno. Pozostały dla niej lzy i Boska opieka. Robiła nowenny, ślubowała pielgrzymkę do Najświętszej Panny Częstochowskiej na intencją szczęśliwego powrotu Zacharyaszka. Była najnieszczęśliwszą z matek, bo inne obawiały się dla swoich synów śmierci lub kalectwa, a ona w nadddatku jeszcze się bała hańby, jaka na imię jój męża spaść mogła, bo znała swojego chłopca. Wszakże okazało się, że jój pobożność znalazła łaskę u Najświętszej Panny.

Wiadomo, że pierwsza potyczka króla Jana pod Wiedniem wcale się nie powiodła, bo gdy król z niewielkim poczem robił, jak to dziś nazywają, silny rekonesans, został napadniętym od masy Turków, którzy omal że go nie wzięli. Robił szablą jak prosty żołnierz, i ją zacerwienił krwią pogańską. I to nie pomogło, bo siła nieprzyjaciół za nadto była przewyższającą. Rzewuski, podskarbi nadworny koronny, zasłaniając króla swojemi piersiami, w głowę ciężko został ranny, a kilku dworzan królewskich poległo śmiercią walecznych. Kiedy garstka Polaków cofając się, trupem słała ścieśnione pobożwisko, oddział drugi Turków przeciął jój drogę do odwrotu. Już nie było środka ocalenia. Na szczęście przybiegł elektor bawarski ze swojemi rajtarami, a tuż za nim Potocki z synem i chorągwiami Bełzanów i Sandomierzanów, gdzie się znajdował i Zacharyasz.

Było to jego pierwsze pole. Bez przytomności wcisnął się ze swojemi na plac boju. Ledwo świst kul wrócił mu przytomność; uciekł najpierwszy, ale uciekając natknął się na rów, wcale nie szeroki, którego jednak koń, nie czujący ręki jeźdźca, przeskoczyć nie chciał. W cwałie raptownie stanął ponad rowem, a Zacharyasz przez łeb konia zwałił się o ziemię i znalazł siebie obok dwóch zabitych Turków.

Tehorze mają też swoją logikę. Spieszonemu Zacharyaszowi było w myśli tylko niebezpieczeństwo utraty głowy, bo słyszał, że Turcy je ścinają swoim jeńcom i kładną do worka, żeby za nie odebrać opłatę. Cóż więc obmyśla dla ochrony swojej głowy? oto zdzierą zawój z jednego trupa, kładzie go na swoją głowę, skacze w rów, i po nim się zabiera szyć na wolą Bożą, ułożywszy sobie, że jak nadejdzie swój, do niego się odezwie, a jeżeli Turek, ten go weźmie za jednego ze swoich i zaniecha. Wtem wzmocniony oddział polski wstrzymał zapęd turecki, tak że Turcy przestali go ścigać i swobodnie wracali do obozu. Trzeba było takiego zdarzenia, że dwóch rajtarów bawarskich, odłączywszy się od swojej chorągwi, szli prosto ku temu miejscu, gdzie głowa Zacharyasza z rowu wyglądała w zawoju. Rajtary wprost na niego, myśląc że to jakiś Turek, który się odbił od swoich. Zacharyasz odezwał się do nich po polsku, czém bynajmniej z błędu ich nie wyprowadził. Jeden go ciął w czoło, drugi w twarz, ale tak, że mu zadał szram od ust do ucha. Zacharyasz zemdłał, rajtary wzięli się do jego rozbierania, ale wielce się zmięszali, jak ujrzeli na jego szyi ryngraf z obrazem Najświętszej Panny Częstochowskiej. Nieruchomego rzucili obok leżących Turków, a sami w nogi, rów przesadziwszy, bojąc się, żeby Polacy ich nie pytali, dlaczego skaleczyli ich kolegę.

W samą rzecz wkrótce nadszedł oddział; była to właśnie chorągiew sandomierska. Zawój był spadł z głowy Zacharyasza, ale po kontuszu poznali ziomka. On był zakrwawiony, ale dyszał. Zabrali go Sandomierzanie z sobą do obozu, i dopiero jak mu tam twarz obmyto, stanął Zacharyasz w swojej postaci.

W zapale potyczki nie uważano, że przed danym rozkazem samopas wziął się do odwrotu, — a że go znaleziono rannym obok dwóch Turków zabitych, z tego oczywisty wniosek, że się sam jeden z kilkoma Turkami potykał, że dwóch swoją ręką zabił, a inni uciekli, ale że zwycięzca utratą krwi osłabiony padł bez przytomności. Wojewoda w blizkim od swojego namiocie go ulokował, i kazał leczyć swoim felczerom. Kiedy jego koledzy się bili, on się wylegał najprzód w swoim namiocie, a później w wygodnej kwaterze w Wiedniu; resztę wyprawy wybył w bezpieczeństwie niczém nie zagrożonem, i cieszył się odgłosem, że jest jednym z najdzielniejszych rycerzy woje-

wództwa Sandomierskiego. A nadto pozyskał osobliwsze względy u swojego pana.

Fulmen Orientis z walecznym swoim rycerstwem wrócił do Polski, a pan wojewoda Bełzki, że gubernatorstwo krotoszyńskie było zawakowało, chcąc mieć bliżej siebie walecznego Zacharyasza, postąpił go na tę posadę. Nowy gubernator sprowadził do Krotoszyń swoją matkę, i powrócił do gniazdowego województwa swojego rodu. Była to rzecz nadzwyczajna, żeby zarząd tak obszernej władzy powierzyć młodzieńcowi, który jeszcze dwudziestu lat nie skończył. Ale czegoż nie był wart bohater w całym wojsku wsławiony, a do tego już doświadczony gospodarz? Wkrótce po swojej installacji stracił swojego pana, ale niemniejszego znalazł patrona w osobie syna wojewody, spadkobiercy jego dóbr, krzesła senatorskiego i opieki nad licznymi sługami. Bo ten, zostawszy ciężko rannym pod Wiedniem, razem z nim się leczył i wielce go polubił, tak dalece, że kiedy Zacharyasz wcześniej się wyleczywszy, jako od cięcia pałaszowego, niż pan kasztelan Lwowski, który był w nogę postrzelony, rad nierad zabierał się dostać do swoich w Węgrzech, kasztelan go nie puścił i powiedział mu — poczekaj, jak nogą się wygoi, razem wyruszmy do wojska; wiem że waści korei być tam, gdzie miecze błyszcżą, a kule świszczą; i mnie korei, ale sam widzisz, że leżę jak Łazarz; nie opuszczaj mnie! — Zacharyasz widząc że pod szczęśliwą gwiazdą się urodził, kiedy zmuszono go do tego, czego właśnie życzył sobie jak dusznego zbawienia.

Pani Śmigielska, słysząc o bohaterskich czynach synalka, nie mogła pojąć, z kąd się u niego taka waleczność wzięła. Ale pocziwy Zacharyasz z wszystkiego przed matką się wypowiadał. W obcowaniu zaś z innemi, lubo nie miał w tém podobnej otwartości, przecie kłamstwem nigdy siebie nie splamił. O wyprawie wiedeńskiej nigdy nie wszczynął rozmowy, a kiedy kto o niej zagaił w jego przytomności i jemu przypominał jego popisy, on odpowiadał: — A to dawno już minęło — i mowę do jakiegoś innego przedmiotu zwracał, co uchodziło za skromność nieoddzielną od prawdziwej dzielności (*). Jego nowy pan, ile razy go zalecał swoim krewnym i przyjaciółom, nigdy nie omieszkował dodawać: — Mój Śmigielski to z cicha pęk; służyliśmy razem pod moim ojcem na wyprawie wiedeńskiej. Ja już nie byłem nowicyuszem w rycerskim rzemiośle, a jego tam było pierwsze pole, ale daj Boże mnie tak się popisywać; jemu położyć Turka, to jak

(*) Jest przysłowie gminne: „Krowa co wiele ryczy mało mleka daje“. To się szczególnie sprawdza co do odwagi. Kto wiele lubi rozprawiać o bitwach, gdzie miał dokazywać o pojedynkach, które odbywał, rzadko kiedy nie jest tehorzem, przynajmniej w duchu. Bo honor jest zdolnym to nikczemne uczucie przeważać.

chleb z masłem zjeść; ale nie wyciągniesz go na język, żeby się z tém pochwalił.

Zresztą jego twarz marcyalna, a zwłaszcza te dwie kresy, które ją zdobiły, tak przekonywające dowody przynosiły jego mężstwu, że gdyby na Ewangelii przysięgał, że jest lekkiego serca, niktby temu nie uwierzył. A że był człowiekiem rzadkiej poczciwości, cichym, uczynnym, pełnym bojaźni Bożej, miał też w nagrodzie miłość ludzką. Nikt nie umniejszał, owszem każdy wynosił jego sławę. Najzuchwalsze burdy sejmikowe kłaniały mu się nisko, dobijały się o jego przyjaźń, wymawiały mu, że unika od sejmików, gdzieby mógł przyjaciółom tyle przynieść pożytku, a nie domyślali się że on na nich się nie znajduje jedynie dlatego, że widoku wydobytej szabli znieść nie może.

To pewna, że w spadku jaki wziął po ojcu nowy wojewoda Bełzki, nie najpośledniejszym przedmiotem był Zacharyasz Śmigieński, bo w całej okolicy nie było gospodarstwa tak wyrozumowanego i tak korzystnego jak to, które zaprowadził w Krotoszynie. Ale też umiał być dla niego wdzięcznym. W dawnych naszych obyczajach sługa tylko o panu myślał, a pan myślał o służbie i opiekował się jego i jego dzieci losem. Była prawdziwa moralność w narodzie (*), a honor na gruntowniejszych zasadach się opierał, niż na czezych przechwałkach i pojedynkach bez rzeczywistego niebezpieczeństwa. Jój straż trzymała opinia publiczna, silna, oświecona, pokorna, ożywiona religią, a nie dziwaczna, samolubna, głupia, i co chwila innym językiem przemawiająca. I tak wojewoda ożenił go z panną u niego na opiece będącą, z domu Kierdejów, po której wziął czterdzieści tysięcy tynfów ulokowanych na ewikei u pana, i wieś w województwie Bracławskiem, w której jego noga nigdy nie powstała, gdyż wolał nie mieć z niej przychodu, niż pokazać się w krainie ryzunów i hajdamaków; a oprócz tej wyrządzonej jemu łaski, dał mu prawo na dworek i jego przysadę, jako chleb łaskawy.

Wszakże pan Zacharyasz, lubo mógł żyć już z własnego funduszu,

(*) Dziś z niewielką ilością wyłączeń godnych, w powszechności u nas nie ma ani dobrych sług, ani dobrych panów, bo oni nie umieją siebie szacować. Pan podejrzewa sługę, że chce go okraść, a sługa pana, że per fas et nefas chce go w deces wprowadzić. Nie znam kraju, gdzieby ludzie tak mało siebie szacowali wzajemnie, jak u nas. Niech-no kto zacznie objeżdżać domy nasze, a wkrótce przekona się, że ani jeden nie znajdzie się obywatel taki, któregooby w jakim domu nie wystawiano ledwo że nie jak ostatniego złoceńce. Obmowy i oszczerstwa w naszej społeczności mają cechy zupełnie odmienne od tych, które można dosłyszeć w innych, a to wielce objaśnia nasze położenie. Jedni drugich ciągle szarpiąc, sami ściągaliśmy na siebie powszechną wzgardę obcych; bo jakże mogą nas szacować, kiedy sami nie szacujemy siebie? Jesteśmy na ziemi jedynym krajem, gdzie opinia powszechna najmniejszego nie ma znaczenia, tak dalece, że jeżeli na kogo u nas wrzeszczą, to samo za nim już przemawia.

nie opuścił służby pana, dla którego czuł obowiązki. Owszem nie przedstawiał wzbogacać go swoją pracą, za największą poczytując nagrodę nieograniczoną ufność, jaką wojewoda go zaszczycał. On miał siebie za najszcześliwszego z ludzi: miał odgłos wcale nie zasłużony walecznego męża, odgłos więcej niż zasłużony człowieka sumienia najmniejszym pyłkiem nieskażonego życzliwość wszystkich co go znali i wielkie błogosławieństwo Boskie w pożyciu domowem.

Jego żona, oprócz gładko ściłica, była kobietą równą jemu poczciwości, a do tego obdarzona wielkim rozsądkiem, tak wysoko cenionym od wojewody, że kiedy ten, owdowiawszy już pod swoją jesień, pojął powtórna małżonkę z domu Opalińskich, dziewczynę siedemnastoletnią, mając w pieczy jój sławę, starał się zawiązać ściłą przyjaźń między nią a panią Śmigieńską. Nie chcąc narażać młodej żony na wszystkie niebezpieczeństwa wielkiego świata, ile razy wyjeżdżał czy do Warszawy, czy winne miejsca, gdzie go powoływały obowiązki licznych urzędów jakimi był obarczony, upraszał panią Zacharyaszową, by się przenosiła do zamku i jój powierzał swą żonę. A ona o dziesiątek lat starsza od wojewodziny, tak roztropnie umiała i panią i siebie prowadzić, że jak jój mąż wojewody, tak ona jego małżonki zaufanie, a nawet jako w sercu kobiety, skłonniejszem do tliwszych uczuć, najstateczniejsze uzyskała przywiązanie. Kiedy wojewody nie ma w domu, ona i we dnie i w nocy nieodstępna towarzysza wojewodziny, a kiedy do niego powróci, i wtedy nawet nie może się oddać w pełnej swobodzie niezawisłości życia domowego, bo jeżeli dzień przejdzie bez jój pokazania się w zamku, już wojewodzina tęskni i albo sama ją nawiedza, albo posłała po nią kolebkę, żeby ją do niej przywiozła.

IV. Nasz bohater występuje na scenę.

Po upłynionym niespełna pierwszym roku małżeństwa Śmigieńskich, Bóg pobłogosławił to stadło córką. Potem było jeszcze dwóch synów, którzy roku nie dożyli, co zwłaszcza dla samego było powodem wielkiego zmartwienia; nakoniec trzeci syn się urodził. Jakaś szanowna stara sąsiadka, której pan Śmigieński bardzo wierzył, zainstynktowała mu, żeby syna nazwał Adamem, bo z tém imieniem chować się będzie. Rodzice poszli za jój radą i nie mieli powodu tego żałować, gdyż Adaś najszcześliwiej przebył ząbki, a po odłączeniu niemniej szczęśliwie przebył ospę, kor, tak że rodzice doczekali się, iż chłopię silne, piękne, zdrowe i wiele swawolne chodziło im do szkół.

Adaś w szkołach, jak to często mawiała babunia, która aż do śmierci rej wodziła w domu syna, był odwrotnym wizerunkiem Zacharyasza. Tamten pobożnością i statkiem wynagradzał tępość do nauki,

a ten wynagradza swawolę i krnąbrność pojęciem, pamięcią i łatwością pracy. Jednak to wynagrodzenie niezupełnie było ścisłe, bo dla zrównoważenia Credit i Debet, ledwo nie codzień Adaś dostawał plagi, bądź w szkole, bądź w domu, ile razy babunia odejdzie. Bo pan Zacharyasz krótko trzymał swojego chłopca, a matka miłowała go rozsądnie; ale babunia tak go pieściła, że w jej przytomności nie było sposobu go ukarać.

Adaś zasługiwał na plagi swoją swawolą. Był postrachem dzieci miejskich i przekupek. Ciągłe się z kimś mordował, często na kilku razem się porywał, i nieraz wracając ze szkoły do domu przychodził obszarpany, z guzami i sińcami, za co ojcowskiego batoga doświadczał. Ale też bił się w paleaty, że już w dziesiątym roku swojego wieku niezłakłby się sejmikowego rębacza, i w to był tak zadufany, że od żadnej nie stronił zaczepki. Jeszcze to rok szkolny był jakoś znośny dla ojca, ale w czasie wakacyj rady sobie nie mógł dać z Adasiem. To jemu konia zajeżdża, to szabli próbuje na szyjach indyków, to napada na dzieci mieszczan niemieckich, to gwałtem chrześci żydziuków, którzy mu wpadną w ręce, to czasem tak zniknie, że doba i więcej minie, a nikt nie wie gdzie się obraca. Codzień na niego skargi do ojca, że nikomu pokoju nie daje. Ojciec się gniewa, codzień mu powiększa lenung batogowy. Nic nie pomaga. Adaś piękny, dowiepny, ale niepoprawiony hultaj.

Wojewodzina miała jedyną córkę, czterema laty młodszą od Adasia. Adaś ją znał od niemowlęctwa, bo zawsze co niedzieli i czwartku bywał na pokojach w zamku, i ten zaszczyt nigdy go nie omijał, bo chociaż bywało ojciec na pokutę osadzi go w furdycie, wojewodzina zawsze go wyprosi, będąc na niego wielce łaskawą.

On ją bawił, a ona potakiwała jego swawoli. Bywało kiedy mu każe iść za nią do ogrodu zamkowego, on dla jej zabawy drapie się jak wiewiórka po niebotycznych bukach, żeby wydrzeć gniazdo sroce, przeskakuje rowy i płoty, koziołki wywraca po łące, drze swoje odzienię. To ostatnie mu wychodziło na najlepsze, bo wojewodzina za jedną kontusinę dla jej zabawy uszkodzoną, sprawuje mu dwie nowych; jego kieszeń opatruje garściami tyńfów, rzadka niedziela przejdzie, żeby od niej nie dostał jakiego upominku, a to pas lity, a to krociec w srebro oprawne, a to spinką rubinową, a to safian Stambulski na buty. Pan Zacharyasz się gniewa, wymawia pani, że ona Adasia na ostatniego łotra wykuruje, że on zadufany w jej łasce każdym sztorcem się stawia. Wojewodzina się śmieje, bierze chłopca w swoją obronę, i pozwala mu z sobą poufałości, jakby był jej powinny.

Tak Adaś w zamku, a nawet w domu własnym przez babunię rozpieszczony, w szkole od nauczycieli, a w domu od ojca i matki bity, w miasteczku często bijący, ale często też i wyszturchany od przemaga-

jącej siły smarkaczów szkolnych, zawsze tyle zdatny do nauki, ile pochopny do swawoli, w tych alternatach doszedł do lat szesnastu.

Co najwięcej skłaniało życzliwość wojewodziny ku niemu, to przywiązanie które od lat dziecinnych okazywał Zosi. Przy niej był z niego zupełnie inny chłopiec. Ostrożny, zapobiegliwy, rozważny, z oka jej nie wypuszczał. Kiedy dziewczynka sześciolatnia ma upaść, chłopczyk dziesięcioletni umie to uprzedzić, i podpięra ją na swoim ramieniu. Kiedy ochmistrzyni jej się sprzeciwi, niezawodnie obmyśli jakiego psikusa, żeby się na niej pomścić. Nikt jej tak nie umiał bawić, nikt nie umiał dla niej wynajdywać równie przyjemnych swawoli. Zosia też więcej jeszcze go lubiła, niż swoich dwóch braciszków z pierwszej żony wojewody. Jak go nie ma, tęskni za nim, wygląda niedziel i czwartków z niecierpliwością widoczną.

Razu jednego, gdy była zapadła na febrę wiośnianą, lekarz nadworny do niej wezwany podał jej jakieś gorzkie lekarstwo, którego żadnym sposobem zażyć nie chciała. Ochmistrzyni, wojewodzina matka, sam wojewoda i prosili i grozili, a wszystko napróżno z upartą dziewczynką; nakoniec odezwała się: niech Adaś to lekarstwo wypije, to i ja wypiję. Posłano po Adasia. Chłopiec wolałby się borukać z najsilniejszym hajdukiem dworskim, niż przybliżyć do ust takie paskustwo (*), ale zaledwo mu powiedziano, że to jest niezbędne dla zdrowia wojewodzianki, i że ona lekarstwa nie zażyje, póki on nie da jej przykładu, Adaś rzucił się na filiżankę i ją duchem wypróżnił, jakby była napełniona masłaczem.

Nie przytaczam wielu innych przykładów podobnego z jego strony przywiązania dziecinnego, ale zasługującego na uwagę. Wszystko to bawiło wojewodę i wojewodzinę, bawiło nawet pana Zacharyasza, ale tego ostatniego dopóty tylko, dopóki Adaś i Zosia mieli, jak to mówią, mléko pod nosem. Ale kiedy rok trzynasty zaczynał dla Zosi, a siedemnasty dla Adasia, już był nierad tym nadto gęstym wedle niego nawiedzinom zamkowym syna, i szczerze myślał im zapobiedz. A będąc z przyrodzenia wielkim Cunetorem, nie odkrywał swoich myśli, ale cała rodzina zauważała, że coś musiało go trapić, bo bywał częstą tak zadumany, że przez cały dzień słowa nie wyrzekł, i zdawał się być ciągle w roztargnieniu większym, niż zwyczajnie.

V. Rada familijna.

Jednego wieczora, kiedy pan Zacharyasz, jego żona i matka siedzieli w pokoju, nastąpiła ważna w ich pogodnym pożyciu scena. Babu-

(*) Powiem nawiasem, że już uczyniono spostrzeżenie, że ludzie z duszą energiczną od dzieciństwa mają wstręt osobliwszy do wszelkich lekarstw, i że sama natura bez lekarzy wydzwiga ich z niemocy.

nia w swoim głębokim krześle robiła pończoszki dla synowej, pani Śmigielska młodsza nawzajem kończyła czépek dla babuni, a sam gospodarz zamyślony temperował zużyte pióra, rozsypane na stoliku, i składał je w pudełko na nie przeznaczone. Długie i głębokie było milczenie. Nakoniec pan Zacharyasz, westchnąwszy, i obejrzawszy się w około z widoczną niespokojnością, tak się odezwał:

— Moi państwo, nie potém Adaś mi się kartuje, jedynaka trudno nie miłować, a wszelako radbym go wiedział o sto mil przynajmniej od Krotoszyna. — No i cóż? — na to babunia. — Cóż! albo tego nie widzicie, że tak do pańskiego tonu nawyka, że wkrótce sam na paua będzie chorować, a to bardzo brzydka choroba dla chudego pacholka. — A dlaczegożby nie miał zostać panem, kiedy go Bóg już stworzył szlachcicem? Wszakże łatwiej ze szlachcica postąpić na pana, niżeli z człowieka niezacnie urodzonego na szlachcica. — Otóż to imość pięknie powiedziała, szkoda że nie w przytomności smarkacza; nieby nie brakowało jak to. — A może powiesz nieprawdę? — Tego nie powiem, bo chwała Panu Bogu, nigdy odkąd żyję matki dobrodziejki nie obraziłem. Ale to się mówi do tego, że jako ojciec mam obowiązek myśleć o tém, co może być dobrze lub źle dla syna. Już od trzech lat co roku zabierałem się oddać go do konwiktu w Poznaniu, nie chcąc go trzymać przy sobie, i Marynia nie była od tego, tylko imość na to nie chciałaś pozwolić. Otóż z jej pieśczęt tak mi się chłopiec rozpaskudził, że daj Boże ażeby za jego sprawą nie padło nieszczęście na nas wszystkich. — Jakie nieszczęście? prawdziwie, Zacharyaszku, tyś ani ojcem swojego syna, ani synem swojego ojca. Każdej rzeczy się boisz, a byłeś przecie na wojnie. — I jej pamiątki noszę na czole i twarzy. Wreszcie niech ja sobie będę lękliwy, ale to pewna, że z waleczności Adasia niewielka dla nas pociecha. Bywało z maleńka jak robi burdę, to imości śmiech, a mnie i Maryni ledwo że nie płacz, i chyba ukradkiem go wybatozę, żeby imości nie martwić. Przynajmniej w szkole bili go bez przeszkody. — Biedny Adaś! — Otóż za mało go bili, bo co mu rozumu napędzą batogiem w szkole w dniach powszednich, wszystek w niedziele i czwartki wywietrzeje mu z głowy w zamku. Po kim on wziął tę zuchwałość? Bo i ja całe życie bałem się ludziom narażać, i moja Marynia ich szanuje. A on łeb do góry zadziera, jak gdyby jego ojciec był dygnitarzem. Ja z tém się nie taję, że chudy pacholek, że cudzy chleb jem, że pracuję na siebie i na niego; co dzień mu to powtarzam. A on na pokojach zamkowych, gdzie oprócz naszych wojewodzień bywają i urzędników wysokich i senatorów syny, kawalerowie innego zdania, innéj roztropności, niżeli mój hultaj, ten natomiast coby miał być dla nich z uszanowaniem, coby zawczasu dla siebie miał zaskarbić ich względy, z nimi brat za brat. Ja mówię: w cóżto waś ufasz?

waś chudy pacholek, to tylko będziesz miał, co sobie wysłużysz, że jaśnie wielmożna wojewodzina łaskawa na waści, nad waścią wartość, podziękuj Bogu, ale na to nie wiele rachuj. Łaska pańska na pstrym koniu jeździ. To nie nie pomaga, ja swoje a on swoje. — I cóż to złego, że nasz Adaś ma śmiałość do panićców? Alboż on nie szlacheczki syn? alboż nie może swojego czasu sam zostać urzędnikiem, a choćby nawet dygnitarzem? Niech się kłania z powinności temu, czyj chleb je, albo takiemu, co ma zasługi w Rzeczypospolitej, wreszcie starszemu wiekiem, bo tak Bóg przykazał. Ale nie myślę, żeby przed panićcami, jak on wyrostkami, miał obowiązek siebie poniżać. Jego przodkowie kiedyś znaczyli w Polsce, dlaczegożby i on przy pomocy Boga, nie miał w niej znaczyć swojego czasu? U nas droga do zaszczytów, dla jednych szersza, dla drugich wązka, wszakże dla żadnego niepodejrzanego szlachcica nie jest zagrodzoną. — Pani matka z podobnemi maksymami i przed nim się odzywasz, a to aż nadto chwytą się jego mózgownicy. Ale imość tym go zaprzepaszczasz. Czy pani matka uwierzy, że kiedy dnia wczorajszego powiedziałem mu, iż to mnie cieszy, że przykłada się do rachunków, gdyż może, da Bóg doczekać za rok, otrzymać miejsce w kancelaryi ekonomicznej jaśnie wielmożnego wojewody, śmierdziuch ważył się mnie ojeu odpowiedzieć: — ja chcę królowi i Rzeczypospolitej służyć, a nie żadnemu obywatelowi. Może imość i to pochwalisz? — Dlaczego nie? może takie jego powołanie. A choć mówicie, że go rozpieszczę, wcale nie byłabym od tego, żeby mu w tym roku jeszcze wyrobić poczet w chorągwi jakiego dobrego rotmistrza. — Co też mama mówi — odezwała się synowa. — Adasia puścić na koleżeństwo z pancernemi, jest to samo, coby jego głowę pod miecz położyć. On nikomu z drogi nie ustąpi; także go mama chce wy kierować! jak-to puszczać chłopca zuchwałego między takie rębacze? — Moje dzieci, mówicie sobie co chcecie, a ja w naszym Adasiu żadnej nie widzę zuchwałości. On dla wszystkich grzeczny, nikogo nie zaczepia, a że siebie nie da skrzywdzić, z tego nam powinna być nie zgryzota, ale raczej pociecha. Żeby on był zuchwałym, nie miałby do ludzi takiego szczęścia. Wszyscy lubią Adasia, zaczynając od jaśnie wielmożnego wojewody, a jaśnie wielmożna wojewodzina jest jemu dobrodziejką. Zapytajcie-no sług i dworzan zamkowych, ani jeden głos naprzeciwko niemu się nie podniesie, każdy jemu życzliwy, a zuchwalcowi nie u nas dostać przyjaściół. — A ja imości dobrodziejce powiadam, że on jest zuchwały, i bardzo zuchwały. Ja wiem co mu się przez myśl przesuwa, aż strach bierze o tém wspomnieć. On nas wszystkich zgubi. — Wstydz się, Zacharyaszku. Bóg świadek, żeś synem mojego niegdyś Stanisława, to na twojej twarzy jest wypisane; gdyby on powstał z grobu, posądziłby swoją Małgorzatę, zaparłby się ciebie. On nigdy nikogo i ni-

czego się nie zląkł, a ty odkąd ciebie odłączyłam, po dziś dzień, co mi szpakowacić zaczynasz, ani jednej nie przeżyłeś chwili wolnej od jakiegóś obawy, a zawsze urojonęj. Ty żyjesz w strachu, jak ryba w wodzie. — No, kiedy imość mnie za język ciągniesz, że żaden obcy nas nie słyszy, to jęj powiem, że chociaż śmierzduchowi dopiero lat szesnaście, a wojewodzianka o cztery lata młodsza, oboje po ludzku myśląc: dzieci, a jednak, ot żebym tego nie wymówił, ale i Marynia to zauważała, nieboga pospołu zemną się stracha, niech sama powie. Alboż to nie widoczne? Ja nie pojmuję, że państwo na to ślepi. Jeszcze jaśnie wielmożny wojewodzinie się nie dziwię, bo ona ma słabość dla naszego smarkacza: ale jaśnie wielmożny wojewoda... snąc, że więcej jest zajęty sprawami Rzeczypospolitej, niż tém co się w jego domu dzieje; że kiedy panna Zofia i Adaś ciągle mają sobie coś do szepciania, jemu z tego śmiech, podczas kiedy aż mrowie po mnie przechodzą. A kiedy jakie panięcie zacznie rozmawiać z wojewodzianką, a nasz z daleka zauważy, że ona go słucha, proszę patrzeć, jak się wtedy zapyrza. I to coraz gorzej. Co to będzie, jak oba jeszcze wyrosną? — To będzie, że jak Bóg zechce, swojego czasu się pobiorą. — Wszelki duch Pana Boga chwali! co jeszcze dobrodziejka śmiesz mówić? — Oto co słyszysz. Szlachcie na zagrodzie równy wojewodzie. Alboż to nasze szlachectwo podejrzanę? W czémże Łódzia może splamić Pilawę? A wszakże mój ojciec też samą Pilawę się pieczętował, co i jaśnie wielmożny wojewoda. My wszyscy szlachta polska, choć nierówni znaczni, równie jesteśmy zaci. Przodkowie Adasia byli możni, wielmożni i jaśnie wielmożni. Śmigiel z całą swoją okolicą kiedyś do nich należał. A czém byli Buczaccy, można z kronik o tém się dowiedzieć. Potoccy i Buczaccy jedna krew, a jednak do tego przyszło, że twój ojciec i twoja matka musieli żyć za snop, żeby nie umrzeć z głodu. Nędza nękała nasze kości, ale najmniejsza skaza nie padła nigdy na nasze szlachectwo. I kiedy bieda doszła do najwyższego stopnia, nastąpiło przesilenie, jak to powiedział mój nieboszyk. Bóg bogaty; nie poszedł jak sierota paść świnie u sąsiadów, ale na niczém tobie nie zbywa, masz o czém i postąpić syna, i wyposażyć córkę. I kiedy twój ojciec, co czegoś więcej był wart niż ty, aż swoją szablę musiał zastawić, żeby mieć czém ugościć tych, co nam ostatni ratunek przywieźli od głodu, ty Bogu dzięki, co dzień masz wino na twoim stole. Bliższa tu droga od nieco zamożnego szlachectwa do kolligacyi z mitrami i krzesłami, niż z ostatniej nędzy do takiego chleba, jakim siebie żywisz i nas przy sobie. Twój ojciec zamordowanym został od nieprzyjaciół Chrystusa Pana, za to, że się za Jego krzywdę ujął. On jest królującym w niebie męczennikiem, tak, jak Święty Szczepan i jego patron Święty Stanisław. Wszystko co masz, on tobie to wyjednał, bo cóż więcej dla ciebie mógł

zrobić, kiedy dał ci nawet sławę rycerską? Ale Adasia natura inna, niż twoja. Ja mam wiarę, że mój nieboszyk wnuka na pana wykieruje, i że wojewodzianka dla niego się urodziła. — Prawdziwie imość do szaleństwa chcesz mnie przyprowadzić. Czy podobna przypuścić, żeby dom Potockich, tak dostojny, tak możny, tak dumny, chciał się kojarzyć z charłakiem, z synem sługi? Jemu być podstarościm, a nie zięciem pańskim. A czy wiesz imość, że nasz pan onegdaj otrzymał przywilej na województwo Poznańskie, pierwsze krzesło pierwszej prowincyi Rzeczypospolitej. Cóż to imość myślisz? toć to ściany niewają uszy. Ja sługa, ja gracyalista jaśnie wielmożnego wojewody, miałbym go zdradzać? podobną myślą się bawić, już jest zdrada. A niechby-no ostatnie słowa imości zanieśiono wojewodzie? Tobysmy wszyscy zginęli jak rude myszy, ziemia nasby przed nim nie skryła. Imość miłujesz swojego wnuka, a chcesz, żeby go żywcem ze skóry obdarto, jak Świętego Bartłomieja, i słusznieby się tego doczekał. Żeby sługa na krew pańską pożądlivy wzrok rzucił! gwałtu! aż mi się émi w oczach! a to mnie straszniejsze opały, niżeli pod Wiedniem spotkały! To darmo, jestem ojcem, samo sumienie i miłość rodzicielska przykazują, żebym temu zapobiegł. Pojutrze w zamku wielka uczta in gratiam świeżo otrzymanego przez naszego pana zaszczytu. My słudzy podzielać mamy radość krewnych i przyjaciół domu Potockich. Ale zaraz po téj uczcie pana Adama wywożę, i tak ukartuję, żeby jego noga już nigdy nie powstała w zamku Krotoszyńskim. — Gdzież go myślisz zawieźć, kochanku? — odezwała się żona. — A cóż? chociażbym miał ostatnie hajdawery zastawić, kupię dla niego chorągwo w pułku pana Rottermunda, który konsystuje we Lwowie. Mam znajomość z wielmożnym Rottermundem; przy umieszczeniu syna w jego pułku uproszę jakoś, żeby przynajmniej lat dwa nie wypuszczał go ze Lwowa, a da Bóg, że z młodej głowy to głupstwo się wyparuje. — Panie Zacharyasz — na to babunia — waćpan jedynaka syna do zagranicznego autoramentu oddajesz, jakby jakiego mieszczuka. A czyż Adam Śmigielski nie wart służyć w kawaleryi narodowej, tak, jak jego dziad? — Nie, pani matko, zawsze we wszystkiém dawałem jęj się powodować, ale ninie, kiedy już o skórę chodzi, muszę przypomnieć sobie, żem jego ojcem. W kawaleryi narodowej zuchwałstwa wiele, a karności mało. Jakby hultaj został towarzyszem, dopiero by spyszniał, mając do tego tak piękne przygotowanie. On ma szczęście do naszych; gotów zawojować swojego rotmistrza, że ten pozwoliłby mu wojakować w Krotoszyń, a wtedy z zamkuby nie wyłaził, bo trudno powiedzieć towarzyszewi pancernemu, idź precz. Niemcy go jakoś ścisną, między niemi Polak potuchy nie znajdzie. Nie ma kłeski dla niewytrawionego szlachcica, nad przestawanie z panięciami. To zguba, a towarzysz ma do nich drzwi zawsze otworzone.

Odpusć pani matko, a on musi służyć w piechocie. Jeszcze w tym tygodniu wyproszę u pana, że mi pozwoli na parę niedziel wydać się. — Spodziewam się, Zacharyaszu, że na zjeździe u jasnie wielmożnego wojewody będzie z nami i Adaś. Jużci potrzeba, żeby się pożegnał z państwem i ich poprosił o błogosławieństwo. — Przeciwnemu nie mam. — A więc pojutrze, przy mojem błogosławieństwie, doczepię mu do boku szablę mojego nieboszczyka, niech ją ma przy sobie, kiedy pójdzie do zamku. — Co! imoś dobrodzika moją szablę tak ciężką, chcesz dać wyrostkowi? na cóż się mu ona przyda? — Nie turbuj się, Zacharyaszu, on dziś już lepiej z nią potrafi się obchodzić, niż ty przez całe swoje życie, i póki ją trzymać będzie w ręku, nie da się cudzą obznaczyć, nie przymawiając tobie. Powtóre, wcale niewłaściwie wyrwałeś się z tém, że ta szabla twoja. Zadaj sobie pracę odczytać dekret grodu Radomskiego, a dowiesz się, że ona od żyda mnie, a nie tobie została przysądzoną, a ja wnukowi dochowałam ten jedyny spadek po jego dziadzie. Jest to relikwia po świętym męczenniku, i kiedy siedleś pod Wiedeń, tobie jęj nie oddałam, żeby broń Boże nie przepadła, ale u Adasia ona nie przepadnie, i on się nią dorobi tego, czego wy się nie spodziewacie.

VI. Uczta i burda.

Trzeba wiedzieć, że blisko od roku Adaś nie był bitym w szkołach. Jak wprzód, tak i teraz celował w naukach, ale poprzestał wszelkiej swawoli, i co nieomal nauczycieli zadziwiało, wszelkiej zwady starannie unikał. A z kądże to opamiętanie się pochodziło? oto ztąd, że Zosia słyszała, jak ojciec rektor wychwalał przed jęj matką postępy Adasia w naukach, ale obok tego jak się użalał na jego swawolę, i pochop do szukania z każdym zaczepki. I to mu wymówiła, a on jęj obiecał pod słowem szlacheckim, że od dnia dzisiejszego aż do wyjścia ze szkoły ani się dopuści swawoli, ani da powód żadnej kłótni. I lubo młodzieniec zaledwo z dzieciństwa wychodzący, jednak dane słowo z taką umiał dotrzymać statecznością, że nawet w palcaty już się nie chciał potykać z kolegami szkolnemi, jak dotąd bywało, a to żeby się czasem z tego nie wywiązała zwada. Tylko z oficerami nadwornej milicji wojewody i jego dworzanami tłukł się w palcaty, wiedząc, że z ludźmi dojrzałymi zabawa w kłótnię zamienić się nie może. Czem jeszcze więcej się wprawił do korda, tak dalece, że na całym dworze nie było takiego, coby przynajmniej równości z sobą nie przyznał piętnastoletniemu otrokowi. Matce, a zwłaszcza babuni, serce rosło, słuchając z ust ojców Jezuitów pochwały Adasia.

Co do pana Zacharyasza, on na to był dość obojętnym, i kiedy pani wojewodzina mu winaowała, że ma syna tak pięknych nadziei,

dodając: — A co? czy nie mówiłam waćpanu, że Adaś nieoszacowany? — on ta zimno przyjął; a to z powodu, że ako wszyscy ludzie bojaźliwego animuszu będąc wielce rozważnym, jakoś dociekl, że ten statek Adasia tak wszystkich zadziwiający, był skutkiem wpływów, jakie na nim otrzymała wojewodzianka. I właśnie to odkrycie stało się powodem tęg rozmowy familijnej, którą przedstawiłem w poprzednim rozdziale.

Kiedy Adaś wrócił ze szkoły do dworku na wieczercę, ojciec na wstępie mu zapowiedział, że będzie pojutrze uczta w zamku. — Ja waści z sobą zabiorę na pokoje; pamiętaj waś na nich dobrze się sprawować, bo to będą ostatnie waćcine nawiedziny. — Chłopiec się zmiewował, bo to będą ostatnie waćcine nawiedziny. — Tak, tak — przedłużył ojeiec — jak tylko goście się rozjadą, waś ze mną pojedziesz do Lwowa, gdzie zostaniesz, ale jako chorąży w pułku pana Rottermunda. Jest to pułk piechoty, ale waś masz nogi. Zdaje się, że kiedy chłopiec szesnastoletni już jest chorązym, taki na ojca skarżyć się nie może, że mu podeciał skrzydła; jeżeli nie podlecisz, to w tém nie będzie moja wina, bo robię dla waści co mogę, ledwo że nie więcej niż mogę.

Te słowa orzeźwiły chłopca. Nie umiał jeszcze dokładnie rozróżniać prerogatyw kawalerji narodowej od zagranicznego autoramentu; bez wątpienia wolałby wojować siedząc na koniu, niż chodząc jak pielgrzym, ale z drugiej strony już to nie miała być dla niego pociecha, że będzie sługą Rzeczypospolitej, a nie prywatnego skarbu. A kiedy babunia wyniosła dziadowską szablę, która w domu była zachowana jako świętość, i jemu ją przypasała mówiąc: — Oto jest cała spuścizna, którą mieć będziesz po swoim dziadku; staraj się przez nią dorobić wysokich zaszczytów, a te chociażby były największe, nie będą żadną nowością dla twojego domu. — Adaś co na palcach umiał historyą swojego dziada i dalszych swoich przodków, bo babunia ciągle mu o nich mawiała, ledwo że nie oszalał z radości. Już mu się marzyła przynajmniej polna buława. Już się zabierał dobyć szablę, żeby się nią popisywać przed rodzicami. Ale ledwo położył rękę na rękojeści, ojciec zbłądł; żona i syn myśleli, że ze złości, jedna tylko babunia rozumiała, z kąd pochodziła ta bladeść.

— Hultaju — krzyknął — ani mi się waż dobyć szabli. Ty myślisz, że to na sucho tobie ujdzie machać szerpentyną pod nosem ojca? a czy ty rozumiesz, co to jest uszanowanie synowskie? czy zapomniałeś o czwartém przykazaniu? a wiesz, że kto w przytomności króla dobywa szabli, to zuchwalstwo gardłem przypłaca, chociażby był senatorem, bo król jest ojcem narodu, jak ja twoim? dam ja tobie, śmierzduchu, jeżeli mi tylko choć na dwa cale klingę pokażesz. — Adaś cofnął rękę, ucałował ojcowskie kolano, prosząc o przebaczenie, i wybiegł do sadu, żeby swobodnie to młynem, to krzyżową sztuką, doko-

nywać świeżym a tak drogim nabytkiem. Poczém podniósł szablę ku niebu, Boga błagając, żeby nigdy nie dopuścił hanby na ten oręż, który w rękę jego dziada miał szczęście pokonać nieprzyjaciół Jego jedno-rodzonego Syna, i wtedy Bogu ślubował, że nigdy go nie wydobędzie z pochwy dla poparcia złej sprawy.

Nazajutrz o godzinie ósmej z rana, wszyscy słudzy nadworni i ekonomiczni jaśnie wielmożnego wojewody już byli zebrani na solennem nabożeństwie w kaplicy zamkowej. Celebrował infułat kolegiaty krotoszyńskiej, w asystencji swoich kanoników i zakonników wszystkich klasztorów, jakie były w Krotoszynie. Rektor Jezuitów miał kazanie, zakończone oracyą do jaśnie wielmożnego wojewody, który z żoną i dziećmi i bliższymi jego osoby dworzanami, podczas Mszy świętej, przystąpił do Tajemnicy Przenajświętszej, ażeby się ściśle zjednoczyć z tym miłosiernym dla niego Bogiem, który dom jego nowym obdarzył zaszczytem. Bo wtedy wszyscy byli przekonani, że co tylko rzeczywiście dobrego człowiek otrzymuje, otrzymuje jedynie z łaski swojego Stwórcy, i to pewna, że póki to przekonanie było główną cechą obyczajów narodowych, wszystkim się dobrze działo. Nabożeństwo skończyło się hymnem Ambrozyańskim, któremu wojewoda ze swoją czeladzią wtórował.

Wojewoda, lubo piastował najpierwsze w kraju dostojenstwa, nie pogardzał urzędami duchownymi, któremi ze wszech stron go obarczono, a nawet kto wie, czy ich pod pewnym względem wyżej od pierwszych nie szacował. I tak był prefektem kongregacyi Sodalium Mariae u OO. Jezuitów, był syndykiem Reformatów i wpisanym do bractwa różańcowego u Dominikanów, którym jako Potocki (*), klasztor wymurował i nadał w Krotoszynie. Można więc sobie wyobrazić, przez ile oracyów musiał przechodzić, nim się mógł posilić śniadaniem, bo każdy klasztor, każda kongregacya chciała mu się przysłużyć, a teraz szkoła, synagoga, skabinat, gmina protestancka, wszystko to miało swoich mówców, a każdy chciał się popisać. Wojewoda

(*) Było w obyczaju, że każdy dom magnacki obierał sobie jakąś kongregacyą zakonną, której był fundatorem, dobrodziejem i promotorem, przypisując jej świętemu Patronowi sławę i pomnożenie swojego rodu. I tak: Radziwiłłowie poddali się pod pieczę ś. Ignacego, Opalińscy ś. Norberta, Sieniawscy ś. Bazylego, Lubomirscy ś. Teresy, Potoccy ś. Dominika i t. d. Potoccy ś. Dominikowi wystawili pięćdziesiąt klasztorów. I jako tém przewyższyli inne domy w hojności dla Boga, tak też wkrótce wszystkich przewyższyli w dostatkach i rozmnożeniu. To pewna, że domy zaczęły upadać w miarę szerzenia się opinii jak je nazywają postępowych. Jeżeli dziś domy historyczne upadły, a w szlacheckich dla jednego wzbogaconego widzimy dzisiaj do ostatniej nędzy doprowadzonych, przynajmniej nikt nie powie, żeby tego upadku hojność dla duchownych była powodem.

każdego wysłuchał, każdemu podziękował, wielu obdarzył, a każdego należącego do szlacheckiego stanu, nie wchodząc w to, czy ubogi, czy majątny, do swojego stołu zaprosił na wszystkich czas, w którym zabawy i ucztę zamkowe trwać będą, bo zanosilo się na kilka dni, a wójta i ławników, lubo plebejuszów, tak jakby byli rolowitą szlachtą, do szlacheckiego stołu zaprosił, a nie chcąc stawać na zawadzie ćwiczeniom naukowym młodzieży pozostającej w konwiktach, umówił się z rektorem, że przez cały jutrzejszy dzień uczniowie będą biesiadować w zamku, a pojutrze do zwykłych powrócą zatrudnień.

Po tych wszystkich oracyach oficjaliści Krotoszyńskiego hrabstwa zbliżyli się do pana, a jeden z nich w ich imieniu wystąpił z perorą, która miała szczęście rozrzewnić wojewodę. Odpowiedział prawie temi słowy: — Panowie bracia, przyjmcie moje podziękowanie za przyczynę waszą do tego zaszczytu, który mnie teraz spotkał, bo gdyby nie wasza praca i staranność, nie byłbym w stanie utrzymać własnym kosztem dość licznej milicyi dla potrzeby Rzeczypospolitej, a tém nabyć zasług, które zdołały zwrócić ku mnie pamięć i względy naszego miłościwego pana (*). — I jako gracye, każdemu oficjalscie kazał odliczyć rok zasług.

Około pierwszej po południu zaczęli się zjeżdżać sąsiedzi i z dalszych stron urzędnicy wojewódzcy, krewni, przyjaciele i klienci domu Potockich. Wojewoda nie posiadał się z radości, patrząc na tak liczny zjazd mężów dla niego życzliwych, a szczególnie go uradowało przybycie Stanisława Mateusza Rzewuskiego, późniejszego hetmana, a wówczas referendarza koronnego, który składając jemu swoje powinszowanie, zapowiedział razem na dzień jutrzejszy przybycie królewskie do Krotoszyna. — Kiedy — rzecze — zabierałem się jechać z moim ojcem na Ukrainę, gdzie już Tatarzy płądrować zaczynają. król mi powiedział: — mój referendarzu, ruszaj waś do Krotoszyna do naszego wojewody, czekaj u niego na mnie, a ja nazajutrz uściskam go w własnym jego domu; to mu oświadczyć w imieniu mojem, a razem uprosić go, żeby oddał wszystkie swoje milicje, które utrzymuje w swoich dobrach Poherezkich, pod rozporządzenie waszmości ojca, a waś parę dni pohulawszy, z nami wyruszysz do swojego ojca,

(*) W naszej społeczności wymowa jest kwiatem rodzinnym; w żadnej inniej z podobną łatwością nie mówią. Ztąd w każdym naszym zgromadzeniu zawsze się mieści jakiś mówca. Na każdym pogrzebie prawie znajduje się jakiś obywatel, co wypowie na cześć zmarłego kilka słów przed publicznością, a cóż dopiero na wyborah lub innych obywatelskich zjazdach. Wszakże i to pewna, że starzy wychowawcy dawniej metody nierównie lepiej mówili, niż ich następcy, tak że można powiedzieć, iż od lat trzydziestu u nas wymowa wielce się zniżyła.

z nim się złączysz i w samą porę trafisz na taniec z Tatarami. — Cieszę się z każdą — odrzekł wojewoda — okoliczności, która mnie dozwala służyć waszmości w moim domu, mości referendarzu, ale tu zbyt uczynna była troskliwość najjaśniejszego pana, bo moi gubernatorowie raz na zawsze mają odemnie rozkaz, żeby nie tylko moje milicje nadworne, ale to wszystko co jest mojem było na zawołaniu tych, co hetmanią wojskom Rzeczypospolitej. Czemuż, mości referendarzu, nie przywozisz mi rozkazu królewskiego, żebym z wami wyruszył w pole? ale jak widzę, musi król mnie mieć za niezdatnego. — Albo swoje nie odbyłeś, mości wojewodo? pozwól nam wstępować na drogę sławy, którąś nam utorował. Wszakże poczytuję sobie za chlubę mojego zawodu żołnierskiego, że pod rozkazem jego pierwsze moje kroki robiłem. — Szanowny ojciec waszmości, pan podskarbi nadworny koronny, dwudziestą prawie laty odemnie starszy, a jednak nie myślą by swoje już odbył, kiedy król jegomość powierzył mu obronę kraju od Tatarów. Szczęśliwy starzec, że mu odpoczywać nie dają. — I o waszmości król nie zapomniął, mości wojewodo, kiedy sam do niego przybywa. Jak nastąpi coś ważniejszego, że aż własną przytomność uznać będzie konieczną, pewnie tak znakomitego wojownika nie zostawi w Krotoszynie. Z Tatarami to nie wojna, ale zabawka. Całość Rzeczypospolitej, nawet naszych zamków, już dawno z ich strony przestały być w niebezpieczeństwie. Co najwięcej, jeśli uda im się zrabować jaki dom wiejski, lub zabrać w jassyr pierzechliwych wieśniaków, ale i to nam kością w gardle stoi, nam szlachcie na Rusi osiadłej. Obywatele tamiecznych województw uchwalili laudum do króla, w którym upraszają o jakąś pomoc wojskową, i o mojego ojca na dowódcę, a sami ofiarują z nim wystąpić w pole, żeby raz na zawsze koniec położyć tym napadom. Ani król, ani starsi jego potomkowie w tej wyprawie udziału nie biorą; królewicz Aleksander tylko wyruszył ze swoją chorągwią, żeby z nami uczyć się swojego rzemiosła, bo to będzie jego pierwsze pole. — Niech tak będzie jak Bóg, a nie ja jak chcę. Wiem tylko, że nasz wielki król, czy zechce mnie użyć do rady, czy do boju, zawsze znajdzie we mnie najwierniejszego i najpowolniejszego poddanego.

Mnóstwo szlachty zjechało się do wojewody, każdy chciał i jego uciec i oglądać oblicze królewskie, bo wieść o jego przybyciu już była się rozszła po województwie. Byli i dygnitarze i senatorowie w tym zaczęłym zgromadzeniu, a między niemi pan Szoldrski, kasztelan Szremski, mający wielkie zachowanie u wojewody. Był to mąż biegły w prawnictwie, a wojewoda często u niego zasięgał rady do kierunku swoich interesów, i im był winien w znacznej części stan kwitnący, w jakim zostawały. Pan kasztelan owdowiawszy po pierwszej żonie, która mu potomstwa nie zostawiła, już w podeszłym wieku

powtórnie się ożenił z wdową po swoim komisarzu. Pani Solecka była jeszcze dość młodą, do tego powabną, przebiegłą, zdolała wraz z ręką kasztelana opanować zupełnie jego serce, tak dalece, że jej jedynaka wychowywał jakby swojego własnego syna, a nawet przemyślał zrobić go spadkobiercą znaczniejszej części swojej fortuny. Młody Justyn Solecki, zepsuty ślepem przywiązaniem matki, życzliwością możnego i dostojnego ojczyma, i pochlebstwem sług, nawykłych w nim widzieć przyszłego pana, wbił się w pychę, przywara zwyczajna tym, co nie zasługami, nie rozumem, nie urodzeniem, ale jakimś trafem wyszli z położenia, do którego byli przeznaczeni, i wdarli się na stanowisko nie dla nich stworzone.

Justyn Solecki był nieznośny, miał siebie za jakąś ważną osobę, lubo dopiero szesnasty rok mu się kończył. Zaufany w senatorstwo swojego ojczyma, pozwalał sobie z rówieśnikami wyniosłości, wszędzie a zwłaszcza w wolnym narodzie wywołując niechęć powszechną. I dał tego dowód na zjeździe u wojewody. Bo gdy tam był osobny stół dla młodzi szkolnej krotoszyńskiej, chociaż ta młodzież była z zaczętej krwi szlacheckiej, chociaż obaj wojewodzice byli na nim gospodarzami, chociaż młodzi panięta, z rodzicami przybyli, z nimi za tym stołem zasiedli, Justynek nie chciał pójść z nimi, poczytując to być ułudzeniem swojej osoby, i wcisnął się do wielkiego stołu z niemalém zgorszeniem młodzieży.

Po długotrwałym obiedzie, gdy na nim kolejne kielichy krążyły, zaczęły się tańce. Starsi poszli z damami, młodzież oczekiwała ich pozwolenia, żeby wziąć udział w ich zabawie. Zosia siedziała obok swojej ochmistrzyni, Adas stał zamyślony o kilka kroków od niej, i na nią patrzył. Zosia go przywołała skinieniem ręki, on się do niej zbliżył. — Czego ty tak smutny, Adasiu — rzekła — kiedy wszyscy się weselą? — Wszystkim wesoło, a mnie smutek, bo wszyscy jeszcze napastrzą się na pannę wojewodziankę, a ja ostatni raz ją widzę. — Czemuż do mnie mówisz jak staruszek? czyż już przestałam być dla ciebie Zosią? — Tak mi uchodziło ją nazywać, pókiśmy byli dziećmi, ale teraz już mi nie wolno tak mówić do pani. — Mama mi nie broni ciebie nazywać Adasiem; dla mnie zawsze będziesz braciszkiem. Nie nazywaj mnie panią, jeżeli nie chcesz, bym się rozpłakała. Dla czego mówisz, że ostatni raz jesteś na pokojach? — Mój ojciec zapowiedział, że pojutrze zabiera mnie z sobą daleko, daleko, aż do Lwowa, i tam mię ma oddać do pułku, w którym więcej Niemców niż naszych. — Nie bój się, Adasiu, ty u Niemców nie będziesz wojował, nie z tego nie będzie. Ja podsłuchiłam, jak jegomość mówił do pana referendarza, że jemu chce oddać moich braciszków Jasia i Józia, żeby z nim Tatarów bili, mówiąc mu, kiedy mnie każą siedzieć w domu, niech przynajmniej syny moje mnie zastąpią. Potem jak spo-

strzegli, że ich podsłuchuje, zaczęli z sobą mówić po łacinie a ja się zawstydyłam i uciekałam do mamy. Otóż, Adasiu, ja namówię Jasia, a on jegomości uprosi, żebyś ty z nim jechał na wojnę, a nie do Niemców. Pobijecie Tatarów i razem do nas powróciecie, i będziesz mi opowiadał jakieś się popisował, a ja słuchać cię będę. — Ale czy pan wojewoda pozwoli, żebym kolegował z panem Janem? on pan, wojewodzie: a ja, choć to kiedyś Śmigielscy coś znaczyli między ludźmi, ale to dawno minęło, jestem sobie szlachciec ubogi, waszego sługi syn. — Nie turbuj się, Adasiu, ja udam się do mamy, ona uprosi jegomości, nareszcie pójde do pana referendarza, on mi mówił, że zostawił w domu taką dziewczynkę jak ja, że ja jemu ją przypominam, i dlatego bardzo łaskaw na mnie. Otóż ja jemu powiem, niech pan referendarz wyrobi u jegomości, żeby Adaś mógł z Jasiem i Józkiem pójść na Tatarów za panem podskarbis, a ja będę kochać pana referendarza, a jeżeli tego nie wyrobi, zawsze będę od niego uciekała. Obaczysz, Adasiu, że co ja zechcę, to pan referendarz wyrobi u jegomości. Moja babunia jest żoną pana podskarbiego. Jaka szkoda, że jój tu nie ma, bo to jest najukochańsza z moich wszystkich babuń. Ty wiesz, że ona jest rodzoną siostrą księcia prymasa. Ile razy mnie widzi, zawsze mi daje w gościńcu jakąś świętość, i teraz przysłała mi przez pana referendarza przesłiczny relikwiarzyk z kosteczką Świętej Zofii, mojej patronki. Pokażę go tobie, Adasiu, jak wszyscy się rozjadą, bo ani myślę, że ostatni raz widzę ciebie, to być nie może. Gdyby tu była babunia, tylko słówkobym jój powiedziała, a wszystko zarazby się zrobiło, bo jegomość tak ją szanuje, że niczego jój nie odmówi. Mama nazywa jegomości jegomością, inni panem wojewodą, a ona jedna nazywa go panie Józefie. Kiedy ostatni raz była u nas, powiedziała jegomości przy mnie: Panie Józefie, ja nie mam dzieci, a choć nie godzi się nikomu łaski Pana Boga zazdrościć, patrząc na Zosienkę zawsze grzeszę. Nie zatrzymuj mnie, panie Józefie, bo jak jeszcze kilka dni u was pobędę, to będę gotową ją ukraść. A jegomość jój na to odpowiedział: ciotka dobrodziejka moje ładaco dziewczynę do reszty zepsuje. Ach jaka to dobra babunia! Ale chociaż jój nie ma, my jakoś poradzimy; bądź wesołej myśli, Adasiu. — Gdzież mi być wesołym! Ja pójde w świat, a jak Zosia wyrośnie, o mnie ze wszystkim zapomni. — O co to, to nigdy, Adasiu. Tylko proszę cię, Adasiu, nie bądź tak zasmuconym, bo i ja twoim smutkiem się zasmucę, a jegomości będzie markotno, że kiedy wszyscy się radują z jego szczęścia, ja jego córeczka będę siedzieć rozdąsana. Uważaj, Adasiu, żebyś mnie nie nabawił gniewu jegomości. Otóż, już i młodzikom pozwolili tańcować. Już biorą w pary, a ty, Adasiu, czy nie pohasasz? a to nieszczęście! ten pan Solecki zabiera się mnie wziąć do tańca! Jak on mi się ciągle naprzykrza! — A to powiedz mu, żeś zamówiona

zemną. — A kiedy dopiero jegomość mi powiedział, proszę waćpanny być grzeczną dla tego kawalera, bo on jest pasierbem mojego srodze wielkiego przyjaciela.

Adaś pomimo tego zabierał się wziąć Zosię do tańca, kiedy pani wojewodzina przybliżyła się do niego, i porwała za rękę mówiąc: Ja ciebie proszę z sobą do tańca, Adasiu, żeby z tobą pomówić. — Wojewodzina już się była dowiedziała od pani Zacharyaszowej o zamiarach jój męża względem Adasia, i to tak obeszło tę dobrą panią, że przynajmniej chciała go pocieszyć współzuciem swoim do tego wszystkiego, co się jego losu dotykać mogło. Stał więc do tańca Adaś z jaśnie wielmożną wojewodziną, za nim pan Solecki z wojewodzianką, a za Justynem pan referendarz koronny z babunią Adasia, z którą dopiero się zapoznał, sam prosząc pana wojewodę, żeby go przedstawił wdowie walecznego towarzysza, o którym tyle od ojca i dziada swojego się nasłuchiwał, a który śmiercią męczeńską dni swoje zakończył. Staruszka i rozsądkiem i znalezieniem się swoim tak się referendarzowi podobała, że ją wzięła do tańca, jedynie aby z nią rozmowę przedłużyć.

W ciągu tego tańca, że prawdziwa wesołość już się była rozposzechniła, pewien towarzysz prymasowskiej chorągwi konsystującej w Krotoszynie przyskoczył do jaśnie wielmożnego Leszczyńskiego, wojewody Kaliskiego, prowadzącego taniec w pierwszej parze z jaśnie wielmożną Opalińską, strażnikową koronną, bratową gospodyni domu, i klasnął w dłoń, prosząc o ustąpienie mu damy. Wojewoda Kaliski najgrzeczniej mu ją oddał, i tymże samym sposobem odbił damę następnej pary. Tak kawalerowie odbijali damy; przysła kolój do Adasia, który, gdy stracił wojewodzinę, obrócił się do pana Soleckiego, i ręką w rękę klasnął. Ten mu nie chciał oddać swojej taneczniczcy; Adaś zaczął się upominać o swoje prawo, wszakże najgrzeczniej, zakładając mu, że byłaby dla niego wielka zniewaga wystąpić z koła, a tój znosić nie może. Pan Justyn nie tylko że nie miał względu na to przełożenie, ale odważył się jemu powiedzieć: idźże precz, trutniu, panna wojewodzianka czegoś lepszego warta, niż służalca. Na te słowa Adaś tak się uniósł, że nie zważając na miejsce gdzie się znajdował, dał mu policzek, którego odgłosu kapela zagłuszyć nie mogła, i wypchnął go z koła, a sam poprowadził wojewodziankę.

Skończył się taniec, ale niemałe z niego powstało zamieszanie. Justyn nie tyle jeszcze z bólu, ile ze złości i wstydu, zalany łzami, przybiegł do matki kasztelanowej złożyć swój żal; ta do męża ze skargą, że jój syn skrzywdzonym został. Oparło się o wojewodę. Wielec zdała się go dotykać i zniewaga jego domu, i krzywda przyjacielskiego pasierba, co dość cierpko wymówił panu Zacharyaszowi. Ten tak się był zmieszkał, jakby jego samego wybito. Zabrał natychmiast Adasia do bryki, która była przygotowana za dziedzińcem, i zawiózł

go do swojego dworku, a przez całą drogę nie nie umiał mu powiedzieć; co się do niego odezwie, zająknie się tylko i zamileczy, tak był przestraszony, ale skoro przybył na swój dziedziniec, kazał syna zamknąć w furdydze, zostawując mu kawał suchego chleba i garnek wody, i tak się rozporządziwszy, jak najrychlejszy powrócił do zamku.

W sali zamkowej zastał jeszcze trwający niepokój. Jeżeli kobiety sprzyjały Adasiowi, gdyż mężstwo okazane, powszechnie białą pleć zniewala, za to mężczyźni, zwłaszcza starsi, nie taili swojego zgorszenia, za szwank zadany świętym prawom gościnności od młodego zapamiętałca, który jako sługa i domownik jasnie wielmożnego wojewody winien był owszem im dopomagać, i mimo siebie dopuścić i obelgę nawet, przez wzgląd na tak dostojny dom, a zemstę zawiesić na inny czas i miejsce. A lubo młodość Adasia za nim przemawiała, nikt za nim nie śmiał głosu podnieść, tém więcej, że kasztelan będąc pod wpływem żalu swojej małżonki, dość zimno przyjmował przeproszenia pana wojewody.

Jeden tylko referendarz, najbliższy świadek tego wydarzenia, otwarcie przemówił za Adasiem. — Moipaniństwo — odezwał się do jasnie wielmożnych kasztelanów — dziwi mię, że z dziecinną kłótni robicie poważny interes, i nim utrudzacie dostojnego naszego gospodarza. Stałem tuż przy chłopcach, kiedy się powadzili. Syn imości był sprawcą tej całej kłótni, bo nie chciał oddać wojewodzianki małemu Śmigielkiemu w tańcu; i kiedy ten najgrzeczniej dopominał się o swoje prawo, syn imości dobrodziejki ważył się do niego odezwać w sposobie tak pogardliwym, iż dziwić się nie można, że go wyprowadził z granic umiarkowania. Da Bóg syn imości dobrodziejki dojdzie kiedyś do wysokich zaszczytów, ale dziś jest tylko wyrostkiem jak tamten, i nie widzę, żeby miał jakie prawo przyznawać sobie wyższość nad szlacheckim synem. — Dobrze tak mówić o cudzej krzywdzie — na to kasztelanowa — ale żeby się to było wydarzyło z synem pana referendarza, nie wiem, czyby się pokazał równie obojętnym. — Mój syn jeszcze drobny, mościa dobrodziejko, ale gdyby był wyrostkiem, a w mojej przytomności tak postąpił ze szlacheckim synem, jak to uczynił syn imości w przytomności mojej, sambym go ukarał. Wierz mi, mości wojewodo, mały Śmigielki łepski chłopiec; z przeproszeniem pana kasztelana podobał mi się. Zapewne, że się uniósł, robiąc burdę w domu tak poważnym, ale trudno wymagać po młodzienszku, żeby mu krew w żyłach powolnie płynęła, jak u nas dojrzałych wiekiem i doświadczeniem. A cóżby się z niego zrobiło na starość, gdyby teraz znosił poniżenia? Czynienie zachodu tak wielkiego z dziecinną sprawą, tylko śmiech roztropnych wywoła. Jużci trzeba o nich powiedzieć jak o dzieciach: pokłócili się bez nas, bez nas też się pogodzili. Jeżeli mamy ich uważać nie za dzieci, ale za mężów mogących

się w istocie ukrzywdzić, jeszcze mniej nam przystoi do tego się wtrącać, bo nam wiadomo, jak szlachcie mający siebie za skrzywdzonego powinien postąpić. — A mości referendarzu — odrzekła kasztelanowa — nie spodziewałam się takowe zdanie usłyszeć z jego ust. Jak to? mój syn miałby się mierzyć z synem officialisty pana wojewody, jakby z sobie równym? — A dlaczego nie? wszakże my wszyscy szlachta, i gdyby ten chłopiec, coś do mnie upatrzysz, wyzwał mnie, a rękę, i powiedziałbym mu: smarkacz jesteś, ja nie Herod, żebym dzieci zarzywał, ale jak wyrośniesz, a mnie zaprosisz do rycerskiego tańca, będę tobie służył. Ot zaniechajmy tego, mości kasztelanowo. Śmierdziuch śmierdziucha nie może skrzywdzić. Jeżeli kto ma jakie prawo mieć siebie za obrażonego, to jeden jasnie wielmożny wojewoda Poznański, nasz szanowny gospodarz, ale i ten będzie miał wzgląd na lata chłopca. Summa summarum, ojciec winowajcy, pan Śmigielski, z którym miałem zaszczyt kolegować pod Wiedniem, kiedy byłem mało co starszym od jego smarkacza, położy temu koniec, obmyślając castigationem domesticam, żeby całe życie pamiętał, iż w domu ucziwym poniekąd nie uchodzą. Wszakże śmiem go upraszać, ażeby kara była umiarkowana, gdyż większa nadzieja w chłopcu, który czując się być obrażonym za nadto gorąco postępuje, niż w takim, który w podobnym wypadku do zbytku pokazuje siebie cierpliwym.

To roztropne mitygowanie referendarza nie zdołało otrzymać pożądanego skutku. Pani kasztelanowa obrażona do żywego, podbuntowała swojego męża, który zanadto był dla niej słabym, i oboje zabrawszy nieutulonego chłopca, opuścili zamek. Wojewoda zgryzł się nieniekontentowaniem kasztelana, raz jako gospodarz domu, powtóre jako zażyły przyjaciel, i to się czuć dało przez resztę dnia, bo prawdziwa wesołość już się nie mogła objawić.

VII. Posłuchanie u króla.

Adaś nocował w furdydze, i nazajutrz w téjże samotności zostawał o suchym chlebie i wodzie, oczekując kary. Ojciec kazał go dobrze pilnować, żeby nie uciekł, i każdemu pod srogą odpowiedzialnością zabronił do niego przystępu. Nudził się chłopiec, i mógł doświadczyć, że samo złe nie jest tyle nieznośne, ile złego oczekiwanie. Prawdziwy więzień tém tylko się różnił od innych, że ojeu jakoś na myśl nie przyszło odebrać mu szabli dziedzicznej; wszakże między czterema ścianami nie na wiele mu się ona przydała. Próbowali on wprowadzić ją się bawić dla agitacji. Ale izba była tak ciasna, że wkrótce tego zaniechał, i usiadł na swoim tapczanie. Myślałby kto, iż na nim oddał się smutnym, a może rozpaczliwym zadumanom, ale w tém wielceby się omylił. On miał naturę twardą i wielką ufność w swoją

przyszłość, cecha odznaczająca mężów do wielkich czynów sposobnych. Człowiek skory do upadnienia pod ciosem czasu obecnego, a któremu przyszłość w czarnej szacie się przedstawuje, jeżeli ma nadgminne zdolności umysłowe, może zostać znakomitym pisarzem, co najwięcej uczonym mężem, ale to pewna, że świetnymi czynami siebie nie odznaczy, bo one dają się dokonać tylko współdziałaniem innych, a to współdziałanie nie może być skuteczne bez wielkiej ufności. Wszakże byłoby to przeciwne prawom przyrodzenia duchowego, gdyby ludzie zaufali takiemu, który nie jest pewnym przyszłości.

Chłopiec doczekawszy się drugiego wieczora, do zwyczajnych modlitw przydał koronkę do Świętego Jana Nepomucena, patrona dobrzej sławy, bo z maleńka miał w tym Świętym wielką ufność wznieconą od babuni. Poczém w myśli, jeżeli nie wesołej, to przynajmniej spokojnej, zasnął trzymając swoją szablę. Senne zmory weale dla niego nie były dręczące. Zdawało mu się, że naciera na Tatarów, że łamie ich tabory, że kule świszczą około jego głowy, nie więcej jemu szkody przynosząc, niż bzikanie pszczoł uszom pasiecznika. Znowu nasuwała się przed nim ulubiona postać Zosi, jakoby w obłoku, ku któremu się podnosił opuszczając ziemię, jak orzeł wznoszący się nad światem, i jakoby szydzący z strzelców gotujących na niego bezsilny wystrzał.

Właśnie ten ostatni sen pieścił jego duszę, kiedy raptem przebudzony został stuknieniem i półgłosem wołaniem: Adasiu. Nasz młody rycerz wedle starodawnego obyczaju, odezwał się: wszelki duch Boga chwali. Bo dawniej mąż bał się Boga i duchów ciałem nieobleczonego, i właśnie dlatego żadnego ziemskiego niebezpieczeństwa się nie lękał (*). Ta bojaźń nadludzkich istot nie była podstępem, bo była zaprawioną ufnością w Boga. Na poziome niebezpieczeństwa, jakich mógł od ludzi doświadczać, miał obronę w swojej szabli; na napastowanie szkodliwych duchów miał potężniejszy jeszcze oręż w modlitwie. Wielka bojaźń Boga uwalnia od wszelkiej bojaźni ze strony ludzi, i odkąd od tej zaczęto się wyzwalać, namnożyło się

(*) Ludzie odznaczający się wielką walecznością są zawsze skłonni do tego, co racjonalisci nazywają zabobonem. W ciągu długiego, mojego zawodu, między ludźmi walecznymi których znałem, wielu było mężów na nieszczęście niepobożnych, ale ani jednego nie zdarzało mi się widzieć takiego, któryby był wolnym od wszelkiego zabobonu. Biada narodowi, w którym racjonalizm rozpowszechniony wyniszczył to wszystko, co nazywa przesądem i zabobonem. Bo ten naród już jest w upadku. Zdaje mi się, że kto tylko zastanowił się nad historią, temu nie zaprzeczy. Racjonalizm jest zabójcą odwagi fizycznej i moralnej; jest to rzecz tak pewna, że nie było przykładu, ażeby racjonalista kogoś nastraszył. Nie mówię, żeby racjonalista nie mógł się wybić w potrzebie, bo i odwaga może być wyrozumowana; wszakże daj Boże, ażeby nigdy innego niebezpieczeństwa nie doświadczył, tylko takiego, które na mnie ściągnie napasć wymówionej odwagi.

u nas ludzi bez męstwa, o jakich dawniej wyobrażenia nie miano (*). Adaś usłyszawszy zaspakajającą odpowiedź: „I ja Go chwale“, zerwał się ze swojego tapczana. Już pierwsze brzaskiienne przebiły się przez żelazne kraty okienka. Poznał drogą babunię; rozrzucony jej widokiem padł jej do nóg.

— Adasiu! — rzekła staruszka — ubieraj się i uciekaj co prędzej do zamku. — Dobrze, babuniu — odpowiedział uradowany chłopiec, i natychmiast żupan zaczął na siebie nakładać. — Posłuchaj, Adasiu! Król dnia wczorajszego przybył do zamku. Dowiedziałam się od jego sług, że on ma we zwyczaju, skoro tylko wschodzi słońce, wychodzić na przechadzkę, a że drzwi jego komnaty opierają się na ogrodzie zamkowym, w nim go spotkasz, podczas kiedy wszyscy w zamku jeszcze spoczywać będą. Idź prosto do ogrodu na króla spotkanie, poznasz go po wzroście i otyłości. Idź prosto do niego, a Duch Święty natęchnie ciebie, co masz mu powiedzieć. Nie trać czasu, ruszaj w imię Boga, i schowany w ogrodzie czekaj królewskiego przybycia. Idź, synu! Aniś Stróż ciebie poprowadzi! Nieraz doświadczałam opieki świętych. — Chłopiec wkrótce się ubrał, babunia mu pomogła zawiązać pasa, do niego doczepił dziadowską szablę. Po czém uklęknął, i odmówił z babką: veni sancte spiritus! i oboje wyszli z furdygi. Babunia go przeprowadziła za wrota dworku, i tam mu dała błogosławieństwo.

Jeszcze daleko było do wschodu słońca, ale już różane barwy jutrenki zaczynały zlekka występować na ciemnym błękitie dolnej części widokresu. Adaś szedł w wesołej myśli przez gościniec Zawali, na którym nikogo nie spotkał, a tylko skowyczenie psów i piewy kurów przerywały wiejską ciszę. Zbliżył się nakoniec do bramy obronnego zamku, gdzie sztyldwach milicyi wojewodzińskiej na warcie stojący krzyknął na niego, kto idzie? — Swoją — odpowiedział chłopiec — Adam Śmigielski. — A ty tu po co? — odezwał się głos dobrze mu znany. Był to oficer od warty, pan chorąży Mokosić, szlachcic z Ukrainy, który był przybiegł na odgłos sztyldwacha. — Po co? a już nie po to, żeby zamek dobywać, ale w interesie, stawić się na rozkaz jasnie wielmożnej wojewodziny. — Tak rano! — To do ciebie nie należy panie chorąży, ale dla twojej przyjaźni powiem ci, że jasnie wielmożna wojewodzina kazała, żebym był na jej zawołanie, skoro się tylko przebudzi, na to więc będę na jej dziedzińcu czekać.

(*) Trzeba się zrozumieć: przy najmierniejszej odwadze, można bić się, nawet dobrze, dopóki szczęście sprzyja; ale przy niepowodzeniu sztuczna odwaga moralna ustępuje, a przyrodzone tchórzostwo górę bierze. Cecha prawdziwej waleczności jest wytrwanie w nieszczęściu, a to daje silna wiara w coś innego niż w to, co się obejmuje racjonalizmem.

— Wszysey dworsey śpią jak zabici; co masz się nudzić na dziedzińcu, albo naprzykrzać się ludziom sennym przed porą ich budząc? Wolisz pójść do odwachu, posilić siebie grzaném piwkiem zemną. — A dobrze, mości chorąży, byleś mnie nie zatrzymywał, bo trzeba mi być na pogotowiu, skoro tylko pani wojewodzina wstanie. — Wszli obydwa do odwachu, gdzie Adaś samych tylko znajomych zastał. Nie było żołnierza, któryby go nie lubił i nie doświadczył od niego jakiego psikusa.

— No, panie Adamie — odezwał się chorąży Mokosić — słyszałem, żeś dnia wczorajszego rekolekcyę odbywał za to, żeś wybił senatorskiego pasierba. Dobrze się znalazłeś onegdaj, choć jaśnie wielmożnemu wojewodzie było markotno. Przyznaj się, że ojciec za to porządnie musiał ciebie wybatożyć. Tylko, że ojca plagi przysychają na skórze, i krzywdy na sławie nie przynoszą szlachecowi nawet dorosłemu, a cóż dopiero podlotkowi. Experto crede Roberto. Od chwili, jak mi zęby mleczne powyrastały, aż do téj, gdzie mnie oddano do milicyi nadwornej wojewody, nie wiem czy jaka doba przeszła, żeby w skórę nie dostał. Z początku dyrektor domowy, potem Jezuita w szkole Winnickiej, a nakoniec ojciec. Kto bije, ten miłuje. Sądząc po pamiętkach, jakie moje ciało od niego doświadczało, widać że wielce musiał mnie miłować. Daj mu Boże za to wieczny odpoczynek, bo wszystko to poszło mi na zdrowie. Człowiek nie dziś się urodził, a dotąd ani lekarza, ani kuchni łacińskiej nie znał. Powiedz prawdę, Adasiu, ile też batogów dostałeś za powrotem do domu? — A żebyś wiedział, że ani jednego. — Żartuj sobie zdrów, ja znam twojego ojca, co to? żeby jego synalek bezkarnie mógł obrazić senatora? — Otóż powtarzam, że mój jegomość mnie nie bił, tyle tylko, że dwie nocy spać musiałem w furdycie, i daję na to słowo szlacheckie. — A wiesz, Adasiu, że jak wymyślę jedno zaklęcie, wszystko wyspiewasz. — Ja bez zaklęcia nigdy nie kłamałem. — A jak ciebie zaklnę tak, jak kochasz... jak kochasz... — Chłopiec stanął w piasach. — Waćpan mnie krzywdzisz — odrzekł — nie wierzę mojemu szlacheckiemu słowu, a ja nie dam siebie skrzywdzić. — Patrzaj... lubię ciebie za to, Adasiu, a że ty taki łebski, powiem ci coś takiego, co ciebie pocieszy. Jak ciebie ojciec wyprowadził, nasza wojewodzianka się rozpłakała, a pani wojewodzina i pan referendarz koronny obronę twoją wzięli i dzielnie ją popierali przed panem wojewodą i państwem kasztelanstwem, ale jak gorliwie! Ja z boku wszystkiemu się przysłuchiwałem. Szczęśliwy jesteś, Adasiu! posłuchaj mnie starego, kto ma za sobą pany i białogłowy, ten u nas daleko zajdzie. Czy ty się dowiedziałeś w swojej furdycie, że król jegomość pan nasz miłościwy wczoraj do nas zajechał? Pan wojewoda nie posiada się z radości, a choć bardzo kwasiał, że pan kasztelan Szremski w jego domu i od syna sługi po-

niósł zniewagę w osobie swojego pasierba, wszakże przybycie królewskie wróciło mu wesoły humor, że już tanto mu nie w głowie. Może wojewodzina kazała tobie przyjść, żeby ciebie pokazać królowi. Może wysztytuje ciebie do niego na pazia? Te panie umieją dopomóc, kiedy chcą. Cóż mi szepce do serca, że się wykierujesz nadspodziewanie, bo masz szczęście do ludzi. Żeś dał policzka temu smarkaczowi, co to tak łeb do góry zadzięra, nie uwierzysz jak to ciebie podniosło w estymie nas wszystkich. Nawet słudzy kasztelana są tobie wdzięczni, żeś ich panieca rozumu nauczył. — Dziękuję ci, panie chorąży, za życzliwość co mi ją okazujesz, i dobrą wróżbę jaką roztaczasz przedemną, a przyjm moje pożegnanie, bo nie mam czasu do tracenia. — Czekaj, a jak w gorącej wodzie skąpany! Słońce dopiero zaczyna wschodzić, a już zabierasz się widzieć z panią. — Nie, nie, chorąży drogi, wolę czekać, niżby na mnie czekano. Będę stał pod jej oknami. — Dworak z ciebie, Adasiu. Bóg ciebie naślinał na coś lepszego, niż oficjalistę pańskiego dworu, jak to robi z nami biednymi. Jak pójdziesz w górę, Adasiu, pamiętaj o moich dzieciach, wywdzięczając się im, żeś tobie powrócił szczęście, bo co dla mnie samego, niczego się nie spodziewam. Człowiek urodził się sługą i musi umrzeć sługą. Fortuna niewiasta, młodym się uśmiecha, a od starych się odwraca. A kiedy ona ciebie obdarzy, już ja wtedy gnici będę na cmentarzu, ale mój syn tobie to kiedyś przypomni.

Poszedł Adaś na dziedziniec, stanął przez chwil kilka pod oknem swojej dobrodziejki, zanucił cichym głosem piosnkę, którą nieraz zabawiał Zosię. Wszysey jeszcze spali. Westchnął, opuścił swoje stanowisko i poszedł do ogrodu zamkowego. Tam dopadłszy do szpaleru lipowego, który prowadził do celnych pokojów, zajętych przez króla, po nim zaczął się przechadzać, naprzemian wznosząc serce do Boga, i nucąc piosenki żołnierskie, jakich nieszczupły zasób miał złożony w pamięci.

Już słońce całkowicie wydobyło się było ze wschodu. Adaś, przewziewawszy marsz Batorego, rozpoczął hymn do Ducha Świętego, twarzą obróconą ku pokojom królewskim, kiedy spostrzegł, że parapetowe drzwi wychodzące na szpaler raptem się roztwarły, a dwóch panów z nich wyszło na ogród. Co prędzej schował się za drzewa szpaleru, i ukryty gęstwiną, nie widziany, oczy w nich utkwiał. Jeden z nich był mu już znany referendarz koronny, drugiego po otyłości, bohaterkiej postawie, a nadewszystko po oznakach głębokiego uszanowania, jakie mu okazywał pan referendarz, poznał, że to musiał być król. Schowany, jak się powiedziało w gęstwinie, kończył cicho swój hymn, i właśnie ostatni wiersz domawiał, kiedy król z towarzyszem swoim zrównał się z jego stanowiskiem.

Król właśnie zatrzymał się na miejscu, oparł się na ramieniu re-

ferendarza, i widocznie zostawał w głębokiem zamyśleniu, rzecz nierządka dla bohatera, który o ile był pozyskał sławy u stronnych, o tyle doświadczał udręczeń w pożyciu domowém, a przeciwności od swoich w sprawowaniu rządów. W takim król był stanie, kiedy Adaś wyszedł z po za gęstwiny, i na oba kolana padł pod królewskie stopy. Król przebudzony raptownie z roztargnienia, machinalnie cofnął się jednym krokiem, i odezwał: — Cor Mariae, spes mea, co to jest? — A to mój znajomy — rzekł referendarz śmiejąc się. — Pozwól, najjaśniejszy panie, ażebym go przedstawił waszej królewskiej mości. Jest to mały Śmigiełski, syn jedyny gubernatora włości krotoszyńskiej, starożytnego rodu szlachejca, a który miał szczęście być z nami pod Wiedniem. — Śmigiełski, Śmigiełski — na to król — znać mi to imię. Wszakże jakiś Śmigiełski dokazywał pod Parkanami, i tam został ciężko raniiony. — Nie inaczej, najjaśniejszy panie, oż to właśnie syn tego samego. Jest to malec, ale mający bellicam vocationem, czego dał dowód onegdaj na pokojach tutejszych, gdyż na nich stał się sprawcą niemałego zamieszania. W tańcu, kiedy poszli odbijanego, pasierb kasztelana Szremskiego nie chciał mu oddać wojewodzianki, a nawet insultavit go językiem, a ten niewiele myśląc, uczeiwszy uszy, dał mu alapam. Ja za nim prowadziłem w tańcu jego babkę, venerabilem matronam, która ma lat siedemdziesiąt przeszło, ale jeszcze nie suwa nogami. Ona jest wdową po tym Śmigiełskim, o którym mówią, że był umęczony od Aryanów. A więc mogę za nim przynieść świadectwo. Za gorąco postąpił adolescens, ale, miłościwy panie, w naszym stanie rycerskim melius est agere temere, quam timide, zwłaszcza jeżeli idzie o sławę. — Król się rozśmiał, patrząc na zawsze klęczącego chłopca, a to przymówienie referendarza jemu nie zaszkodziło, bo wiadomo, że król w młodości swojej był wielkim zawadyką, a nawet później hetmaniąc i królując, chętniej wszystkiemu przebaczył, niż bojaźliwości serca. — No — rzekł do chłopca — referendarz powiedział o wasci co wiedział; teraz na wasci przychodzi kolej mówienia. — Czego chcesz? — Najjaśniejszy królu, przychodzę do majestatu twojego błagać o łaskę, ale nie śmiem się odezwać. — Co to jest nie śmiem? Po tém co o wasci słyszałem dopiero, nie spodziewałem się, byś miał być tehrzliwym. — To nie tehrzostwo; najjaśniejszy panie, tu nie zeszała, ani nawet ze smigownicą sprawa. Tych, w Bogu nadzieja, nigdy się nie zlekne. Ale tu wolno mi się lękać bez narażenia mojej szlacheckiej sławy. I z tém się nie taję, że zawsze będę drżącym przed obliczem mojego króla i pana. Boję się Boga i króla, ale jak mnie uczono w szkołach: timor reverentialis nie kazi czei nawet w bohaterze. — Uważasz waszmość — rzekł król do referendarza — że w szkołach czasu nie trwonili. Cor Mariae, spes mea, można mieć nadzieję o tym chłopcu. Domyślam się,

chłopce, czego waśe żadasz. Zrobiłeś burdę, za którą spodziewasz się plag, i radbyś, żebym waści od nich wyprosił. — Nie, najjaśniejszy panie, dla tak błahej rzeczy nie odważyłbym się utrudzać waszą królewską mość. Wiem, że wyprawa gotuje się na Tatarów, a ja czując siebie na siłach, u nóg twoich błagam cię, królu, żebyś mnie nie zostawił, kiedy moi ziomkowie pójdą bronić nasz kraj. Królu! nie powstanę, pokąd nie otrzymam obietnicy, że mnie umieścisz w jakiej chorągwi. — Ty domagasz się, chłopce, tego, co odemnie nie zależy: jesteś małoletnim, masz ojca, bez jego przyzwolenia domu opuszczać nie możesz. Władza królewska sprzeciwiać się nie powinna władzy rodzicielskiej, gdy owszem sama na niej się opiera. Coby waśe sam o mnie pomyślał, gdybym waści upoważniał do nieposłuszeństwa własnemu ojcu? — Król jest nas wszystkich ojcem, a mój ojciec jest tak wiernym poddanym waszej królewskiej mości, że byle słówko przychylnie mojemu żądaniu z jej ust usłyszał, za szczęście sobie poczytywać będzie, spuścić mnie na królewską wolę. Ile że mi zapowiedział, że ma mnie oddać do piechoty. Dwie doby prawie wysiedziałem w furdydze o chlebie i wodzie, zamknięty za to, że może zanadto uczułem krzywdę, co mi ją wyrządził panicz moźny, ale równy wiekiem. I nie ma półtorej godziny, jak moja babka cichaczem wyprowadziła mnie z więzienia i kazała mi się udać wprost do waszej królewskiej mości. A to kobieta święta, na której radach nikt szkody ponieść nie może. — Cor Mariae, spes mea, prawdziwie łebski chłopiec. Wstań waśe, będę prosił waści ojca, żeby ci pozwolił w komput się zapisać; a żeby nie był twardym, użyję do niego instancyi naszego wojewody. Rzecz o to tylko chodzi, gdzieby waści zapisać? Mości referendarzu, waszmości chorągiew dobrze pokryta, ale od przybytku głowa nie boli. Przyjm do swojego pocztu nowego towarzysza, rozumie się, jak na to otrzyma ojcowskie błogosławieństwo. — Chętnie to uczynię, najjaśniejszy panie, ale nie wiem czy będzie zdatnym. Nie widziałem go na koniu. Chłopiec na swój wiek silny. Na własne oczy widziałem, że umie dawać policzki, co mu się nie chwali. Ale z Tatarami na pięści się nie biją. Tatar djabelski syn, a nie kasztelanski pasierb: chcąc iść na niego, trzeba dobrze szablą władać. Prowadzić chłopca na rzeź, nie sztuka, ale jeżeli z jego życia nie będzie pożytku dla chorągwi, a z jego śmierci szkoda na mojem sumieniu, na co mi się to przydało? — Jasnie wielmożny panie, nie ma konia, co bym jego nie dosiedział, tak jak mnie pan widzisz, a co się tyczy szabli, niech jasnie wielmożny raczy zapytać całej milicyi pana wojewody, a ona cała przyzna, że między tyloma rębaczami nadwornymi, ani jednego nie ma takiego, którego zakładubym nie dotrzymał. — Nikt sobie nie jest wrogiem, żeby miał o sobie niedobrze trzymać. Waśe się odwołujesz do świadectwa krotoszyńskich graców, nie po-

mawiam ani waści, ani ich szczeroci. Ale jeździec na cudze świadectwo wierzchowca nie kupuje, aż wprzód sam go zażyje. A cóż dopiero przyjąć towarzysza, prawie przed samą potyczką? Widzę, że nosisz szablę z boku; chcę wierzyć że ona do waści, a nie waś do niej przyczepiony. Wyjmno waś szablę z pochwy, niech obaczę, czy na nią możesz polegać. — Jasnie wielmożny panie, to gardłowa sprawa, dobyć oręż w przytomności boskiego pomazańca. — Cor Mariae, spes mea — odezwał się król — parszając od śmiechu. — Ani byś się spodziewał, mój referendarzu, że chłopiec będzie ciebie uczył prawa. Nie bój się, chłopcze. Słuchaj tylko zawsze referendarza, a nigdy z twojej strony nasz majestat nie będzie obrażony. Pokaż-no waś swoją szablę. — Adaś podał ją królowi, ten ją przeglądał jak prawdziwy znawca. — Klinga wysmienita — rzekł — najprawdziwsza hiszpańska. Dawniej o podobne nie było u nas trudno, ale one coraz stają się rzadszemi. — I zażył jej, jakby dla okazania, że jeszcze starość nie oziębiła jego krwi. Poznać można było zaraz gracza po zwinności, z jaką z nią się obchodził. Po czym wręczył ją referendarzowi.

Ten ją opatrzywszy, rzekł: — Nie ma co powiedzieć, szabla wysmienita, ale nie zdaje się być dla twojej ręki, chłopcze; żeby jej używać, trzeba na to męża. Nie wyrostka siłą, żeby się z nią obchodził jak należy. Ręka ci omdleje, jeżeli z nią się wymachasz. — Jasnie wielmożny panie — odpowiedział Adaś — ta szabla w sam raz do mojej ręki. Jeżeli król mi rozkaże, dam tego dowód. — A dobrze — rzekł król — spróbuj tę szablę; obaczymy czyś taki zuch jak mówisz. — Adaś wziął szablę z rąk referendarza, odskoczył w tył o dziesiątek kroków, i zaczął to krzyżową sztuką, to młynem, to na dwa tempa po nad głową popisywać się z taką szybkością, z taką żwawością, jakby robił nie ciężką szablą, ale lekkim biczkiem. Król dał znak, żeby przestał. — Cor Mariae, spes mea, a to osobliwsze chłopię; tać to Bóg wyraźnie stworzył na towarzysza Cohortae Loricatae; ani się zasapał, ani się nawet spocił. Winszuję waści siły i zgrabności. Ile waś masz lat? — Szesnaście skończyłem na Świętego Jana. — Pierwszy raz zdarza mi się widzieć podobną siłę w tym wieku. Patrz, referendarzu, jaką ma dużą rękę. To szczęście, że chłopiec, który onegdaj został od niej poczęstowany, życiem tego nie przypłacił. Mości referendarzu, życzę waszmości z serca do swojej chorągwi go wpisać. Evadit hic in virum, jak to powiedział król Stefan o młodym Chodkiewicz, kiedy jeszcze był zaknem. — Ja od tego nie jestem, miłośniwy panie, ale za pozwoleniem waszej królewskiej mości, chciałbym go jeszcze cokolwiek więcej doświadczyć. Zgrabnie robi szablą, nie ma co mówić, siłę ma nad lata. Wszak łatwo robić szablą, nie mając tylko wiatr za przeciwnika. Życzyłbym sobie widzieć, jak też dotrzymuje zakładu przeciwniej szabli. Przybliż się, chłopcze, i złoż się zemną

parę razy, na tém się twój egzamin skończy; a może waś znużony potrzebujesz się wysapać. — Nie, jasnie wielmożny panie, nie mogę być znużonym, kiedy mnie wspiera oko najjaśniejszego pana, a czeka zaszczyt mierzenia się z tak wielkim wojownikiem, jakim w całym narodzie jest znanym Stanisław Mateusz Rzewuski! — Poli comme un mousquetaire gris — rzekł król do referendarza; potem westchnąwszy dodał — i waszmość przecie w tym korpusie służyłeś (*); ale nie za moich już czasów, wszystko wówczas mi się śmiało, bo byłem młody. Jeszcze waszmości kilkunastu laty odemnie młodszemu nie, tém więcej że jesteś kościsty i żyłowaty, co ci czerstwą starość zapewnia, ale mnie mój brzuch tak dokucza, że dziś nawet z tym podlotkiem nie odważyłbym się próbować. Ileby człowiek chwil szablą pomachał, dziesiątek razy, tyle trzebaby mu odpoczywać. Jestem jak stary woźnica, który że powozić nie zdąży, przynajmniej z bicia trzaska.

Referendarz na wstępie poznał, że chłopiec obeznany z orężem; wszakże zważając na jego wiek, ani go mógł mieć za rębacza pierwszego rzędu, ani tém mniej za sobie równego, sobie, który słynął siłą i zręcznością i w narodzie własnym, i u obcych, gdzie młodość przebył (**) dla wprawienia siebie w rycerskie rzemiosło. Z początku składał się jakby z niechęci, ale opór chłopca tak go zadziwił, że coraz silniej zaczął na niego nacierać, czując się być nieco upokorzonym, że chłopiec szesnastoletni każdy jego pocisk odpięra, sam na niego nie nacierając. Nakoniec użył przeciw niemu cięcia przez siebie wprowadzonego do Polski, a znanego przez ówczesnych rębaczy pod nazwiskiem cięcia referendarskiego, które wyszło z użycia, odkąd prez upadek dawniej waleczności wprowadzono obyczaj nieużywania szabli jako sztychu, a tylko nią rąbać, czém potykający się w pojedynczym boju są wolni od niebezpieczeństwa utraty życia. To cięcie opierało się na następnym fortelu. Bijący się robił uludny zamach na brzuch przeciwnika sztychem swojej szabli, a kiedy ten dla odbicia sztychu śmiertelnego odkrywał twarz, wtedy nacierający prawą nogę w lewą stronę raptownie jednym krokiem posuwał, narażając ramię swoje, i szablą ciał w twarz. Przy zwinności i wprawie niezbędnej dla takiego fortelu, to cięcie jest ledwo że niepodobne

(*) I król Jan Sobieski i Stanisław Mateusz Rzewuski służyli w korpusie szlacheckim nazwanym: les mousquetaires gris. W Podhorcach zachowywały się listy, świadczące o życzliwości wielkiego Kondusza dla Rzewuskiego.

(**) Stanisław Mateusz Rzewuski, pułkownik chorągwi królewskiej, później referendarz koronny, wojewoda Bełzki, hetman polny, nakoniec wielki koronny, zwycięzca pod Warką, Piotrkowem i Kaliszem, w młodości swojej służył w szlacheckiej gwardii Ludwika XIV, odznaczył się swoją walecznością w niepomysłnej wyprawie na Leridę, gdzie księżę wielki Kondusz hetmanił.

do odbicia. Ale ten co go używa, na niebezpieczeństwo naraża swoje prawe ramię, jeżeli ma do czynienia z rębaczem przytomnym, obeznanym z fortelami szermierstwa i przenikniętym, że nacierającemu nie chodzi o pchnięcie w brzuch, a o cięcie w głowę.

Referendarz nie chciał chłopca obznaczyć, a tylko płazem dotknąć się jego twarzy, żeby zrobić sobie zabawkę z upokorzenia chłopca. Ale jakież było jego zadziwienie, kiedy ten, nie zasłaniając siebie od sztychu, urwał pocisk wedle szermierskiego języka, to jest, skoczył w tył o dwa kroki, i z szybkością błyskawicy natarł na doświadczonego męża, wniwecz obróciwszy jego fortel. — Dość, dość — krzyknął król. — A co? moiści referendarzu, czy jeszcze się wzdrygniesz powiększyć swoją chorągiew podobnym towarzyszem? Tać to uzupełniony wojak, kiedy nawet cięcia referendarskiego się nie boi. Jeżeli go nie weźmiesz, to ja go umieszczę w chorągwi królewicza. — Nie rób mi tój krzywdy, miłościwy panie, a ciebie, chłopeze, niech uściskam. Już jesteś moim, a przyjm moją wróżbę, że pójdziesz wysoko; a to chyba-bym oszalał, dar Boży odrzucając! Najjaśniejszy panie, w mojej chorągwi z samych rębaczy podlaskich złożonej, ani jednego nie mam towarzysza równiej jemu siły. No, moiści panie Śmigieński, za pozwoleniem króla jegomości, pana naszego miłościwego, zabieram waści z sobą; da Bóg wkrótce ze smycza wypuszcze na Tatarów. Wyprosimy jakoś ojcowskie błogosławieństwo, a o konia i rynsztunek nie masz czego się troszczyć; rzuci waści ojciec coś do kieszeni, to dobrze; a ściśnię dłoń, ja temu jakoś poradzę. — Adaś padł do nóg królowi, a powstawszy, pocałował referendarza w kolano.

VIII. Wyjazd z zamku Krotoszyńskiego.

Król, referendarz, a za nimi o kilka kroków w tyle Adaś, przechadzali się jeszcze po niebotycznych szpalerach ogrodu, kiedy spostrzegli wojewodę śpieszącego ku nim. Jak się z nimi zrównał, ucałował rękę pańską, prosząc o przebaczenie, że król wychodząc na przechadzkę jeszcze go nie zastał w ogrodzie, gotowym na jego przyjęcie (*). — Moiści wojewodo — rzekł na to król — wiesz dobrze, że mnie tu weselój i spokojniój, niż w mojej Warszawie. Wzoraż z łaski waszmości bawiliśmy się na jego pokojach, a lubo dopiero słońce zeszło, już miałem czas nabawić się w tym ogrodzie, tak że dawno mnie podobna przyjemność nie spotkała. — Wczémże, najjaśniejszy panie, mój ogród miał szczęście tak się podobać waszej królewskiej

(*) Wedle staropolskiego obyczaju, gospodarz poczytywał być dla siebie sromem jeżeli gość przed nim opuścił łożo spoczynku. Gościnność wymagała od gospodarza żeby siedł do wczasu po wszystkich gościach, a ich uprzedził w przebudzeniu się.

mości? — W czém? oto przedstawiam waszmości szlachcica młodego, ale niepospolitych nadziei — A to syn mojego gubernatora, Adam Śmigieński. A tu waś po co? kto waści dał prawo naprzykrzać się najjaśniejszemu panu? — Chłopiec się zmieszał i cofnął się za pana referendarza. — Daj waszmość pokój — przydał król wesoło — bo jeżeli go ofukniesz, on gorliwego obrońcę znajdzie w naszym referendarzu, lubo dopiero dał siebie jemu we znaki: mam obowiązek do waszmości przemówić za tym chłopcem, bo wiem, że miał nieszczęście jemu się narazić. Referendarz mi nadmienił o jakiś jego burdzie na waszmości pokojach, co się jemu nie chwali, ale i my byli kiedyś młodzi i burzliwi. — Tamto już przeszło, najjaśniejszy panie. Już musiał za to w domu odebrać castigationem domesticam. Znam dobrze jego ojca: gdyby chłopiec swojego nie odbył, nie wypuszczonoby go z domu. Ale chciałbym się dowiedzieć, jak on śmiał przystąpić do waszej królewskiej mości? — Otóż przystąpił, mój wojewodo, i przez to mi się podobał. A jeżeli jego ojciec na to pozwoli, z niego przybędzie dla nas towarzysz pancerny. Oświadczył mi najroztropniój chęć swoją, abym go wyprawił naprzeciw Tatarów, i na to wyjednał jemu pozwolenie jego zwierzchności. Kto go dostanie do swojej chorągwi, żałować tego nie będzie, bo to stworzone na żołnierza. — Gdzież, najjaśniejszy panie, takiemu smarkaczowi porywać się na Tatarów? tać to nie z przekupkami Krotoszyńskimi sprawa. — Cor Mariae, spes mea, odbywał on popisy przedemną. Zapytaj-no, mój wojewodo, pana referendarza. — Tak, tak — odrzekł referendarz; — za pozwoleniem króla jegomości po kilka razy krzyżowałem z nim szablę. — I dotrzymał-że przecię zakładu? — Co to dotrzymał? żeby przyszło na ostre, nie wiem czybym mu dał rady, kiedy nawet od mojego zawołanego cięcia umiał siebie zasłonić. To do-bry chłopiec, moiści wojewodo, i przez całe życie będę obowiązany waszmości, jeżeli tak wykartujesz rzeczy, że przez swojego ojca emancypowanym zostanie do kawaleryi narodowej. On tak mi się podobał, że chociaż nie ma wakansu w mojej chorągwi, dla takiego warto umyślnie go stworzyć. Bo gdy jutro opuszczam miły dom waszmości, żeby zapytać Tatarów po co oni do nas przyszli, mam nie-płonną nadzieję, że jeżeli z sobą go zabiorę, i mój ojciec i ja będziemy mieli z niego pociechę. Nie pozostaje nam tylko, żeby nasz ko-chany wojewoda, skłaniając się do uniżonych prośb mnie prawdziwego sługi swojego i do woli najjaśniejszego króla, wyjednał mu na to ojcowski indult. — Jeżeli to być może — przydał król — nie odmawiaj, mój wojewodo, swojego wstawienia się do jego ojca. — Ja to biorę na siebie, najjaśniejszy panie, i sam się zatrudnię jego wyprawą, kiedy miał szczęście podobać się waszej królewskiej mości, a mój łaskawca referendarz myśli, że niedorostek na coś się mu przydać może. — Do-rośnie on w obozie, mój wojewodo; dałby Bóg, żeby tam cała nasza

młodzież szlachecka dorastała; a co się tyczy jego wyprawy, strzeż go Bóg, żeby pogardzał łaską tego, na którego chlebie się wychował: wszakże z łaski Pana Boga wpisując towarzysza do mojej chorągwi, na to mnie wystarczy, ażeby w niej wystąpił jak się należy, i wiem, że mój wydatek w szkodę nie pojdzie; a waści nic nie pozostaje, moiści panie Adamie Śmigielski, jak prosić o błogosławieństwo jaśnie wielmożnego wojewodę, protektora i opiekuna waszego domu, i o jego wstawienie się do waścinego ojca, ażeby mój waści jak najrychlej mógł powitać jako mojego kolegę; a jutro, da Bóg doczekać, o tej porze, będziemy na wielkim gościńcu.—Chłopiec padł do nóg wojewodzie i chciał się odezwać z prośbą, ale ten go porwał za rękę i podniósł z pośpiechem.—Chłopce—rzekł—w przytomności króla, pana naszego, jemu tylko samemu wymierzać podobne uszanowanie się godzi, bo przed jego majestatem wszelka inna zwierzchność ustaje. Winszuję waści, że zaledwo wyszedłeś z lat dziecinnych, a już jego przychyłność pozyskałeś. Możesz to przyjąć śmiało za wieszczbę świetnego zawodu. Wola królewska spełnioną zostanie; jesteś poddanym naszego miłościwego pana, będziesz jego przysięgłym sługą. Pod znakiem zasłużonego królowi i ojczyźnie męża rozpoczniesz zawód rycerski. Postępuj, młodzieńcze, w rzemiośle, w którym się odznaczał twój ojciec, a długo się wślawiał twój dziad. Widzę w tém, że ciebie spotyka palec Boży, a ufam w Bogu, że i na pobojuwisku i w ciągu całkowitym swojej służby nie splamisz pocziwów krwi szlacheckiej, która w twoich żyłach płynie. Przyjm moje błogosławieństwo, chłopce. Teraz nas samych zostaw, a pamiętaj, żebyś był na pokojach w porze obiadów. Ja sprowadzę waścinych rodziców, ażebyś w przytomności króla naszego miłościwego pana, i pana referendarza, przyszłego swojego rotmistrza, przyjął przyzwolenie ojca, błogosławieństwo rodziców, oraz waścinej szanownej babki, bo to wszystko niemało waści się przyda w niebezpieczeństwach, na jakie będziesz narażony. Pożegnasz się waś z moją żoną, która dla waści była zawsze życzliwą, i z moją czeladką.

Odszedł chłopiec, padłszy królowi do nóg i nisko się skłoniwszy wojewodzie, a odchodząc uradowany, jeszcze mógł usłyszeć królewskie wyrazy:—Cor Mariae, spes mea, to nieoszacowane chłopię. Zapal rycerski błyszczy w jego oczach, a roztropność jest na jego ustach.—A jak szablą robi—dodał referendarz.—Dobry chłopiec—odpowiedział wojewoda—najlepsze serce, chociaż nieco burzliwy. Trzeba go dobrze w rękę trzymać, może być z niego człowiek. Bo też to pocziwa krew; jego ojciec, który swojego czasu pod Wiedniem dokazywał, co to za godny człowiek! Całą moją włosć Krotoszyńską oddałem mu do wiernych rąk, a wstając i kładąc się, co dzień Bogu dzie-

kuje, że mnie obdarzył tak zdatnym i pocziwym sługą (*). Chłopiec u niego jeden; będzie mu przykro, a zwłaszcza matce, jedynaka mieć na wojnie; ale oni wiedzą, że szlachećcowi nie godzi się żałować dzieci dla króla i ojczyzny. Wszakże jego ojciec był jedynakiem, i jedyną podporą matki wdowy, a przeciwie musiał z nami pójść pod Wiedeń. U mnie dwóch chłopców wszystkiego, a obu wyprawiam na Ukrainę, żeby pod rozkazami podskarbiego koronnego uczyli się zasługiwać waszjej królewskiej moiści. Życzylbym sobie i małego Śmigielskiego z moimi dziećmi do mojej chorągwi wyprawić; razem swawolili, niechby razem i wojowali. Ale ponieważ pan referendarz koronny bierze go w swoją opiekę, niech i tak będzie; tak wielkiego szczęścia nie godzi mi się jemu przegradzać.

Długo jeszcze król przechadzał się z tymi dwoma, znanymi mu z doświadczonej nieraz gorliwości stronnikami swoimi: co z sobą mówili, nikt o tém nie wie, ale domyślać się można, że układali to, co im się zdawało być najlepszem dla pożytku Rzeczypospolitej. Zostawmy ich samych, a wróćmy do innych osób znajdujących się w Krotoszynie.

Pan Zacharyasz obaczył się z synem dopiero wtedy, kiedy towarzystwo zebrało się na pokojach. Bo ten, otrzymawszy odpawę od jaśnie wielmożnego wojewody, do ojczystego dworku nie powrócił, żeby w nim odudznego czasem nie zachwyił odpawę innego rodzaju: ale udał się do czeladzi i oficerów policyi zamkowej, aby się z nimi pożegnać. Im opowiedział treściwie posłuchanie, jakie miał u króla,

(*) Zdatność nigdy i nigdzie nie była rzeczą powszechną, ale to pewna, że pocziwość sług była kiedyś rozpowszechnioną w naszym narodzie. Złodziejstwo ekonomów, praktyki jurystów na złupienie swoich mocodawców, i przewarykacy jurzydków sądowych dopiero w drugiej połowie panowania Stanisława Augusta pokazywać się zaczynały, wraz z upadkiem, jak to nazywano, zabobonów religijnych i przesądów szlacheckich. Już racjonalizm u nas zrobił się praktycznym, wprzód jeszcze, nim z Niemiec sprowadzono dla niego teorie wyrozumowane. W samej rzeczy człowiek bogacący siebie cudzą krzywdą, za którą jest pewny nieodpowiedzialności, jest głębokim racjonalistą, i z wielką litością musi spoglądać na biedaka, cierpiącego niedostatek obok cudzych bogactw jemu powierzonych, z których udział tak łatwo i tak bezkarnie mógłby sobie przywłaszczyć, a to dlatego, że mu się uroiło, iż Bóg gdzieś napisał: Ne furtum facies! Bez wiary w karzącego i nagradzającego Boga, cnota jest tylko słabością nerwową. A nawet między nią a zbrodnią nie ma racjonalnej różnicy moralnej. I jedna druga są tylko fenomena tej ciągle i bezwzględnie postępującej ludzkości, której postępowi nie przeszkadzać nie może; na cóż więcby się przydała niewygodna ofiara? Heglizm, Trentonanizm, Styrneryzm, co do logicznych wypadków żadną nie są nowością; są to tylko scienceficzne sformułowania zasad, co je prawie zawsze wyznawali ci, którzy mieli do czynienia z grodem. Po za krawcami jakiejś religii objawionej, rozbójnik i nocny podpalacz mogą pozostawać w błędzie, bo jeszcze kara nad nimi wisi; ale sędzia przedajny, jurysta przewarykator, ekonom złodziej, są wielkimi filozofami praktycznymi.

co ich wszystkich niemało ucieszyło, bo jak się powiedziało, wszyscy Adasia miłowali. A ta jego relacya rychło doszła do rodzicielskiego dworku, i nieco trwogi nabawiła pana Zacharyasza, gdyż on, jako wszyscy ludzie bojaźliwi, z opowiadania rzeczy jego tyczącej się téj tylko części zwykł wierzyć zupełnie, która jemu czémś zagrażała, a o pomyślnój zawsze wątpił. Był więc przestraszony zuchwałością syna, który odważył się niepokoić króla, a pani Zacharyaszowa podzielała niespokojność męża. Jedna babunia, pewna przyszłości Adasia, nadzwyczaj wesoło przyjęła te wieści, nie oszczędzając żartów na tę bezzasadną, wedle niej, trwogę rodziców.

Pan Zacharyasz powitał syna, z wyrazem po części nieukontentowania, po części niespokojności. I z biciem serca wyglądał przybycia króla na pokoje, gdzie zebrani panowie i szlachta już go oczekiwali. Pani wojewodzina jak mogła bawiła gości, kiedy pan wojewoda wprowadzając przed sobą pana referendarza koronnego, wszedł do sali, nizko się skłonił świetnemu zgromadzeniu, i zapowiedział rychłe przybycie królewskie. W samój rzeczy wkrótce potem podwoje się rozwarły, król się pokazał, i został przywitany najpoddanniejsem wszystkich ukłonem. Król z kolei do każdego przemówił łaskawie, a kiedy wojewoda mu przedstawił pana Zacharyasza, król mu powiedział: — Mości panie Śmigiełski, nie wyszło z mojej pamięci, jak waszmość w obronie wiary nie żałował krwi swojej pod Wiedniem; czas już, ażeby syn w ślady waszmości wstępował. Ten chłopiec pełen nadziei i rycerskiego zapału udał się do mnie, żebym mu wyjednał waszmości błogosławieństwo i pozwolenie szukania sławy na wyprawie świeżo uchwalonej przeciw Tatarom. Pan referendarz koronny tu przytomny, a któremu miał szczęście się podobać, ofiaruje mu poczet w swojej chorągwi. Raczże waszmość nie opierać się mojemu wstawieniu się za nim. — Pan Zacharyasz usiłował odpowiedzieć, ale na wstępie tak się zmieszał, że tylko zabelkotał, a na koniec padł do nóg królowi. Powstawszy, i jakoś przyszedłszy do siebie, przyprowadził syna przed jaśnie wielmożnego referendarza, i zdobył się na te słowa: — Zlewam na jaśnie wielmożnego pana całkowitą moją ojcowską władzę nad tym hultajem. Niech jaśnie wielmożny pan nim kieruje wedle woli swojej, aby swojego czasu na coś dobrego wyszedł.

Reszta dnia przeszła wesoło wszystkim, a zwłaszcza nowo-zaciężnemu towarzyszowi. Król zaszczycił babunię poufałą rozmową, rokowal jej pociechę z wnuka, i powiedział jej, jak dzielnie wytrzymał próbę, jaką referendarz dla niego obmyślił. Nie na tém koniec: jaśnie wielmożny wojewoda tak sowiecie go wyprawił, że miał z czego oporządzić siebie i utrzymać choćby cały rok. Jaśnie wielmożna wojewodzina obdarzyła go litym pasem wysokiej ceny, żeby do po-

tyczki paradnie występował, a Zosia dała mu na pamiątkę kosztowny relikwiarz z drzewem Kryża Świętego, prosząc, żeby go nigdy z siebie nie zdejmował, a tym sposobem nigdy w żadnej bitwie nic złego mu się nie stanie. On ukląkł, a Zosia swojemi pięknymi rączkami na złotym łańcuszku na jego szyi go zawiesiła. Wtedy pokazała się powszechna życzliwość, jaką był uzyskał Adaś. Nie było ani jednego dworzana, któryby mu na pamiątkę przyjaźni nie ofiarował jakiego upominku. Adaś tém tylko od ich przyjęcia się wymawiał, że jadąc na cudzym wozie, nie ma gdzie tego podziąć.

Jeden pan Zacharyasz nie mu nie dał; wręcz powiedział: — A mnie szlachcicowi na co bratać się z wielkimi panami, za nadto na niego łaskawemi? — Chciałby mu dać na pożegnanie inny upominek, stosownie do ówczesnych obyczajów. Ale na to trzeba było go przywabić do dworku, a pan referendarz już mu był dał rozkaz, jako towarzyszowi swojej chorągwi, żeby się nie ważył jego odstąpić, i żeby w jego kwatrze się roztasował, gdyż nazajutrz raniuteńko z nim razem i w jego kolase puści się w podróż. Pan Zacharyasz w myśli taki miał monolog: „Wartoby dać chłopcu ad intende, żeby przebie nie prędko zapomniał o powadze rodzicielskiej; ale mniejsza z tém, da Bóg, może przy takich opiekunach smarkacz i wyjdzie na coś. A w każdym względzie wielki ciężar spada mi z głowy. Ta to ja z jego łaski od więcej niż pół roku chodzę jak nieżywy. Mam nadzieję, że to, co mu do głowy przylazło, jakoś wywietrzeje z głowy, a jeśli nie, przynajmniej ja zostanę na stronie. I to mnie spokojniejszym czyni, bo jakkolwiek bądź, żal mi chłopca. A co to będzie jutro z Marynią? Bo co do mojej matki, ta się cieszy; jęć się marzą dla niego buławy i krzesła; niechaj w to wierzy, że dla niego Bóg robi cud. U niego dziadowska natura; nie wemnie się wrodził. Te wszystkie wyniosłości, nigdy się mojej głowy nie chwytaly. Wygodny kawał chleba, to grunt, i mam go z łaski Boskiej i mojego pana, a do nadstawienia łba niktby mnie nie namówił, chociażbym za to miał dostać razem łaskę, buławę i pieczęć“.

Pod wieczór była scena rzewna, kiedy Adaś klęcząc prosił o błogosławieństwo rodziców, babunię, jaśnie wielmożnego wojewodę i jego dostojną małżonkę, dziękując im za wychowanie, opatrzenie i tyle łask od nich otrzymanych, a wcale niezasłużonych, oraz o ich przebaczenie za to wszystko, czém się mógł im narazić. Jaśnie wielmożnego wojewodę szczególniej przeproszał za swój onegdajszy postępek, bynajmniej go nie zasłaniając, owszem oświadczając, że dla zgładzenia winy wszelką karę gotów z jego ręki przyjąć. Wojewoda rozculił się do łez potulnością młodzieńca, podniósł go, przycisnął do swojego serca i powiedział mu: — Już to minęło, mości towarzyszu, i o tém zapomniałem. Bądź pewny, że na mojej życzliwości nigdy się nie

zawiedziesz, i że zawsze we mnie znajdziesz przyjaciela swojej krwi. — Król na to patrząc, odezwał się: — Cor Mariae, spes mea, ten chłopiec daleko pójdzie, bo jest prawdziwie szlachetnym: umie być wdzięcznym i skromnym, a mężstwa nie kazi próżnością.

Król był bowiem uważał i to, że kiedy Adaś padł do nóg babuni, mążtwo na chwilę go odstąpiło, i rozbeżał się jak dziecko. A babunia, lubo kobieta z duszą energiczną i doświadczoną nieszczęściami, jednak przypomniawszy sobie swój wiek podeszły, jak jęj w myśli stało, że może już nigdy ze swoim wnukiem się nie obaczy, wzięła go w swoje objęcie, i z nim pospołu się rozpłakała. Ale oboje otarli oczy. Babunia go wzięła na stronę i dając swoje błogosławieństwo, wsunęła mu do rąk dziesięć dukatów kremnickich, z wizerunkiem Najświętszej Panny, które uzbierała, kiedy Zacharyasz był chłopięciem, i zachowała je dla wnuka.

Był to ostatni okaz zewnętrzny smutku Adasia podczas tego wieczora. Mówię zewnętrzny, bo to co się działo w tajnikach jego duszy, kiedy żegnał się z płaczącą Zosią, ten tylko pojmie, kto wie, co to jest pierwsza a niewinna miłość w młodzieńcu zdolnym do wysokich rzeczy (*); ale to pewna, że tak umiał się pokazać mężnym, że oprócz matki i babuni, nikt wyczytać nie mógł, co było wyrzniętym w jego sercu.

IX. Przygoda w podróży.

Oprócz straży, wszystkich mieszkańców zamku powieki były jeszcze sklezione słodkim snem, kiedy już referendarz pożegnalne posłuchanie otrzymywał od króla. Adaś w pełnym podróżnym rynsztunku, z rozkazu swojego rotmistrza, zatrudniał się z roztropnością nad jego wiek, pakunkiem i urządzeniem podróży. Na dziedzińcu już stała zaprzężona kolasa, na pasach zawieszona, i zaprzężona za nią skarbnica, do której słudzy nakładali podróżne sprzęty, a bryka z szatnym i węgrynką referendarza już od godziny wyruszyła, żeby po drodze wszędzie przygotować konie, gdyż podróż miała się szybko odbywać.

Adaś miał na spodniej odzieży kaftan z łośiej skóry, po wierzchu koszulkę żelazną, na nią ładownicę dwudziestu czterema ładunkami opatrzoną, na koszulce pas rzemienny szeroki, do którego były do-

(*) Miłość zbyt słabą rolę gra i w naszych obyczajach i w naszej sztuce. A zkądże to pochodzi? oto ztąd, że ona jest najdostojniejszą cechą indywidualności, a właśnie w okresie racjonalizmu wszelki indywidualizm jest tak dalece zatarty, że już wszyscy są do siebie podobni. U nas zwłaszcza ten brak oryginalności jest okropny. Jakiś poznał jednego młodzieńca, już ich wszystkich poznałeś, wszyscy na jedno kopyto ubici. Bo to nie są istoty żywotne, ale ruszające się mumie.

czepione olstra, a z nich wyglądały kolbki pistoletów doświadczonych, i szabla dziadowska pilnowała jego boku.

Wojewodzie jeszcze w dniu wczorajszym byli wyjechali. Wojewoda zalecił poręcznikowi Duninowi, wojakowi siwowąsemu, któremu porучzył razem z ojcowską władzą dozór nad synami, ażeby z nimi jechał na Warszawę, aby złożyli swoje uszanowanie księciu Prymasowi, oraz go prosili o błogosławieństwo na rozpoczęty przez nich niebezpieczny zawód. Pan referendarz, pożegnawszy króla, wyszedł z komnaty, i zabiierał się wsiadać do pojazdu, kiedy wojewoda w rannej odzieży, jednak przy pałaszu, zastąpił mu drogę, żeby go jeszcze raz ucieść przed wyjazdem. Jeszcze kilka minut trwały odjazdne wyrzuty. Gospodarz, wedle przyjętego obyczaju, mógł gościa doprowadzić do stopnia od pojazdu. Siadł w nim referendarz i kazał Adasiowi siąść obok siebie.

Kiedy opuściwszy zamek i sam Krotoszyn, już byli na wielkim gościńcu, referendarz od tego zaczął, że zaprosił młodego towarzysza, by z nim odśpiewał godzinki Niepokalanego Poczęcia. Młody głos Adasia w chwaleńcu Bogarodzicy, skojarzył się z głosem dojrzałego i dostojnego rycerza. Po odśpiewanych godzinkach, referendarz tak się odezwał do Adasia: — Przyznaj, mój panie, że musi być waisei żal opuszczać rodziców, dobrych panów, i to miejsce gdzie się urodził i odebrał wychowanie? — Nie bez tego, jasnie wielmożny panie; człowiek z mięsistym sercem nie może czasem nie westchnąć za temi, od których tylko życzliwości i łaski doświadczał. Ale ta nadzieja pociesza, że da Bóg, wróci się do nich kiedyś godniejszym niż wprzód ich łaski. — Zapewne, i ja tej nadziei waisei nie chcę odbierać. Wszakże winienem mu dać naukę niezbędną w naszym rzemiośle, naukę, którą w młodości mojej otrzymałem od ojca, a która wiele mi posłużyła w moim zawodzie. Wojna jest jakby choroba, ale takiego rodzaju, że człowiek roztropny na nią idący, powinien mieć większe przekonanie, że na nią polegnie, niż że z niej wyjdzie całym. Żołnierz umiający pełnić swoją powinność na wojnie, powinien siebie uważać jakoby na śmiertelnej pościeli, z której powstanie jest tak dobrane jak niepodobne. Trzeba więc być należyte przygotowanym do postawienia siebie przed sądem Bożym, i ściśle z sobą się porachować. Ja teraz, jako i w każdej wyprawie, do jakiej w ciągu mojego życia bywałem powołany, z góry zawsze miałem siebie za poległego, bo jużci głowy mojej oszczędzać nie będę. Ztąd w niej nie innego nie mam, oprócz troski, ażeby czysty jestem w obliczu sprawiedliwości mojego Stwórcy? czy nie cięży na moim sumieniu jaki grzech? Nad tem jeszcze pora zastanowić się, bo jak stanę u kresu mojej podróży, już mi niewolno będzie myśleć o sobie, a tylko, żeby jak najwierniej spełniać rozkazy moich starszych i najlepiej prowadzić mi powie-

rzonych ludzi. Nawet o własnej sławie nie godzi się pamiętać, owsem ją samą nieraz wypada poświęcać, dla wywiązania się z obowiązków obywatela i wiernego sługi i poddanego króla. Po stanie kapłańskim, któremu Bóg porucił nauczać prawdę, która jedna jest zdolną zbawić jego ulubione stworzenie, bez wątpienia rycerski jest najdosłojniejszym w jego obliczu, i sam pozwolił sobie nazywać Bogiem Zastępów, a to dlatego, że w tym naszym zawodzie można być zawsze przygotowanym do sądu Bożego, że dla nas nie ma śmierci nagłej i niespodziewanej, tak strasznej dla chrześcianina. Nie bez przyczyny do waści tak przemawiam, jako do nowo zacięznego żołnierza. Są tacy, a nawet doświadczeni rycerze, którzy zaciągając do wojny młodzieńca, mają w obyczaju pokrywać przed nim w części przynajmniej niebezpieczeństwa, jakie go spotkać mają. Takim obyczajem się brzydzę, raz, że to zakrawa na obłudę, powtóre, że więcej pokładam ufności w żołnierzu, który już zaofiarował swoje życie, niż w takim, który siebie karmi nadzieją, że w potyczce nic złego z nim się nie stanie. Otóż chciałbym usłyszeć z ust waszmości, czy przy pożegnaniu się ze swojemi miałeś to za ostatnie pożegnanie, czy owszem zaufany w swoim szczęściu obiecywałeś sobie, że ich jeszcze obaczysz? — Rozumiem znaczenie słów jaśnie wielmożnego pana, ale że nie godzi się kłamać przed swoim właszcza naczelnikiem, więc szczerą prawdę przed nim wyznam. Otóż wiem dobrze, że kule trafiają, że śmigownice a nawet łuki są śmiercionośne, że szable tatarskie łby zmiatają, i że mi naprzeciw tego wszystkiego stawieć się trzeba; a jednak mam jakby pewność, że na wojnie najmniejszej szkody nie doświadczę, i że kiedyś do domu powrócę z czerstwiejszym jeszcze zdrowiem, i w lepsze pióra porośnięty, niżeli kiedy go z łaski jaśnie wielmożnego pana i króla jego mości opuściłem. — A na czémże waś takową pewność opierasz? — Sam nie wiem na czém, ale spowiadam się szczerze jaśnie wielmożnemu panu, że jakoś to się mojej głowy nie chwyta, bym miał poledz z ręki nieprzyjaciół kraju. Z małości ciągle mi się marzą bitwy; często mi się śni, że jestem w jakiejś potyczce, że łamię szyki na nas nacierające, że strzały i kule świszczą koło uszów, że padają w bliskości mojej koledzy; wszystko to mi się przedstawia tak dobitnie, że nie pojmuję, by dla mnie bitwa na jawie pokazała się być nowością. A w tych sennych bitwach nigdy mi się nie marzy, żeby we mnie śpisa utkwiała, szabla zadała cięcie, a kula trafiła. I choć to mówią: sen mara, a Bóg wiara, zdaje mi się, że te sny najwięcej we mnie obudziły ochotę do wojaczki. Że trzeba być przygotowanym na śmierć, to z miłosierdzia Bożego wiem; nie ma dnia, żebym się nie zastanowił chwil kilka nad sobą, czy się coś tam nie przeskrobało? wyznaję i to przed jaśnie wielmożnym panem, że nie tak dalece nie cięży na mojem sumieniu, bym aż miał się wzdygać pokazać siebie przed Świętą

Trójcą, jak mnie do siebie przywoła. Ale czy na wojnie, czy bez wojny, człowiek zawsze powinien być do tego przygotowanym, że musi umrzeć. U nas w Krotoszynie wojny nie było, a przecie na mnóstwo pogrzebów patrzałem, bo tam umarłego na cmentarz zawsze pod naszym dworkiem prowadzą. Za jednego, co zginie w potyczce, tysiące umierają w domu, i to z przeproszeniem jaśnie wielmożnego pana najgłupszą śmiercią, a to z suchot, a to z podagry, a to z gorączki; często, że przez obżarstwo przeładowano sobie żołądek. Żeby podobną śmiercią skończył, a Bóg mnie z martwych obudził, drugi razby umarł z samego wstydu. Przynajmniej na wojnie wie człowiek, dlaczego umiera. Zresztą, czego się jednak nie spodziewam, jeżeli jest napisano, że mam zginąć od Tatara na tej wyprawie, niech i tak będzie; to mnie ani trochę od wojny z nim nie odstrasza. — A czy waś mówisz kiedy z Psalmistą: *Ne revoces me in dimidio dierum mearum*? — Odmawiam Psalmu pokutne, jaśnie wielmożny panie, i często odmawiam; ale wiersz od jaśnie wielmożnego pana przytoczony, w czémże ma mnie przestraszać? owszem utwierdza mnie w nadziei, że Bóg pozwoli mi długo służyć ojczyźnie, i że tak zrządzi, że na tej wojnie, w której spodziewam się zasłużyć na pańskie względy, moja historia jeszcze się nie skończy. A gdyby było inaczej, nasz Sarbiewski, kapłan wedle serca Bożego, powiedział przecię:

*Quem sui flentes gemuere cives,
Hic diu vixit.*

— Przedziwnie! Widzę, że z waści nie był w szkole nieuk, i że nosisz w sobie ducha prawdziwie rycerskiego. Wolno waści myśleć o zaszczytach, do jakich u nas każdy szlachcic ma prawo dążyć przez zasługi swoje. Dałeś mi oczywiste dowody zgrabności; o waścinem męztwie nie wątpię, tém mniej, że męstwo jest przymiotem nieoddzielnym od naszej krwi (*). Ale nie na tém kończy się wychowanie młodzieńca, chcącego być pożytecznym dla swojego kraju w zawodzie rycerskim. Trzeba się uczyć kunsztu wojowniczego, nabyć wprawę

(*) Odwaga jest bezwątpienia cechą plemion słowiańskich, i ona służy za rekojmię świetnej przyszłości im od Opatrzności przeznaczonej. Idzie tylko o to, żeby w naszej gałęzi ona nie wycieńczyła się w marnych przechwałkach, ale hartowała w uczuciach religijnych, w skromności obyczajów, i we czci dla podaj ojczyści. Niech młodzież nasza raczy się przeskonać nakoniec, że te odgródki, te wyzywania, nie tylko że nie zdobędą dla niej szacunku, należnego prawdziwej odwadze, ale owszem wystawiają ją w postaci tchórzliwej. Albowiem waleczność objawia się czynami, a nie chępliwością i zuchwalstwem gadatliwym, które zwykle jest maską dość przezroczystą, pokrywającą sromotne tchórzostwo.

do nacierania na nieprzyjaciela, do zrozumienia znaczenia każdej intonacji głosu swojego dowódcy, i do oboznania się ze wszystkimi fortelami wojennymi, bo to ostatnie jest niezbędne dla towarzysza, skoro ten, lubo w chorągwi spełnia obowiązki prostego żołnierza, nieraz miewa sobie poruczoną zwierzchność nad oddziałami bądź zagranicznego autoramentu, bądź milicyów obywatelskich, oddanych pod zarząd hetmanów. A jaki wódz odważy się powierzyć ludzi takiemu, który ich poprowadzić nie umie? Trzeba więc waszmości podwajać przyrodzoną pilność, ażeby siebie spoufalić z tą ważną nauką obrotów, bo na to niewiele ci pozostanie czasu. Chorągiew, do której jesteś przyjętym, już wyruszyła z Podlasia, gdzie miała swoją kwaterę; spodziewam się ją napędzić w ruskiem województwie. Jak się do niej przyłączym, tyle tylko waści pozostanie czasu do nauki, ile dni marszu przegradzać nas będą od tego miejsca, w którym spotkasz się z nieprzyjacielem. — Z pełnem sercem poddaję się temu, któremu jaśnie wielmożny pan mnie odda. Niech mnie uczy tego, co jest potrzebnem dla towarzysza, a mam ufność w Bogu, że się skarżyć nie będzie, iż miał do czynienia z niepojętym ochotnikiem. — Jestem pewny, że waść mi wstydu nie zechcesz zrobić. Mój porucznik zaprowadzi waści do przysięgi, i zatrudni się, by przydać to wszystko, co mu jeszcze nie dostaje. Jest to żołnierz doświadczony, nie dzisiejszy, bo ośmiudziesiąt lat dochodzi, ale te tylko na jego metryce są zapisane, a nie na nim samym. Na koniu żadnemu młodemu się nie da. Jest to dawny Lisowczyk, który wzrósł, zmęźniał i zestarzał się w obozach, Bóg wie, gdzie on swojego łba nie nadstawiał! A wszakże i przeciwko nam wojował z Tekelim (*). Okryty ranami dostał się naszej chorągwi w niewolą pod Strygonią. Mój ojciec na nim się poznał, i powierzył mu tę samą chorągiew, której jestem rotmistrzem, a w której waszmość jesteście towarzyszem. I od dwudziestu lat ją prowadzi, ale jak... aż miło! Mój Dunikowski jest wzorem poruczników, ostry; ale najlepszy człowiek. On ma swoje dziwactwa, co staremu jest pozwolono. I tak: u niego to tylko popłaca, co dawne. Stare czasy, stary żołnierz i wszystko co stare, to grunt. Jak się rozgada, co u niego jest we zwyczaju, dowodzi, że od lat pięciudziesiąt wszystko u nas do góry nogami się przewróciło. Nieraz mnie i mojego ojca serdecznie rozbawiły swoimi wywodami. Z tém wszystkiem wiem, że się jemu spodobał posłuszeństwem i statkiem.

Taka była pierwsza nauka dana młodzieńcowi, który ze swojej

(*) Niejednokrotnie ród słowiański wydzwigał dom austriacki z ostatniej tony; da Bóg, że może po ostatniej posłudze, którą od niego otrzymał, okaże się nakoniec wdzięcznym. Czego mu życzyć z całego serca.

strony, starał się jak mógł, zaskarbić sobie łaskę referendarza. Przez kilka dni i nocy podróżowali bez przerwy. Zajeżdżali po drodze do obywatelskich domów dla przemiany koni, bo bryka zawsze naprzód wysłana, wszędzie obwieszczała przybycie wojownika. U każdego obywatela znajdowali konie już przygotowane, i u niego się posilali. Ominęli nawet Warszawę, żeby czasu nie tracić. I siódmego dnia stanęli w Łęcznie, w województwie Podlaskiem, dobrach referendarza, gdzie była stannica jego chorągwi. Lecz ję tam nie zastali, bo już od więcej tygodnia ona była wyruszyła ku Ukrainie. Referendarz tyle tylko chwil zatrzymał się w Łęcznie, ile mu ich trzeba było dla krótkiego powitania swoich oficyalistów, dla posilenia się obiadem, dania na prędce kilku rozkazów i przepręży koni. I dalej wyruszył.

Po drodze w Podludowie wstąpił do pana Wereszczyńskiego, wojackiego Bełzkiego, poruczając mu opiekę nad żoną i dziećmi, znajdującymi się wówczas w Olesku, który ominął, lubo o półtorej mili tylko od niego przejeżdżał, bo idąc na wojnę nie chciał miękczyć serca widokiem żony i dzieci. Aż nareszcie zajechawszy do Poczajowa, powiedział Śmigielowski: — Jutro spodziewam się napędzić moją chorągiew, przed nią potrzeba mi się pokazać rześkim, a wielce czuję się niewywciasowanym. Przenocujemy w tej karczmie. Jutro ranej mszy wysłuchamy przed cudownym obrazem Najświętszej Panny. A potem dalej. Będzie to nasz pierwszy nocleg od wyjazdu z Krotożyna, nikt nas o gnuśność obwiniać nie może. Raczej się waszmość zatrudni roztasowaniem.

Karczmy w owym czasie jeszcze mniej niż teraz były opatrzone. Ta, do której zajechali, miała okna bez szyb, a tylko okrągłe tafelki z zielonego szkła, i dwie izby: jedna mała, gdzie się mieściła liczna rodzina żydowska, druga obszerniejsza, gdzie był szynk gorzałki i piwa. Reszta domostwa była sienią, do której wtozono pojazdy i porozstawiano uprzedzone konie. Pan referendarz zajął z małym swoim dworem szynkownię. Wyniesiono z niej naczynia blaszane i szklane, makatą obito ścianę, przy której posłano łóżko panu referendarzowi pod oknem, pod drugim oknem na słomie położył się szatny, pod drzwiami alkierza także na słomie ulokował się Śmigielowski, Węgrzynek pod piecem. Po wieczornym pacierzu każdy legł na swojej pościeli.

Uderzyło nieco Śmigielskiego, że w oknie, pod którym spał pan referendarz, jedna tafelka była zastąpiona klejonym papierem. Ale z żadną uwagą się nie odezwał. Przy tém oknie był stół, który przytykał do poduszki referendarza. Ten idąc do wczasu, na nim położył swoją broń, zegarek i sakiewkę. A żyd gospodarz ciągle się szwendał po izbie, pokąd Śmigielowski zniecierpliwiony go nie wypchnął. Referendarz położywszy się, wedle swojego zwyczaju kazał światło zagasić. Śmigielowski na swojej słomie leżał, ale jakąś pomimowolną

czuł niespokojność, że zasnąć nie mógł (*). I leżąc nieruchawy marzył sobie o sławie, o Krotoszynie i o Zosi.

Noc była ciemna, ale Śmigieński miał tę zdolność, która mu później w całym jego zawodzie służyła, że po ciemku jakkolwiek, mógł rozpoznawać przedmioty (**). I w ciągu podróży często zadziwiał referendarza, że w ciemnej nocy dawał woźnicy przestrogi, zawsze trafne. Długo czas leżał nieporuszony; wtém usłyszał, że coś zaszleściło za oknem pana referendarza. Chwycił za pistolet, odwiódł kurka, i rękę narychtował ku oknu. Wszyscy chrapali. Utkwiwszy wzrok w oknie, rozpoznał rękę wdzierającą się przez rozdarty papier i posuwającą się omackiem po stole, ku sakiewce i godzinnikowi. Nie tracąc czasu wypalił, głośny jęk dał się słyszeć za oknem. — Wszelki duch Pana Boga chwali — krzyknął referendarz — co to jest? — I bosonoż zerwał się z pościeli, uchwyciwszy szablę. — I ja Go chwale — odrzekł Śmigieński — a to ja dopiero z przeproszeniem jaśnie wielmożnego pana, przywitałem złodzieja. — Światła! — huknął referendarz.

Już Węgrzynek krzeszał ogień, wkrótce zapalono świecę; wszyscy się zbiegli do referendarza. Jakież było ich zadziwienie, kiedy ujrzeli na stole drgającą a zakrwawioną rękę, wychodzącą z po za okna. — A niechże waści Deus sekunduje — odezwał się referendarz — żeby nie waścine kocie oczy, szkodębym poniósł. Pobudź-no naszych ludzi w sieniach, jeżeli wystrzał pana towarzysza już ich nie obudził; obaczcie co się po za oknem dzieje, bo kiedy już jest ręka, musi być gdzieś i jej właściciel. — Szatny wyszedł do stajni, i z ludźmi opatrzo-

(*) Jest to rzecz pewna, że ludzie wielkiej duszy miewają przewidzenie wypadków mających się wydarzyć. Jakkolwiek to nazwiemy: przeczuć, podwójnym wzrokiem, natchnieniem, nie ma najmniejszej wątpliwości, że ten dar osobliwy, nie mogący być racjonalnie wytłomaczony, bywa udziałem niektórych umysłów uprzywilejowanych. W rozmiarach wielkości ludzkiej, nie tego daru zastąpić nie może. Bywa on udziałem kobiet w pewnym obrębie, którego nie przekraczają. W zawodach męskich miewają go lekarze, a szczególnie wojownicy i poeci. Roku 1830 miałem jedną rozmowę z wieszczem Niemeńskim w Rzymie. Tębym nie śmiał objawić, bo nikt, zwłaszcza w wieku racjonalnym, moim słowom nie wierzyłby. Wszakże ów wieszcz żyje, i pewnie to mu nie wyszło z pamięci, jak księgę przyszłości rozłożył przed moimi oczami. Porównując to co mi powiedział, z tém co się później stało, pojmuję dlaczego odległa starożytność, zbliżona do ery natchnień i pierwszorzędnych objawień, dała prawdziwym poetom nazwisko: Vates.

(**) Zdarzyło mi się poznać jednego oficera dońskich kozaków, który w najmniejszej nocy rozpoznawał najdokładniej przedmioty o kilkadziesiąt kroków oddalone. Jest to zdolność cielesna. Co do moralnej: wiadomo, że Napoleon ile razy w czasie batalii dawał rozkazy swoim generałom, jeżeli machinalnie zagnał opuszczał swoje stanowisko na kilka kroków, można było zakład trzymać, że za chwilę kula armatnia uderzy w opuszczone stanowisko.

nymi w latarnie wyszedł na podwórze. Tam znaleźli pod oknem żyda gospodarza domu omdlałego z bólu; dopiero wtedy przyszedł do siebie, kiedy mu rękę wyciągnięto tą samą drogą, którą była weszła. I zaczął przeraźliwie wrzeszczeć.

Pan referendarz zlitował się nad winowajcą, nie chciał go oddać do wójta, widząc go i tak dość ukaranym. Powiedział tylko gospodyni: — Widzisz, jak to źle nawet na tym świecie, zapominać boskie przykazania, tak was jako i nas obowiązujące. Zostawił jej kilka czerwonych złotych, żeby miała czém męża ratować. Po czém kazał zmyć stół ze krwi żydowskiej, zatknąć jak można było próżną szybę, i położył się na nowo. I wkrótce potem drugim nawrotem zasnął; zasnął i Śmigieński, już zupełnie uspokojony. I dopiero o ósmej z rana się przebudzili.

X. Przybycie Śmigieńskiego do chorągwi.

Pan referendarz przeżegnawszy się, wziął się do ubrania już nie po podróżnemu, ale z jakąś wykwinnością, bo zabierał się nawiedzać Pana nad Pany. Nie tylko on sam, ale i ci wszyscy co z nim byli, wzięli na siebie co każdy z nich mógł mieć najokazałego. Było obyczajem u naszych ojców, nigdy siebie nie pokazywać w zaniebdanej odzieży, bo oni gorąco wierzyli w przytomność Boga w Przenajświętszym Sakramencie (*). A więc przynosili mu nie tylko po-

(*) Jeżeli bigoterya może mieć swoją stronę śmieszna, cóż powiedzieć o tój Teofobji, która przecie we Francji już zaczyna ustawać, a u nas ciągle się jawi w pismach niektórych panów, głoszących siebie być braćmi cechu pisarskiego. Niedawnemi czasami wpadła w moje ręce książka świeżo ogłoszona przez jednego z takich. Temu pismu autor nadał tytuł obiecujący lekkość żartobliwą, ale w rzeczy samej ona bynajmniej nie odpowiada swojemu godłu, bo ciągle potrąca o przedmioty najpoważniejsze, które po swojemu obrabia w formie dyalogu. Jeden interlokutor przedstawia zasady autorowi przeciwnie, drugi samego autora. W tym ostatnim autor, że tak powiem, samego siebie wielił, i uposażył go wszystkimi swoimi wiadomościami. Pierwszego zaś obnażył z nauki, a nawet ze zdrowego rozsądku, by w jego osobie tém łatwiej zwyciężyć tych wszystkich, co odważają się mieć przekonania religijne, polityczne, naukowe, inne niż jego własne. Jednem słowem, ulepił sobie głupca, którego bierze na fundusz, ale z taką nieostrożnością artystyczną, że jego niby mędrzec jest nieznośnym gadułą, a głupiec jest lakoniczny, jak mąż prawdziwie uczony. I tak: jego mędrzec wyrwa się z tém osobliwem zdaniem, że pisarze opierający się zasadom filozoficznym, ich przekonaniom religijnym przeciwnym, jeżeli zajmują publiczność, w tém są podobni do złodziei, którzy także zajmują publiczność nie zręcznością, nie persóną swoją, ale wartością, jaką ona przywiązuje do rzeczy z których ich okradają. Ten co ma wyrazić stronictwo ludzi religijnych, czyli jak ich nazywają obskurantów, nie czyni mu uwagi, że niemożna być okradzionym, nie będąc wprzód w posessu rzeczy mającej się ukraść, bo z tego wywiązałyby się dyskusya, kto tu jest in posessu? czy wyznanie przynajmniej od dziewiętnastu wieków trwające, a wiążące się ściśle jako skutek z przyczyną z innem wyznaniem się-

bożne uczucia, ale nawet i tę cześć powierzchowną, bez której uszanowanie wyrazić się nie może. I kiedy z rana referendarz ze swojemi przybył do świątyni Pańskiej, znalazł ją napełnioną ludem zebrany z rozmaitych stron, aby łaskę ubłagać u Przenajświętszej Bogarodzicy. Wszyscy się do niej tulili, bo nad krajem wisiała wojna z pohanami, i wszystkie klęski, jakie z niej wypłynąć mogą. Po skończonem okazałem nabożeństwie, superior OO. Bazylianów zaprosił pana referen-

gającym do stworzenia świata, a z którego rozwinęły się wszystkie żywioły stanu moralnego, naukowego i politycznego, w społeczeństwie, którego zarówno są członkami i jego zwolennik i przeciwnik — czy nauka odosobnionych mistrzów, nie podzielana przez żadną społeczność, ale kusząca się jednemu do wyznania zastąpić czém rozumniejszem? A wtedy dopiero pokazałoby się, kto tu właściwiej może być porównany do złodzieja? Na taką myśl nie wpada obskurant, bo toby było wielce niewygodnie dla mędrca, ale odzywa się z ogólną maksymą moralną, która bynajmniej na zadanie odpowiada, że kto swój geniusz poniża pod przepisy wiary, ten jest godnym szacunku. Cóż na to mędrzec w tym mniemanym dyalogu? oto zdobywa się na następny koncept, prawdziwie esobliwszy w uszach takiego, co źle czy dobrze bez przestanku rozprawia o filozofii, o moralności, o żywiołach ukształcenia i pomyślności społecznej: „nie zaczepiamy tej materii, panie Książkowie, dajmy pokój tym rozprawom teologicznym (gdzież tu rozprawa? gdzież tu teologia? Na nie zakrawi on sam; Książkowie nigdy), tyle teraz namnożonym, bo nasi słuchacze takby usnęli, jak drzemią czytelnicy tych pism.“ (Przecie Bardon ich nie uspił.) „A że śpią i ziewają, choć się każdy może nie przyzna, uręczam, i najłepiej o upodobaniu publiczności do podobnego rodzaju dzieł zaświadczyć mogą księgarze; niech się pan ich wypyta.“

Jeżeli te wyrazy mają jakie znaczenie, nie innego z nichbym nie wnioskował, tylko że autor pragnie ścisnąć w literaturze narodowej wyjątki z tego, co bawić może, a z niej odrzucić wszystko, co usiłuje nauczać. A więc prócz pism lekkich, romansów, powieści i pamiętników, wszystko, co się w prozie dotąd wydało, ma być plonem pasożytnym. W coż się więc obróci pisma filozoficzne, których Bardon zdaje się być takim zwolennikiem, że aż ciągle ma w uszach z nich wypisy? Wszakże czytelnik, nie wprawiony do męskich prac myśli, nie więcej znajdzie powabów w pismach tego rodzaju, niż w traktatach teologicznych. Wszakże teologia, będąc uzupełnioną nauką, ma rozmaite gałęzie. Jest w niej zapewne część dogmatyczna, ale niemniej jest część historyczna, część prawnicza, część filologiczna, część literacka, a najobszerniejsza z nich część filozoficzna. Jeszcze mi się nie zdarzyło słyszeć o uczonym filozofie z jakiejś bądź szkoły, któryby pogardliwie mówił o teologii w powszechności. Wiele z nich, a mianowicie: Bakon, Dekart, Leibnitz, zagłębiały się w tę naukę, a nawet terazniejszy głośny filozof komunista Arnold Ruge wślawił siebie rozprawami teologicznemi, wysoko cenionemi w Niemczech protestanckich. Można sobie uroić filozofie, nachwytawszy to lub owo z rąpieci filozoficznych; ale to niewielej będzie filozofia, niż babiskie leczenia medycyną. Filozofia musi się koniecznie opierać na głębokich naukach bądź teologicznych, bądź matematycznych; bez tego można pleść o filozofii, ale nie pisać o niej. Co się tyczy odwołania się do świadectwa księgarzy, pan Bardon nie więcej jest szczęśliwym, biorąc swoje chęci za fakta przeczeniu nie uległ. Nie na tak niskim stopniu stoi nasza publiczność, żeby wyłącznie tylko powieści ją zajmowały. Dzieło księdza Kozłowskiego, w Poznaniu ogłoszone, nadzwyczajnie miało powodzenie; księdzę Siarczyńskiego już zostało rzadkością. Uczone pismo Żegoty Kostrowca, o stosunku bezpośrednim Filozofii do religii i cywilizacji naszej, które przełożono na język niemiecki, tak dalece nie przyniosło szkody księgarzowi, że już inni przedsiębiorcy kołaczą do autora, żeby od niego otrzymać zezwolenie na powtórne wydanie tego szacownego dzieła, i t. d. i t. d.

darza wraz z jego szczupłym poczem na śniadanie do refektarza klasztorowego. Tam zastał wielu obywateli sobie znanych, wielu z nich wybierających się na wojnę. Ci po większej części od kilku dni wyprawili swoje dworskie poczty naprzód, a sami wybierając się w podróż, z której powrót pod rodzinną strzechę był wątpliwy, w Poczajowie opatrywali siebie na drogę Sakramentami. To wszystko za panem referendarzem puściło się w drogę. Tak tedy on wyjechawszy z Krotoszyna o jednę kolasię, skarbnicy i bryczce, już od Poczajowa podróżował w licznej assystencyi.

Nazajutrz to wszystko złączyło się w Kuźminie, miasteczku należącym do ordynacyi ostrogskiej, z chorągwią pana referendarza, którą prowadził porucznik Dunikowski, stary Lisowczyk, już cokolwiek znany czytelnikowi. Jego dowództwo było obszerne, gdyż rozciągało się nie tylko nad własną chorągwią, ale nad drugą jeszcze, której dawał rozkazy młodszy od niego porucznik, niemniej nad piechotą wyprawioną od księcia Ordynata Ostrogskiego i rozmaitemi oddziałami milicyi obywatelskich. Stary porucznik z raportem złożył w ręce pana referendarza dowództwo nad uzbrojonym ludem i przedstawił mu starożyne. Pan referendarz wsiadł na konia, zrobił przegląd całego wojska do dwóch tysięcy głów leżającego, opatrzonego w amunicję i dwie śmigownice. Oświadczył swoją wdzięczność panu Dunikowskiemu, i dowódcę pod nim służącym, że znalazł wojsko wyćwiczone należycie, wszystkich oficerów zaprosił do siebie na przedwieczór i zapowiedział im, że nazajutrz wyruszą zwyczajnym pochodem ku Barowi, gdzie podskarbi koronny, najwyższy wódz partii ukraińskiej, stoi obozem i że tam dowiedzą się o dalszém swoim przeznaczeniu.

Pan Dunikowski był typiczną figurą żołnierza z rzemiosła owęj epoki. Co tylko przechodziło obręby tego rzemiosła, było dla niego zupełnie obce. I tak, w długim rycerskim swoim zawodzie to tylko pamiętał co się do niego wyłącznie odnosiło: nikt lepiej nie mógł opowiedzieć, jak się odbyła bitwa, acz najdawniejsza, w której był czynnym. I tu najmniejszego szczegółu nie opuścił. O czém inném napróżno było go pytać, bo zaraz zaczynał bredzić niestworzone rzeczy. Obóz był dla niego ojczyzną, honor żołnierski i niektóre powierzchowne praktyki pobożne, do jakich mnóstwo przymieszywał zabobonów, był dla niego religią. Nieustraszony w boju, bał się upiórów, czarów, uroków; a wszystko to, co mu zbijała a nieoświecona wyobraźnia do głowy przynosiła, miał za fakta rzeczywiste, na których uporeczywie opierał najdziwniejsze zdania. W ojczyźnie miłował jej wojsko, a właściwiej swoją chorągiew, bo co do obowiązków obywatela, tak mało je pojmował, że dawszy siebie zaciągnąć przez Tekelego, bez najmniejszego wyrzutu sumienia wojował przeciw ziomkom w szeregach tureckich, i wynosił się ze swoich popisów i wzglę-

dów, jakie miał u Wezyra. Po Turków porażce, gdy wrócił do kraju, a otrzymał w nim stopień, z taką samą wiernością mu służył, z jaką służył Sułtanowi. Hetmani polscy wysoko go cenili, bo znał doskonale i mowę Turków i sposób ich wojowania. Gdyby nie jego męstwo i nadzwyczajna wytrwałość, byłby nieznośnym dla swoich podwładnych, bo że pedantycznie trzymał się regulaminu wojskowego, najmniejsze ich wykroczenie z tego przepisane go prawidła zaraz srogą burzę wywoływało. Był ostry, prędki, szorstki, z tém wszystkiém i towarzysze i szeregowi byli do niego przywiązani, raz że siebie na wojnie nie oszczędzał, powtórę że dbał o ich wygody, jedząc ze wspólnego kotła, a najmniejszego sobie nie pozwalając wymysłu, któryby go od jego podwładnych odróżniał.

Oprócz tego byli pewni jego dla nich przywiązania, bo chociaż nigdy ich nie pochwalił, owszem zawsze coś upatrywał, żeby ich strofować, tak był przekonany o ich wartości, że gdyby jakiej inną chorągwi poręcznik powążył się jakąś drobną niedoskonałością w jego szykach upatrzeć, gotów byłby mu oczy wydrzeć. Oprócz tego miał szczęście, że się zestarzał ze swoimi podwładnymi, wyprzedzając najstarszego z nich przynajmniej o dwadzieścia lat. Czegożby oni nie nieśli od takiego, którego uważali jako ojca, i czegożby on od nich nie mógł otrzymać?

Co do jego wieku, trudno było dowiedzieć się punktualnie ile lat żył na świecie. Na jego twarzy nie widać było nad lat pięćdziesiąt, a jego ciało jeszcze się wydawało młodsze, bo pewnie w sile i zgrabności, zwłaszcza kiedy bronią robił na koniu, najmłodszemu nad sobą prymusy nie dopuścił. Trzeba było chyba do jego metryki zajrzeć, dla powzięcia dokładnej wiadomości o jego latach, ale téj nikomu nie pokazywał, ani nawet można było dopytać o miejscu jego urodzenia, bo coraz o inném województwie mówił, jako o swojej ojczyźnie. Żadna podziła eleganka z taką starannością lat swoich nie umniejsza, z jaką on je sobie powiększał: czasem przyznawał się do całkowitego stulecia. Ale że prawie od dzieciństwa bawił się powołaniem żołnierskiem, i że ile razy mówił o swoim zawodzie, nigdy nie powążył się kłamać; więc z tych jego relacyj domyslić się można było, że miał lat siedemdziesiąt kilka. Bo to pewna, że walczył pod rozkazami Sapiehy, starosty Uświackiego w sprawie Dymitra Samozwańca. A nawet lat kilka służył w wojsku Carskiem, język rosyjski posiadał, i karność wojskową tego narodu bez przestanku swoim za wzór podawał.

Najwyrazistszy rys jego charakteru był, że to tylko cenił co stare, i w tém nie było wyłączenia. Miał uprzedzenie, że skoro rzecz nowa, tém samém mało warta; ztąd młodziży w powszechności nie lubił. Dał tego dowód tego samego dnia u referendarza. Bo kiedy ten mu

przedstawił młodego Śmigielskiego, mówiąc:—Mości poręczniku, oto jest nowo zaciągnięty towarzysz do naszej chorągwi, pan Adam Śmigielski, starożytnego rodu szlachcie, i z urodzenia i z uczyć Wielkopolanin, ale którego rodzice mają wieś dziedziczną i w Bracławskiem. Do waszmości należy zrobić z niego pożytecznego dla kraju żołnierza, a tuszę, że zdolnością, męstwem i potulnością zasłuży na jego względy.—Dunikowski który się z tego chełpił, że w jego chorągwi większa część towarzystwa miała czupryny i wąsy przepruszone szronem, dość kwaśno przyjął Śmigielskiego, i nie mógł się wstrzymać od okazywania, że weale nie jest rad z tego nabytku, bo odpowiedział dość lakonicznie:—Taka wola jaśnie wielmożnego rotmistrza, niech i tak będzie!—Referendarz nato:—Cóż się krzywisz, mój Dunikosiu, jak gdyby nowy towarzysz miał być tém w chorągwi, czém sztydło w worku.—Jeżeli mam prawdę powiedzieć, jaśnie wielmożny panie, nasza chorągiew tak dobrze pokryta, że bez tego kawalera mogłaby się obejść; a człowiek ma tyle zajęcia, że niewielka dla niego pociecha dziecięcą nianić, i to kiedy lada dzień może być rozprawa na ostre.—Już gderać zaczynasz, kolego; a przypomnij-no sobie, że kiedy uciekłeś ze szkół do Lisowczyków, nie byłeś od niego starszym, a jednak swoim nie szkodziłeś. Dorosłeś na koniu, jak sam mówisz; dlaczegoż z tropu zbijasz młodzieńca?—Wtedy był inny świat, jaśnie wielmożny panie. Za moich czasów smarkacze byli roztrośniejsi, niż dzisiejsi wyrostkowie. U nas od lat pięćdziesięciu wszystko się psuje. Teraz wszystko jest jak w odmęcie. I ludzie, i kraj, i natura nawet zupełnie inne, niż za króla Zygmunta.—W czymże się tak odmienili? ja tego nie widzę, lubo nie wczoraj się urodziłem.—Z przeproszeniem pokorném, jaśnie wielmożny pan nie był na świecie, kiedy ja już szpakowacięć zaczynałem. Już było po dobrych czasach, kiedy jaśnie wielmożny pan poszedł pod Wiedeń. Łataliście się państwo jak mogli, ale wszystko nie to. I gdyby nie upór Wezyra, że pod Strygonią nie chciał słuchać rad pana Tekelego, byłibysmy powrócili do Wiednia. Proszę zapytać jaśnie wielmożnego podskarbiego koronnego, naczelnego wodza a dostojnego rodzica jaśnie wielmożnego pana. Pod takim nie żał wojować, bo chociaż pokaże się, że on cokolwiek młodszy odemnie, ale już był człowiekiem za króla Zygmunta. Niech on powie, co było wtedy. Co mam mówić? Czy to ludzie i konie znali te chorobskie, jakich teraz do licha doświadcza? Człowiek albo na wojnie zginął, jak Pan Bóg przykazał, albo zgasł ze starości. Ale żeby go choroba porwała w połowiec dni jego, jak teraz, nigdy, nigdy, za naszych czasów tego nie bywało; albo żeby był nieurodzaj, jak to dziś się zdarza, że nieraz trzeba dobrze sobie podrapać głowę, żeby dla koni był owies, nigdy, nigdy nikt tego nie doświadczał, ani nawet o tém słyszał. Gdzie bywało z końmi staniesz, już pod ich no-

gami leży obrok, jakby sam przyszedł, ani w głowie powstało o nim pomyśleć. Jak kto rzucił ziarno w ziemię, za jedno zbiera dziesięć, jak kukielkę za szeląg. A ktoby tam za naszych czasów, siał gdyby nie był pewny że urodzi? Albo żeby wśród zimy sanna zginęła, jak to teraz bywa, a broń Boże! kto za naszych czasówby powiedział, że to może być, wypchniętoby go za drzwi, jako łgarza. — Co też to wygadujesz, Dunikosiu? Wszakże to samo słońce i powietrze dziś, jakie były za twoich czasów. — Otóż wierz, jaśnie wielmożny panie, że nie to samo; tak się spsowały jak ludzie, dawniej wszystko było w swojej porze. Sanna od końca listopada do końca marca trwała, ani joty nie chybiła. Potem ciepło stateczne nadchodzi, śnieg raptem taje, i po kilku dniach wyborna kołowa. A co do pracy ludzkiej, człowiek służąc w jeździe, zawsze kwaterując po wsiach, czyż się na nią nie napatrzył? Czy wtedy była słyszana rzecz, żeby naród szedł na kosowicę, a deszcz ulewny go rozpedził? nigdy, nigdy! Deszcz padał kiedy był potrzebny, ale żeby gospodarzowi robił psoty jak dziś, a broń Boże, a broń Boże! — Mój Dunikosiu (odrzekł refendarz śmiejąc się), dalej ty we mnie wmówisz, że za dawnych czasów gradów nie było, i że niedawno je wymyślili. — Tego nie powiem, jaśnie wielmożny panie. Były grady, były, większe nawet niż teraz, bo bywało zdaje się, że gęsie jaja z nieba spadają. Ale to pewna, że nikomu szkody nie robiły. Grad padał sobie na stawy, na przełogi, na ugory, alboż nie było dla niego miejsca? ale żeby wytłukł zboże w kłosie, nigdy, nigdy! To się zaczęło dopiero od wojen kozackich, odtąd wszystko poszło ku gorszemu. Jam sobie rad, że stary, bo na to patrzałem, czego młodzi nigdy widzieć nie będą. A ludzie.... co mam mówić, to inny ród był niż dzisiejszy. Chłopiec ze szkoły ucieka, i już z niego gotowy żołnierz. Już w żywocie macierzyńskim nauczył się naszego rzemiosła. A teraz ucz go, ucz, a nie wyuczysz. — Otóż o tym chłopcu tego nie powiesz. Jak go widzisz, on w trzech częściach wyuczony, choć młody, a i czwartą się rychło douczy, jak go weźmiesz w obroty.

Porucznik wziął się do oglądania młodego Śmigielskiego od stóp do głowy, jakby konia na jarmarku. Chłopiec stał nieruchomy, wyprostowany jak stary żołnierz, a Dunikowski chodził około niego, odzywając się: — wzrost siaki taki, plecy obiecujące siłę, nogi i golenia sposobne do konia, ręka żyłwata, niezgorsze znaki. Po czym zajął mu w oczy, zmarszczył czoło. Przybrał spójrzenie groźne; widząc, że chciał zmięszać chłopca. Ale ten, jakkolwiek nie wyszedł ze skromności, w którą się był uzbroił, oczu nie spuścił, i wytrzymał jego groźne spojrzenie. To się podobało Dunikowskiemu, który cierpieć nie mógł tych, co w oczy nie patrzą. Przybrał zaraz łagodniejszą, nieco powierzchniową, i rzekł: — Mości panie towarzyszu, co wasz-

mość umiesz? — Umiem być posłusznym — odrzekł Śmigielski. — Roztropnie waszmość odpowiedział. Bojaźń Boża jest początkiem mądrości chrześcijańskiej, a posłuszeństwo jest początkiem mądrości rycerskiej. Komu się przykrzy być posłusznym, ten nigdy się nie nauczy rozkazywać. Ale chciałbym wiedzieć, czy waszmość oprócz łaciny, o której nie wątpię iż się wyuczyłeś w szkole, masz przynajmniej początki innych rzeczy, może mniej mądrych, ale to pewna, że więcej pożytecznych dla żołnierza, jako to: szablą się składać, nacierać, z pistoletu trafiać do celu, dosiąść konia niezupełnie dotartego, ale tak, żeby pod ręką chodził jak potulne dziecko? — Nie przystoi mi siebie chwalić, ale jeszcze mniej kłamać przed moim starszym. Otwarcie więc odpowiem, że trudno mi pokazać takiego konia, na którego wsiąśćbym się obawiał, z pistoletu rzadko kiedy chybiam do celu. a co się tyczy szabli, pochlebiam sobie, że nie ma tak zawołanego rębacza, którego zakładubym nie dotrzymał. I gotów jestem za rozkazem pana porucznika, o tém co mówię go przekonać. — Waszmość się nauczysz, że w przytomności jaśnie wielmożnego referendarza bez jego woli, nikt tu rozkazów nie daje. Swojego czasu będę się starał przekonać, czy to, co waszmość mówisz o swojej zręczności, jest istotną prawdą. Nie żebym waszmości podejrzewał o jaką obłudę, ale dlatego, że nikt nie może być sędzią we własnej sprawie.

— O to pokój — odezwał się pan referendarz — ja za niego ręczę, że wytrzyma wszelkie doświadczenia, jakie na niego obmyślisz. Już ja go brał na próbę, w przytomności króla jegomości. Krzyżowałem z nim szablę, i jak go widzisz, złożył się nawet od mojego referendarskiego cięcia. Nie daj Boże lada komu z nim się mierzyć. Powiadam tobie, Dunikosiu, że jak piórkiem obraca szablą, ciężką jakby miecz, a którą wziął w spadku po swoim dziadzie, co to kiedyś dokazywał za króla Zygmunta, a co go potem Aryanie, wedle głosu powszechnego mieli zamęczyć. — Takto — rzekł na to porucznik — waszmość jesteście wnukiem Stanisława Śmigielskiego towarzysza pancernego w chorągwi niegdyś jaśnie wielmożnego Potockiego kasztelana Bełzkiego? — Tak jest, mości poruczniku dobrodzieju. Czy mój dziad miał zaszczyt być mu znany? — Jest gość. Powiedz waszmość, że ja miałem zaszczyt kiedyś patrzeć na niego. Wszakże co do dzielności nie było jemu równego towarzysza w całej kawalerii narodowej, nawet w owym czasie, kiedy to ludzie byli prawdziwymi ludźmi. Nie przymawiając waszmości, wtedy byłem omal nie smarkaczem, kiedy z nim służyłem, a później u Lisowczyków z jednym ich oddziałem, kiedy szedłem szukać takiego, coby nas chciał wiać na swój żołd; otóż zacząłem się o wioskę, gdzie ten zaćny mąż mieszkał. Uderzyło mnie, jakem spotkał podżyłego szlachcica ryjącego ziemię płużycą, a mającego na chłopiejski siermiędze pas skórzany z klamrą, a przy

nięj szablę. Ja go z razu nie poznałem, przywitałem się z nim i on się zemną przywitał; ale wprzód, jak nadstawił marsa! Dziś wyobrażenia nie mają, jakie to były spojrzenia u dawnych ludzi, aż kostki drżały. A jak mi powiedział, że on jest Stanisław Śmigieński, mój Boże! Izy mi się puściły z powiek, że tak dalece o nim zapomniano, iż żyć się musiał gorzko zapracowanym sucharem. A potem bywało, kiedy się zejda starzy towarzysze, czy to na Węgierskiej ziemi, czy to u nas, gęba się im nie zamyka, jak zaczęła opowiadać co on dokazywał. Nie ma co mówić; waszmość jesteś z dobrej krwi, nie dziwię się, że szablą umiesz władać. Trzebaby się jęj odrzec, gdyby wnuk Stanisława Śmigieńskiego był partaczem. Zgrabność waszmości w szabli, zaświadczone jasnie wielmożnym referendarzem, rokuje mi, że i do innych broni jesteś sposobny. — Miałem dowód oczywisty — przydał referendarz — że niemniejszym jest mistrzem w używaniu ognistej broni. W Poczajowie poniósłbym szkodę, gdyby nie ten chłopiec. Ręka żydowska przedarłszy się przez rozbite okno, już zaczynała gospodarować koło mego zegarka i sakiewki. My wszyscy spali jak zabici. Ale Śmigieński nad nami czuwał. I chociaż było ciemno, z pistoletu trafił w nieproszoną łapę. Musiał być pewnym swojego strzału, kiedy mierzył do celu niebardzo oddalonego od mej głowy. — Kiedy tak, nie mu nie pozostaje, jak tylko obeznać się z obrotami bojowego jeźdźca i z użyciem proporca. Proporzec, jasnie wielmożny panie, to grunt dla kawalerzysty. Naprzeciw proporca cztery szabel, to błazeństwo. Szablą Turkowi nie dasz rady, to napróżno. Ale też proporzec to skrzypce; kto na nich nie jest mistrzem, niech się schowa. Szablą i bez nauki można siako tako ciupać, czasem się uda kłomu obznaczyć gracza. Ale zję djabła nieuk, jeżeli go z proporcem wyprawisz na hare przeciw lekkiemu jeźdźcowi. Nasza chorągiew pewnie o dzie sięć razy więcej wyprawiała na tamten świat dusz nieprzyjacielskich, niż liczy głów w swoich szeregach. A dlaczego? Bo u mnie każdy towarzyszy koncert może dać na proporc. Ale to panie nielada nauka. Wybaczaj, panie towarzyszu, ale dokuczę waszmości, bo niewiele pozostaje czasu. Trzeba się waszmości uzbroić od dnia jutrzejszego wielką Eierpliwoscią, bo rozpoczniemy kurs, a ja wiele wymagam od tych, którym mam zaszczyt dowodzić. Wszak Jezuci mu powtarzali w szkole świętą maksymę: nemo sapiens nisi patiens. — Przyznaję się, panie poruczniku, że nigdy proporca nie miałem w ręku. Ale nie święci garnki lepią. Czego się inni nauczyli, dlaczegoż nie miałbym się nauczyć, z łaski pana porucznika? — Ja też nie innego nie żądam jeno ochoty, resztę Bóg da. A czy masz waszmość konia? — Konia mam w kieszeni, panie poruczniku, bo zostałem opatrzony na drogę i przez moją babkę, i przez pana wojewodę i jego dostojną małżonkę; o konia tu nietrudno, ja jutro rano, mam w Bogu nadzieję, że się pa-

nu porucznikowi zamelduję tak jak się należy. — Poczekaj, panie towarzyszu — rzekł pan referendarz — wszakże mamy z sobą rachunek do załatwienia. Ocaliłeś mi zegarek i sakiewkę. Pozwólże mnie tobie się odwdzińczyć. Mam tu dziesięć wierzchowców przy chorągwi. Są między niemi dwa, o których moi ludzie wiedzą, że nikomu na nich się nie pozwolę, ale z ośmiu pozostałych proszę sobie wybrać jednego dla siebie, i przyjąć go na pamiątkę mej dla niego przyjaźni. — Skłonił się nisko młody Śmigieński. W owym czasie datek możnego nie upokarzał chudego pachotka, bo wartość jego była uważana drugowzględnie, a pierwszowzględnie w nim upatrywano dowód jakiegoś szacunku, który zawsze był zaszczytem.

Jeszcze było dość wczesnie, kiedy rycerstwo zebrane u naczelnego wodza rozchodzić się zaczęło. Porucznik odszedł, żeby się zatrudniać poходом jutrzejszym, a Śmigieński, żeby obeznać się z końmi, z których jeden był dla niego przeznaczony, niemniej zgodzić luzaka i nażyć konia pod niego, i jeszcze drugiego pod siebie, stosując się w tém do zwyczaju przyjętego w kawalerii narodowej.

XI. Początki rycerskiego zawodu.

Młodości! poro życia szczęśliwa, wszystko się tobie uśmiecha. Na coby ci się przydało doświadczenie, kiedy ta tajemnicza potęga, co ją nazywamy szczęściem, wszystkie twoje żądania wypełnia. Korzystaj więc człowiecze z młodości, nie marnuj jęj w zadośćczynieniu chuciom ciebie niegodnym. Bo jak ona upłynie, jak zima mężki twój włos śniegiem przypruszy, nie tobie nie pozostanie, tylko to, co w wiosnie twójego życia zdołałeś uzbierać. Skoro doczekasz się jesieni, rozum, nauki, doświadczenie, nawet latami zahartowane cnoty, wszystko ciebie zawiedzie. Bo szczęście tylko młodości jest udziałem. Młodość wszystko może, wszystko pokona, byle siebie nie dała zwatlić kunsztowną nauką, która wciąć jęj rodzinna zmyślność, daje jęj niemoc starości, bez jęj doświadczenia. To prawo nieprzełomne urzeczywistnia się nie tylko w pojedynczym człowieku, ale niemniej i w narodach. Wiedzimy narody zużyte, zestarzałe tém ukształceniem, z którego niebaczne się wynoszą, przyprowadzone do zgrzybiałej bezczynności, podczas kiedy inne, niższe w kunsztach, w naukach, w tych wszystkich zjawiskach myśli ludzkiej, ale potężne swoją młodością, a brzemienne przyszłością, ze sławą jawią się na scenie historii. Narody zachodu w zgrzybiałości swojej już zdziecinały, szcłatki gasnącego żywota okazują jedynie pisanie i paplanie. Nieszczęsne! ich niemocy śmierć rychła koniec położy. Trzebaby rozpaczać o rodzie ludzkim, gdyby nie nadchodziły młodociane ludy, dla wywłaszczenia tych zaludnień

bez cnót, żyjących jedynie jakimiś obłamkami sławy, co ją uzyskali ich wielcy przodkowie, zapoznani teraz od wyrodných potomków.

Tak mało czasu pozostawało dla Adama Śmigielskiego, żeby siebie opatrzyć w to wszystko, co było mu potrzebne, że człowiek z doświadczeniem możeby sobie nie dał rady. Bo oprócz zbroi, broni i konia, którym referendarz świeżo go obdarzył, nie miał innego do wystąpienia na wyprawę w zupełnej gotowości. Trzeba było jemu jeszcze dostać drugiego konia pod siebie, oraz pod juki, pod luzaka, pod masztalerza. Na to wszystko nie miał nad kilka godzin. Ale dla młodości cóż niepodobnego? Ledwo wyszedł od referendarza, a już żydek zastąpił mu drogę z zapytaniem: — A czy jaśnie pan nie potrzebujesz wierchowych koni? — Potrzebuję. — Proszę pójść za mną do mojego gospodarza, to liwerant najpierwszy w całym kraju. U niego rarytne konie, a tak szczęśliwe, że kto na wojnie siedzi na koniu jego, zawsze z niéj zdrow powraca. Mój gospodarz to sławny Boruch, najpierwszym monarchom służy. Sam król jego wie, a Boruchowi nie tak o zarobek chodzi, jak o honor, żeby tak wielkim panom targować.

Poszedł za żydem Śmigielski do jednego domostwa, gdzie sień była napełniona końmi. A żyd stary, z ogromnym brzuchem, i z luką w rękę, przechadzał się między niemi, i dawał rozkazy żydziukom, którym te konie były powierzone. Był to sam Boruch. On słynał z poezliwości, bo chociaż cenę jak mógł przesalał, ale to pewna, że nigdy żadnemu wojakowi kaleki nie podsunął, ani zębów nie podpiekał, ani wapnem nie podkarmał, ani nawet osypką nie podpychał koni. Jak postawi wierchowca, cała rzecz chodziła kupującemu o cenę, ale mógł być pewnym, że żadnej wady ani jawnej, ani ukrytej nie ma. Może być, że ta poezliwość, dziś tak rzadka między koniarzami nawet chrześcijańskimi, wypływała z wyrozumowanego głęboko rachunku. Bo gdyby się poważał sprzedać towarzyszowi konia z ukrytym kalectwem, nie pozostawałoby mu tylko prosić Boga, żeby oszukany jeździec swoje kości położył na pohojowisku, bo na wypadek jego powrotu wiele niewygodna rozprawa mogłaby z nim nastąpić; ale chętnie wierzę, że miał szlachetniejsze pobudki do cnoty, czerpane w jego wyznaniu religijném nadto spotwarzoném, a w którym Bóg własną ręką wszczepił najgruntowniejszą moralność. Bądź co bądź, to pewna, że poezliwość Borucha jemu szkody nie przynosiła.

Żydek faktor przyskoczył do Borucha, i parę słów mu powiedział w ich mowie. Boruch miał na sobie kaftanik, spadający niżej brzucha, z materyi tureckiej haładziejem nazwanej, w paski czarne i morderowe. Z pod téj wyglądały gacie, niżej kolan, zawiązujące pończochy popielate, i wedle ówczesnego żydowskiego zwyczaju, miał trzewiki z dużemi srebrnymi sprzążkami. Ale na głowie miał wykwinną szabasówkę z czarnego aksamitu, a okoloną prawdziwym sobolem.

Wyszedł naprzeciw młodego towarzysza, trzymając szabasówkę w ręku, skłonił mu się z wyrażeniem głębokiego uszanowania, i pomimo nalegań Śmigielskiego głowy już nie chciał przed nim nakryć.

Wszczęła się między niemi rozmowa krótka, zwykły przedwstęp roboty między kupcem i sprzedawcą. Pora była pogodna, a lubo już po zachodzie słońca, wieczór był jasny, bo już czerwiec był na niebie. Na żądanie kupującego, Boruch kazał wyprowadzić konie na podwórze; żydzi Baragoły znali swoje rzemiosło ze wszystkimi jego tajemnicami. I najzawołani masztalerze lepijby nie potrafili w prowadzeniu koni wystawić przed wzrokiem znawcy wszystkich ich przymiotów. Młody Lechita z przyrodzenia był znawcą koni. Wkrótce między dwudziestu kilku wierchowcami upatrzył dwa, które mu się wydały być najdzielniejszymi. Z tém się jednak nie odkrył, ale jakby nie dowierzając sobie, odezwał się: — Boruch! przez wasci ręce więcej koni przeszło, niżeli ich mogłem widzieć w mojem życiu, i pewnie lepij się na nich znasz, niż ja: o cenę łatwo się zgodzimy, bo z tém się nie taję, że jestem potrzebny; a że jesteście pocziwym żydem, nie myślę, żebyś mnie chciał zdradzić. Powieźcie mi, jako idącemu na wojnę, ażeby nie tylko chrześcian, ale i was żydów zasłonić od bisurmańskiego napadu, z pomiędzy tylu koni jakiegobys mi radził kupić? — Wierz mi, panie, wszystkie moje konie są dobre, i niewielka różnica w ich cenie. Wszakto wszystko u mnie się nie rodzi, tylko kupuje się u panów i szlachty. A na coby mi się zdało kupić gałgana, żeby wstydu nabawić moją stajnię? Razbym oszukał na ladaco, a potem na dziesięciu dobrych nie byłoby zarobku: do pocziwego Borucha każdy idzie po konia; a do szachraja Borucha ktoby drugi raz poszedł? Ja więcej niż lat czterdzieści służę największym monarchom, a w kawalerii narodowej może połowa towarzyszków na moich koniach. Boruch wszystkie tutejsze zna. Jak nierarytny, to go nie zaprowadzi do swoich. Mnie wszyscy znają. A przepraszam honor pański, pan musisz być nowym towarzyszem, bo ja nie miał szczęścia pana widzieć, a Boruch wszystkich panów towarzyszków partyi ukraińskiej zna. — Nie inaczej, jestem nowo wpisanym towarzyszem, i jutro stawię się do mojej chorągwi. — A jeszcze raz z przeproszeniem honoru pańskiego, do czyjéj pan chorągwi przystał? — Z jaśnie wielmożnym Rzewuskim, referendarzem wielkim koronnym od jutra służyć będę (*). — Oj, oj, co też to Boruch koni nie nadostawił dla téj chorągwi! Pan poręcznik Dunikowski to taki na mnie łaskaw, że jak pan mu powie, że koń na którym siedzisz odemnie wyszedł, pewnie pana pochwali.

(*) Jestto sposób mówienia używany w kawalerii narodowej, towarzysz zapytany w jakiej chorągwi służy, odpowiadał z tym lub owym rotmistrzem służyć, chociażby sam król był tym rotmistrzem.

To wielki koniarz, a tylko w te konie wierzy, co je ma odemnie. Pan obaczysz u niego konia białego, temu lat ośm jak go u mnie dostał, on był wtedy jeszcze dropiatym, a choć stary, to u niego paradier. A jaki to dobry pan! niech go pan zapyta o Borucha liwerancie. Ta to trzydzieści lat i więcej, jak mu konie sprzedaje; ja go znał, kiedy jeszcze u Węgrów służył. On młodych nie lubi: raz mój syn mu przyprowadził kilka wierzchowych, ani chciał z nim mówić: dopiero jak ja przybyłem, wszystkie u mnie kupił bez targu, i dobrze na nich zarobił. Pan możesz sobie kazać zawiązać oczy, a jakiego konia się dotkniesz, śmiało go z sobą zabrać. Pewnie panu wstydu nie zrobi. — Słuchaj, Boruch; nie mogą być dwa konie tak dobre, żeby choć w czémkolwiek jeden od drugiego nie był lepszym. Dlaczegoż nie chcesz mi poradzić, którego mam kupić? — Wierz mi pan, że co do dobroci jeden drugiemu nie ustępuje. Różnica od własnego upodobania. Jak ludzie mówią: nie piękne co piękne, ale co się komu podobia. — Ale naprzykład, żeby Messyasz, co go oczekujecie, raptownie przyszedł i kazał tobie siąść na konia, i za nim ruszać do ziemi obiecanej; powiedz sumiennie, bo Bóg nas słyszy, jakiego konia byś wybrał? — Kiedy pan mnie tak zagadł, to szczerze odpowiem, że z pomiędzy tych wszystkich wybrałbym tego skarogniadego. To koń ze stada Podhoredeńskich, rok siódmy: niech pan mu zajrzy w zęby, prawdziwy polski koń; albo tego sobolowatego ze strzałką na czole. Jest to chowu Trypolskich z po nad Dniepru, ale po ojeu arabskim, lat sześć, ale jaki! — Właśnie to były te same dwa konie, co były jemu wpadły w oko. Te słowa żyda jeszcze więcej utwierdziły go w zamiarze nabycia jednego z nich.

Chcąc między niemi przecie wybór uczynić, oświadczył, że radby je spróbować. Boruch kazał obydwu wierzchowce okulbaczyć. Śmigieński siadł najprzód na sobolowatego, przejechał go stępią, potem kłusem coraz sporszym oddalił się od domostwa, pod którym stał liwerant, ale jak z półtorasta kroków ujeździł, zwrócił koniu, przypuścił go cwałem do Borucha, i o trzy lub cztery kroki od niego raptem go wstrzymał i osadził na miejscu. To samo powtórzył i na koniu skarogniadym, a kiedy zsiadł, Boruch powiedział: — A to dla mnie szczęście, jeżeli mój koń dostanie się panu. Rarytny koń, ale i rarytny jeździec.

Trudno było między temi dwoma końmi wybór uczynić. I Śmigieński przekonał się, że stary żyd nieobłudną dał mu radę. Wszakże skłonił się do sobolowatego, zapytał o cenę, i bez targu zapłacił co żyd zacenił. Czem go do reszty skaptował, tak dalece, że najsumienniejszemu opatrzył go w to wszystko, co potrzebował. Przedał mu jeszcze trzy konie ukraińskiej krwi; najdzielniejszego z nich pod luzaka, drugiego pod juki, trzeciego pod masztalerza, który do szyku bojowego nie

należał, a nawet mu naraił na masztalerza wolnego kozaka ze starostwa Chmielnickiego, szukającego służby, wielce zdatnego do koni. Oprócz tego uprowidował go w juki, troki, terlice, drugą kulbakę, bo już miał jedną, gdyż referendarz rozkazał towarzyszowi pełniącemu obowiązki koniuszego, żeby mu wydał wierzchowca z ośmiu przy żłobie stojących przez niego wybranego, ale z pełnym rzędem. Zgoła, żyd od lat kilkudziesiąt handlujący z wojskiem, wiedział co jest potrzebne dla towarzysza i wszystko miał pod ręką, o żadnym szczególe nie zapomniął. Kiedy się cieszył Śmigieński, że tak jest oporzadzony, Boruch rzekł do niego: — Panu się zdaje, że już wszystko jest, a najpotrzebniejszej rzeczy nie ma; oto luzaka. — Ach zmiłuj się, Boruch, dostań mi go, ale zaraz, bo jutro wychodzimy. — Ta to nie sztuka lada kogo na luzaka zgodzić. Jest tu dość w Kuźminie z różnych stron przybyłych hultajów, każdy na pół darmo się zgodzi, a potem uciecze z koniem swojego towarzysza, żeby go później w jakiej karczmie przepić. Czy to raz bywało? Panu potrzeba takiego, co rozumie, jak żołnierz być powinien: żeby za panem szedł, gdzie się biją; żeby się umiał obchodzić z bronią; żeby kochał pańskie konie, — a takiemu nie żal dobrze zapłacić. — Tu żyd stanął, zaczął skubać swoją siwą brodę, i czas jakiś był w zamyśleniu. A Adaś stał jak na szpilkach, czekając na to, co się z medytacji Borucha wywiąże.

Nakoniec twarz żyda rozjaśniała się wesołością. — Hem, hem! urodził się dla pana luzak, niech pan odrobinę poczeka. Aj, aj, jeżeli mi się uda, pan mi bardzo podziękujesz. — Tu przywołał kilku swoich żydków, i do nich coś po swojemu zabełkotał. Na jego słowa, czterech żydków oklep siadło na konia, i każdy dobrym kłusem w inną stronę się puścił.

Jak zostali sami, Boruch rzekł: — W mojej głowie przesunęło się kilku, co mnie prosili, żebym ich naraił na luzaków, nawet jak mogłem uważać niegorszych. Bo czterdzieści lat ocierając się o kawalerię narodową, Boruch mógł się nauczyć, jakiego luzaka potrzeba dla towarzysza; ale to wszystko niezupełnie takie, jak z przeproszeniem dla młodego jak pan. Stary towarzysz młodego luzaka nauczy, ale dla pana potrzeba nauczzonego. Jak stary zadrzemie, młody go napędzi, a jak młody bryknie, stary wstrzyma; ale młody z młodym zawsze nie potem. Był tu wczoraj u mnie taki, co lat szesnaście był luzakiem w chorągwi jaśnie wielmożnego Polanowskiego, chorążego koronnego. Ale rok drugi temu, jego towarzysz ożenił się z wdową, mającą swoją wieś pod Krzemieńcem. I porzucił chorągiew dla gospodarstwa. Otóż swojego luzaka zabrał na wieś, i chciał go wy kierować na podstarościę, bo szlachcie, a do tego umie niegorzej czytać i siako tak pisać. Ale tak się naprzykrzyła gospodarka Bialeckiemu, bo takie jego nazwisko, że jak tylko się dowiedział, że idą na Tatara, porzucił

swojego pana i tu się dostał, żeby do dawnego chleba powrócić. Jeżeli przez dziś nie uchwycił go jaki towarzysz, to właśnie dla pana. Człowiek nie młody, stateczny, nie upije się, chyba za pozwoleniem pańskim; na broni się zna, a na koniach ledwo nie jak stary Boruch.

Rozmawiali z sobą z godzinę, chodząc po sieniach i oglądając konie, już przy żłobie stojące. Boruch każdego z nich historią opowiadał, wielu z nich genealogią na pamięć wiedział. Przypomniwszy różne koniarskie uwagi nad stadami, wówczas tak licznymi, panów polskich. Między innymi powiedział: — Ja mam przecucie, że kiedyś pan będziesz wielkim monarchą, całą gębą panem. Pan nie wytrzymaś, żeby nie mieć u siebie stada, a jak to będzie, pamiętaj panie, co mówi stary Boruch. Tu zaczyna wchodzić we zwyczaj, żeby żrebecm nie dawać owsa, aż dopiero czwartą wiosny się doczekają; uroili sobie, że żrebie owsem karmione ma słabe nogi. Nie wierz pan temu. Koń czy klacz, póki rośnie, owsa nie żałować; bo z czego się rozrośnie? Jak żrebie odłączone, już owsa potrzebuje. Koń dziki owsa nie zna, mówią; to prawda, ale też jaki drobny; i nasze konie zdrobnieją, jeżeli rosnąć będą na słomie. Kto chce mieć rosłe stado, niechaj nie skąpi owsa, ani dla koni, ani dla klaczy. Większy zysk mało trzymać kobył, ale tak je karmić, jak się należy, niżeli je mnożyć łada czym karmiac; bo choć u nich krew i dobra, skąpym utrzymaniem za jednego gładkiego konia dziesięć bronowłók się urodzi.

Żydzisko rozprawiało z największym ferworem, kiedy zasapany żydek wbiegł, prowadząc wiarusa w pełnym rynsztunku, tak, że choćby zaraz się na koni i wyruszyć na przeciwko Tatara. — A to pan Białecki — odezwał się Boruch. — Ja stoję na zawołanie pana towarzysza, o którym żydek mi mówił, że potrzebuje wiernego luzaka. — Adaś chciał coś powiedzieć, ale Boruch nie dopuścił, i go uprzedził. — Panie Białecki, oto ten pan towarzysz mnie polecił zgodzić dla niego tymczasem jednego luzaka. Już mu dałem kozaka, oto tego, co tu już stoi przy koniach, co ich dopiero u mnie kupił. Chodźże waćpan zemną do izby, zrobimy z sobą targ, i powinszuję waćpanu dobrego pana.

Niedługo z sobą rozprawiali, żyd go zgodził, a pan Śmigieński odliczył mu to, co żyd dać kazał. Wyszastał się wprawdzie ze swoich pieniędzy, tak że wojewodziński datek prawie wszystek poszedł, i pozostały przy nim te na Trzech Króli poświęcane dukaty, które mu dała babunia. Ale za to pewnie żaden towarzysz, chociażby był pańskim synem, ani dzielniejszymi końmi, ani porządniejszym rynsztunkiem, ani lepszym luzakiem nie mógł się pochwalić. Młody rycerz, uradowany swoim nabytkiem, nie żałował pieniędzy, ile że przed jego wiośnianą wyobraźnią stawiła się wojna ze wszystkimi bogactwami, jakie zapewnia zwyciężcom; a o zwycięstwie najmniejszej nie miał wątpliwości.

Pozegnał żyda, który go prosił przyjąć na pamiątkę szabaturkę z krzesiwkiem, jako rzecz potrzebną dla żołnierza. Ludziom nowo-przyjętym kazał zabrać konie i nabyte sprzęty, i iść za nim do stajni pana referendarza. Żydom baragołom oduzdne sowite opłacił, poczem ulokowawszy ludzi i konie w stajni, koło nich położył się na sianie, i ukołysany szczęśliwymi marzeniami, zasnął szczęśliwie. Wszakże jakkolwiek uczuł się być zmęczonym, nie oddał się czasowi, aż wprzód wyuczył się na pamięć aryngi, z jaką miał się nazajutrz meldować swojemu porucznikowi.

XII. Pierwsza nauka żołnierza.

Jeszcze słońce się niezupełnie wydobyło ze wschodu, a już porucznik Dunikowski przed kwaterą swoją w asystencyi pana Studzińskiego namiestnika chorągwi, a jak on sam starego wygi, i kilkunastu towarzyszy, robił przegląd koni świeżo przybyłych do chorągwi. Podczas gdy luzaki przeprowadzały ich pod baczny okiem porucznika, wszyscy towarzysze stali w głębokim milezeniu; jeden tylko namiestnik pozwalał sobie z uwagą jaką się odezwać.

Przegląd koni jest uroczystą chwilą dla kawalerzysty: było widzieć, jak krępy i zawiedły starzec z harapnika trząsał, jak badał każde poruszenie, jak sam przysiadawał prawie do ziemi, kiedy koń skakaniem objawiał swoje dzielność, jak to niekiedy dawał się słyszeć głos piorunujący: — Do kroć tysięcy diabłów, nie zrywaj! popuszczaj trzęśle, gapiu! — trutniu, nie najeżdżaj na tego co przed tobą idzie! panie Jaworski, napędź mi tego to ślamazarnika co drżemie! Panie Mozarowski, zajdź mi no waś w prawo i pilnuj, żeby mi dystansu nie tracili, bo dalej będzie groch z kapustą. Panie Otosa, a co to? śpisz, że nie widzisz, jak waścin luzak szarpie konia? natrzyj mu ucha, żeby się nauczył cierpliwości; a to przyjdzie mi oszaleć z tymi osłami! Tego konia siwego zbrakować, kolenkowaty! ten gniadosrokaty precz! leniwy, a zda się do brony; żeby to było co pocziwego. Pan Bóg by nie łatał.

Na trzydzieści koni cztery tylko zbrakował, a na każdego z nich wypalił krótką żołnierską filipikę. Z tych co je przyjął, żadnego nie pochwalił, bo myślał, że pochwała woczy psuje tak konia jak jeźdźca, ale były oznaki, po których towarzysze, co go znali na pamięć, mogli się przekonać, że stary był rad z nabytku. Bo kiedy mu się koń bardzo podobał, prawda że się z temi słowami nie wydał, ale głowę schylił w prawo i poczytywał się z jedną na drugą nogę, jak perpendykuł ściennego godziennika, albo pod nosem nucił marsz Tekelego, albo, co już było dowodem największego zadowolenia, schylał się

i mrugał do konia i uśmiechał się do niego, że kto go nie znał, musiałby się trzymać za boki od śmiechu na widok tych jego pantomin.

Tylko co się skończył przegląd, wjechał na dzielny koniu towarzysz w pełnym rynsztunku wojennym, za nim luzak także uzbrojony, a trochę opodał kozak; przy nim koń objuczony, a z drugiej strony koń luźny, równie piękny jak ten, na którym ów towarzysz siedział; był to Adam Śmigieński. Kiedy się przybliżył do porucznika, niewiadomo czy ten go poznał. Wszakże gdy się zabierał usta otworzyć, porucznik skinieniem ręki dał mu znak groźny, od niego zaraz zrozumiany, żeby zsiadł z konia; dowiedział się wtedy świeżo zaciężny towarzysz, że kiedy starszy spieszony, nie przystoi młodszemu z konia do niego przemówić, bez jego pozwolenia.

Śmigieński i jego luzak zsiadli z koni i te oddali kozakowi masztalierzowi. Towarzysz, za sobą mając luzaka, o trzy kroki stanął przed porucznikiem, prawą rękę przyłożył do misiurki, i rzekł głosem donośnym: — Nowo wpisany towarzysz do chorągwi jaśnie wielmożnego Stanisława Mateusza Rzewuskiego referendarza wielkiego koronnego, Adam Śmigieński herbu Łodzia, szlachcie z województwa Poznańskiego, z jednym luzakiem i trzema końmi melduje swoje przybycie do chorągwi jęj porucznikowi i stawia się we wszelkiej gotowości do spełnienia jego rozkazów. — Pan porucznik zdjął czapkę, toż i towarzystwo. Poczém włożył ją znowu na głowę.

Wpatrzył się chwil kilka w towarzysza, potem w jego konie i odezwał się w te słowa: — Winszuję waszmości stopnia, na którym stanąłeś do rozpoczęcia zawodu rycerskiego. Najznakomitsi nasi hetmani od tego zaczynali. Co do mnie, nie byłem podobnie szczęśliwy, bo długo byłem luzakiem, nim dobiłem się tego stopnia. Staraj się waszmość tak postępować, ażeby można było chorągwi powinszować kolegi. — Będę się starał. — Spodziewam się tego, mości towarzyszu. Waszmości konie wierzchowe są mi znane. Ten sobolowaty, na którym dopiero zajechałeś, jeszcze wczoraj był u Borucha liweranta, a ten drugi kary jest darem naszego rotmistrza. Później się dowiemy, na co one się przydadzą pod ręką waszmości. Mości namiestniku, polecam waszmości tego nowozaciężnego towarzysza. Wczoraj u naszego rotmistrza miał zaszczyt z nami się znajdować i słyszałeś, jak on mi go zalecał. Już umie syllabizować na elementarzu rycerskim; waszmość mnie pomożesz nauczyć go czytać. Niewiele mu do tego pozostaje czasu, ale od czego nasza gorliwość, a jego ochota? Mości panie towarzyszu Śmigieński; oto są ci panowie, z którymi oddad masz kolegować. Upraszam waszmościów o przyjaźń dla nowego kolegi, żebyście jako starsi wiekiem, po ojcowsku napominali jego młodość, a tém nam pomogli tak go nastroić, żeby z niego była pociecha, najprzód dla naszej chorągwi, a potem dla ca-

tego kraju. Tuszę, że z wdzięcznością ulegać będzie naszym rozkazom a waszym napomnieniom. Bo krnąbrny a zadufany w swoje widzimsię, nie zagrzeje u nas kąta; a na jakie sto djabłów onby się nam przydał? Z rozkazu naczelnego dowódcy przed samem południem, podajemy w naszym marszu. I do tego jesteśmy gotowi. A te gośdymy in gratiam nowego koleżeństwa, te oblewania pancerza, na późniejszy czas odłożyć; będzie po temu pora, jak Tatarzynów wymłócim. Tu czasu nie ma do marnowania. Nie pozostaje mi jak tylko zaproś się pana Śmigieńskiego do przysięgi. Mości panie Jaworski, ruszaj wasć za kapelanem, żeby jęj wysłuchał w naszej przytomności.

Miedzy wyprawieniem towarzysza, a jego powrotem z księdzem, czas był krótki; jednak i w nim porucznik nie próżnował, ale wziął się do Białeckiego. Doświadczony luzak musiał się na konia, robić szablą, i obracać się na komenderówkę. Nie pochwalił go porucznik, ale był wiele zadowolony, bo nie ganił, a ciągle mrugał na namiestnika muskając wasa.

Wyniesiono stół na podwórze, ksiądz przybył z mszałem, otworzył go i położył na stole, a na mszale wizerunek męki Zbawiciela i wdział na się komżę. Za rozkazem pana Dunikowskiego, Śmigieński dobył z pochwy szablę złożył po pod mszał. Kapelan czytał rotę, porucznik i towarzysze trzymali dobyte szable nad jego głową, a Śmigieński kłęcząc, prawą ręką dotykając się słów Chrystusa, powtarzał za kapelanem przysięgę na wierność królowi i na posłuszeństwo tym, co od-
tąd w imieniu jego będą mu dawać rozkazy. Po odbytej przysiędze, ksiądz, Śmigieński, porucznik i wszyscy towarzysze zebrani na ten obrzęd, ucałowali krzyż i mszał, a dopiero porucznik kilka słów przemówił do nowego towarzysza, oddając mu szablę, i ucałował go na znak koleżeństwa, co powtórzyli z kolei wszyscy towarzysze.

Poczém rzekł: — Mości panie Śmigieński, siadź wasć na konia, nie wstydz się, a pokaż przed nami co umiesz. — Luzak podał konia, Śmigieński siadł na niego tempem żołnierskiem, dobył pałasza, i zaczął nim robić, zażywając konia. Dziwił się porucznik zwinności i zgrabności młodzieńca, nie jednak nie mówił; ale Studziński nie mógł wytrzymać i odezwał się do porucznika: — Stary towarzysz lepiej nie prowadzi konia, ani szablą lepiej nie dokaże. — Nie psuj mi chłopca, — odrzekł porucznik. — Pochwała na lepsze starego nie doprowadzi, a młodego w niwecz obróci. — Potém rzekł głośnie: — Mości panie Śmigieński, mogłoby być jeszcze lepiej, a teraz waszmość przyjmiesz odemnie pierwszą naukę użycia proporca. Waszmość się później przekonasz; proporzec w jeździe jest tém, czém sól w kuchni; ale wprzód muszę wasci pokazać, jak nim robi już nauczony. Hej! wprawdzie mi mojego wilezatego i przynieść dwa proporce. A państwo pozwolicie mi wziąć na siebie coś więcej wojskowego. Bo jak

wam wiadomo, nie jest w moim obyczaju w kapocie pokazywać się na koniu. A waść, mości panie Śmigiełski, zleż z konia, niech sobie wytehnje, pokąd znówu na niego nie sądziesz. — Śmigiełski się spieszył, a swojemu kozakowi rozkazał stępą przeprowadzać spoconego konia; troskliwość może zbyteczna, gdyż kozak samby się tego domyslił, ale która nie uszła uwagi starego.

Stary poszedł do izby, a Adam zabierał ścisłą znajomość z kolegami, którym już się wielce podobał i przez piękność swoich koni, i przez własną swoją zgrabność. Bo kto na koniu dobrze siedzi i po mistrzowsku robi szablę, ten może być pewny, że współczucie jakieś obudzi u ludzi. Koń poręcznika rychło stanął we wszelkiej gotowości, i on sam pokazał się jakby okuty w błyszczącą stal. Luzak podał mu konia i poręczec. On wziął cugle, stanął na strzemieniu, podniósł się na nim, prawą piętę zrównał z lewą, stał wyprostowany kilka sekund, przeniósł poręczec na prawą stronę konia, spuszczaając go lekko do ziemi. Poczem zarzucił nogę przez kulbakę, podniósł poręczec w płask, tak że grot o cztery cale przeniósł ucho rumaka. Na wstępie koń posłuszny podskoczył, i pod cuglem doświadczonego jeźdźca zaczął obchodzić, a później obiegać szerokie koło. Już Adam podziwiał rześkość, z jaką starzec obracał konia, ale w prawdziwym był zachwyceniu, kiedy się wziął do poręca. To w prawo, to w lewo kierował konia w biegu. Jak mistrz z klawiszów wprawną ręką wydobywa zgododźwięczne tony, tak on niewidomie grając po cuglach wydobywał z konia rozmaite poruszenia, obracając poręczem jakby lekkim piórkiem. Chorągiewka takbiegała, że jej okiem nie można było dosięgnąć; zdawało się że jednocześnie w kilku miejscach się znajduje, że jej grot wszystkie części i jeźdźca i konia razem zasłania, a że chorągiewka była pół biała a pół pasowa, zdawało się czasem, że nad głową jeźdźca wianek ognisty wiruje. Naostatek obrócił ostrze do ataku, ścisnął konia ostrogami, przypuścił go co mógł wyskoczyć prosto na Adama, w tym pędzie wysunął grot nie więcej jak o kilka cali od jego piersi, wstrzymał wiatronogiego rumaka na miejscu, osadził go, i stanął jak skamieniały. Na tém skończył swój popis. Zsiadł z konia i pieszo zbliżył się do towarzyszy.

A obracając się do Śmigiełskiego rzekł: — Waszmość widziałeś, jak się powinno robić poręczem. Teraz dam mu pierwszą naukę, którą przyjmiesz pieszy. Jest to prawidło, które przestrzegam, żeby kawalerzysta podemną służący na koniu powtarzał to, czego się nauczył będąc spieszonym. Dobry kawalerzysta winien umieć maszerować jak piechur. Pan Bóg dał jeźdźcowi własne nogi, wprzód niż konia. Służba piesza zatem jest pokład, a na nim dopiero ma się wzniesć służba konna. Jak waszmość trochę w chorągwi podstarzejesz, sam się

o tém przekonasz. Teraz waszmość patrz na mnie, i na mój rozkaz powtarzaj wszystko co mu powiem. —

Rozpoczął więc uczyć młodzieńca obrotów tego oręża, każde poruszenie tłumacząc z największą cierpliwością; a uczeń to wszystko naśladował, co mu nauczyciel pokazywał. Poręcznik w duchu podziwiał pojętność Adasia, tak iż, co mu się dotąd nie zdarzyło, w tej pierwszej nauce ani razu się nie ułomił. Owszem widoczne okazywał zadowolenie, że co tylko mu pokaże, ten nie myląc się, na jego rozkaz zaraz wykonywał. Ale było widzieć poręcznika, kiedy młodzieńiec, dorwawszy się konia, zaczął na nim skutecznie to, czego dopiero się nauczył pieszy. Jak go on z oka nie spuszczaając, milczał, ale z jednej na drugą nogę przechylał się; jak emokał, jak głaskał sobie wąsa, jak się bił po podgolonej czuprynie. Nakoniec nie mógł wytrzymać, obrócił się do stojącego zawsze obok siebie namiestnika Studzińskiego, i powiedział mu: „A co powiesz na to? tać to lichy wyrodziło się na kawalerzystę! Patrz, co dokazuje, a jeszcze nie zarasta. Żeby sobie przypisał szpakowate wąsy, myślałby kto, że to jest towarzysz „z Zygmuntońskich czasów, który nie uczy się, a przypomina sobie „to, co kiedyś już umiał. Wczoraj, jak mi go rotmistrz pokazał, krzywiłem się, a teraz ze wstydem przyjdzie za niego jemu podziękować; „a co to jeszcze z niego zrobimy?“

Przed południem, stosownie do rozkazów wodza, wojsko wyruszyło ku swemu przeznaczeniu. Pochód był powolny, bo referendarz oczekiwał różne oddziały komputowych wojsk, milicij obywatelskich i szlachty, żeby ile możności w poważnej sile mógł się złączyć z ojcem swoim pod Barem w oszańcowanym obozie, z którego nie śmiał wyruszyć przed kilka razy silniejszym nieprzyjacielem. Jakoż w samą rzecz, z różnych stron w ciągu pochodu przybywały posiłki. A co go najwięcej pocieszyło, ledwo wyruszył z Kuźmina, spotkał się z ciągnącą ku nim z Podola chorągwią jasnie wielkopo-go Potockiego, wojewody Poznańskiego, złożoną z samych Wielkopolanów, po większej części obywatelskich synów, a prowadzoną przez poręcznika Dunina ze Skrzynny, jednego z najdzielniejszych i najdoświadczeńszych wojaków kawalerii narodowej. Ta chorągiew była dobrze pokrytą, liczyła przeszło czterdzieści towarzyszy, a do półtorasta szeregowych luzaków, dobrze obeznanych z powinnością swoją. Cieszył się referendarz jej przybyciem, a Adaś jeszcze więcej, gdy w niej przywitał obudwóch braci Zosi, którzy go uściskali jakby rodzzonego brata. Ale co referendarza najwięcej uszczęśliwiło, to że książę Zborowski wyprawił do niego sześć armat z całą służbą do nich niezbędną, pod dowództwem Arewingla Sasa, świeżo przybyłego do Polski, doświadczonego w kunsztach artyleryjskim, który był referendarzowi znany i wielce od niego szacowany.

Adaś kochał Zosię nad życie, ale nie nad swoją powinność, i dał tego dowód w ciągu tego pochodu. Bo ile razy wojsko się zatrzymywało dla dniego, lub nocego wypoczynku, jakkolwiek koreciło go o Krotoszynie mówić z wojewodzącami, tyle był mężnym, że umiał ich unikać, aby się coraz więcej doskonalić w zawodzie jakiemu się oddał. Nauczanie Dunikowskiego nie przerywało się w tym pochodzie, a po przyjętej nauce młody rycerz ani swobodzie, ani spoczynkowi siebie nie oddawał: niezmordowany, chyba w nocy krótkim snem po-krzepiał członki spracowane, bo sam powtarzał na koniu te nauki, które odbierał od swojego porucznika. Po kilku dniach tak się obeznał doskonale ze szkołą żołnierza i plutonu, a proporcem robił, jakby najdzielniejszy towarzysz jego chorągwi. Co chwila wzrastał w ufność i łaskę starego Dunikowskiego, co nawet nieco zazdrości pobudzało w jego zasłużonych kolegach. Często obijały się o uszy młodzieńca te słowa: „Taś to zgrabne chłopię, nie ma co mówić, ale obaczmy jak „to się pokaże z szablą i proporcem, kiedy wypadnie nacierać na takie „go, co ma także szablę, a do tego i broń ognistą“. Podobne gadania wielce go bodły. Niejeden terażniejszy nasz obywatel nie oczekuje upokorzenia swojego sąsiada z taką niecierpliwością, z jaką Adaś wyglądał pierwszej potyczki z nieprzyjacielem.

XIII. Działania wojenne.

Wiadomo było wojsku, że Michał Floryan Rzewuski stał pod Barem, wyglądając posiłków, które mu pozwoliły działać zaczepnie. Tatarzy często napadali na jego obóz, aby go z niego wyparować, ale stary i doświadczony wódz, należycie oszańcowany, zawsze ich odpierał, a z obozu nie wychodził. Tylko wysłał podjazdy na hare, dla ścierania się z nieprzyjacielem i dla wzwyżajania ich do potyczek. Han krymski, który osobiście dowodził tatarskim tłumem, powziawszy wiadomość, że referendarz koronny postępuje, wysłał oddziały, dla zawiadomienia się o każdym jego poruszeniu, gdyż o nie tyle mu nie chodziło, jak żeby uprzedzić jego połączenie się z obozem ojca.

Te oddziały płałdowały po województwie Bracławskiem, coraz dalej się posuwając. Wszystkie wsie w około Baru okrutny han oddał na pastwę płomieni, ażali podskarbi, ubodzony nieszczęściem ziomków, nie zwinie obozu, żeby się z nim nakoniec potykać. Wszystko to było napróżno. Uparty starzec dotrwał statecznie w raz powziętym zamiarze, trzymać się odpornie aż do przybycia syna. I surową karnością wstrzymywał niecierpliwy zapęd swojego rycerstwa, które gwałtem domagało się bitwy stanowczej.

Han, nie mogąc przepierać nieugiętego w powziętym zamiarze przeciwnika, nie poprzestał na wysłaniu cząstkowych oddziałów przeciw

ciągnącym posiłkom polskim, ale kilka tysięcy żołnierzy odłączył od swojego wojska, i te powierzył swojemu synowi z rozkazem, żeby zastąpił drogę nieprzyjacielowi, aby przynajmniej przez dni kilka go zatrzymać w pochodzie, bo był się dowiedział, że już niedostatek żywności dawał się czuć nieco w obozie podskarbiego. Wszakże zalecił najsurowiej, żeby stanowczej bitwy unikał z rycerstwem walecznym, a prowadzonym przez wodza, którego ze swoją własną szkoda niejednokrotnie doświadczył biegłości w sztuce wojennej.

Tatarzy i Polacy, coraz zbliżając się ku sobie, nakoniec siebie spostrzegli. Zaczęły się harce; na jednym z nich udało się Adasiowi wziąć w niewolę jednego murzę z orszaku syna hana. Tego Dunikowski kazał natychmiast powiesić, żeby marszu nie obciążać jeńcami. Młody Śmigieński czynem swoim zamknął gębę zawistnym kolegom, a porucznika tak zobowiązał, że odtąd najważniejsze posterunki jemu powierzał.

Już wojsko referendarza było tylko o jeden dzień sporego marszu od obozu oblężonego przez hana, kiedy nadechodząca noc zatrzymała go do spoczynku. Stanął więc w silnej pozycji, a posterunki były porozstawiane. Nad przedniemi miał baczność Dunikowski, od lewego skrzydła placówki były powierzone Duninowi, prawa strona, jako najbezpieczniejsza, bo nie było podobieństwa, żeby Tatarzy ją napasać mogli, została poręczoną chorągwi pospolitego ruszenia powiatu Krzemienieckiego, złożonej ze szlachty walecznej, wszakże mniej doświadczonej niż komputowe wojsko, a który przewodził Leduchowski, podkomorzy Krzemieniecki, mąż dojrzały i który miał szczęście pod Strygonią zasłużyć na pochwałę króla Jana.

Wszystcy z biciem serca wyglądali chwili już rychło nadejść mającej, w której się połączą z oblężonymi kolegami, i z nimi sławę podzielać będą. Ogniska rozpalone wśród ciemnej i głuchej nocy tworzyły malowniczy widok. Ufne w baczność posterunków rycerstwo oddało się snowi. Sam wódz w pełnej odzieży, przy obozowym ognisku już słodkim wezasem pochrębiał znużone członki, kiedy raptownie przebudzonym został od Adasia, który zadyszany przybiegł z posterunku. — Co mi waś powiesz? — rzekł wódz roztwierając ramiona. — Jaśnie wielmożny panie, przylatuję z posterunku najdalej od naszego obozu posuniętego. Już obudziłem mojego porucznika, żeby się jemu opowiedzieć stosownie do jego rozkazu, ale zakorciło mnie jaśnie opowiedzieć panu toż samo powtórzyć. — Mów. — Oto udało mi się wiemożnemu panu toż samo powtórzyć. — Mów. — Oto udało mi się schwycić Tatarzyna, który się na mnie natknął; dałem mu po łbie tylcem od proporca, że powalił się o ziemię, ale go kazałem jakoś otrzeźwić i mogłem go wziąć na konfessatę. Jaśnie wielmożny panie, to nie garść najeźdźców, ale kilkotysięczny oddział do nas się zbliża, i syn hana go prowadzi. Przed świtem on na nas napadnie, na to daję

moją głowę. — Zerwał się referendarz z pościeli, i kazał zwołać starszy na radę, a Dunikowski już za swoim towarzyszem przybiegł. Rada trwała krótko. Referendarz powiedział: — Oczywiście oni chcą nas odepechnąć od obozu barskiego, i w tym celu przed rozświetem nas przywitają. Nie pozostaje nam, jak tylko ich uprzedzić, i to jak najśpieszniej! Panowie dowódcy chorągwi i oddziałów, zaraz mi zwinąć obóz, i wystąpić w porządku bojowym. Na koni bracia! A waść, mości panie Śmigiełski, czego stoisz jak posag? ruszaj na swoje miejsce!

— Jasnie wielmożny panie — rzekł Śmigiełski — czy wolno mi przełożyć jedną radę, która nam da niewątpliwe zwycięstwo? — Mości towarzyszu, od kilku dni służysz, a już chcesz dawać rady. Wszakże słucham; powiedz nam, coś tak mądrego obmyślił? — Mój luzak całą tę okolicę zna na pamięć; bierze na siebie, że przeprowadzi oddział naszego wojska między Tatarami a gościncem od Baru. Niech mi jasnie wielmożny pan powierzy kilkadziesiąt Kozaków ordynacyi ostrogskiej, ale takich, których sam wybiorę, i z nimi jedną śmigownicę, a ja zajdę im za kołnierz. — I cóż z tego będzie? — Prosta rzecz; oni się będą ucierać z jasnie wielmożnym panem, jasnie wielmożny pan niech z nimi majaczy, nawet niech się niby cofa przed nimi, żeby ich lepiej zachęcić. A jak ja im zajdę w tył, i przywitam ich śmigownicą, im się zdać będzie, że jasnie wielmożnemu podskarbiemu udało się wyjść z obozu i że to jego napad. Wśród tak ciemnej nocy, strach ma wielkie oczy. Zaraz im się pomieszają szyki. A jak jasnie wielmożny pan na głos mojej śmigownicy na nich żywo natrzesz, nie dając im się opamiętać, to my tego licha nabierzem, że nie będzie gdzie podziąć. — Co mówisz, Dunikosiu? myśl niezła, ale czy ją potrafi wykonać? Bo już ci oni muszą mieć boczne placówki. A jak ich zastanie przygotowanych, i oddział kaduk spiska, i śmigownica przepadnie. — O placówki można być spokojnym — odpowiedział porucznik. — Służyłem i z Turkami i przeciwko Turkom, wiem z doświadczenia, i jasnie wielmożny pan to lepiej jeszcze wiesz, że bisurman, chociaż w boju bywa straszny, zbytnią ostrożnością nie grzeszy, a Tatar za Turkem niewart dery nosić. Jeżeliby się udało tak przedrzeć manowcami, by stanąć za nimi, i to póki ciemno, bez wątpienia możnaby im nawarzyć piwka. Ale czy się to uda? W tym sęk! Wedle mojego zdania projekt dobry, ale chociażbym ciężko zgrzeszył, gdybym na każde wezwanie nie przyniósł świadectwa panu Śmigiełskiemu, że zawsze swoją powinność wypełnia, on mi wybaczy, kiedy powiem otwarcie, że oddać działa i ludzi do wiernych rąk młodzieniaszka, jest to grać w grę zbyt hazardowną. Młodość nie będąc doświadczoną, tém jest pochopna do zarozumiałości. — Ale jest szczęśliwa — odrzekł referendarz, — a na wojnie szczęście

więcej działa niż doświadczenie. — Moja rada, jasnie wielmożny panie, byłaby, dodać mu jakiego towarzysza statecznego, któryby miał oko nań, i dojrzał roztropnością mitygował uniesienia młodości. — O nie, Dunikosiu, na to nie ma zgody. Można odrzucić jego projekt, ale raz go przyjąwszy, niech ten wykonywa co go obmyślił, niech sam bierze na siebie odpowiedzialność. Panie Śmigiełski, a wiesz to waść, że jeżeli utracisz śmigownicę, i nas zawiedziesz w ufności co ją pokładamy w waścinę obietnicy, to gardłowa sprawa? — Poddaję się dobrowolnie pod najostrzejszą karę, jeżeli nie dotrzymam mojej obietnicy. Napadnę z tyłu na Tatarów, a jeżeli tego nie dokażę, niech mnie jasnie wielmożny pan każe powiesić jak najpodlejszego zdrajcę. Ja czuję pewność, że to co powiedziałem, do joty musi się spełnić. Najdalej za parę godzin państwo usłyszycie, jak moja śmigownica będzie wrzeszczeć od strony Baru. — Ruszajże waszmość w imię przenajświętszej Trójcy! Mości Dunikowski, wypraw go waszmość ze śmigownicą, i z tém wszystkém co do niej potrzeba, i niech sobie wybierze stu kozaków ordynackich, kiedy w nich taką pokłada wiarę. Co do mnie, wierzę w młodzieńcze instynkta; mniej od nas grzeszył, więc być może przysposobionym do natchnień. A potem, o czém możesz nie wiedział, poruczniku, ma koci wzrok; w najciemniejszej nocy umie rozpoznawać przedmioty.

Dunikowski wyprawił Adasia z tém wszystkiém, co tylko zażądał, i nie omieszkał na drogę dodać mu kilka nauk. Poczém powrócił do swojej chorągwi; ta była w zupełnej gotowości. Śpiew Boga-Rodzicy dał się usłyszeć ze wszystkich szeregów, poczem wyruszyło rycerstwo w największym mileniu.

Oddzielił się więc Śmigiełski ze swoim poczem; za nim śmigownica, ciągniona przez ośm koni, w asystencyi dwóch pulwerkarów parokonnych. Białecki postępował obok niego, bo mu o krok nie pozwalał się oddalać od siebie i nie bez przyczyny. Noc, jak się rzekło, była nadzwyczaj ciemna, gdyż pomimo że księżyc nie było na widokresie, gęste chmury rozpostarte po nad górnym sklepieniem nie przepuszczały nawet mdłego światła gwiazd. Szli po pod lasem, dziś po większej części wytrzebionym, tak dalece, że niezmierzone niwy pszenicy zasiane tam się rozlegają, gdzie wprzód utrudzały nawet pieszego wędrowca niebotyczne dęby i krzaczyste klony. Ale wtedy głęboka puszcza ciągnęła się bez przerwy od Janowa aż do bliskości Baru; w jego okolicach dopiero się odkrywały żyzne stepy, ubarwione gdzie niegdzie futorami.

Białecki ciągle się schylał, zasłaniając czoło prawą ręką, ażali czego nie dojrzy. Nakoniec odezwał się: — Panie towarzyszu, niedaleko jest droga, nienajwygodniejsza, ale przez nią jednak śmigownica się przedrze; ja to biorę na siebie. Ta drożyna prowadzi do

wioski budowniczej, nazwanej Magdankiem, a ztamtąd robi się coraz szerszą, póki na czyste pole nie wyprowadzi. — Gdzież jest ta droga? — Niedaleko od nas, tylko że w tej ciemności chyba omackiem na nią natrafisz. Niech mi pan pozwoli zsiąść z konia. — Ani mi się waży; ja ją widzę przed sobą, choć ciemno. Wybaczaj, mego boku tobie nie pozwolę opuszczać, to na próżno. Idzie o moje gardło. Jeżeli mi skrewisz, wypalę tobie w łeb jak psu. Tyle przynajmniej mego, że na tamten świat mnie wyprzedzisz, i tam mi kwatery zapiszesz, bo niedługo na mnie będziesz czekał. — A! jak pan towarzysz podejrzliwy! ale nie mogę pana obwiniać. Daremna rzecz, pan nie miałeś czasu poznać Białeckiego. Panie, zdaje mi się, że na lewo jakaś droga się pokazuje. — At, pleciesz, jakbyś miał kurzą ślepotę. Po lewej stronie las i tylko las. Ale przed nami w prawo coś mi się miga. Poczekaj... tak... nie inaczej, coś podobnego do krzyża. — Ach! co pan mówisz? jesteśmy w domu, o kilkanaście kroków za tym krzyżem w lewo wychodzi droga. Chwała Jezusowi i przeczystej Jego Matce. — Tul się do mnie, Bialesiu; ja widzę po ciemku, jak ty w dzień. — W samą rzecz weszli naleśną drogę, nieszeroką wprawdzie, ale po której śmigownica dała się prowadzić.

Postępował młody wódz bezpieczniej, ale zawsze przezorny, nie wypuszczał Białeckiego od swojego boku. Deszcz zaczął kropić coraz silniej. Kozactwo się nieco strwożyło. — To zły znak — odzywał się. — At, gapie — krzyknął Śmigieński — żadnego między wami nie ma starego, któryby was nauczył rozpoznawać wieszczby. Otóż ja młody muszę was nauczyć. że kiedy na początku wyprawy zrywa się deszcz, coś dobrego musi się wyrodzić. Jąbym drogo zapłacił za tę ulewę, a wy nie chcecie przyjąć tego, co Bóg darmo wam daje. — Prawdę pan mówisz — odrzekło kozactwo — my prosili nie zrozumieli wróżby. Nasz ataman tylko te rzeczy wie, ale słabuje w Ostrogu, że nie mógł z nami pójść. Pan, co tego się uczyłeś i umiesz na pamięć, gdyby tu był nasz ataman, nagadali byście się z sobą. — Instynktem Śmigieński poznał geniusz kozacki nadto poetyczny, żeby oschle rozumowanie mogło jakie wpływy na nim wywierać, a który, jak wszystkich czerstwych narodów, kieruje się fantazją, wierzy w sny, wróżby, czary, przecucia, i pewniejsze w nich znajduje przewodnictwo, niż te strupiejsze umysły przegniłych narodów w swoich logicznych wywodach. Śmigieńskiego wróżba tak dalece trafiła do przekonania kozaków, że przestali wątpić o pomyślnym skutku wyprawy (*).

(*) Jeden jegomość z naszych stron, niby czytany, w mojej przytomności odezwał się z następnym zdaniem: Niczemna nie wierzę, tylko temu, o czém mnie mój rozum przekonywa. Biedny człowiek, nie rozumiał że właśnie najgłówniejszą cechą nieuleczonego głupstwa, jest wierzyć tylko w swój rozum.

Śmigieński, zawsze przezorny, krzyknął na kozaków: — Młodecy, dopilnujcie żeby pozakrywać pulwerkary, bo tylko dla nich deszcz niepotrzebny. — Rozkaz piorunem wykonany został. — To sokół, choć młody; zna on swoją rzecz — odzywali się kozacy jeden do drugiego. — A jak on nam dobrze wytłómaczył, że deszcz to nam na szczęście. Pod takim nie żał wojować; niewiele mu podobnych znajdziesz nawet między narodowcami. — Jednym słowem szczęśliwie rzuconem żywił ich ufność.

Szli jeszcze jakie półgodziny, kiedy światła zaczęły się migać przed ich oczyma. — A to Magdanek — krzyknął uradowany Białecki. — W samą rzecz wkrótce ogień okurzelisk, niezupełnie deszczem zagaszonych, dał im widzieć rozsypane po lesie chałupy. Stanęli pod karczemką wiejską. Śmigieński stuknął proporcem w okienko nie zsiadając z konia. Drżący z bojaźni żydek, gwałtownie przebudzony, wyszedł na podwórek. Uspokoił go towarzysza. — Nie bój się — rzekł do niego — ja nie Tatar, nie rozbójnik, a swój. — Po czém wypytał go o drogę i mógł się z odpowiedzi żyda przekonać, że Białecki jak najlepiej ich prowadził. Niedługo się zatrzymał, kazał żydowi wynieść gorzałkę, za którą gotowym groszem zapłacił, każdemu wojakowi po półkwatki dostało się rzeźwiącego napoju, czém do reszty przywiązał ich do siebie, i po krótkim wytchnieniu z nimi dalej poszedł.

Jakaż była jego radość, kiedy coraz szerszą drogą postępując, wyszedł nakoniec z lasu, i otwartym polem mógł się posuwać; wkrótce dostał się na wielki trakt od Bara. Już był pewnym, że mu się udało wziąć tył nieostrożnym najezdnikom. Postępował w najgłębszej ciemności, giejtując armatę, przy której gospodarował Wład, doświadczony artylerzysta. Jeszcze przeszedł paręset kroków już wielkim gościńcem, w tém zdało mu się, że od prawej strony na przodzie coś miga. Stanął na miejscu, a jeden stary kozak, stosownie do ich obyczaju, wysunął siebie o kilkanaście kroków i zarżał jak koń. Na ten odgłos z przodu dało się słyszeć rzenie kilku koni. Już tedy nie było wątpliwości, że tylko mała przestrzeń przedzielała ich od Tatarów.

Młody wódz śmigownię posunął naprzód, bo jakkolwiek noc była ciemna, ostrym swoim wzrokiem poznał tabor tatarski. Nie więcej jak o sto kroków od niego kazał dać ognia. Z niewypowiedzianą szybkością Wład powtarzał palbę; sześć razy udało mu się z niej wystrzelić, a każdy raz szczęśliwie, nim tylna straż Tatarów, pilnująca taboru, siadła na koni. Ale strach nie dopuścił jęj uszykować się w porządku, zwłaszcza kiedy jeszcze nierównie silniejszy huk działowy dał się opodal słyszeć z przodu, gdzie syn hana miał napaść nareferendarza, i obiecywał swoim przed kilkoma dniami niezawodne zwycięstwo. Wtenczas taki popłoch napadł na Tatarów, że co prędzej

w lewo uciekać zaczęli bez żadnego porządku, i odrzekli się swojego taboru, który tym sposobem dostał się w ręce naszego bohatera.

Zostawuję naszym Żominim opisanie strategiczne tej bitwy, która w owym dniu powiodła się referendarzowi, gdyż lubo ona pierwszowzględnie nienajwiększe przyniosła może korzyści, ale to pewna, że była przedwstępem stanowczej wygranej pod Jazłowcem, która cios śmiertelny zadała Nohajcom, tak dalece, że odtąd nigdy już się nie pokusili napadać na dzierżawy Rzeczypospolitej, i że była podstawą przyszłej wielkości Adama Śmigielskiego. To przytaczam, co zdołałem zachwycić z podań familijnych, nieco opylonych kurzawą czasu i lekkawaniem sławy wielkich przodków przez niniejsze pokolenie.

Dodam tylko, że wszystko co zapowiedział Śmigielski spełniło się. Referendarz trzymał się odpornie przewidzianemu napadowi, ale za ledwo usłyszał głos śmigownicy od strony Baru, uczynił ogólny atak na nieprzyjaciela. Ten nie dotrzymał, bo syn hana, tak jak jego tylna straż, wnioskując że podskarbi koronny siedzi mu na tyle, już nie miał tyle ducha, żeby go aż przelać w swoje żołnierstwo; wszystko uciekać zaczęło, nie ku Barowi, którego drogę owszem odkryli, ale w różne inne strony. Noc była tak ciemna, że nie było sposobu ich ścisnąć. Dopiero zaczęły się pokazywać pierwsze brzaski dzienne, kiedy referendarz, postępując przed sobą, przy taborze opuszczonym przez Tatarów złączył się z walecznym Adasiem.

Wszakże nie można powiedzieć, żeby nie było trofeów zwycięstwa. Wprawdzie ledwo kilku niewolników wzięto, ale w taborze nasi znaleźli mnóstwo zrabowanych sprzętów, amunicji polowej, koni luźnych, a nawet kilka koni wielce szacownych syna hana. A co więcej, już była jakaś pewność, że obóz podskarbiego od oblężenia może być oswobodzony. Referendarz ze łzami radości uściskał Śmigielskiego. A co dziwniejsza, Dunikowski odezwał się do naczelnego dowódcy: — Jasnie wielmożny panie, drugi namiestnik jest potrzebny dla naszej chorągwi; inne mają ich po dwóch, a nasza, choć więcej od nich pokryta, na jednym musi poprzestać. Co dzień więcej się przekonuję, że dla Studzińskiego zanadto pracy. Pan sam to zauważałeś; ja jeden śmiałem dotąd się temu opierać. A dziś sam proszę, żeby jasnie wielmożny pan raczył Śmigielskiego postąpić na ten stopień. Po tem co dokazał, nie ma u mnie ani jednego towarzysza, coby się nie poddał chętnie pod jego rozkazy. — Na co sprawiedliwy rotmistrz chętnie przyzwolił.

XIV. Obóz pod Barem.

Zostawmy na czas uradowanych zwycięzców, a przenieśmy się do niezbyt oddalonego obozu pod Barem. Z pierwszego rzutu oka można

było uważać, że doświadczony wódz w nim rozkazuje. Obóz był osadzony na pagórku, w widłach między dwiema rzeczkami pod samem miastem, opuszczonem od mieszkańców, a nad którym się wznosił zamek obronny, już nie mający żadnej łączności z obozem; ale w nim waleczny Tyrawski z kilkudziesięcią żołnierzami autoramentu zagranicznego i tyłaż szlachty podolskiej wytrzymywał oblężenie. Obojętny na wszystkie pogroźki hana, postanowił sobie przedź wysadzić siebie na powietrze, niżeli zamek poddać nieprzyjacielowi. Jeżeli jaki Tatar pokazał się blisko zamku, wnet był przywitany wystrzałem. Sam robił sobie miłą zabawę z myśliwskiej strzelby lotkami do Tatarów strzelać, a nigdy celu nie chybił. Już potem Tatarzy nie przybliżali się na wystrzał, tylko opodal okrażali go, pilnując ażeby nikt do zamku się nie przedarł. Sam obóz był oszańcowany stosownie do wszystkich prawideł kastrametacyi. Składał obszerną redutę z czterema głównymi bastyonami po kątach, opatrzonemi w działa; a były jeszcze środkowe bastiony, broniące przystępu każdemu, coby się pokusił przybliżyć do wału. Załoga ciągle była zatrudniona, bądź służbą niezbędną, bądź na pozór mniej potrzebnymi ćwiczeniami wojskowemi, którym wódz nie robił przerwy, żeby męcząc żołnierza, nie dawać mu czasu do zastanowienia się nad swoim przykrém położeniem. W dzień pozwalał żołnierzom z kolei odpoczywać, a w nocy nierównie mniej wczasu używali, bo ciągle prawdziwe lub kłamane alarmy na wodzy ich trzymały.

Han kilkakrotnie napadał na obóz, ale zawsze z jakąś stratą był odparty, bo armaty swoją powinność wypełniały. Po odpartym napadzie, jazda obozowa robiła wycieczki, często szczęśliwe, a nigdy przynajmniej nie wracała bez jakiejś zdobyczy. Han przekonawszy się, że nie ma podobieństwa gwałtem opanować obóz, broniony przez dzielne rycerstwo, odmienił swój plan i postanowił odtąd nie narażać swoich ludzi, ale tylko z pilnością oblegać oszańcowane wojsko, pochlebiając sobie nie bez słuszności, że głód zmusi załogę do poddania się, albo przynajmniej do ogólnej wycieczki, dla spotkania się w otwartym polu z siłą o kilka razy potężniejszą. Od chwili jak han zaniechał napadów, podskarbi zaprzestał robić wycieczki, i pod najsroższą odpowiedzialnością zabronił wychodzić z obozu.

Pokąd bywały zaczepki i odpory, póty rycerstwo było cierpliwse. Ale bezczynność, przy zmniejszeniu dzienniej żywności, zwłaszcza dla młodzieży wydawała się być nieznośną. Coraz głośniej zaczęto się domagać od wodzów, żeby racyli wojsko wyprowadzić do stanowczej bitwy; ale podskarbi koniec położył tym głośnym wymaganiom, gdy oświadczył zebranemu wojsku, że tak postąpi, jak mu się podoba; że rady nieproszone i wszelkie szemranie odtąd uważać będzie za bunt

i zdradę, i że bez względu na stopień i urodzenie, każdy co ich się dopuści, na gardle zostanie ukaranym.

Noc była ciemna, deszcz kropił. Dwóch młodych towarzyszków chorągwi hetmańskiej, Kurowski i Obrąpalski, obwinieci w burkach siedli na przemokłej ziemi. Z rozkazu swojego pułkownika (*) całą noc musieli mieć bacność nad wydzielonym im wałem, ażeby służba obozowa się wypełniała. Już byli obiegli swój posterunek, siedli więc na czas z początku w milczeniu, poczem Obrąpalski odezwał się pierwszy.

— Cóż na to powiesz, kolego? zamknięci jesteśmy, jak czyżyki w klatce. Otóż to wpaść w ręce Kunktatora. Trzyma nas na uwięzi, póki co do nogi nas wszystkich głodem nie wymorzy. Czyż nie lepiej zginąć od żelaza, niż doczekać się, aż nędza wyparuje duszę z ciała? Czy sto djabłów zjadł ten dziad, że mając ludzi, o jakich jest pewny, że potyczka ich nie zastraszy, nie chce pozwolić wycieczki? — A to mu ja poradzę. — Ale... żeby mnie kazał rozstrzelać, jak onegdaj Krzyczopolskiego; nie głupim, lubo mi życie teraz niemiłe. A wiesz, że dziad złośnik, chociaż tak długie klepie pacierze. Czy to warto było pocziwego chłopca na tamten świat wysłać przed porą, za to tylko, że bezczynność mu dokuczyła? — Ba! a od czego karność? On nam z góry zapowiedział, co czeka tego, który się wyrwie z nieproszoną radą. Krzyczopolski myślał, że to był żart, dowiedział się, że prawda, i nas nauczył. — I dopóki nas będzie morzył głodem? — Albo ja wiem? Wszak syn wodza, pan referendarz koronny, ciągnie ku nam z posiłkami. Musi kiedyś z nami się złączyć. — O tak! będziemy się z nim widzieć na świętego Nigdy. Ja już zupełnie ducha utraciłem. Czy to słyszana rzecz, na cały dzień funt suchara i nie więcej? Gorzałki na lekarstwo w całym obozie nie znajdziesz; o mięsie ani myśl, to marcepan. Wczoraj parę koni zdechło. Stary uczył się u siebie starszyznę ścierwem; naszej chorągwi, in gratiam jej poważnego znaku, dostało się każdemu po pół funta. Rad nierad człowiek musiał jeść, aż ekliwo wspomnieć, a dziś i tego nie było. Czy słyszysz, jak mi bureży w żołądku? Tak się jeść chce, że niech mnie wszyscy diabli porwą, jeźelibym nie jadł Tatarów, gdybym go tylko miał pod ręką. Pokąd były dobre czasy, że nas wysyłano na harc, przyprowadzaliśmy zabranych Tatarów do obozu. Stary ich wieszać kazał, żeby żywności nie marnować, a drażnić hana. Szkoda, że ich nie kazał posolić. Człowiek przynajmniej miałby coś pod zębem. A to utrapienie służyć pod tym upartym starcem. Powiedzże sam, czyżby nie lepiej bić się, jak podobną nędzę doświad-

czać? — Cóż robić! kiedy my przystali do chorągwi, piecuchy nas ostrzegali, że żołnierski chleb, psi chleb. A dlatego za piecem nie chciało się siedzieć. Jeżeli nam źle, i starszym nielepiej. Sam naczelną wodź siebie nie żałuje; tak się żywi sucharem wymoczonym, jak my młodzi, bo i ścierwo nie codziennie ma na swoim stole. — Bo też prawdziwie, gdybym go nie widział służącego do mszy, myślałbym, że diabeł dał na siebie cyrograf. Temu kościannemu dziadkowi głód i bezsenność idą na zdrowie. Ale tak mi obrzydł, że nieraz przystępuje do mnie pokusa, wypalić na niego ze sztucea. — Czy ty oszalał? pleciesz ze swawoli, co ci ślina do gęby przynosi, a niechbino kto nas podsłuchał i zaniósł mu twoje słowa! I mój żołądek nie lepiej nadziany od twojego, ale wiem, że marnymi słowami go nie napełnię. Bogiem a prawdą, nikt nas za łeb nie ciągnął do żołnierki. Moja matka mdlała z żalu, że ją opuszczam dla kawalerii narodowej, a nie chcę jej pomagać w gospodarstwie. Jaki to ja wygodny kawał chleba zostawiłem w Sandomierskiem! W naszej wsi pszeniczka jakby wyjęta gołębiowi z gardła; a jaki dobytek! ptasiego mleka tylko nie dostawało. A nie narzekam na nędzę, bo któż mi winien? jak sobie kto pościele, tak się wyśpi. — Co twój wygodny chleb, a mój! Ty przynajmniej w domu masz brata, a blisko domu siostrę zamężną, ale ja jednak u rodziców, jak nos w twarzy. Ojciec mój ma dwie wsi za Wisłą, przecie stolnikiem Sochaczewskim; a do tego stryj bezdzietny, pan regent ziemstwa Rawskiego, jeszcze mnie więcej rozpieszczęł niż rodzice. A to od niego terazniejsza moja bięda poszła, bo jak skończyłem poetykę w konwikcie Rawskim, już się uczyć nie chciałem. Gdyby mój ojciec mnie był zabrał na wieś, byłbym jakoś przywykł do szczęścia. Ale stryj mu wmówił, że szlachcic musi koniecznie być w palestrze, i wziął mnie do siebie na dependenta. Trzymał mnie nad papierzyskami, jak mola. Bywajże zdrow! Jak sobie to przypominę, to i żołnierka staje mi się miłą. Męczyłem się więc rok, przepisyując a przepisyując dokumenta. Ale kiedy chorągiew hetmańska przybyła do Rawy, a jam się obeznał z towarzyszami, kłaniam się waćpanu, panie Herbucie. Wręcz powiedziałem, że jeżeli mnie nie oddadzą do wojska, ucieknę i do pierwszego lepszego przystanę na luzaka. Nie pozwalali, perswadowali, ale takem się zaciął, że nie było rady. Ale jak uważam, koleżko, muszę ciebie nudzić, bo coś mi bardzo ziewasz; a głośno, kiedy to słyszę, bo ciebie pociemku widzieć nie mogę. — Kiedy bo to sen jeszcze więcej dokucza, niż głód. Ale gadaj owszem, choć wiem z góry co mi powiesz, bo od pięciu lat ciągle z sobą przestając, a w głąbie obok siebie stojąc, czy podobieństwo, żeby z takim gadułą jak ty była jakakolwiek okoliczność dotycząca ciebie, o którejbym nie wiedział? wszak już od dwóch lat byłem towarzyszem, kiedy przybyłeś do naszej chorągwi. A jednak z wdzięczno-

(*) Dowódcy chorągwi królewskich, prymasowskich, hetmańskich i królewicowskich nazywali się pułkownikami; wszelkich innych dowódcy porucznikami. Pierwsze nazywano — poważne znaki.

ścią będę słuchoł twoich powtórzeń, bo sen morzy, a jak umysł nie będzie zajęty, żebym broń Boże nie zasnął, jak przed zorzą patrol obchodzić zacznie posterunki. Nicby nie brakowało jak to. Nie tylko, że trzeba samego siebie strzedz od snu, ale jako starszy i ciebie jeszcze pilnować, bo jak nie będziesz miał do kogo gadać, to zaśniesz. — O mnie pokój, głód mi spać nie da. Szczęśliwy człowiecze, że ciebie nie budzi, przynajmniej o nim zapomnieć możesz. — No gadaj, kolego, jakże ci się udało wyzwolić z palestry do chorągwi? — Żał było ojcu i stryjowi, ale cóż robić? Pierwszy przekonał się stryj, że nie ma sposobu hultaja zatrzymać w domu, a potem i ojca przekonał. Z konferencyi familijnej wypadło, że z dwójga złego mniejsze, żebym był towarzyszem, niż żebym się poniewierał, zostawszy czym luzakiem, a tén nabawił wstydu ich domowi. Koniec końców dali mi błogosławieństwo. Stryj ma zachowanie u hetmana, bo jego spraw pilnuje, służąc mu o własnym swoim chlebie. Nie trudno mu było u niego wyrobić dla mnie poczet w jego chorągwi. Z niemłą radością z palestranta przekształciłem się w towarzysza poważnego znaku, ile że mnie opatrzone, jakby co dobrego. Ty sam wiesz, że ani za moje konie, ani za moich dwóch luzaków się nie powstydzę. A o ich utrzymanie się nie troszczę, bo chociaż trzeci rok, jak się widziałem ostatni raz z panem stolnikiem i panem regentem, ani jeden, ani drugi o mnie nie zapominają. Człowiek jakoś się wdrożył.... — Cicho, poczekaj, czy słyszysz? — Co takiego? — Wszak to armatni huk. — At gadasz, kiedy żołądek próżny, to w uszach dzwoni. — Nie wiedzieć co; — tu Kurowski przyłożył ucho do ziemi, po czém raptem się zerwał. — Nie inaczej, to wystrzały z armat; chybaś ogłuchł, że ich nie słyszysz. — W samą rzecz, gdzieś się biją, ale daleko od nas. — Ja nie mówię, że blisko, ale to pewna, że działa w robocie. Już naszemu utrapieniu koniec przychodzi, bo to nie może być co innego, tylko referendarz koronny. — Z jakimże on djabeł tak daleko od nas się bije? — Z jakim? my nie wiemy, co się po za naszym obozem dzieje, ale han tatarski o wszystkim wie. Daję na to moje głowę, że jak się dowiedział, że referendarz ciągnie, część swojego wojska wyprawił, aby mu zastąpić drogę. O! toby była pora na wycieczkę! — Słuchaj, Obrapalsiu; ja idę do pułkownika, obudzę go, a ty ruszaj do naczelnego wodza. Stary spać musi, mniejsza o to; on się na ciebie gniewać nie będzie, jak mu dobrą wieść przyniesiesz; niebawem świtać zacznie, nie trać czasu! ale oto i żołnierz piechur z wałów! czego chcesz? — Panie towarzyszu, kapitan wyprawił mnie do pana, żebym mu oznajmił, że słyhać jak zdaleka strzelają. Z początku armaty odzywały się bliżej, a potem dalej od nas słyszeć się dały. — Tam do diabła, ruszajże nazad na wał, i powiedz kapitanowi, że z tą wiadomością po-

biegłem do pułkownika, a ty, Obrapalski, co tehu biegaj do namiotu naczelnego wodza!

Już pierwsze brzaskiienne wydobywały blaszane pokrycie zamku Barskiego. Podskarbi w namiocie swoim nie spał, jak go o to posądza młodzi dwaj towarzysze, ale siedział ubrany przy stoliku oświeconym od stoczka. Patrząc na podróżny swój krucyfiks i obrazek Najświętszej Panny Częstochowskiej, odmawiał cichym głosem ranne pacierze, żeby nie obudzić trzech swoich nieodstępnych towarzyszów, jeszcze senny, a ci byli ojciec Poncyan Kapucyn, jego kapelan, Siemiątkowski, dowódzca artylerji, mistrz zawołany w nauce wytkania obozów, w której się wprawił lat dziesiątek służąc w wojsku francuzkiem, a później lat kilkanaście walcząc w ojczystych szeregach, i Kukawski, poeta nadworny podskarbiego. Tego ostatniego starszyna, a nawet młodzież miała za półgłówka, ale on miał łaskę swojego pana. Bo ten, lubo mąż praktycznie światły, że był obcym wszelkiej nauce szkolarskiej, przeto wiele mu imponowała łatwość, z jaką Kukawski każdą prawie myśl swoją ozdabiał jednodźwięcznymi końcówkami i uważał go za bardzo uczzonego człowieka. Prócz tego lubił słuchać jego bredni o astronomii, fizyce, historii naturalnej; bo że był małowimnym, miło mu było myśleć przy brząkaniu cudzych słów. I często mawiał do niego: Kukasiu, pofilozofuj-no mnie! — A dopiero uradowanemu Kukawskiemu gęba się nie zamyka, póki podskarbi nie zadrzémie, ukołysany temi mądrościami.

Michał Floryan Rzewuski, z kolei szeregowy towarzysz, namiestnik, pułkownik królewski, oboźny, pisarz polny, a nakoniec podskarbi nadworny koronny i starosta sądowy Chełmski, lubo urodzony w domu możnym, zaczynał swój zawód rycerski jak chudy pacholek, i dopiero w wieku przejrzałym dostąpił wyższych zaszczytów. Ojciec jego, sędzia ziemski Lwowski, był żonaty z Daniłowiczówną, wojewodzianką Ruską, starszą siostrą matki króla Jana, a wnuka wielkiego Żółkiewskiego, i dzielił się z Jakóbem Sobieskim, kasztelanem Krakowskim, szerokiemi dostatkami po Żółkiewskich i Daniłowiczach. Ale Michał, jeszcze zaledwo wyszedłszy z niemowlęstwa, oszpecony ospą, a do tego ponury i niepochozny do nauki, nie był lubiany od matki, rej wodzącej w domu męża, a która przepadała za młodszym synem Adamem, chłopcem prze cudnej urody i nadzwyczajnego dowcipu. Pani sędzina najstarośniej wychowywała Adama w domu, a Michała, że ją zawstydział swoją szpetnością, oddała do konwiktu Jezuickiego w Sandomierzu, z którego uciekł w szesnastym roku swojego wieku, zaledwo nauczysz się czytać i pisać.

Długo rodzice mieli go za przepadłego, bo on zataił był nazwisko już znane w narodzie, i pod przydomkiem Bejda przystał na szere-

gowego do jednego towarzysza ussarskiego, Chełmjanina, który nazywał się Węgłęński i był nadzwyczajnie srogim. Ten przez lat kilka dał mu poznać całkowitą ostrość służby wojskowej, ale wszczepił w nim przymioty niezbędne do tego zawodu. Michał Floryan, już piastując pierwsze urzędy kraju, często powtarzał: czém jestem, to winienem Węgłęńskiemu, i przez wdzięczność wzbogacił później pozostałych po nim synów.

Zawsze pod nazwiskiem Bejdy, Rzewuski wslawił się, walcząc pod Chodkiewiczem, Jeremiaszem Wiśniowieckim, Jerzym Lubomirskim, nakoniec ściągnął ku sobie uwagę Rewery Potockiego, iż mu powierzył swoją hetmańską chorągiew. W przytomności tego znakomitego hetmana nastąpiła scena czuła, kiedy się spotkał z bratem swoim Adamem, już rotmistrzem. Adam poznał starszego brata, którego miał za przepadłego. Popłakali się bracia, i Adam zawiózł Michała do rodzicielskiego domu, gdzie się pojechał z matką, która patrząc na chlubne blizny zdobiące jego oblicze, pogodziła się z jego szpetnością, chociaż jeszcze mniej był mówiącym, niż kiedy był opuścił szkoły, gdyż miał szczękę i język przestrzelony, przeto nie bez wielkiej trudności się tłómaczył, nim się wprawił do mówienia. Może z tego powodu, kiedy już zostawszy możliwym, posłował od ziemi Chełmskiej, na sejmie ust nie otworzył; zresztą krasomówcze szranki zgromadzenia prawodawczego nie były polem dla niego, ale ciągle dowodził jakimi częściami wojsk Rzeczypospolitej i był postrachem bisurmanom.

Był wzrostu małego, a tak chudy, jakby nie miał ciała między skórą a kośćmi. W boju nigdy nie brał na siebie pancerza, a tylko kaftan łosiowy, grubo podszyty. Już się powiedziało, że był szpetny, gdyż tak był oszramowany ospą i bliznami, że dla trudności, jakiej doświadczał w goleniu się, nie uległ rozpowszechniającemu się w narodzie zwyczajowi popisywania się gołą twarzą, i zapuszczał brodę jak za dawnych czasów, a ona była jedyną rzeczą piękną w jego powierzchowności. Ale wyraz jego twarzy był wielce pociągający, kiedy jedna z najpiękniejszych kobiet swojego czasu, Dzierzgówna, kasztelanica Rospierska, wśród tylu gładkich kawalerów, ubiegających się o jej rękę, wybór skłoniła ku niemu. A kiedy ta przeniosła się na lepszy świat, zostawiwszy mu liczne potomstwo, stary wdowiec, już nie miłości, ale przyjaźni samę szukając, znalazł ją w podżyłej siostrze księcia prymasa Potockiego, pani najosobliwszych cnót, a ta została najczulszą matką dla pozostałych po jego pierwszej żonie dzieci.

Chociaż był nieugięty w surowości, z jaką utrzymywał swoich podwładnych, posiadał do najwyższego stopnia przywiązanie i ufność żołnierza. Raz, że siebie nie oszczędzał w niebezpieczeństwie, i tak robił pałaszem w potrzebie, jak każdy z nich; powtórę, że nigdy naj-

mniej niesprawiedliwości się nie dopuścił. Nawet obraźliwém słowkiem nikogo nie zadrasnął. Jego napomnienia zawsze były umiarkowane; po jego głosie nigdy nie można było poznać, że się gniewa. Rozkaz swój ogłaszał najspokojniej, niewykonanie onego karał często śmiercią, z niemniejszą oszczędnością słów i zawsze bez uniesienia. W całym wojsku nie było wodza tak małowównego, tak wiele wymagającego, a któregooby się równie obawiano.

Już był przy końcu swoich pacierzy, kiedy raptem do jego namiotu wpadł Obrąpalski i stanął przed nim jak wryty. Naczelný wódz dał mu znak ręką, żeby zaczekał, i odmówił swoją już ostatnią modlitwę. A przeżegnawszy się, obrócił się do Obrąpalskiego i zwykłym łagodnym głosem rzekł: co waszmość powiesz, mości towarzyszu? — Przychodzę z pod wałów do jasnie wielmożnego pana z doniesieniem, że huk dział dał się słyszeć opodal, od strony północy. — Jak waszmość sądzisz? mniej więcej jak daleko od nas? — Nie stanowczego powiedzieć o tém nie mogę; wszakże ile mogliśmy sądzić, bitwa nie może być bliższa, jak o trzy mile, a może dalej. — Waszmość z łaski swojej obudź Siemiątkowskiego, ale ostrożnie, żeby nie przerywać wczasu ojcu Poncyanowi. Niech śpi nieborak, ma on dość do roboty z chorymi, a Kukawskiemu schwyć waszmość koldrę; filozofowi sen zbyt szkodliwy może.

Obrąpalski spełnił rozkaz podskarbiego. Ten, nie przywołując sług, sam wziął na siebie kaftan łosiowy, pas rzemienny z wiszącymi olstrami i swoją zasłużoną szablę. Siemiątkowski i Kukawski obudzeni, już się ubierać zaczęli. — Ruszajże waszmość do swojego posterunku — rzekł do towarzysza — i zapowiedz moje rychłe przybycie. Powiedz swojemu pułkownikowi, żeby na swoim miejscu na mnie czekał.

Pobiegł Obrąpalski, a w kilka chwil naczelný wódz. On szedł przodem, wzięwszy pod rękę Siemiątkowskiego, z którym pocichu rozmawiał, a za nimi Kukawski. Jeszcze jutrzienka nie była wystąpiła na widokresie, ale już jakieś oddziały jej przedniej straży sypały mdławę światła na wydobywające się z nocnych ciemni przedmioty. Stał starzec na wałach, gdzie zastał młodszego swojego syna Michała, starostę Olchowieckiego, który nad tą częścią warownego obozu miał dowództwo. Starosta ojcu i naczelnikowi raportował, że już armaty ucichły, a starzec, żeby się lepiej o tém przekonać, położył się na ziemi, po czém powstawszy, rzekł do Siemiątkowskiego: — Nie inaczéj; han musiał wyprawić znaczny oddział swojego wojska na referendarza, żeby go do nas nie dopuścił. Da Bóg, że dziś jeszcze go powitamy, a może nie, jeżeli odpartym został. Na wszystko trzeba być przygotowanym co pan Bóg zrządzi, i starać się sobie poradzić. — Jasnie wielmożny ojeze — odezwał się starosta — ja nie wątpię, że

mój brat musiał przepędzić wysłanych naprzeciwko niemu Tatarów, i że dziś jeszcze go powitamy. — Na czém waśc opierasz swoją pewność? — Na tém właśnie, że huk dział nie trwał i kwadrans, bo Tatarzy, gdy im się nie udało przygotowanego na napad przeciwnika wypłoszyć, wedle ich zwyczaju zaraz musieli się rozpieczęć. Jeżeli by owszem jego porazili, opór brata byłby długotrwałym, i pewnie jego działa odzywałyby się, pokądy ostatniego ładunku się nie pozbył.

Na to podskarbi nie odpowiedział, ale odszedł na kilka kroków z Siemiątkowskim i rzekł do niego pocichu: — Uważasz, jak mój Michaś ad rem się odezwał? Za moich chłopaków ani przed Bogiem się nie powstydzę; nie dałem im, jak sobie, uciec ze szkół. To też kiedy który z nich się odezwie, można posłuchać. Mam trzech chłopców; dwóch w stanie rycerskim, a trzeci przecie opatem, bo nieborak nie ma zdrowia, nie wytrzymałby naszego życia. Ale za to jakie wiersze pisze, nawet po łacinie! zapytaj-no mojego Kukawskiego! A jak się kochają bracia! jednego z nich zaczep, z wszystkimi trzema będziesz miał robotę. Wiesz co, panie Siemiątkosiu? o ile han wysłał ludzi naprzeciwko mojego Stasia, o tyle sam jest słabszym. A więc popróbujmy z nim szczęścia. Nasi ciągle domagają się zrobić wycieczkę: człowiek le-dwo ich wstrzymuje, pozwólmy im się pobawić! Pora po temu.

Przerwał tę rozmowę Kurowski, który przybiegł do nich zadyszany: — Jasnie wielmożny panie, już Tatarów nie widać, odstąpili od naszego obozu. Niech pan własnemi oczyma raczy się o tém przekonać. — Wysunął się podskarbi na krawędź wału, i przyłożył do oka perspektywę osobliwszą, którą miał od króla (*). — W samą rzecz — odezwał się — zadrwali z nas Tatarzy. Ale co się odwlecze, to nie uciecze. Trzeba wyruszyć na spotkanie syna. A może Bóg da, że jaki Tatar o nas się zahaczy. Mości Siemiątkowski! zrób waszmość rozporządzenie, żeby natychmiast towarzystwo i żołnierze za nami wystąpili. Już im się naprzykrzyło tu siedzieć. Ale, ale! nie zapomnij o pocziwym Tyrawskim, który w zamku tak długą rekolekcyą odbywa. Wyprawisz do niego towarzysza z rozkazem, żeby natychmiast ze swoją załogą do nas przyszedł. Mamy kilkudziesięć chor-rych, tych zanieść do zamku; w nim zostawiamy mojego kapelana i dwudziestu żołnierzy na wszelki wypadek. Występujemy w pole, a więc nie ma się czego obciążać; wszystko co nam niepotrzebne, w zamku Barskim złożyć, i to co z żywności jeszcze pozostało w obozie! W czystym polu znajdziem czém się wykarmić. A dowództwem nad zamkiem niech sam Tyrawski rozporządzi. No, mości panowie!

na koń! da Bóg, że może po drodze uda się uchwycić co z tych po-hańców, na szczęście pana Kukawskiego, który wierszem opisze to wszystko, co nam się wydarzy zrobić chlubnego.

Uradowane rycerstwo, że przecie opuszcza obóz, wyruszyło za wodzem. Po drodze udało się chorągwi hetmańskiej napaść na oddział Tatarów, opóźniający się w pochodzie, i zabrać kilku niewolników, od których dowiedziano się, że han przerażony niepowodzeniem syna, zwinął swój obóz i rzucił się ku tej stronie, gdzie się spodziewał spotkać uciekających Tatarów, których powierzył synowi, gdyż o nim żadnej wiadomości jeszcze nie miał. Tak bez przeszkody wojsko, tylko co zamknięte w obozie, tego samego dnia złączyło się ze zwycięż-kiem rycerstwem referendarza, i już mógł naczelny wódz pomyśleć o rozpoczęciu działań zaczepnych.

XV. List ciekawy.

Podczas gdy wojsko nasze zbierało wawrzyny na Rusi, Krotoszy-nowi nie dawał się słyszeć szezęk orężów, ale przeto jego mieszkańcy nie wszyscy byli spokojni. Wojewoda, lubo mężny żołnierz, był prze-cie ojcem. Często się zamyślał, przypominając sobie, że może właśnie w téjże saméj chwili obaj jego synowie krew swoją wytaczają, i że kto wie, czy wkrótce cała nadzieja domu już tylko na jednéj córce nie będzie polegać. Często tuląc do swojego łona wzrastającą we wdziękach Zosię, czy mu się sączyły po jagodach. Wojewodzina, która nie macocha, ale najtkliwszą matką była dla synów męża, po-dzielała jego smutki i balsam pieśczęt umiała przykładać do rozra-nionéj jego duszy. Na chwilę uśmierzała jego tęsknoty, ale one ry-chło wracały. Wojewoda oczekiwał z niecierpliwością doniesień pe-wnych z teatru wojny; one nie przychodziły, bo w owym czasie ani znano buletynów drukowanych, ani poczt tak dobrze urządzonych jak dziś, gdzie listy zapieczętowane, albo odpieczętowane, przecie docho-dzą. Krążyły zaprawdę jakieś wieści, często przesadzone, często zu-pełnie kłamane, ale wiadomości rzeczywiste za ledwo po kilkunastu ty-godniach ze wszystkimi szczegółami przychodziły, a smutek gospo-darza dawał się czuć całemu domowi.

Słudzy, jedni szczerze podzielałi żalność dobrego pana, drudzy dla przypodobania się jemu udawali zasmucenie. Przyszło do tego, że kiedy jego błazen nadworny przychodził ze swojemi conceptami, za-wsze przywołującemi pański uśmiech, on mu ręką dawał znak, żeby precz poszedł; już zaprzestał chodzić do stajni, nawet z dzikami da-browy krotoszyńskiéj zawarł rozejm. Krewni, przyjaciele, klienci, jeszcze gęściej niż kiedykolwiek przybyli do zamku, usiłując go ro-zerwać. On ich nawiedziny i dobre chęci przyjmował uprzejmie,

(*) Ta perspektywa dotąd zachowuje się w Podhorecach.

dziękował szczerze, starał się ich bawić, ale dla niego samego już nie było zabawy. Słudzy chodzili jak nieswoi, bo wiadomo, jakie wpływy wywiera na cały dwór zły humor pana.

Człowiek, którego serce jest przepełnione goryczą, tak potrzebuje samotności i odosobnienia siebie w łonie rodziny, jeżeli jest tyle szczęśliwy że ją posiada, że pocieszenia obce stają się dla niego istnym ciężarem. I wojewoda nie bez uczynienia sobie gwałtu zachowywał obowiązki gospodarza w przyjmowaniu ciągłych dowodów życzliwości swoich licznych przyjaciół. Milój mu było samotnie w kaplicy zamkowej składać u podnóża Krzyża swoje niepokoje, lub bez świadków przyciskać do serca wierną i jeszcze nadobną małżonkę, albo mężkie czoło odmarszczać przed wiośnianym uśmiechem swojej Zosi. A co się tyczy sług, że przed nimi nie miał potrzeby pozorną pogodą oblicza tać tęsknoty wewnętrznej, oni łatwo poznali, że zabiegi ich dworszczyzny mu obmierzły.

Wyłącznie z pomiędzy ich wszystkich, Zacharyasza Śmigielskiego obcowanie stało się dla niego rzeczywistą potrzebą. Nie tylko że mu był rad, kiedy wedle swojego zwyczaju co rana przychodził zdawać mu sprawę z gospodarstwa, ale często zatrzymywał go na obiad, a czasem do wieczora nie wypuszczał go z zamku. Nie żeby rozmowa pana Zacharyasza miała być wielce zajmująca, ale że w stanie, w jakim się znajdował wojewoda, on jeden z pomiędzy sług nie był dla niego obcym. Była ścisła wspólność w ich położeniach. Jak on, miał całą nadzieję rodziny wystawioną na wątpliwy los wojny. Jak u niego, jedna tylko córka w jego domu pozostawała. Wprawdzie ona była starszą od Zosi, bo już i oficjaliści młodzi, i nawet kawalerowie mający w ekspektatywie po rodzicach ziemię dziedziczną, usiłowali się wkradać do jej serca i przychylności jej rodziców. W tém nie było nic dziwnego. Wiedziano z pewnością, że jej matka miała wieś dziedziczną na Ukrainie, że jej ojciec miał łaskę u przemożnego magnata; domysłano się, że posiadał kapitały. A to jej wcale nie szkodziło u kawalerów starających się o jej przyjaźń, że jej brat jedyny był na wojnie. Ale pan Zacharyasz wyraźnie zapowiedział, że dopóki pokój nie położy końca żałobie jego rodziny, dopóty córki nie wypuści z domu.

Nie pewniejszego, że ludzie bojaźliwi są zwykle dość obojętni na to wszystko, co się wprost nie odnosi do ich osobistości, że i tchórzostwo jest jedną z licznych oznak sobkostwa. Bezwątpienia, zastanowienie myśli nad niebezpieczeństwami od jego osoby oddalonymi, a na jakie jego jedynak był narażony, nie sprawiało na nim tak silnego wrażenia, jak na sercu wojewody, gdyż najdrażliwsza czułość jest zawsze cechą wielkiej odwagi. Ale nie można powiedzieć, żeby pan Zacharyasz był wyzwuty z przywiązania dla swoich. Był z niego gruntownie pocziwy człowiek, do tego wielce pobożny. A więc jego bo-

jaźliwość nie była wysuszyła jego serca do tego stopnia, żeby czułość w nim się nie zachowała. Po swojemu żałował syna, nawet tęsknił za nim. I w jego dworku na mniejszą skalę powtarzało się to, co się widzieć dawało w zamku. Zwłaszcza zakłopotanie żony, która codziennie łzami się zalewała, tak roztopiało jego serce, że sobie rady dać nie umiał. Wtedy, jak u wszystkich ludzi słabiej duszy, chimery się zaczynały. Już mu nikt z czeladzi nie umiał dogodzić. Gdérał na płodzydymka, że polewa za zimna, że pieczyście za gorące, że pyzy przesolone; na woźnicę, że mu dziegieć marnuje i że mu konia chudzi; na Bośniaka co go ubierał, że złoto mu się strzępi w kwaście od pasa, na ogrodowego pacholka, że mu ślimaki zapuszcza w winnicy; na ochmi-strzynię, że mu wino kwaśniej, a suszone jabłka pleśniej. Bóg wie czego nie wymyśla, a coby zrobił najlepszego jaki podstarość, zawsze zgan. Zydek, co przychodził w każdy piątek podgalać czuprynę panu Zacharyaszowi, najwięcej znosił gdęrania. Nie mógł się wydziwić, że on, zawsze tak cierpliwy, ciągle się kręci pod jego brzytwą, i narzeka, iż takiego durnia wybrał na golarza. W całym dworku jedna tylko babunia, zawsze pogodna, zawsze wesoła, zawsze pewna w przyszość wnuka, mityguje syna, że nie śmie chimerować pana Zacharyasza.

Od kilku dni wydarzona przygoda zatrzymywała pana Zacharyasza w domu, tak że na pokojach pańskich się nie pokazywał. Objeżdżając świeżo zasianą oziminę, gdy powolnym krokiem jechał konno po nad rowem, a jak zwyczajnie zamyślony, nie miał baczenia na kobylinę, rzuciła się w bok i powaliła jeźdźcę o ziemię. Ten, po krótkim klacz zrusiła się w bok i powaliła jeźdźcę o ziemię. Ten, po krótkim przestachu przyszedł do siebie, a nawet powtórnie wsiadł; ale wróciwszy do domu uczuł ból w goleni. Kazał sobie rozebrać, ale jak ujrzał dużą siną plamę, tak się zatrwożył, że już mu się zdawało, iż ma gangrenę. Natychmiast położył się w łóżko, zaczął jęczeć, i już zabierał się dysponować na śmierć, żegnając matkę i żonę i błogosławiąc córkę.

Zaledwo go cokolwiek uspokoił lekarz nadworny wojewody, zaraz sprowadzony przez żonę, i zaczął go smarować mydłem i gorzałką; ale nie go nie mogło namówić do przestąpienia progu izby, pokąd siła nie na ciebie była widoczną. Wprawdzie już w dzień opuszczał łóżko, ale siedział w pokoju rozwalony w głębokim krześle, otoczony poduszkami, a nogę trzymał na stołku przystawionym naprzeciwko krzesła. Tak przyjął nawiedziny jasnie wielmożnych województwa, którzy myśleli patrząc na niego, że już po nim, póki lekarz ich nie upewnił, że nie mu się nie stanie. Nie śmieszniejszego, jak kiedy przyjmując nawiedzających gości, w najlepszej wierze amplifikował przed nimi szczegóły swojego strasznego przypadku; nim i rodzinę i całą czeladkę zajmował.

Powoli siność zaczynała schodzić, już odważał się chodzić po pokoju, bardzo kulejąc, jeśli kto na niego patrzył, ale śmiało, jeżeli sam zostawał. Wszakże jeszcze się nie odważał wychodzić na dziedziniec, a zawsze rozwalony w krzesle słuchał co mu mówiły matka, żona i córka, żeby go rozrywać z tej niespokojności o zdrowie, która czasem przygłuszona, często się w nim odzywała. Jednego dnia po obiedzie rzeczywiście czuł się być już zdrowym, a jeszcze się pieścił i siedział, otoczony rodziną, kiedy jego żona odezwała się z głębokim westchnieniem: — Kochanku, może nasz Adaś teraz tak leży jak ty. — A moja kochana! niech go Bóg zachowa od cierpień, jakich doświadczam, bo on pewnie podobnychby nie wytrzymał. — Jak tobie nie wstyd, Zacharyaszku? — rzekła na to staruszka. — Że ciebie koni zrzucił i kulsz trochę zsiniał, ani sobie, ani innym pokoju nie dajesz. I śmiesz takie porównanie czynić z tym, co naszego Adasia co kroku spotyka. A ile to razy zdarzało się chłopcu, pókiśmy go w domu trzymali, zlecieć z konia i mieć sińce po ciele, o których milczał, bojąc się twoich plag. Marynia jako matka ma słusność, że o niego jest niespokojna; ale mnie to ani w głowie, bo wiem, że mój Stanisław go strzeże. Nie bój się, Maryniu! wróci on zdrow do nas, a nim przybędzie, sława rozniesie co dokazywał dziadowską szablą. Blask domu Śmigielskich, zaćmiony ubóstwem, na nowo zajaśnieje za jego sprawą. Tylko co nie widać, jak będziemy mieli o nim wiadomość. — Daj Boże — odrzekł pan Zacharyasz — żeby się słowa imości sprawdziły przy najmniej w części, to jest żeby bez kalectwa do nas powrócił. Bo co się dotyczy blasku naszego domu, przyznam się imości, że tym sobie nie zaprzatam głowy. Co było a nie jest, nie pisać w registr. Albo mi źle, że najmniejszego urzędziku nie mam? Czyby to mi trudno z łaski mojego pana zostać albo burgrabią, a wicesgerentem? a mnie to na co? Ja chcę żyć z całym światem w zgodzie, a nieczyjś zazdrości nie wzbudzać. Synowi nie mogę lepiej życzyć, niż sobie. Niech sobie imość mówi, co się jój podoba, a ja taki swoje, że nie uważam być dla niego szczęściem, iż go jasnie wielmożny referendarz wziął do swojej chorągwi. — A to czemu? — Temu, że wolałbym widzieć go w chorągwi mojego pana. Kolegowałby z wojewodzącami, przy statku wzrastałby w ich łasce, i mógłby kiedyś zostać u jednego z nich tym, czém jestem u ich jasnie wielmożnego ojca. — Otóż twój wieczny narów, Zacharyaszku, że nie wyższego nie widzisz nad służebnictwo u wielkiego pana. Poczciwa służba u dobrego pana wprowadzi nie kazi szlachectwa, ale mam w Bogu ufność, że naszego Adasia przeznaczenie na coś świetniejszego wyprowadzi, niż na pańskiego służę. — Imości dobrodziejce tylko świetności w myśli, a u mnie żeby mieć dobry kawał chleba; bo jeżeli go mam z łaski Pana Boga, to nie wojaczka mi go dała, ale że służę mojemu panu. Ja nie od tego, że nasz

syn sobie wojuje; to już przyjęto, że szlachcie w młodości musi u nas choć trochę łba nadstawić. Ale żeby z tego miał być kiedyś przybytek w kieszeni, o tym nikt mnie nie przekona. — A dlaczego nie? czy to Adaś nie waleczny, nie gładki, nie umiejący się podobać, żeby zasługi, jakich bez wątpienia nabędzie, miały być zapoznane? A jak się dobije wyższych godności, dostanie on z łaski króla czém się na nich utrzyma. — O tak! niby to u nas wielu chudopachołków służba w kawaleryi narodowej na osiadłych obywateli wy kierowała. Mój ojciec wiele z niej wyniósł! — A czy waćpan nie słyszał, panie Zacharyaszku, jak król jegomość o nim wspominał? — Na sławie mu nie zbywało, ale na starość był bez kawałka chleba. Pani matka wynosisz waleczność Adasia, niech sobie będzie i waleczny, ale to pewna, że ta waleczność nie da mu starostwa. Co najwięcej, daj Boże, że zostanie namiestnikiem; wielkie święto, i cóż z tego? czy to pewny chleb? Wszakże pan Zbrozek był namiestnikiem w chorągwi księcia Prymasa, a jednak bardzo się miał za szczęśliwego, kiedy mój pan zrobił go ekonomem kluczowym w hrabstwie Krotoszyńskim. Plunął na swój zaszczyt, i z wielką radością porzucił swojego porucznika, żeby pod moim rozkazem służyć panu. Niech go imość zapyta, czy zamieni swoje ekonomstwo choćby na porucznikostwo pancerne? U nas panom idzie w korzyść służba Rzeczypospolitej, ale nam chudym pachołkom nie ma, jak służyć panom. I jeżeli Bóg da, że Adaś powróci z wyprawy zdrow, mam nadzieję, że ta wojaczka mu napędzi rozum do głowy, bo wojna miła dla tego, który jój jeszcze nie widział. Tuszę, że pójdzie za moją radą ojcowską, żeby tych wszystkich urojonych splendorów się odrzec, a zostać jak jego ojciec sługą wojewody. — Sługą! takżeś powiedział! oto poznałeś sposób myślenia Adasia! On będzie pana wojewody czém inném niż jego sługą, on będzie jego zięciem.

Na te słowa matki pan Zacharyasz zerwał się z krzesła, zapomniał, że jeszcze kuleje, a pewnym i szerokim krokiem zaczął chodzić po pokoju, trzymając siebie za głowę. Sam nie wiedział co z sobą robić; jego umysł kołysał się między chęcią wymówienia matce za tak niebezpieczne dla nich wszystkich jój odezwanie się, a uszanowaniem, jakie miał dla niej. Wtém turkot pojazdu wrócił go do siebie. Jakież było jego zadziwienie, kiedy zbliżony do okna, ujrzał zajeżdżającą przed ganek kolasę dworską, a z niej wysiadającą wojewodżiankę i jej ochmistrzynię.

Nim gospodarstwo zdążyło wyjść na ganek, dla przyjęcia dostojnej dziewczyny, ta już była w sieniach; tam ją powitali i wprowadzili do pokoju przed sobą z uszanowaniem. Zabierał się pan Zacharyasz przepraszać, że go zastała w stroju zaniedbanym, jak zwyczajnie chorego, ale Zosia mu nie dała mówić, dygnęła przed nim, rzuciła się na

szyję pani Zacharyaszowej, poczem chciała babunię pocałować w rękę, ale ta jój tego nie dopuściła. Nakoniec odezwała się, pokazując list odpieczętowany, który miała w ręku: — Ciescie się, babuniu i wac-pani, pani Śmigielska; jegomości i mama posłali mnie do was z dobrmi wiadomościami. Wojna się skończyła, Tatarów pobili, a do tego bardzo się przyczynił Adaś; nie mogą doś go chwalić w wojsku; ten list Józia do jegomości o wszystkiem was nauczy. Kochany Adaś! jakże on się popisywał, a i moi braciszkwowie dokazywali. Tylko przeczytajcie ten list, ale głośno. Bo choć już kilka razy go czytałam, ale radabym ciągle słyszeć to, co Józio pisze.

Nie było we zwyczaju, żeby kobiety mężczyznom czytały, a pan Zacharyasz wiedział o sobie, że nie gładko czyta. Zawołał więc swojego manualistę, który głosem donośnym następny list odczytał:

Z Mohilewa nad Dniestrem, 7 Września 1695.

Jaśnie Wielmożny Panie, Ojcie i Dobrodzieju!

Przed trzema dniami Jaś wyprawił do JW. jegomości dobrodzieja żyda z listem, w którym donosi jemu o naszej wygranej pod Majdankiem; ale że dziś pan podskarbi wyprawia swojego bokowego towarzysza do babuni podskarbin, która bawi teraz w Łowiczu, mój list prędzej dojdzie rak jegomości dobrodzieja, niż pisany przez Jasia. Donaszam więc, żeśmy świeże a zupełne zwycięstwo odnieśli przed kilkoma dniami nad Tatarami, ale mam za obowiązek powtórzyć opis poprzednich naszych działań, które niemało przyczyniły się do naszego zwycięstwa pod Jazłowcem, a o nich wedle podobieństwa jeszcze JW. jegomość nie wie.

Pan porucznik Dunin z Jasiem i zemną znalazł naszą chorągiew w Zbarażu, objął nad nią dowództwo, i zaraz wyruszyliśmy, żeby się połączyć z panem referendarzem, który już zbierał wojsko w województwie Wołyńskiem. Księżę Zbarański oddał nam swoją milicję i sześć dział ze swoim zawołanym Arewingiem. Po drodze w Buczaczu, nasz krewny, pan krajeży koronny, zasilił nas sotnią kozaków, wcale dobrze wyćwiczoną, a niemało oddziałów szlachty ciągle do nas przybywało, tak że kiedyśmy się już złączyli w okolicach Chmielnika z panem referendarzem, on nas przyjął jakby Anioła Stróża przed skonaniem. Tam obaczyliśmy się z naszym Adasiem, ale on tak był zajęty swoją służbą, że nie mogliśmy się z nim nagadać do woli.

Pan referendarz oznajmił nam, że jego ojciec stoi obozem pod Barem, że w nim wytrzymuje napady hana tatarskiego, a z niego nie wyjdzie, póki syn mu posiłków nie przyprowadzi; my więc nie marnując czasu, postępowali ku Barowi na odsiecz panu podskarbiemu, któ-

ry z niecierpliwością musiał nas oczekiwać, choć nie tak blisko byliśmy od Baru.

Han wyprawił był znaczny oddział pod rozkazem swojego syna, żeby nas odepchnąć od Barskiego gościńca. Ten oddział natknął się na nas niedaleko spustoszonej wsi, nazwanej Majdankiem. Tam pierwszy raz usłyszałem świst kul koło moich uszu. Wyobrażałem sobie z mowy obłych z niebezpieczeństwami wojaków, że pierwsze spotkanie z ogniem nieprzyjaciela jest bardzo straszne dla młodego żołnierza. Jednak ani Jaś, ani ja, tegośmy nie doświadczyli, może dlatego, że choć nieprzyjaciel dawał się słyszeć, aleśmy go widzieć nie mogli, bo trudno wyobrazić sobie noc równie ciemną, jak ta w którejśmy się z nim spotkali. Nasza chorągiew na lewem skrzydle stała pod ogniem janczarek. Radzi byliśmy natrzeć, ale kazano nam nie ruszać z miejsca. Tatarzy coraz bliżej do nas z konia strzelali, my im nie odpowiadali. Zaczęli nam dokuczać: kilku luzakom i koniom się dostało. Pan Twardowski, towarzysz naszej chorągwi, obok mnie ciężko został ranny, ale gdy pan Arewingel postąpił z czterema armatami i zaczął z nich walić, przeciwna strona natychmiast uciekła. Można się było domyśleć, że musiała się trochę cofnąć, żeby armaty nie przerzadzały jój szeregów, a uciekła, bo działa tylko na huk celowały. Jednak pan Arewingel na los szczęścia kiedy niekiedy dawał ognia, żeby naszym opodal stojącym nie wydało się czasem, że armaty potrafił. Wtém przed nami, ale daleko, słyszeć się dało kilka wystrzałów działowych. Pan Dunin nie mógł odgadnąć, co to miało znaczyć, aż przybiega do nas bokowy towarzysz pana referendarza z rozkazem, żebyśmy szli naprzód i nacierali, na kogo spotkamy. Na tośmy tylko czekali. Idziemy stępia, ale jakeśmy uszli może parę set końskich kroków, trafiliśmy przecie na Tatarów. Zawsze pociemku przypuszczamy atak, oni nie dotrzymali, ale tak było jeszcze ciemno, że nie widać gdzie ich wypadało ścigać.

Drugi bokowy towarzysz przybywa, i każe całemu lewemu skrzydłu ciągnąć w prawo, do hetmaniącego nad nami referendarza. Już szarżyć zaczynało, ale Tatary tak się rozspali, że nie było na kogo nacierać. Pan Dunin porozstawiał boczne placówki, a my poszli jak najspieszniej ku naczelnemu wodzowi; już i pan Arewingel ciągnął swoje działa i niemi podwiózł te, które przy referendarzu były rozdawione; — coraz było widniej. Stała jeszcze przed nami uszykowa linia Tatarów. Nasze armaty były w pogotowiu, ale nie paliły. Pan referendarz na czele swojej i naszej chorągwi, szlachty wołyńskiej i Bośniaków księcia Sanguszki, całą linią prowadził atak. Niech Bóg broń, jak sromotnie uciekali Tatarzy; wszystko znikło, ale w różne strony, bo najmniejszego już nie było porządku. Wzięliśmy do półtorasta niewolników. Nie mogliśmy pojąć, z jakiego taki terror na nich napadł.

Pan referendarz uradowany, że gościniec od Baru otworzony, rozkazał zaniechać daremną pogoni, a iść zwyczajnym pochodem przez szeroki gościniec. Godzina nie upłynęła, a widzimy przed sobą kilku jeźdźców. Nasi poznali kozaków ordynackich księcia Ostrońskiego; ci nas zaprowadzili do tatarskiego taboru, gdzie my zastali Adasia, który spisywał inwentarz tego wszystkiego co w nim zabrał. Jak obaczył pana referendarza, przybiegł pieszo do niego z raportem. Pan referendarz zsiadł z konia, ucałował go, dziękując za zwycięstwo, do którego tak się przyczynił.

Dowiedzieliśmy się dopiero, że pan referendarz odkomenderował był Adasia z jedną smigownicą i sotnią kozacką, żeby lasami przedarł się za Tatarami i z tyłu ich przywitał. Adaś sam mu tę myśl zainstynktował i tym tyle ufności u niego pozyskał, że jemu jęj wykonanie poruczył. I tego nie miał powodu żałować, bo Tatarów tak przstraszył, że nam opierać się nie umieli. Ich tabor zdobył z całym zapasem prochu, który później nam się przydał, a z swoim małym oddziałem więcej im zabrał niewolnika, niż my dopiero z kilkoma chorągiewkami. Ale też pan referendarz wysunął go przed wszystkiemi jego kolegami, bo od kilku dopiero dni przybyłego towarzysza postąpił na namiestnika, a nikt nie powiedział, żeby dla niego zrobił za nadto.

Jeszcze tego samego dnia przed wieczorem połączyliśmy się z panem podskarbiem, który opuścił był swój obóz, odstąpiony nakoniec od hana. Bo zaledwo ten ostatni usłyszał odezwanie się opodal śmigownicy Adasia, a już zwątpił o swoim synie i zwinął obóz, żeby jego ratować; lecz dowiedziawszy się od uciekających Tatarów, że cały ich oddział poszedł w rozsypkę, że niewiadomo w jaką stronę obrócił się jego syn, a że chmury wojsk polskich ze wszelkich wiatrów zebrały się i dotąd zbierają, odmienił przedsięwzięcie iść na referendarza, a rzucił się ku granicom Multan, skąd spodziewał się posiłków.

Pan referendarz, kiedy przedstawiał ojcu i naczelnemu wodzowi nasze rycerstwo, raczył łaskawie wspomnieć o nas dwóch, żeśmy powinność naszą dopełniali. Pan podskarbi uściskał nas obu, jako swoich powinnych, i czule nas wypytywał o stanie zdrowia JW. jegomości dobrodzieja. Ale jak mu pan referendarz zalecił Adasia, opowiadając co dokazywał pod Majdankiem, i wyznając, że on szczególnie przyczynił się do szczęścia, jakie spotkało nasze wojsko — pan podskarbi nie tylko życzliwość, ale mu okazał jawny szacunek. Po kilkakrotnie wspominał, że widział jego dziada, że Adaś go przypomina i rysami twarzy i dzielnością. My, co z nim wzrosli i jego kochamy, wielce byliśmy uradowani, że on sobie zjednał pochwały tak znakomitego męża. Pan podskarbi w dniu tym robił przegląd naszego wojska i oświadczył zadowolenie, że w nim znalazł wszystko jak się należy.

Posłaliśmy szukać hana Tatarskiego, a po kilku dniach znaleźliśmy go przecież pod Jazłowcem. Otrzymał był posiłki z Krymu i Wołoszczyzny, i niczego tyle nie pragnął, jak obmyć świetnym zwycięstwem plamę, jaka na jego syna padła; gdyż, jak my się o tym później dowiedzieli, on do ojca powrócił nie jak dowódzca znacznego oddziału, ale poprostu jak zbieg. Nie unikał więc bitwy jemu przez pana podskarbiego ofiarowanej, owszem sam jęj szukał. Zaczęliśmy ścierać się z sobą; nasza chorągiew miała szczęście, że coraz mocniej zagrzewała się rozprawa. Potyczka pod Majdankiem, to były przelewki, w porównaniu tego co mieliśmy pod Jazłowcem. Han miał z sobą nie tylko jazdę, na jakąś mu nigdy nie zbywało, ale i piechotę, nawet do tysiąca janczarów, a tym najwięcej nam dokuczał, iż przeszło dwadzieścia armat mu przysłano ze Stambułu, a nad nimi miał pieczę artylerzysty Francuz poturczony. Pan Arewingel przyznał, że ten chociaż Chrystusa Pana zaparł się za garść złota, jednak znał swoje rzemiosło.

Żwawa bitwa trwała do ośmiu godzin, a szczęście jeszcze się ważyło; bo jakkolwiek natarcia nam się wiodły, jak zaczęła walić turckie armaty, nie możemy nie korzystać skutecznie. Była jedna chwila dla nas straszna; już sam podskarbi, jak do tego później się przyznał, był zwątpił. I szeregowi i towarzysze padali jak muchy. Ten koń gniady, co go miałem z łaski jegomości dobrodzieja, padł podemną uderzony kulą działową, ale natychmiast mój masztalerz Szymek podał drugiego, za co obiecałem mu, że jeżeli da Bóg wróć do Krotoszyna, prosić będę jegomości dobrodzieja, żeby jego rodziców i brata libertował. Chorągiew pana referendarza najwięcej była narażoną na wystrzały działowe. On sam nie znajdował się przy swojej chorągwi, bo na środku właśnie wtenczas piechotę prowadził naprzeciw janczarom, którzy trzymali się jak mur; ale stary Dunikowski nią dowodził, i ona nie mogła w lepszych pozostawać rękach.

Dunikowski piąty czy szósty raz szykował swoją chorągiew i szlachtę wołyńską, które stały nieustraszone, kiedy kula armatnia urwała mu głowę. Można wyobrazić sobie, jakie wrażenie śmierci wodza sprawiła na jego podwładnych; gdyby nie Adaś, który jako namiestnik po nim objął dowództwo, cały ten oddział poszedłby w rozsypkę. On towarzyszków wstrzymał. „Bracia, rzekł do nich: „czyż mamy cierpieć, żeby te pohance nas co do nogi wystrzelali? „Odbierzmy im te armaty! Za mną, bracia! Bóg z nami!“ I jak uderzył na nich, to był cud wyraźny, bo kwadrans nie upłynął, a już te sześć armat, które nas w niwecz obracały, były w jego ręku.

Ogień ustał, my się posunęli, aż tu przypada towarzysz wysłany od Adasia do pana Dunina i mówi mu: na miłość Boga, niech pan nam jak najprędzej dostawi artylerzystów choć kilkunastu, bo zdoby-

liśmy działa, a z niemi nie umiemy się obchodzić. Za nami były dwie śmigownice, a przy nich puszkarze księcia Ostrońskiego. Pan Dunin wysłał do nich dwudziestu naszych i mnie z nimi, żeby mu przywieść artylerzystów. Pisząc do jegomości dobrodzieja, pusty śmiech mię bierze, przypominając sobie, jak to każdy z nas miał za sobą na koniu chłopca i z nim cwałem poleciał, a mój tak mnie ścisnął obiema rękami, żeby nie spać, że ledwo oddychać mogłem; aleśmy ich donieśli Adasiowi, który zaraz kazał im rychtować wzięte armaty przeciw bisurmanom. Poturezony Francuz sam był przy tych armatach, ale na ten raz uniknął stryczka, bo salwował się ucieczką. Jak zaczęły grać działa, dopiero wrogi, a teraz dobrodzieje, a pan podskarbi na środek uderzył, taka kasza się zrobiła z Tatarów, że sami siebie wywracali. Był to prawdziwie dla nich sądny dzień. Han miał z sobą do dwudziestu tysięcy ludzi, a nie wiem czy z nich dwa tysiące doprowadzi do swojego Krymu. Pole pod Jazłowcem było okryte trupami niewiernych, bo na początku pogoni nasi mordowali każdego, co wpadał w ich ręce, dopiero później pan podskarbi przecie wymógł, że jeńców przy życiu zostawili.

W chwili, kiedy mam zaszczyt pisać do jaśnie wielmożnego jegomości dobrodzieja, wiem z pewnością, że do czterech tysięcy niewolnika wyprawił pan podskarbi do swoich dóbr w województwie Ruskiem, a co godzina kozacy po kilku i kilkunastu ich prowadzą, gdyż pan podskarbi za żywego jeńca płaci po pięć złotych, ale tylko kozakom, bo my towarzysze oddajemy jemu naszych jeńców bez żadnej pretensyi, a daliśmy ich niemało.

Starsi mówią, że bitwa pod Jazłowcem jest to cios śmiertelny zadany Tatarom, że i za dziesięć lat się nie podniosą. Ile mogłem zaciągnąć na prędce wiadomości, w nasze ręce dostało się dwadzieścia armat, a tylko dwie han zdołał wyprowadzić; kotłów dwanaście, wozów parokonnych przeszło trzysta, skarbiec podróżny hana, a pulwkarów, namiotów, koni, ręcznej broni, makat, skór, powrozów, tego i nie przeliczyć.

Całą dobę przepędziliśmy na zwyciężkim pobojuwisku, bo tylko hetmańska chorągiew i kozaki wyprawieni zostali, żeby zabierać rozproszonych i uciekających pogan. Pan podskarbi obdzielał nas zdobyczą; nikt nie miał krzywdy. Jasiowi dostała się piękna makata amarantowa, złotem wyszywana, a mnie cybuch z munsztukiem bursztynowym, co go ośmielałem się przez oddawcę niniejszego pisma jaśnie wielmożnemu jegomości dobrodziejowi ofiarować. Wojsko w kotłach zdobytych warzyło sobie wiececzkę. Jedliśmy krupnik z ryżu, nocowaliśmy w namiotach tureckich. Bartoszewi, luzakowi Jasia, udało się kupić od jednego kozaka flaszkę olejku różanego za trzy grosze, Jaś mu ją odkupił za jeden czerwony złoty i posłał ją

namie, prosząc ją, żeby wydzieliła część téj flaszki dla Zosi. W obozie najlepszego tytoniu tureckiego oko można było dostać za srebrny grosz; z tego nie mogłem korzystać, bo nie palę lulki, ale wielu moich kolegów zapchali swoje troki tytoniem.

Pan podskarbi wyprawił do naszego Mohilewa mnie i mojego brata Jasia, który został rannym w prawą rękę, ale niech jegomość dobrodziej będzie spokojny, kulę wyjęto, kość nie uszkodzona, tylko że ręka obwiązana, więc do jegomości dobrodzieja nie pisze. Ale jakże on się cieszy ze swojej rany; śmieją się ze mnie, że ani kropelki krwi nie wylałem dla ojezyny. Niech sobie starszy brat żartuje zdrów, wszak ci ja nie bez szkody wyszedłem z potyczki, bo najlepszego mojego wierzchowca straciłem.

Ale co uczeszy cały Krotoszyn, a zwłaszcza państwa Śmigielskich, to szczęście nadzwyczajne, które spadło na Adasia. Bo kiedy po bitwie Jazłowieckiej pan referendarz oświadczył swoją żalność, że jego chorągiew straciła doświadczonego porucznika, i że nie wie komuby ją powierzyć, na to pan podskarbi odpowiedział: — Dziwuję się waszmości, że możesz się wahać; wszakże dowództwo téj chorągwi młody Śmigiel-ski zdobył dla siebie, kiedy ją tak dzielnie prowadził. Bogiem a prawdą, nie tyle sobie, ile jemu przypisuję nasze świetne zwycięstwo. Bo gdyby się jemu nie udało zachwycić armaty nieprzyjacielskiej, kto wie, czybyśmy plac utrzymali? — Pan referendarz zwołał towarzyszy i zapytał ich, kogoby sobie życzyli na porucznika, bo jednak miał na względzie, żeby nie obrazić starszych wojaków, stawiając ich pod rozkazami siedmastoletniego chłopca. Ale oni jednomyślnie się odezwali: — Adama Śmigielskiego prosimy, jemu będziemy posłuszni. Podły, ktoby między nami był jemu przeciwny! — I pan referendarz, jakoby ulegając ich woli, mianował Adasia porucznikiem. Odkąd kawalerya narodowa się urodziła, nie było przykładu, żeby siedmastoletni towarzysz na tak wysoki stopień został wyniesiony, a nikt nie powiedział, żeby mógł mieć co przeciwko temu. Było widzieć, jaka to była radość w jego chorągwi, że go dostała na porucznika, a nie tylko ta chorągiew, ale wszystkie inne, nawet cały obóz, brały udział w jego szczęściu, gdyż powszechny szacunek zjednał sobie. Pan podskarbi, winszując mu otrzymanego stopnia, rokował w przyszłości jeszcze wyższe zaszczyty, o czém w obozie nikt nie wąpi.

Bawimy więc w mohilewskim zamku, póki Jasiowi ręka zupełnie się nie zgoi, bo naszej chorągwi przeznaczono tu stanąć na zimowe leże. Pan Władanowicz, gubernator jaśnie wielmożnego jegomości dobrodzieja dóbr nad Dniestrem, ma o nas największe staranie. I łascie jaśnie wielmożnego jegomości dobrodzieja ośmielamy się jego polecić, bo jój wart. Wszystko tu w najlepszym porządku: stosownie do zalecenia, co go nam jaśnie wielmożny jegomość dał w Krotoszynie, za-

leciłem panu Władanowiczowi, żeby każdemu towarzyszkowi i szeregowemu naszej chorągwi, który stracił konia w tej wyprawie, innym szkodę wynagrodził. I już się do tego bierze gorliwie. Jakkolwiek z powodu wojny przychody klucza Mohilewskiego się zmniejszyły, przecię na niczém nam zbywać nie będzie, przy łasce jaśnie wielmożnego jegomości dobrodzieja.

Słyszałem, że już szlachta zaczyna się rozjeżdżać do swoich domów, a więc straż granicy tylko kwarcianny żołnierz trzymać będzie. Pan Podskarbi oświadczył, że żadnemu żołnierzowi nie pozwoli wydalić się z zimowych leż, a więc chyba na wiosnę, da Bóg doczekać, jeżeli pokój nastąpi, na co się zanosi, będziemy mogli paść do nóg jaśnie wielmożnemu jegomości dobrodziejowi w Krotoszynie. Będziemy mieli co opowiadać.

Jaśnie wielmożnej mamy dobrodziejki całujemy nogi, siostrzyczkę ściskamy serdecznie. Wiemy, że niemniej od nas będzie się cieszyć, że Adaś, który dla niej sroczę gniazda zdobywał w ogrodzie Krotoszyńskim, dla ojczyzny zdobywa armaty. My radziby mieć tu Adasia, ale on tak zajęty swoją chorągwią, że ani nadziei, żeby się pokazał w Mohilewie.

Kończąc ten list, piszę się z najgłębszym uszanowaniem jaśnie wielmożnego jegomości dobrodzieja

Najniższym sługą i posłusznym synem

*Józef Potocki, towarzyszy pancerny,
Wojewodzie Poznański.*

XVI. Błądzący poeta.

Już minęło lat sześć, a Adaś z Zosią jeszcze się nie byli spotkali. Od czasu kiedy opuścił Krotoszyn, znaczna odmiana zaszła u obojga. Adaś nie był już tym wyrostkiem, czasami swawolnym, zawsze miłym, ale młodzieńcem zmeżniałym w bojach, poważnym jak ci, którzy przywykli dawać rozkazy szlachetnym mężom. Zosia także nie była tą dziewczynką, obiecującą tylko powaby w przyszłości, pączkiem róży jeszcze nierozwitym, ale dziewczą w pełnym kwiecie, hożą, wysmukłą, roślą, rysów twarzy mogących służyć za wzór snycerzom. Wyraz jej twarzy był jeszcze więcej ujmujący, niżeli rysy, bo przy czarujących wdziękach objawiał jakąś czerstwość woli, jakąś skuteczność uczuć, coś przy skromności dziewczęcej tak stanowczego, że każdy coby ją spotkał, chociażby nie wiedział, jakie jej nazwisko, ani stopień jaki zajmuje w społeczeństwie, w jej przytomności pomimowolnym uszanowaniem, nawet czémś podobnym do bojaźni musiałby być przejętym. Trudno

więc było poznać Adasia i Zosię przy takiej odmianie w ich powierzchowności, ale to pewna, że ich serca się nie odmieniły.

I kraj uległ niemalym odmianom. Michał Floryan Rzewuski już nie żył. Właśnie kiedy polna buława miała uwieńczyć jego zasługi, Bóg przywołał go do wyższych i nieskazitelniejszych zaszczytów. Jan III, ów król-bohater, także dni pełne sławy i goryczy skończył. Jeszcze Stanisław Mateusz Rzewuski zawarciem traktatu Karłowickiego nie był położył końca zatargom między Portą Otomańską a Rzeczpospolitą. Wojna na pograniczu Multan i Podola trwała ciągle, a nasze rycerstwo nie mogło wracać do ojczyrstych zagród. Nasz Adaś ze swoją chorągwią nie przestawał się popisować i rość w ufności swoich wodzów i w nadziejach całego kraju.

W czasie elekcji po śmierci Jana III, jednomyslna prawie wola narodu skłaniała się do królewicza Jakóba, i byłby siadł na tronie ojca, gdyby zabiegi jego własnej matki, sprzyjającej młodszemu synowi, księciu Konstantemu, a nienawidzącej starszego, nie postawiły były do tego przeszkód nieprzełomnych. Nie wyniosła przebiegła Francuzka ulubionego Konstantego, ale przynajmniej usunęła niemilego Jakóba, rozbijając na stronictwa jednomyslność narodową. Wielu było kandydatów, ale wkrótce wszyscy odstąpili, widząc niepodobieństwo utrzymania się; dwóch tylko pozostało: Fryderyk August, elektor Saski, i książę de Conti, z krwi Burbonów.

Do tego ostatniego zwrócili się nadzieje królowej, skoro się przekonała, że jej zabiegi za młodszym synem były daremne. Większość magnatów sprzyjała wraz z królową księżciu francuzkiemu, bo chociaż Sieniawscy, Czartoryscy i Pacowie oświadczyli się za domem Saskim, wszyscy inni magnaci trzymali z księciem, nie tylko dzielnym przez osobiste przymioty, ale pokrewieństwem i wsparciem Ludwika XIV, tyle potężnym w ich przekonaniu. Potocki, wojewoda Poznański, po rozprzeżeniu się partyi królewicza Jakóba, której był głową, swoją gorliwość przeniósł do usług Contego, i najwięcej zagrzewał panów przeciwko elektorowi.

Lecz jeżeli książę Conti był silnym u magnatów, za to na szlachtę rachować nie mógł. Wyjawszy Wielkopolską, która jemu pokazała się życzliwą, Małopolska, Litwa i Rosya widocznie sprzyjały Sasowi. Upór magnatów, nie mając po sobie większości szlachty, co najwięcej mogłoby wojnę domową wywołać, a tego właśnie obawiali się wszyscy magnaci oprócz wojewody Poznańskiego. Bo ten tak dalece nienawidział elektora, niesłusznie jemu przypisując upadek nadziei królewicza Jakóba, że każdego środkaby się chwycił, byle tylko nie dopuścić jego do tronu.

Pierwszy referendarz koronny, dla uniknięcia nawet pozoru wojny domowej, jako prawy obywatel odstąpił od księcia Conti, przyłączył

się do partyi szlacheckiej czyli saskiej, i zdołał namówić innych magnatów, ażeby Augusta uznali. Wszyscy się dali przekonać; jeden tylko Potocki, wojewoda, zawsze piastujący w sercu żal do Sasa, nie dał sobie do tego kroku skłonić. Wszakże zaprzestał stawiać opór; tyle tylko, że nie chciał Augustowi służyć na krześle, w którym Jan III go był posadził, złożył senatorską godność, którą nowo obrany król natychmiast konferował Stanisławowi Leszczyńskiemu, możnemu i młodemu magnatowi. On był, jak jego przyjaciel i krewny Potocki, stronnikiem krwi Sobieskich, ale nie czując tak wielkich obowiązków dla księcia francuzkiego, żeby aż poświęcać siebie, był z liczby pierwszych co ulegli namowom Rzewuskiego. Król jemu dał te najpierwsze senatorskie prowincye, raz że był pierwszym Wielkopolaninem, który przystąpił do saskiego domu, powtóre w jego osobie chciał zobowiązać całą Wielkopolskę, bo Leszczyński jeden u szlachty tamecznej mógł przeważać Potockiego, zwłaszcza piastując jego dostojęństwo.

Jednak August II niczego nie zaniedbał, żeby tego przeciwnika przejednać. W pierwszym rozdawnictwie wakujących urzędów, kiedy wielką buławę dał Sieniawskiemu, a polną wraz z województwem Bełżkiem Rzewuskiemu, kiedy księcia Radziwiłła, siostrzana króla Jana, postąpił na kancelarstwo Litewskie, i tyle krzesła, starostw i urzędów hojnie magnatom porozdawał, nie zapominał o Potockim. A pragnąc ojca zobowiązać, bez względu na młodość synów starszego obdarzył strażnikostwem koronnym, młodszego starostwem Bełżkiem. O tém król donosząc Potockiemu pańskim a łaskawym listem, nie omieszczał przydać, iżby rad jego samego widział na swoim dworze, by siebie zasilać, jak nieboszczyk król, jego mądrymi radami. Ex-wojewoda w odpowiedzi do króla najpoddanniej podziękował za łaskawy udział jego pańskiej szcudroty dla jego krwi — i oświadczył, iżby najchętniej pojechał do Warszawy upaść mu do nóg, ale że niemoc go przykuła do domu. A tak zakopawszy się w Krotoszynie od lat kilku, zacisza domowego nie opuszczał.

Takowy tryb życia ani był dla niego nowym, ani ciężkim. Jak wszystka szlachta polska lubił wieś i samowładny w niej zarząd nad mieszkańcami. Lubiał on słuchać codziennie sprawozdanie z obszernego swojego gospodarstwa. Co niedziela po nabożeństwie sessya ekonomiczna była dla niego czémś podobnym do zboru panów rady u podnóża tronu potężnego mocarza. Położenie przemożnego szlachcica polskiego, nazwanego magnatem, było tak świetne, że piastowanie najpierwszych dostojęństw w Rzeczypospolitej było z jego strony rzeczywiście poświęceniem, gdyż w swoim zamku dziedzicznym aż do przesytu użytkował z wszelkich powabów najwyższej władzy. Jak król, był usłużony rodowitą a herbowną szlachtą; jak on, żył otoczony pochlebcami; niemniej, a może nawet więcej niż on, mógł uszczę-

śliwiać ludzi. A w sprawowaniu rządów, ani współzawodu, ani tych przeszkód nie doświadczał, które są zwykłym uposażeniem godności królewskiej. Pomimo tego, jak zawsze, tak i teraz Krotoszyn był ciągle nawiedzany mnóstwem gości ubiegających się o szacunek gospodarza, który postawił siebie na najwyższym szczeblu popularności tém, że złożył był swoje województwo. I w samą rzecz, był to krok szlachetny, nie mogący nie ściągnąć uwielbienia w narodzie skłonny do przyjęcia wrażeń. Wiadomo było albowiem, że wtedy odrzekł się od życia publicznego, jak się dowiedział, że synowie króla Jana uwięzionymi zostali na Szlaku przez tychże samych Niemców, których on kiedyś był wydzwignął z ostatniej toni; a kiedy przyjaciele usiłowali go odwrócić od tego przedsięwzięcia, on otwarcie odpowiedział: że zgadzając się z wolą Opatrzności może być wiernym poddanym pana z krwi niemieckiej, ale że nigdy nie będzie jego sługą.

Był jeszcze inny powab, który znakomitą młodzieź kraju przyciągał do Krotoszyńskiego zamku, a tym była Zosia. Nie było magnackiego domu, któryby nie pragnął jeszcze raz się skoligacić z jednym z pierwszych rodów Polski. Nie było zacnego kawalera, któryby ją widząc, nie radby ję się podobał. Zamek Krotoszyński był więc pełniejszy niż kiedykolwiek. Wojewoda wszystkich zalecających się jego jedynaczce z równą uprzejmością przyjmował, ale z tém się wymówił, że jeżeli ojciec ma prawo nie opuszczać dzieciom zawarcia związków niestosownych do ich stanu, ta władza nie rozciąga się do tego stopnia, by aż ich zmuszał do wyboru przeciwnego ich skłonnościom. Zosia dla wszystkich była grzeczną, ale równie zimną; cokolwiek śmielszą i poufalszą była z młodym Opalińskim, wojewódzicem Kaliskim, kawalerem wysokich enót i rzadkich przymiotów, który ją namiętnie kochał, ale to go bynajmniej nie przybliżało do kresu jego życzeń: on był cioteczno-rodzonym bratem Zosi, ulubionym siostrzaniem jęj matki, a związki krwi były wówczas tak silne, że w stosunkach między blizkimi, poufałość i przywiązanie bynajmniej nie wzbudzały podejrzenia, jakoby innego rodzaju uczucie dawało do nich powód. A nakoniec jeszcze było rozpowszechnione w narodzie całym przekonanie, że małżeństwa między blizkimi, nie zawiązujące się bez jakiegoś zwolnienia ścisłości prawa chrześcijańskiego, rzadko kiedy szczęśliwe pożycie stadłu zapewniały.

Jednej niedzieli, gdy wedle zaprowadzonego raz na zawsze obyczaju oficyaliści krotoszyńscy zbierali się w zamku, by podzielać zabawy wraz z gośćmi, między którymi znajdował się pan Zacharyasz z matką, żoną i córką, pan ex-wojewoda zbliżył się do gości i powiedział: powinszujecie mi, że od dawna oczekiwany gość temi dniami ma przybyć do mojego domku. Mój starszy chłopiec, przecie pan strażnik koronny, pisze do mnie, że lada dzień powita Krotoszyn. Ale

otóż głowa młodzika! pisze, że mu towarzyszy w podróży pan starosta Stuleński, jakoby mój znajomy, ale tak roztrzępany pan syn, że o jego rodowitem nazwisku nie wspomina. Czy kto z łaskawych panów nie wie, komu się dostało starostwo Stuleńskie? bo co do mnie, tyle tylko wiem, że Stolno leży na Rusi, i nawet przypominam sobie, że nieboszczyk Stadnicki tytułował się starostą Stuleńskim, póki nie został krajczym koronnym. — Król August tyle w tym roku rozdał starostw — odezwał się pan Garczyński, wojski Poznański — że trudno spamiętać nomine et cognomine, komu się każde z nich dostało. O starostwach i urzędach naszej prowincyi człowiek dałby objaśnienia, ale Ruś jest dla nas Wielkopolanów zupełnie obcą. Wszakże musi on być mężem zacnym, kiedy go pan wojewódzic zaszczyca swoją poufałością. — Kto wie, czy to nie kawaler dla naszej wojewodzianki — rzekł na to, mieszając się do dyskursu pan Wołczek, trefniś nadworny pana wojewody, który z urzędu swojego miał prawo wszystko powiedzieć, co mu do głowy przychodziło. Ale że to odezwanie się nie podobało gospodarzowi, więc on dyskurs do innego przedmiotu odwracając, powiedział: — Wojna z Turkiem tak dobrze jak skończona, bo już umowa o pokój jest zawarta, a pan Rzewuski się udał do Stambułu dla ratyfikacji traktatu. My oddajemy Turkom Chocim, a oni nam zwracają nasz Kamieniec; Dniestr zaś, jak wprzód, będzie granicą między dwoma państwami. — A więc odtąd będziemy się cieszyli świętym pokojem — rzekł pan Garczyński. — Nie bardzo — przedłużył wojewoda — wieści krążą, że król August wchodzi w umowy z carem moskiewskim i królem duńskim przeciw młodemu królowi szwedzkiemu. — A cóż to ma do nas należeć? — na to pan Wołczek — niech sobie jego Sasi rozprawiają się z Szwedami, niech się Niemcy z sobą biją, a świat polerują. — Podrwiłeś głową, panie Wołczku — rzekł pan Garczyński — bo co Niemiec to nie Szwed, a co Szwed to nie Niemiec. — To jeden djabeł — przedłużył Wołczek — kiedy my czyją rozumiemy mowę, to jest nam Słowianinem, a kiedy nie, on jest nam Niemcem. — Winszuję włości uczoności, przed którą odkryłeś, że tylko dwa narody na świecie — odezwał się wojewoda. Poczem obracając się do młodego Opalińskiego: — Waszeć, panie Stanisławie, byłeś roku przeszłego w Stockholmie na koronacji króla Karola; najlepiej nam opowiedz co to za pan. — Jest to osobliwszy człowiek, wujaszku. Nie mu w głowie, tylko z całym światem wojować. Innéj książki nie czyta, tylko żywot Aleksandra Wielkiego przez Kureysza, i umie go na pamięć. Innéj nie zna zabawy, okrom ćwiczenia swoich żołnierzy w rzemiosło wojenném. Codzień cały ranek niemi obraca, obiecując im panowanie nad światem. W niedzielę bierze zawsze na siebie nowy mundur, nową koszulę, nowe obuwie, wszystko grube, i sukno, i płótno, idzie do swojego kirku na nabożeństwo, i tak cały tydzień chodzi

nie rozbierając się. W mundurze i obuwiu śpi na krześle przez kilka godzin, a już o czwartej po północy jest na nogach. Dopiero w następną niedzielę wszystko zrzuca z siebie i to oddaje w darze żołdakowi, który z kolei przy nim pełni obowiązki szatnego, potem zanurza się w wodzie z łodem, i nowe odzienie znowu na cały tydzień bierze na siebie. — Kiedy tak — odezwał się Wołczek — więc summa summarum, przez rok wychodzi na niego pięćdziesiąt dwa mundury, tyłoż koszul, i tyle par butów; żaden wykwinł się lepiej się nie popisie. — To też jego największy wydatek, a trzeba widzieć, z jakiego gatunku odzież i obuwie. Sukno takie same, jak u każdego szeregowego, płótno jak to co na żaglach okrętu, buty jałowicze. A nie po ludzku przyprawionego nie weźmie do ust. Jego obiad: kawał wołowiny solonéj i kwaśnego chleba; woda mu jest napojem. Wieczera: chleb i salaterka kwaśnego mleka. Pościel, kiedy w domu, krzesło, kiedy podróży dla opatrywania warowni i oddziałów swojego wojska, końska skóra, a kulbaka poduszką. A jakie to zdrowie! wszyscy co są ciągle przy nim, nie mogą dość się nad nim wydziwić. — Bardzo więc nieroztropnie — odrzekł wojewoda — zaczepiać monarchę podobnego animuszu. Z każdym dobrze żyć w zgodzie, a cóż dopiero z takim. Zmowy na niego nie chwalać się królowi, bo niemi na nasz kraj może wielkie przywołać klęski. Szwed w Polsce jest tém, czém mysz w pułdle; wszystko zniszczy. Wszak jeszcze pamiętamy, ile to wsi, miast i zamków za Jana Kazimierza Szwedzi popiołem zasypali. To straszniejszy nieprzyjaciół jeszcze, niż bisurman. — Z takim sąsiadem, wujaszku dobrodzieju, napróżno pochlebiać sobie pokój. On sam ciągle na wszystkich się odgraża. Nie tai się z tém, że podbojami chce zatrzeć sławę Aleksandra Wielkiego, który jest jego wzorem. Jeżeli go nie uprzedzą, lada chwila sam się rzuci na swoich sąsiadów; o tém nikt w Szwecyi nie wątpi. Kanclerz Piper i Aksel Oxenstierna wstrzymują go jak mogą, ale już im do tego siły nie stają. Młody król pragnie koniecznie wojny, i cała młodzież szwedzka jego zapal podziela. Wojny Gustawa Adolfa wzbogaciły szlachtę szwedzką; nie ma w Szwecyi zamku, któryby nie był napełniony zdobyczami niemieckimi. Sam kraj jest ubogi, przychody jego baronów są ograniczone; młody Król umiał im wmówić, że bogate niwy Rosyi i Polski i zagospodarowane wioski Niemiec, zamienione na lenności szwedzkie, zostaną ich nagrodą. — Tu, ta rozmowa o rzeczach publicznych przerwana została przybyciem marszałka dworu wojewody, który oznajmił, że jakiś szlachcic zajechał w wózku na dziedziniec zamkowy z kozaczkiem grającym na teorbanie, i że prosi o pozwolenie przedstawić się wojewódzcie.

— Bardzo mu będę rad, oświadczył mu to waćpan — rzekł wojewoda — wszak waćpan wiesz, że mój dom przed żadnym szlachcicem

nie jest zamknięty. — Wyszedł marszałek i wkrótce powrócił, prowadząc przed sobą starego szlachcica, który się skłonił nizutecznie przed wojewodą, a potem całe zgromadzenie mniej nieco pokornym ukłonem powitał. Jak rzucił okiem na niego wojewoda, zaraz go poznał. — Ach! — rzekł rozweselony — jakżem szczęśliwy, że waszmość o mnie nie zapomniał. Wszak to pan Kukawski, poeta Laureat niegdyś pana podskarbiego koronnego. Nasza znajomość nie wczoraj się zawiązała. Wszakże to pod Wiedniem kolegowaliśmy z sobą. Tam byłem tyle szczęśliwy, żeś o mnie wzmiankę uczynił w swoich wierszach, które ofiarowałeś świętej i nieśmiertelnej pamięci nieboszczykowi królowi. — Tak jest, jaśnie wielmożny panie, i nigdy nie odmieniłem swojego rzemiosła. Kiedyś pod Wiedniem, wedle sił jakich Apollin mnie uczyzył, wsławiałem wielkie czyny jaśnie wielmożnego pana, a później, patrząc na bohaterskie czyny jego synów, ich imiona obok ich ojca zapisałem w świątyni pamięci. Ledwo pod Jazłowcem uciekł huk armat, a już moja lutnia dała się słyszeć w naszym zwyczajnym obozie. — A teraz, mój Kukasiu, co porabiasz? — A cóż, panie! jak pan podskarbi, mój mecenas, zakończył dni pełne zasług i sławy, powiedziałem: *Lugete Musae, clypeus Regni interit*. Chciałem rozbić moją lutnię; powiedziałem sobie: już śpiewać nie będę, nisi ego necessitate cogar, bo nie mam komu śpiewać. Ale, jaśnie wielmożny panie, *non est dolor quod tempus non minuat, nec moliat*. Są jeszcze ludzie warci moich śpiewów, pomyślałem, i znowu nastroiłem porwane struny. *Quo semel imbuta recens, testa servabit odorem*. — Powiedz-że, mój Kukasiu, czy podskarbi pamiętał o twoim losie, a jeżeli nie, czy syn jego, teraźniejszy hetman, jego zastąpił dla ciebie? — Ach panie! jako za żywota podskarbiego koronnego nie miałem od niego krzywdy, tak też i po jego zgonie aż nadto byłem nagrodzony za moje poświęcenie dla jego domu. Pan podskarbi dał mi wieś w dożywocie pod Rozdołem; ludzie mówią że to złote jabłko. Sed *alumnus Musarum curam rei domesticae fugit*. Powiedziałem panu hetmanowi, wówczas jeszcze referendarzowi koronnemu: niech jaśnie wielmożny pan wioskę sobie weźmie, a mnie naznaczy jurgielt, jaki mu się podoba, żebym mógł *procul negotiis* objeżdżać kraj i śpiewać. Młody pan dał się do tego skłonić. *Revertit ad Dominum quod ante fuit suum*, a mnie naznaczył rocznie trzysta złotych, aż nadto dla moich potrzeb. Od dwóch lat objeżdżam nasze województwa z moją lutnią i moim bandurzystą, rzemiennym dyszlem. Każdy mi rad, w każdym domu pańskim i szlacheckim jestem jak u siebie, każdy słucha moich pieśni, a człowiek w takowym trybie życia, po dotkliwej stracie znajduje pociechę. Gdybym gospodarował w samotności, dopiórobym się zatęsknił. — Chwała Najwyższemu, żeś o mnie nie zapomniał; spodziewam się że u mnie, dawnego przyjaciela, nieco się zatrzymasz.

Panowie — dodał obracając się do gości — przybycie pana Kukawskiego jest dla mnie niespodzianką, ale jaką... sami osądzicie, jak go usłyszycie. Mój Kukasiu, wiem że musisz być zmęczony podróżą. Panie marszałku! żeby dać wygodną kwatere panu Kukawskiemu, żeby jemu, jego ludziom i koniom na niczem nie zbywało! Oświadcz waszmość całemu dworowi, że w każdej chwili przystęp do mnie jest dla niego otwarty, i że ktokolwiek jemu najmniejszą przykrość ośmieli się wyrządzić, natychmiast przestanie być moim sługą. Wypocznij sobie, mój Kukasiu, a jak wypocznesz, musisz nam jakie wiersze swoje wypowiedzieć. — Jaśnie wielmożny panie, ja zawsze gotów na jego usługi. Czekam rozkazu, a jeżeli państwo pozwolą, przyjdzie mój bandurzysta. Ja będę mówił moje wiersze, a on będzie śpiewał dumki ruskie, które się ułożyły z tych wierszy.

— Prosimy! — odezwali się jednogłośnie wszyscy, poczynając od wojewody. Wprowadzono bandurzystę. Mężczyźni i damy ścisnęli się w okół poety. Ten nisko się skłonił, i zaczął przedstawiać ostatnią wyprawę. Po kilkunastu wierszach, które odmawiał, kozaczek w swojej ukraińskiej mowie je odśpiewywał, wtórzając swoim teorbanem. Gospodarstwo i goście byli w zachwyceniu.

Od tego zaczął, że zrobił panegiryk całej prozapii domu Potockich, sięgając aż do Moskorzewskich Pilawitów, poczem z podań przystąpił do ściślejszej historyi tego domu, do owych wielkich Rewerów i Stefanów, do samego wojewody i jego ojca, nakoniec przyszedł do Jazłowieckiej bitwy i rozeiagnał się nad sławą, którą tam uzyskali jego synowie: jak starszy wojewodzie ranny został w pogoni, jak niegdyś jego ojciec pod Wiedniem; jak młodszy zabrał w niewolę wróżbitę hana tatarskiego; a wymierzwszy cześć należną panom, przyszedł z kolei do czynów, któremi szlachta siebie pod ich dowództwem wsławiła. Tu było mnóstwo ustępów krótkich o szlachcie Wielkopolskiej, że prawie każdy gość mógł usłyszeć wymienione swoje nazwisko, a najdłuższy z tych ustępów był o Adamie Śmigielskim. I tak o nim przemówił:

„A czy zapomnieć Śmigielskiego można,
„Którego mężni najmężniejszym zwali?
„On pod Jazłowcem siał mordy i trwożę
„Pomiędzy hufce Tauryckiego hana,
„I tak świetnemi okrył się wawrzyny,
„Że kiedy poległ Dunikowski stary
„I swą chorągiew w sieroctwie zostawił,
„Tęj towarzysze, niezwalczeni w boju,
„Od najwyższego wyprosili wodza,
„Żeby Śmigielski odtąd ich prowadził.
„Chociaż młodzieniec jeszcze nie zarasta

„Już dolegliwa nagrodzona strata,
 „Już ożył starzec w młodym spadkobiercy.
 „Ciało odmienne, ale duch jednaki
 „Z serca dowódcy szerzy się w podwładnych.
 „Na brzegach Dniestru, za nurtami Prutu,
 „Gdzie nasz Śmigieński stanie z swém rycerstwem,
 „Bisurman nie śmie postawić mu czoła
 „I rzuca przed nim bezsilne bułaty.
 „Śmigieński swoich mężnych towarzyszy
 „Wiedzie do Multan, i Wołosza stepów,
 „Dobrywa zamki, więźniów oswobadza,
 „Łupami siebie i swoich wzbogaca,
 „A siół spokojnych mieszkańców zasłania.
 „Bułdeskuł, Bojar ziemicy Bogdana,
 „Któremu wiosek trzydzieści hołduje,
 „A mieszka w zamku, ósmym cudzie świata,
 „Miał jedynaczkę dziedziczką swych bogactw,
 „Piękną Oxanę; ta dla niego była
 „Zrenicą w oku, balsamem trosk serca,
 „Zbawieniem duszy. On też ją pilnował,
 „Żeby jęj sprośny bisurman nie porwał,
 „A jednak skarbu nie zdołał zachować.
 „Syn Krymu hana, po sromotnej klęsce,
 „Którą z swym ojcem poniósł pod Jazłowcem,
 „Szukał schronienia za brzegami Prutu.
 „Tam był przyjęty w Bułdeskuła zamku,
 „Jako przyjaciel i krewny sułtana,
 „Któremu oba księstwa hołdowały.
 „Dziki Tatarzyn, jak ujrzał Oxanę,
 „Sprośne zapaly uczuł w swoim sercu,
 „I śmiał zażądać od jęj rodziciela,
 „By mu ją oddał do jego haremu.
 „Odmówił ojciec, wskroś grozą przeszyty,
 „Nad hańbę córki srogą śmierć przenosząc.
 „Tatar, ze wzgardą praw swego Koranu,
 „Naszedł komnatę, schronienie dziewicy,
 „Wydarł ją z łona nieszczęsnego ojca,
 „Jego sług wszystkich w jassyr kazał zabrać.
 „Związany starzec jeden w zamku został.
 „Bóg bezkarnego nie dopuścił gwałtu,
 „Bo kiedy Tatar z grabieżą uchodził,
 „Śmigieński, trafem przez Boga zrządzonym,
 „Zabiegł mu drogę ze swoją chorągwią.

„Wszczęła się walka, lecz niedługo trwała,
 „Krzyż nad Porożem otrzymał zwycięstwo.
 „Już Lach przywyknął zwyciężać Tatara,
 „Odkąd go wielki Sobieski nauczył
 „Bić Tatarzyna i Turka bez przerwy.
 „Zgraja hultajów i jęj wódz Kanowicz
 „Padli o ziemię czołem przed Śmigieńskim,
 „Prosząc, by raczył ich darować życiem.
 „Prześliczna branka także padła do nóg,
 „Błagając, by ją chciał powrócić ojcu
 „I nie pozwolił jęj sławy sromocić,
 „Za siebie hojny okup obiecując,
 „I swe nieszczęście jemu powiedziała.
 „Pani! — rzekł rycerz, podnosząc dziewicę —
 „Wrócisz do ojca za swojemi sługi
 „Bez téj nagrody, którą chcesz nas skrzywdzić.
 „Łup chrześcijański nigdy nas nie zhańbił;
 „Jesteśmy wrogiem tylko dla pogańców.
 „Ale nim z ojcem strapionym się złączysz,
 „Szlachetna córa, musisz wprzód widzieć,
 „Jak umiść podłosc nagrażać Śmigieński. —
 „A gniewnym wzrokiem mierząc winowajcę,
 „Powie do niego: nieeńy bisurmanie,
 „Co przed wojakiem sromotnie uciekasz,
 „A lud bezbronny ciemiejysz i niszcysz,
 „Jakąś śmierć zadał niejednemu z naszych
 „Braci chrześcijan, taką sam doświadczysz.
 „I wbić go kazał na palu przy drodze,
 „Z pismem na piersiach w bisurmańskiej mowie
 „W tych słowach: — Ja syn tauryckiego hana;
 „Za to żem zdeptał prawa gościnności,
 „Gwałt czyniąc pannie szlachetnego rodu,
 „Śmigieński kazał wbić mię na tym palu.
 „Przechodniu, donieś to mojemu ojcu! —
 „Poczém dziewicę w jęj rodzinny zamek
 „Sam odprowadził, i złaczył ją z ojcem,
 „Który w rozpacz płakał po swęj córce,
 „Jak po umarłęj, gorzej niż umarłęj.
 „Ale nie mogło spotkać się bezkarnie
 „Oko dziewicy z okiem jęj wybawcy.
 „Gwałtowna miłość zażgnęła jęj serce,
 „I to wyznała przed swym rodzicielem.
 „Stary Bułdeskuł przywołał rycerza

„I rzekł do niego: — Ty, któryś pocziwość
 „Mój krwi zachował, tak że moja starość
 „Może do grobu już bez hańby wstąpić,
 „Przyjm za nagrodę tę, którąś wybawił.
 „Bądź moim synem i dziedzicem włości,
 „Co je pospołu z nią spuszcze na ciebie. —
 „Na to Śmigieński odrzekł mu: — O panie!
 „Za czyn zwyczajny dajesz mi nagrodę,
 „Jakaby władca ludów rad zasłużyć.
 „Ubogi szlacheć, zostawszy twym zięciem,
 „Między możnymi pany by się mieścił.
 „Przy takich wdziękach, anibym zazdrościł
 „Królom potęgi, ale przebac, panie,
 „Że z rąk twych szczęścia przyjąć mi nie wolno,
 „Bo moje serce przestało być mojem,
 „Inna dziewczica, wysokiego rodu,
 „Już je posiada. Rośliśmy pospołu,
 „Ona w powabach, ja rosłem w miłości,
 „Kiedym nie wiedział jeszcze co to miłość.
 „Promień mój duszy kryje tajemnica,
 „Bo wiem, że nie wart oczu na nią podnieść.
 „Przywdziałem zbroję, przypasałem oręż,
 „Jedynie żeby ję być kiedyś godnym
 „I osobistą sławą krwi ję sprostać.
 „Bóg mi poszczęścił, lecz wyższemi czyny
 „Jeszcze mi trzeba o nią się dobijać.
 „Żegnam cię, panie, bo mi nie przystoi
 „Widzieć twą córkę. — I zaraz opuścił
 „Z walecznym hucem zamek Bułdeskuła,
 „Nic z niego, okrom sławy nie wynosząc
 „I błogosławieństw zbawionego ludu.

Skończył Kukawski, a długi czas słuchacze zachwyceni w milczeniu zostawali, nim rzęsiście applauzy sypać się zaczęły ze wszystkich stron sali. Zauważano, że Zosi kilka łez puściło się z powiek, toż i wojewodzina. Ale było widzieć, co też się działo z matką, a szczególnie z babunią Adasia! Ta ostatnia tak się rozszlochała z radości, że aż wyjść musiała do gyneceum pani wojewodziny, żeby przyjść do siebie. Co się tyczy pana Zacharyasza, on stał nieporuszony, tak jakby nie o jego krwi mówiono. Aż wojewoda, który widać nie sztył sobie głowy, żeby zrozumieć, do czego był obrócony koniec pieśni, a w poezji nie innego nie upatrywał tylko poezją, rzekł do niego: — Śmigieński, co to waś stoisz jak posąg? ani dziękujesz na-

szemu poecie, że imię waściniego syna przekazuje potomności! — Tu dopiero pan Zacharyasz skłonił się przed panem Kukawskim. — Bardzo przepraszam waćpana dobrodzieja, że mu nie podziękowałem za jego łaskawą pamięć o moim synie, ale bo to ja prosty człowiek, szkół nie skończyłem, na poezyi się nie znam, tyle tylko wiem o niej, że poeci, kiedy są komu życzliwi, zawsze przesadzają ich pochwały. Wszakże na stronie zostawując wysoką waćpana dobrodzieja poezją, najczulęj mu dziękuję za jego życzliwość.

— Bardzo zimno odezwałeś się, Śmigieński — odrzekł wojewoda — aż mi wstyd za waści. — Mój Kukasiu, przepraszam ciebie, że mój Śmigieński nie umiał należycie poznać, ile przyniosłeś blasku imieniu. I ja winienem za niego przepraszać, bo to wina naszej krwi, że się nie douczył. Świętej pamięci mój ojciec nie dał mu skończyć szkół, zabraw go z nami pod Wiedeń. Jak go widzisz, po łacinie nawet nie umie mówić, a miałby się poznać na języku bogów? Ale że męźnie swojego czasu potykał się z pogańcem, tego byłem świadkiem. I nie dziwię się, że syn nie wyrodził się od ojca. Jedno, że ojciec nie był tak szczęśliwy jak syn, aby poeta go wślawiał; ale jego matka, jak ję tak rzewność się uspokoi, potrafi tobie podziękować. Bo to kobieta nie z wychowania, ale z przyrodzenia mądra. Ale i ja winienem tobie podziękować, Kukasiu, i za przyjemne chwile, które z twojej łaski mój umysł zajęły, i za to, że moje chłopcy nie uszli twojej pamięci; ale przewyższyłeś siebie w pieśni o Śmigieńskim. Słuchaj, Kukasiu! Ty stary, starszy odemnie; czas osiąść na spokojnym miejscu. Mieszkaj u mnie! będziesz w Krotoszyńskim zamku, jak pączek w maśle. Będę nad tobą chuchał jak nad młodą żonką, byłem się mógł nasłuchać twoich wierszy. Pozwól, niech zostanę dla ciebie tém, czém był kiedyś nieboszczyk pan Podskarbi. — Ściele się do nóg jaśnie wielmożnego pana — odpowiedział Kukawski. — *Benevolentia tua praecurret meritum Ieridense*. Ale z żalem serca przychodzi mi *capessere fugam* od tego szczęścia, co mi go jaśnie wielmożny jegomość pan ofiarujesz. Świętej pamięci mój pan od młodości mojej zaprawił mnie do włóczęgi. Bywało zawsze z nim albo na wozie, albo na koniu. Między czterema ścianami *musa me deceptit*. Tylko na wolnym powietrzu Apollin daje mi natchnienia. Po śmierci mego pana, ślubowałem po całym kraju roznosić sławę naszych wojowników. Wielka i Mała Polska, cała Ruś mię znają, jak zły szeląg. W Litwie tylko dotąd nie byłem. Tam muszę się udać z moją lutnią, a trzeba się śpieszyć, bo *mors adventat*. — Jeżeli tak, to przynajmniej daruj mi kilka niedziel. — Kiedy jaśnie wielmożny jegomość pan mi pozwolił, siedm tygodni naprzykrzę się jemu, a na początku ósmego, da Bóg doczekać, pośpieszę nawiedzić szczątki ołtarzów Znieza. Pan wojewoda coś szepnął żonie, a ta wyszła do swojej komnaty

i wkrótce z niej wróciła, trzymając wręku sakiewkę napełnioną złotem. Przybliżyła się do Kukawskiego i wdzięcznym uśmiechem powiedziała mu: — Przyjm waszmość udział mojej wdzięczności za te śpiewy, którymi nas i zabawiłeś i oświeciłeś, oraz ten upominek na pamiątkę mojej życzliwości. Ten woreczek jest mojej własnej roboty. Czém kto bogaty, tém rad się przysłużyć. Jako poeta przysłużyłeś się nam tworami geniuszu; pozwól, bym waszmości przysłużyła się tylko kobiecą robotą. — Na to hasło, nie było znakomitego gościa, któryby nie uczcił poety jakimś upominkiem, stosując się w tém do obyczajów narodowych (*).

Już żadna rozmowa inna nie dała się słyszeć w zamku dnia tego, tylko o Kukawskiego wierszach. Po kilkakrotnie musiał występować z nowemi popisami, i dopiero późnej nocy towarzystwo rozeszło się do czasu.

XVII. Nowa konferencya familijna.

Nazajutrz przed siódmą z rana, wedle trybu raz na zawsze przyjętego w dworku pana Zacharyasza, cała rodzina zasiadła do wspólnego śniadania. Kawa nie była jeszcze rozpowszechniona w Polsce; o herbacie nikt ani słyszał, że gdzie rośnie. Piwo grzane i parzone mleko były zwykłym posiłkiem rannym szlacheckiego domu. Babunia była nadzwyczaj wesoła, jej synowa umiarkowana i oględna na męża, a pan Zacharyasz zawsze zamyślony.

Przy tém śniadaniu, babunia pierwsza przerwała milczenie: — No Zacharyaszu! spodziewałam się, że przecie dziś odmarszczysz czoło i z nami będziesz się cieszył. — A czego? — A mój Zacharyaszku, chyba że masz siebie za niegodnego błogosławieństwa Bożego, kiedy je z taką obojętnością przyjmujesz. Twój syn postępuje w zaszczytach; słyszałeś wczoraj, jakie piękne o nim wiersze ułożył pan Kukawski. Nie ma ojca nawet między wielkimi panami, któryby tobie go nie pozazdrościł, a ty, jakby to nie była twoja krew; a czy nie mówiłam tobie zawsze, że on wyjdzie przynajmniej na starostę? — Jeszcze mu daleko do starostwa, pani matko. Że został porucznikiem w kawalerii narodowej, cieszę się, bo to pięknie dla szlacheica. Tyle tylko po-

(*) Aż do połowy panowania Stanisława Augusta mieliśmy tych bardów, którzy od domu do domu wędrowali ze swojemi pieśniami. Wszystkie ważne wypadki krajowe przechowywały się w tych wierszach, które omal nie wszystkie zaginęły, odkąd ukształcenie narodowe inny przybierało kierunek. Jest to nieodżałowana strata. Hrabia Gustaw Olizar w archiwach swoich znalazł pieśń o olkienickiej potrzebie, i pełen gorliwości dla literatury naszej utrwalił ją drukiem. Jest to jedna z poezyj tego rodzaju. Kto ją raczy odczytać, przekona się, ile było ducha w utworach tych poetów, których nazwiska już są zapomniane.

wiem, że to chleb bardzo niepewny, a co do wierszy, w których go pan Kukawski umieścił, wieleby o tém można powiedzieć. Przyznam się imości dobrodzieje, że chociaż ci błędni poeci znajdują względy u naszych panów, ja trzymam o nich, że to są wielkie próżniaki, i do ich pochwał najmnij się nie przywiązuję wagi. Niechby mi zaś chciało się usłyszeć moje imię odśpiewane przy teorianie, a ja zaryzykowałbym parę szufrynow, zarazby się urodził poeta, któryby zemnie zrobił wielkiego męża, jak imość dobrodziejka mnie widzisz. A czy to wielkie święto dla poety, przesolić komu pochwały? Na to ani w konwencyach koronnych, ani w Statucie Litewskim nie ma kary. Bo jak wiadomo, każdy wierszopis jest uprzywilejowanym łgarzem. Chwała Bogu mam przynajmniej tyle oleju w głowie, że jeżelibym dał potrzebemu wierszoklecie jakie parę tyńfów z miłosierdzia, to nie na to, aby, jak oni powtarzają, dał mi nieśmiertelność, ale na to, żeby się o mnie ani dobrze, ani źle nie odzywał. Wreszcie, choćby w tych wierszach, co je wczoraj pan Kukawski plótł o naszym Adasiu, było i cokolwiek prawdy, więcej z niej dla mnie zgryzoty niż pociechy. — A to zkąd? — Zkąd? a czy imość zapomniała, na czém się skończył wiersz pochwalny o Adasiu? Jam to dobrze zauważył, i nie wiem, jak mogłem ustać na nogach. Myślałem, że już Adasiowi to dawne głupstwo wywietrzało z głowy. Wyglądałem okropną burzę; myślę sobie, tylko co nie widać, jak pan każe wytrącić za drzwi i poetę i jego bandurzystę, i skusnie, bo na jakie lichy mu się mieszać do tego, co do niego nie należy? Jakoś nie zgadłem, bo nie tylko że jemu to uszło na sucho, ale nawet od pani hojny odebrał upominek; tak właśnie, jakby chciano zachęcić, żeby i nadal plótł nic do rzeczy. — A więc masz dowód oczywisty, że to, czego się ty tak mocno obawiasz, postępuje za wyraźnem rozporządzeniem Bożem. Ja zawsze jedno a jedno powtarzam: że Adaś dla wojewodzianki, a wojewodzianka dla Adasia. I wszystko co widzę i słyszę, coraz gruntowniej to moje przekonanie potwierdza. Tylko ty nie możesz tego zrozumieć. — Otóż imość powiedziała! że Adaś jakimś osobliwszem szczęściem został porucznikiem, to już, wedle imości, nie ma tak wysokich progów, żeby się przed nim nie miały ugiąć. A cóż to? piątą klepkę panu nie dostaje, żeby mając pod ręką tylu senatorskich synów, pozwolił o swoją jedynaczkę odezwać się synowi swojego sługi? Adaś dowodzi chorągwią, winszując i ciesząc się z całego serca z tak niespodziewanej promocyi. Przyznaję nawet, że na nią zasłużył, bo oprócz rzeczywistych zasług, cóż tak dalece przemówić mogło za chudym pacholciem? Niech Bogu za to dziękuję, i my z nim pospół; ale wojewodzianka, i to jeszcze z krwi Potockich, to nie tatarski obóz, żeby ją można zdobyć na czele swojej chorągwi. — Na to chorągwi nie potrzeba, mój Zacharyaszku! Serce zdobywa serce! Oboje siebie kochają od

dzieciństwa, a choć będą różne przeszkody, wspólna stałość wszystkie te przeszkody przemoże, i nie kto inny tylko nasz Adaś będzie mężem Zosi. Bo Bóg tego chce, a śmierć i żona od Boga przeznaczone. — Ja wiem, że imości nie przekonam. Bieda była jakoś usnęła przez lat kilka; trzeba żeby ten przybłąda, ten wierszoklet na nowo ją obudził. Imość wygląda przybycia Adasia jak kania dżdżu, a ja tak się tego lękam, że gdyby nie żal dworku i ogrodu, co je człowiek wypieęgnował jak własne dziecko, a nie obawa napadów tatarskich i zaporożskich, a buntów chłopskich, tobym podziękował panu za służbę i przeniósłbym się na Ukrainę do żoniniej wioski, którą znam jedynie z opisanja, a która, jak imości wiadomo, może idzie w korzyść mojemu dyspozytorowi, ale to pewna, że nie mnie. Oficjaliści pańsey, co tu czasem przybywają z Niemirowa lub Ładyżyna, mówią o naszej wsi, że to ma być złote jabłko; ale to pewna, że bardzobyśmy cienko śpiewali, gdyby nam przyszło żyć tylko z naszego dziedzictwa. Na biedę przyszło mieć gospodarstwo o półtorasta mil od siebie. Da Bóg doczekać na Trzech Króli, nasza Jagusia wychodzi za męża. Zaraz po ślubie żonka w mojej asystencyi odrezygnuje Adasiowi i jego siostrze swoją wieś. Jak dzieci postanowie, niemały ciężar spadnie mi z głowy. Niech sobie gospodarują między ryzunami, a jakoś i bez dziedzictwa dociągniemy do końca naszego żywota. — Nie turbuj się o Adasia, Zacharyaszku! Śmiało całkowitą wieś spuścić możecie na Jagusię. Adaś nie szlachecki, ale pański będzie miał majątek. Ma on w szabli po moim Stanisławie intratniejsze dziedzictwo, niż choćby hrabstwo Krotoszyńskie. Czy ty uważałeś, jak to pięknie wspomniął pan Kukawski, że nasz Adaś na Wołoszczyźnie i siebie i swoich wzbogacał, ale nie krwawicą chrześcijańską, tylko tym co zdobywał na poganach? Niech Bóg da zdrowie panu Kukawskiemu, że mnie do łez rozczulił, wymierzając sprawiedliwość Adasiowi. Nie bój się, on siebie spanoszy zwycięztwami nad nieprzyjaciołmi Chrystusa Pana, nie licząc ogromnego posagu, co mu go wniesie nasza wojewodzianka. — Ja swoje, a imość swoje. Żebym nie wiem o czém mówił, imość dobrodziejka zawsze kieruje dyskurs do przedmiotu dla nas wszystkich wielce niebezpiecznego, a o który chyba jednemu panu Kukawskiemu bezkarnie potrać wolno. Te wszystkie wnioski imości dobrodziejki, uważam tylko at! zwyczajnie, jako dowód przesadzonej zyczliwości dla wnuka, w którym wszystkie doskonałości upatruje, a zatem wierzy, że ma prawo do każdej jaka mu się zechce. Słuchałbym tego, jako bajki o żelaznym wilku, gdyby mnie słudze wolno było słuchać bajek obraźliwych dla mojego pana; a że nadzieje imości i moje obawy wzmogły się od wierszów pana Kukawskiego, to powiem otwarcie, że jeżeli to, co on wczoraj mówił, a jego bandurzysta po swojemu śpiewał, nie jest zupełnem kłamstwem, jak to zazwyczaj bywa u poetów, tobym z tego

nie innego nie umiał wnioskować, tylko że Adaś, z przeproszeniem imości, jest wielkim głupcem. — A to czemu? — Temu... a czyż imość zapomniała, że pan Kukawski na tém skończył, że jakoby Adaś jakiegoś tamecznych stron magnata jedynaczkę wybawił z jassyru i odwiózł do ojca, a ten mu ją chciał oddać z zamkiem przepysznym, i trzydziestu wsiami, a jakoby Adaś tém pogardził? — A dla jakiej przyczyny? wszakże pan Kukawski dość wyraźnie Adasia usprawiedliwił. — Ale aż nadto wyraźnie! Wolałby tego nie wymówić, wieleby mi oszczędził frasunku. Z tém wszystkiem rekuzować zaczęj i pięknej pannie, która ma w swoim fartuszkui zamek z trzydziestu wsiami, dlatego, że do głowy przystąpiła jakaś dziwaczna myśl, tak właśnie podobna do ziszczenia, jak na przykład wybudowanie stodoły z łoży, za toby warto Adasia oddać do ezubków. Tylko że ja temu nie wierzę. — A ja wierzę co do joty, a przecie bynajmniej nie obwiniam rozsądku Adasia. Widać, że nie było woli Boskiej, żeby się z nią żenił, i to samo mnie przekonywa, że Bóg coś innego mu przeznaczył. — Ba! nie się nie dzieje bez woli Boskiej; ale jeżeli kto rzuci na rolę plewę, nigdy nie będzie woli Boskiej, żeby się na nią zbierały kopami kłosy. Od czegoż Bóg dał rozum? — Gdyby Adaś został zięciem tego magnata, byłby sam magnatem, a ja nie byłbym teraz pod obuchem. Święty pokój, w którym zostawałem od wyjazdu Adasia, widać że musiał się naprzykrzyć czartu, kiedy wczoraj nasadził mi tego samego pana Kukawskiego jedynie na to, żeby mnie znowu Piotra napędzić. Śmieję się imość dobrodziejka, a mnie nie śmiech, a płacz. To jeszcze szczęście, że Adaś ma tyle zajęcia na Wołoszczyźnie, że nie może myśleć o tak rychłym powrocie do Krotoszyzna. Nieby nie brakowało, jak żeby do tych stron zawitał! Dopiero przyszłoby człowiekowi uciekać z własnego domu. — Uciekajże, panie Zacharyaszku, kiedy tak, bo lada chwila będziemy oglądali naszego Adasia. — Co imość mówisz? od kogo się o tém dowiedziałaś? czy nie od tego poety, który tu się pokazał dla wyraźnej mojej zguby? — Od nikogo. Jest-to przecucie, które mnie nigdy nie zawodzi. — Przecie że tylko przecucie, to jeszcze pół biedy; a zresztą, djabeł nie śpi, a że na mnie się usadził, może tego dokazać, że zginę jak ruda mysz. To niewielka sztuka, bo tak upadłem na siłach, że dziecko mię pobije. — To rzekłszy wyszedł z pospiechem, śniadania nie skończywszy.

Wyszedłszy, kazał zaprządz do wózka, żeby objeżdżać gospodarstwo. Cycero w zgryzotach, jakich doświadczał, znajdował pociechę w naukach. I gdyby wszystko zawsze mu szło pomyślnie, bez wątpienia przekazałby potomności swoje mowy, ale to pewna, że nie mielibyśmy tych jego traktatów filozoficznych, które od ludzi ukształconych, ale nieco zapędzonych w lata, są czytane z większą jeszcze rozkoszą, niż jego mowy. Czém nauki były dla Cycerona, tém gospo-

darstwo było dla pana Zacharyasza. I nigdy też gorliwiej niemi się nie zajmował, niż kiedy był trapiącym jaką niespokojnością, co z jego usposobieniem aż nadto często się zdarzało. Wprawdzie kiedy z innego względu bywał spokojnym, gospodarstwo mu przynosiło zgryzoty, gdyż on nie nie umiał przyjmować obojętnie; ale i to pewna, że w utrapieniu te nieukontentowania gospodarskie przynosiły mu ulgę. Gospodarstwo więc było dla jego chorób moralnych rodzajem homeopatycznej kuracji, zawsze skutecznej. Widać, że lekarze z którymi pan Zacharyasz miewał stosunki, mało rozwinęli w sobie byli ducha obserwacji, kiedy jeszcze w owym czasie nie natrafili na metodę, która w naszym okresie uniesmiertelniała Hahnemanna, zadając cios wszystkim mistyfikacyom allopatycznym, a która tylko o chirurgią się rozbiła.

Siadł więc pan Zacharyasz w wózek i kazał powiedzieć matce i żonie, żeby na niego nie czekały z obiadem. Objechał niwy samego Krotoszyna, potem kazał siebie zawieźć do jednego z folwarków należących do hrabstwa, gdzie się stawiał nowy młyn. Tam nagdował na mielnika, na cieśli, a zwłaszcza na podstarościego, co mu nie przeszkadzało zaprosić się do niego na obiad. Tam pokazało się, że zgryzota albo bardzo mało działała na jego zdrowie, albo musiała znacznie zmodyfikować się jego gdéraniem przy młynie, bo z niepospolitym apetytem zjadał ulubioną sobie potrawę, pieczone kureczka ze śmietaną.

Skoro babunia i pani Zacharyaszowa zostały same, łatwo się domysłu, że o niczem innem mówić nie mogły, jeno o Adasiu. Pani Zacharyaszowa zachowywała milczenie, ile razy babunia rozprawiała w przytomności jej męża o widokach Opatrzności nad ich synem, bo wiedziała, ile ten przedmiot obudzał niespokojności w jego umyśle. Ale bez niego otwarcie puszczała wodze nadziejom, wznieconym od staruszki, i chętnie jej potakiwała. Bliższa od niej serca pani wojewodziny i ufności Zosi, lepiej jeszcze niż ona wiedziała o statecznym przywiązaniu, jakkolwiek dziecinnym, wojewodzianki dla Adasia, i umiała poznać, że wojewodzina nie była od tego, aby w postanowieniu córki zupełnie się spuścić na skłonność jej serca. Wychowanie, jakie przyjęła wojewodzina w rodzicielskim domu, potężnym ale jednym z najpopularniejszych w Polsce, do tych umiarkowanych wyobrażeń ją usposobiło. Tyle nasłuchiwała się od dzieciństwa o polskiej równości szlacheckiej, której wszyscy Opalińscy byli gorliwymi obrońcami, że te maksymy, częstokroć obłudnie wychodzące z ust możnowładców w oglądaniu się ich na szlachtę, której przywiązanie było jedyną podstawą ich potęgi, u niej były przybrały siłę nieczem niezachwianych zasad. Ani przypuszczała, żeby zasłużony ojczyźnie szlachcie nie miał prawa starać się o rękę dziewczęcy krwi historycznej. Często powtarzała w przytomności swojego męża, że w Polsce plemię

senatorskie ani poniżej siebie, kojarząc się małżeństwem z potomkiem ubogim starożytnego szlacheckiego rodu, ani też siebie wywyższa, oddając rękę chociażby królewiczowi. Ile razy z czémś podobnym się odezwała, zawsze wojewoda z tém się oświadczał, że zanadto siebie czuje być prawym Polakiem, aby jej zdania nie podzielał.

Ale wcale co innego wyznawać zasady, a do nich stosować swoje postęпки. Dom Potockich znany był całemu narodowi ze swojej wyniosłości, a wojewoda, pomimo niezaprzeczonych zasług i najrzadszych przymiotów, które go robiły miłym szlachcie, był najdumniejszym ze wszystkich Potockich. O tém dobrze wiedziały i wojewodzina i pani Zacharyaszowa. Wszakże ta ostatnia, jako matka, przystępna wszelkim nadziejom szczęścia i wyniesienia jej syna, lubo przewidywała wielkie trudności w ich spełnieniu, pocieszała siebie przekonaniem, że czas i wytrwałość wszystko przezwyciężyć mogą.

Te pocziwe kobiety i nagadawszy się do woli, i zadość uczyniwszy wszystkim dziennym obowiązkom domowego gospodarstwa, zabierały się kazać nakrywać do stołu, kiedy pan Kukawski, który jak się powiedziało był zabrał z niemi znajomość w dniu poprzednim, przybył z pierwszą wizytą. Panie Śmigielskie przyjęły poetę z szczeropolską gościnnością i bez trudności uprosiły go, że z niemi został na chudo-pacholskim obiadku, który wkrótce po jego przybyciu na stół został przyniesiony. A że w ciągu obiadu pan Kukawski mógł jeść, to nie było bez jakiejś trudności, bo prawie bez przerwy musiał odpowiadać to na babki, to na matki, to czasem na obu zapytania.

XVIII. Przybycie Adasia do Krotoszyna.

Tyle tylko, że dla ogrzania żołądka gospodynie dały panu Kukawskiemu spokojnie spożyć polewkę, bo przy sztukamięsie trzeba mu było zadość czynić ich ciekawości nieczem niepomahowanej. — To nasz Adaś ma szczęście być waćpanu dobrodziejowi znanym — odezwały się obiedwie razem, jakby się zmówiły. — Jaki panie, szczęście? szczęście z mojej strony, iż nie tylko że mnie pan starosta zna, ale nawet pozwala mi szczyścić się jego osobliwą łaską. — Jaki pan starosta? — A to chyba szanowne panie nie wiecie, że pan Adam Śmigielski otrzymał przywilej na starostwo Stuleńskie, od króla dziś nad nami szczęśliwie panującego? Byłem z liczby tych, co mieli szczęście powinszować mu tego zaszczytu, bo jak się o tém dowiedziałem, pojechałem go szukać aż na Wołoszczyźnie. Z tego nawet powodu przyśłużyłem się jemu wierszykiem, który uprzejmie był przyjętym, bo pan starosta dał mi hojny upominek. Oto ten właśnie dywdykowy pas, co go miałem wczorajszego dnia na sobie, a który sięgnął uwagę właśnie wielmożnego wojewody. — Nasz Adaś starostą! — krzyknęła mat-

ka—podobnego szczęścia nigdy nie śmiałam się dla niego spodziewać. — A ja — odrzekła babunia — zawsze byłam pewna, że do wysokich dobieje się zaszczytów. Ale powiedz, mości panie Kukawski dobrodzieju, jak to się zrobiło? — Chętnie, łaskawe panie. Najprzód wyobrazić sobie nie jesteście w stanie, ile ich godny potomek ważył w naszym obozie. Jest-to drugi Achilles, tylko że we mnie nie znalazł drugiego Homera, zdatego wydać w wierszach to wszystko, co on spełnił na jawie. Jednym słowem, on młodych prowadził zawsze szczęśliwie do boju, a starzy zawsze przypuszczali go do rady. My ciągle się bili, a nie było bitwy, w którejby jego szabla nie przechyliła szali szczęścia ku naszej stronie. Ja z górą lat trzydzieści byłem nieodstępny boku jaśnie wielmożnego świętej pamięci podskarbiego koronnego, mojego pana, który w tej ostatniej dla nas tak szczęśliwej wyprawie naszemu rycerstwu hetmanił. Zawsze w namiocie mojego pana sypiałem, miałem czas nasłuchać się, co ten wielki wojownik mawiał o panu Śmigielskim. Ach panie, tego na wołowej skórze bym nie spisał. Bywało w potrzebie, kiedy mu dają wiedzieć, że tam gdzieś, jak to się zdarza na wojnie, zwycięstwo się chwije, on mówi: a wszak tam jest Śmigielski, wszystko dobrze pójdzie. Owóż tedy po Jazłowieckim zwycięstwie niemocy mojego pana tak się wzmożyły, że już na koniu nie mógł dosiedzieć. Rad nieraż musiał złożyć dowództwo w ręce syna, wówczas referendarza, a ninie hetmana pełnego koronnego, który teraz w Stambule układa pokój z Turkami, a sam pojechał ze mną do swojego Rozdołu; ale tam coraz gorzej szło z jego zdrowiem, zaraz też poznał, że wkrótce opuści ten znikomy świat. Wziął się do testamentu, w którym o żadnym słudze nie zapomniał; poczem własną ręką napisał list do króla Jana, który niedługo po nim zszedł z tego świata. W tym liście nieboszczyk pan polecił królowi zasłużonych mężów, z którymi udało mu się pogromić nieprzyjaciół kraju, a szczególnie pana Śmigielskiego. A tak, jako ojciec, małżonek, obywatel, pan i wódz, rozporządziwszy to wszystko co do tego świata należało, już tylko Bogiem i wiecznością był wyłącznie zajęty, i po kilkunastu dniach obłożnej niemocy, bez cierpień, bez bólu, bez konania, w naszych oczach Bogu oddał ducha, przyeiskając do serca znajmę naszego zbawienia; a ja zaraz po jego śmierci pojechałem do obozu, wręczyć ojcowski testament panu referendarzowi i jego bratu. Mój Boże, jakież to był smutek młodych panów! Ja podałem projekt nagrobku dla nieboszczyka pana, tylko że to nie przyszło do skutku. A ten nagrobek był taki:

*Sta viator, lege et luge,
Si non ingemiscis, labisces* i tak dalej.

Tylko przepraszam, bo szanownym paniom wolno nie umieć po łacinie. — Przyznajemy się do niewiadomości — rzekła pani Śmigielska młodsza — ale nasz Adaś bardzo pięknie się tłumaczy tym językiem. — A jakże nie! Wszakże to bywało, ile razy między nami odbywała się rozmowa poważniejsza, jako obaj *edocti*, zawsze prowadzimy ją po łacinie. A inni w milezeniu nas słuchają, żeby ani jednego wyrazu nie stracić. Nigdy nie zapomnę, jak razu jednego za stołem u pana referendarza sprzeczaliśmy się z sobą o jednym ustępie Eneidy. On utrzymywał, że Eneasza nieuczciwie postąpił z Dydoną, tém, że *ex abrupto* zerwał z nią stosunki, i tém się stał przyczyną jej śmierci; a ja mu dowodziłem, że Wirgiliusz bardzo właściwie zrobił swojego bohatera uległym potężnemu *fatum*, jemu ogłoszonemu przez Bogów; i pan referendarz, *vir peritus in litteris*, przyznał mi słusność. Co się nie mówi, żeby siebie pochwalić, ale żeby dowód przynieść, ile z sobą jesteśmy poufali. Otóż kiedy z porządku list świętej pamięci jaśnie wielmożnego niegdyś podskarbiego koronnego dostał się w ręce teraźniejszego króla, on wziął się zaraz do wypłacenia zaciągniętych dla ojczyzny długów przez jego wielkiego poprzednika. I porozdawał wakujące urzędy *bene merentibus*. A pana Śmigielskiego, nie zważając na jego młodość, a mając jedynie w uwadze zalecenie jego niegdyś naczelnika, nie tylko że postąpił na pułkownika swojej królewskiej chorągwi, ale go jeszcze obdarzył starostwem, żeby mu tym sposobem zapewnić do śmierci wygodny sposób do życia. — Nasz Adaś starostą! Niech Bóg najwyższy nagrodzi panu, żeś nam tak miłą dla nas wiadomość udzielił. — Tak, tak, szanowne panie, i cóż w tém dziwnego? a żebyście panie wiedziały, jaka radość była w całym naszym rycerstwie, że zasługa nie została bez nagrody. To pewna, że szanowne panie nie cieszyście się więcej z powodzenia waszego potomka, niż się cieszyli zwłaszcza towarzysze jego chorągwi. Jak powiedziałem, umyślnie pojechałem na Wołoszczyznę, żeby mu powinnować zaszczytu *usque ad altiorem ascensum*, i pojechałem z gotową odą. Obrąłem za epigrafę: *sic voluere fata*, i tak ją zacząłem:

Ciescie się, Muzy, i ty Apollinie,
Że się odrodził Pelid w polskim synie;
Już z rąk królewskich wziął nagrody wieniec
Mężny młodzieniec.

W wolniejszym czasie będę miał zaszczyt całkowitą odę paniom komunikować. Ona jest długą, ale śmiało mogę powiedzieć o sobie, że kiedy ją tworzyłem, byłem pod wpływem natchnienia. Obywatele na Podolu jej na pamięć ponauczali się, i ją powtarzają; a panie, jako niewiasty pełne światła i smaku, zapewne zauważyły mu-

siały, że niezgorzej rymy dobrane. Naprzykład wieniec i młodzieniec, to nie każdemu się uda, ale człowiek na tém zęby zjadł. — Ach mości dobrodzieju — na to babunia — pochlebiamy sobie, że przyjaciel naszego Adasia póki zabawi w Krotoszynie, nie zapomni o jego rodzicach, i niejednokrotnie raczy nas obdarzyć swoim przybyciem pod naszą ubogą strzechę, i pozwoli nam przepisać te jego wiersze, tak piękne, a tyle zaszczytu przynoszące panu staroście Stuleńskiemu. Uważasz Marysiu, nasz Adaś pan starosta, kochany Adaś. — A czy na tém już ma być i koniec? On dziś na takim stopniu, że same z siebie coraz wyższe dostojeństwa na niego sypać się będą. W dalszym ciągu mojej ody, panie obaczycie, jak ja to mu wróżę: a my poeci, ile razy jesteśmy natchnieni, umiemy wglądać w przyszłość. Nieraz będę służyć szanownym paniom, aż do naprzykrzenia. Czyż to nie szczęście dla mnie z niemi rozmawiać o panu staroście, moim łaskawcy? — A dla nas, służyć w naszej chacie tak światłemu mężowi. Ale czybyśmy nie mogły się dowiedzieć od waćpana dobrodzieja, będzie-li tu wkrótce Adaś, lub odłoży na czas późniejszy swój przyjazd? Z kilku słów wczoraj powiedzianych przez wojewodę, miałybyśmy prawo cieszyć się nadzieją, że go wkrótce uściskamy, ale panowie poeci lepiej wiecie, co ma nastąpić lub nie. — Otóż łaskawe panie, w tém dać nie mogę dokładnego objaśnienia. Wszakże toomal nie dwa lata, jak my się z sobą rozstali. On ciągle się z tém odzywał, że byle mu pozwolono wyrwać się z pogranicza, strzały pędem puści się do Wielkopolski; ale bawiąc w Rozdole, dowiedziałem się, że nowe zaszczyty powołały go na Litwę: gdyż, jako miałem cześć to paniom powiedzieć, król jego-mość przyporuczył jemu dowództwo nad swoją własną chorągwią, a ta konsystuje na przeciwległej stronie Rzeczypospolitej. Co też to miał być za sądny dzień, kiedy się rozstawał ze swoją chorągwią! Jaki z tego może być przedmiot dla poety? mam nadzieję w Apollinie i jego dziewięciu dziewicach, że tego przedmiotu nie puszcze na odlóg. Żeby odgadnąć, czy pan starosta wkrótce tu przybędzie, czy to na późniiej odłoży, na to niedość poety, trzeba by się poradzić Delfickiej wyroczeni; ale niestety, na tém miejscu, z kąd Pytia ogłaszała przyszłość, bisurman bluźnierstwa swojemi już i ją i samego Apollina odstrążył. To pewne, że pan starosta niezgo tak gorąco nie pragnie, jak powitać te strony, ku którym i natura, i inne jeszcze uczucia go ciągną; ale i to niemniej pewna, że coś ten młody król Szwedzki zaczyna dokazywać. Prawda, że to nielada sprawa mieć do czynienia i z nami i z carem Piotrem, naszym potężnym sprzymierzeńcem. *Nec Hercules contra plures*. Z tém wszystkiem, *belli et juris dubius eventus*. Nuż ten koronowany paliwoda zagabnie naszą Litwę, gdzie wojska bardzo niewiele, to panu staroście swój przyjazd wypadnie odłożyć *ad Kalendas Graecas*. Jednak to mnie nieco zadziwiło, że pan woje-

woda dnia wczorajszego zapowiadał, jako rzecz pewną, przybycie rychło swojego znakomitego syna do Krotoszyna; bo wiem z pewnością, że pan strażnik koronny z rozkazu królewskiego od kilkunastu tygodni udał się na Litwę, nie w innym zapewne celu, jak żeby czoło stawić temu utraconemu Karolowi, który nikomu pokoju nie daje. — Otóż ja powiem waćpanu dobrodziejowi, że nim się pokazałeś na pokojach zamkowych — odrzekła babunia — pan wojewoda przytomnych gości i domowników zawiadomił, że odebrał list od syna swojego, pana strażnika, w którym mu donosi, że lada chwila pokaże się w Krotoszynie z panem starostą Stuleńskim, który mu towarzyszy w jego podróży. Pan wojewoda nie wiedział, kto to jest ten pan starosta Stuleński, i nikt o tém nie mógł go objaśnić. A ten jest nasz Adaś; czy my się mogły tego spodziewać?

Obiad się skończył, a jeszcze poeta i babeczki rozmawiali z sobą; mijały godziny, lecąc na skrzydłach czasu niepostrzeżenie. W tém pan Zacharyasz zjawił się niespodzianie, bo wedle swojego zwyczaju, nigdy nie zajeżdżał przed ganek, ale wysiadał przed dziedzińcem, i zawsze wprzód nawiedził swoje własne gospodarstwo, nim przywitał matkę i żonę. Obie kobiety wyskoczyły do niego, uradowane, że mogą mu udzielić tak pomyślnych wiadomości o synu. — Zacharyaszku — odezwały się obiedwie — chwała Bogu, żeś już wrócił; my ciebie wyglądały z największą niecierpliwością, żeby tobie powiedzieć to, o czémśmy dopiero się dowiedziały: a wiesz ty, kto ten starosta Stuleński, co ma tu przyjechać z naszym starszym wojewodzie, jaśnie wielmożnym strażnikiem koronnym? — Kto? — Oto nie mniej i nie więcej, tylko sam rodzony twój syn Adam. Pytaj pana Kukawskiego, któremu mieliśmy szczęście służyć naszym obiadem.

Lubo pan Zacharyasz trochę się skrzywił, jak spostrzegł pana Kukawskiego, bo nadto był prozaicznym, żeby ścisłe stosunki z poetą miały być dla niego przyjemne; jednak zawsze gościnny i grzeczny, zwłaszcza względem takiego, który miał zachowanie u jego pana, jak najniżej mu się uklonił, i najuprzejmiej rzekł do niego na wstępie przywitania: — Najpokorniej przepraszam, że jakaś zła godzina wyruszyła mnie z domu właśnie wtedy, kiedy waćpanu dobrodziejowi przyszła myśl dla nas tak szczęśliwa, zaszczycić go swoją bytnością; a to prawdziwe nieszczęście, że będąc gospodarzem, nie byłem w domu dla przyjęcia pana jak się należy. Czémże pan pozwoli sobie służyć? — Mości dobrodzieju, najszanowniejsza jego matka i najzaciejsza jego małżonka przyjęły mnie nad moją wartość. Kazały mi zostać na obiedzie, przy którym z ich łaski we wszystko opływałem. — Łaskawe serce pańskie przemawia przez jego usta, ażeby mi ulżyć zmartwienia. Bo daremna rzecz, gospodynie umieją zabawić gością swojąj płci, ale kiedy mężczyzna nie zastanie gospodarza, nie potrafią go uba-

wieć tak jak się należy. Jagusiu! pozwól, panie, żebym mu przedstawił moją córkę. Przecie wkrótce wychodzi za mąż. Już od dawna pora, tylko dotąd jakoś człowiek nie miał o czém ją wyprawić z domu. Bo jak panu, ze wszech miar światłemu mężowi wiadomo, kiedy kawaler ma swoją pieczęć, panna do niéj powinna przyprawić przynajmniej podlewę. Jagusiu, naco te raki? wszakże bez twojéj woli nie się nie zrobiło. Naucz się, jak masz przyjmować gości, bo niezadługo i ty będziesz gospodynią. Każ-no przynieść z naszéj piwniczki wina, ale numero primo, bo mamy znakomitego gościa, i kielich gościnnie, którymbym mógł wypić jego zdrowie.

Dziewczyna wyszła; wkrótce potem pokazała się na progu klucz-nica, trzymając tacę srebrną, na niéj kielich spory i parę butelek od-korkowanych wina. Było to wino domorosłe, ale na lagrze węgier-skim tyle przymiotów nabrało, że trzeba było niepospolitego znawcy, żeby odgadnąć jego rzeczywiste pochodzenie. Pan Zacharyasz nalał kielich, skłonił się nisko przed gościem i wypełnił jego zdrowie, wy-paliwszy do niego szerokie oświadczenie szacunku do jego osoby, a ra-zem radość, jaką mu przynosi, zaszczycając go swoim nawiedzeniem, oraz przeprosin bez końca, że go nie uprzedził. Przyjął kielich pan Kukawski, odwdzięczył się gospodarzowi jeszcze dłuższą perorą, którą dwoma rymowanemi wierszami acuminose zakończył, i wywzajemnił się, jednym haustem spełniając jego szanowne zdrowie.

Pan Kukawski był wielkim miłośnikiem kielichowój biesiady i skry-cie musiał tęsknić, że w czasie obiadu na podpiwku poprzestać mu-siał, bo lubo na stole stała butelka wina, on jéj nie dotknął, gdyż nie było gospodarza, któryby go do tego przynaglał. Ojcowie nasi uwa-żali wino, jako trunek towarzyski tak dalece, że u najzawołanego pijaka wino spoczywało w piwnicy, póki nie było z kim go wypić. Pan Kukawski był w swoim żywiole, bo wino było smaczne, a co więcej, przyprawione grzecznością i przynuką gospodarza. Po pierw-szych kielichach, zawsze etykietałnych, a więc wypróżnianych, gospo-darz i gość zasiedli przy stoliku tacą zastawionym i dopiero prawdziwa zabawa się zaczęła.

— Niech to pana nie gorszy — odezwał się pierwszy pan Zacha-ryasz — że w domku chudego pachotka widzisz srebrną tacę. Jam jéj nie kupił; a czy to ze mnie pan, bym sobie podobne zbytki pozwa-lał? Albo czyby na to wystarczyło? Wszak pan dobrodziej mógłś zauważać przy obiedzie, że latercyra jest mojem stołowém srebrem, jak zwyczajnie u szlacheica. Ale kiedy się żeniłem z moją Marysią, prawdziwą sługą waćpana dobrodzieja, nieboszczka pani, pierwsza żo-na jaśnie wielmożnego wojewody, dała jéj tę tacę w wyprawie, bo sa-ma jéj, z łaski swojej, wyprawę sprawiła, a ja ją mam od uroczysto-ści, jako naprzykład kiedy wypadnie przyjąć znakomitych gości, w ja-

kich liczbie i pan dobrodziej się mieścisz. — Ściełę się do nóg wać-pana dobrodzieja na hołd wdzięczności za tak łaskawe mniemanie o swoim słudze, ale tego do siebie nie biorę. Jakież ze mnie znako-mity gość? Ja sobie at wierszokleta. Tyle tylko, że mężowie i zacni i znaczni, nie odpychają mnie od swojéj łaski. Jak tu przybędzie wielmożny starosta Stuleński, godny syn pański, racz go waćpan do-brodziej zapytać o mnie, to on mu powie, ile mam do niego szczęścia. — Pozwól panie zapytać siebie, jako łaskawego przyjaciela mojego syna, a tém samém świadomego tego, co się jego tyczy, czy to jego sta-rostwo jest intratne? — A jakże nie ma być intratne? miasteczko z czterma folwarkami i to na Rusi, gdzie pszenica rodzi się bez na-wozu. — I jakim sposobem to się jemu dostało? bo waćpana dobro-dzieja nie trzeba tego uczyć, że u nas szlacheicowi nie tak to łatwo przedrzeć się przez panów aż do porządnej królewskiej przyni. — A dla Boga, alboż on jéj nie wart? Wszakże to prawie przed skonaniem świętój pamięci mój pan, jaśnie wielmożny podskarbi koronny, zalecił go nieboszczykowi królowi; gdyby nie było starostw na świecie, dla takiego by się stworzyło. Pozwól panie, żebym za jego zdrowie wy-pił w przytomności jego szanownych rodziców. Dixit et fecit. Już to było piąte zdrowie z kolei. Prózne butelki znikwały, pełnym ustę-pując miejsca.

— Tak, tak, mości dobrodzieju! Pan pułkownik Śmigielski jest starostą Stuleńskim, ale to tylko tymczasem. Pójdzie on wyżej; albo nie ma lat przed sobą? Tać to jemu rok dopiero dwudziesty trzeci. Jakem go poznał pod Barem, was tylko co zaczął się u niego wysy-pywać, a teraz chwala Bogu, omal że go okręcić nie może około uszu. Można powiedzieć, że dla niego zaszczyty rosły razem z jego wąsami. Będzie-li Rzeczpospolita w pokoju, co daj Boże, powoli będzie się wznosił, bo już ma pokład dobry, a jeżeli będzie wojna, to jak na drożdżach wyrośnie do senatorstwa lub dygnitarstwa. — Póki kula nie położy końca jego zawodowi. — Czy to każda kula trafia? Mój Boże, wiele kul świsnęło w bardzo blizkiem sąsiedztwie mojej głowy, a jednak do-czekałem się siódmego krzyżyka, a umierać nie myślę. — Ba! nie każ-da kula trafia; ale ta która trafi, kaleczy i zabija. Przecie wiem z do-świadczenia, że proch leszczyński nie piżmo; wszakże to ja znajdowa-łem się na wyprawie Wiedeńskiej, i z niéj wyniosłem na dozgonną pamiątkę te szramy na czole i policzku. Wtedy ciężko raniony nie-boszczyk pan podskarbi koronny, którego zaufaniem waćpan dobro-dziej byłś zaszczycony; i pan wojewoda mój pan, dostał strzał w no-gę. Kiedy tak wielkich panów kule nie omijały, miałyby one szano-wać chudego pachotka? — Od czego wojna! gdyby ona nie przynosiła niebezpieczeństw, nie przynosiłaby téż i sławy. Jednak i jaśnie wiel-możny podskarbi dopiero w podeszłej starości dni swoje zakończył,

i jaśnie wielmożny wojewoda cieszy się czerstwem zdrowiem. Na co daleko szukać? waćpan dobrodziej, pomimo ran swoich, syt sławy doczekałeś się blizkiej nadziei być odrodzonym w swoich wnukach, kiedy zacną córkę usadawiasz rychło w małżeństwie jęj odpowiedniem, i wyniesieniu godnego swojego syna. Bez błogosławieństwa Boskiego, co go ludzie przez roztargnienie nazywają szczęściem, nie pomyślnego stać się nie może. Ale że pan starosta to błogosławieństwo posiada, o tém najmniejszej wątpliwości mieć się nie godzi. Bo nikt w boju od niego więcej się nie naraża, a jednak i żelazo i ołów tak dalece go szanują, że choć ludzie obok niego padają, nigdy sam ani był zadraśniętym; nie tu nie mówię czego bym nie był świadkiem. — Wszystko to jest piękne w wymownych ustach waćpana dobrodzieja. Z tém wszystkiem Bogu dziękuję, że gdy odbyłem swoje dla ojczyzny, mnie żołnierza raczył przekształcić na zbożosieja. I niech to pana nie gorszy, że wołałbym słyszeć o moim jedynaku, że gospodaruje tak jak się należy na tém starostwie, do którego przyszedł za łaską Boga i króla jegomości, niż że tam komuś guzy zadaje, póki nakoniec sam nie nabawi sobie guza. Bo wojaczka, jest to rzecz jeszcze więcej śliska, niż łaska pańska. Ale śmiem zapytać waćpana dobrodzieja, czy wiesz z pewnością, że mój syn ma wkrótce przybyć do Krotoszyna? — Przyznam się panu, że tego się nie spodziewałem, ale teraz śmiało mu powinszować mogę, że wkrótce będziesz mógł uścisnąć dostojnego potomka. Już to wątpliwości nie ulega. Wszak w przytomności waćpana dobrodzieja dnia wczorajszego jaśnie wielmożny wojewoda zapowiedział wszystkim rychłe nawiedziny jaśnie wielmożnego strażnika z panem starostą Stuleńskim, jak się o tém dowiedziałem dopiero od szanownych pań, którym miałem szczęście służyć za ich stołem.

Tu się zerwał pan Zacharyasz i parę razy przeszedł się przez pokój, z widoczną niespokojnością, pokąd znowu nie zajął swojego miejsca i nie nalał wypróznionego kielicha, który w ciągu téj rozmowy nie spoczywał. Ta niespokojność zadziwiła pana Kukawskiego tak dalece, że mu powiedział: — A co to! waćpan dobrodziej tak pomyślną wieść przyjmujesz, jak gdyby się ona nie do niego odnosiła. Wyznaję, że spodziewałem się, iż takowa wiadomość jego rodzicielskie serce najwyższą napełni radością. — Ale nie inaczej: a jakżby ze mnie był ojciec, gdybym nie pragnął oglądać syna po rozstaniu się z nim kilkoletniem? Tylko że człowiek tak przywykł do życia spokojnego, w którym dzień do dnia podobny, że jak się nadarzy coś wychodzącego ze zwyczajnego trybu, człowiek pomimowolnie się stracha. Ja się przed waćpanem dobrodziejem szczerze wypowiadałem. In vino veritas, jak to często powtarza ksiądz infułat Krotoszyński, wielki mój łaskawca. Otóż wedle mnie każda nowość, każda niespodzianość w młodym sprawuje pociechę, bo przyszłość uśmiecha się młodości;

ale w człowieku podeszłym pobudza trwogę, bo ten od przyszłości trudno, żeby się czegoś dobrego spodziewał. Ale bodajbym miał być natrętnym, ośmielał się jeszcze jedno tylko zapytanie waćpanu dobrodziejowi uczynić. — Bylebym umiał na nie odpowiedzieć, zawsze jestem gotów na jego usługi. — I właśnie to jego dobre serce jedynie mnie ośmiela. Dnia wczorajszego waćpan dobrodziej raczyłeś mówić nam rozmaite wiersze przez siebie ułożone, nad którymi unosili się nie tylko ludzie, co się na rzeczach mądrych poznać umieją, ale nawet my prości. Bo co piękne, to piękne. Otóż w tych wierszach, w których łaskawie wspominałeś o zasługach jakoby mojego syna, opisujesz, że jakiś możny tamiecznych stron pan chciał go mieć zięciem. Czy to tylko poezya, czy istotna prawda? — Najprawdziwsza prawda, mości dobrodziej, a on téj ofiary nie przyjął. — Ale z jakiej przyczyny? — O toż to właśnie w tém sęk. — Bo tam waćpan dobrodziej napomknął, że jakoby swoje serce już oddał jakiéjsz dziewczynie, juźci nie z naszych stron, bo kiedy je opuszczał był smarkaczem. Otóż mnie, jako ojcu, racz panie łaskawy powiedzieć, czy on robił panu w tym względzie jakieś powierzenia? a że się o to pana dopytuje, mam ku temu bardzo ważne pobudki.

Pan Kukawski zabierał się obszerną odpowiedź dać na to zapytanie, kiedy turkot pojazdów raptownie dał się słyszeć na dziedzińcu. Gospodarz i gość przystąpili do okna. i ujrzeli kilka ekwipażów wjeżdżających. Pan Zacharyasz poznał tarantowate konie jaśnie wielmożnego wojewody, zerwał się piorunem z przed okna, wyniósł co tchu tacę z butelkami do alkierza, wsunął ją pod małżeńskie łożo, i poleciał na ganek, gdzie trafił w samą porę, żeby wysiadającemu panu z kolasy podać rękę.

W jednéj chwili bawialnia dworku napełniona została gośćmi. Była wojewodzina z wojewodzianką i jęj ochmistrzynią; był strażnik, po długim rozstaniu się z ojcem przybyły do ogniska domowego, i jeszcze jeden piękny szlachcic, wykwintnie i bogato odziany, z wąsem zawieszonym, z postawą prawdziwie bohaterską. — Kłaniam się waszmości — zagaił wojewoda. — Oto jest syn mój Jaś; tak zmężniał, że go ledwo poznałem, a to jest pan starosta, jego towarzysz broni, który pragnie być od waszmości i jego domostwa poznany. — Babunia i pani Zacharyaszowa razem krzyknęły: — Adaś, nasz Adaś! — a pan starosta padł do nóg ojcu, jak długi, który tak się zmieszał, że nie umiał słowa powiedzieć, poczem padł do nóg matki i babuni; te już nie zważając na gości, zaczęły go całować i na cały głos się rozszlochały. Była to scena rzewna, że i dostojne damy przybyłe w gościnę serdecznie się rozplakały i nawet wojewoda nie bez trudności utulił swoje rozrzewnienie.

XIX. Pół wyznania.

Tu muszę cokolwiek się cofnąć, dla objaśnienia powodów, dla jakich Adam Śmigiełski przybył do Krotoszyń, a opuścił Litwę, gdzie go rozkazy króla były powołały. Rzucając Wołoszczyznę, a słysząc o świeżo zawartym sojuszu króla z carem, spodziewał się znaleźć na Litwie wszelkie przygotowania do działań wojennych. Marzyły mu się zwycięstwa w Inflantach, odzyskanie tych awulsów Rzeczypospolitej, pomszczenie krzywd poniesionych od Karola Gustawa. Ale kiedy przybył dla spełnienia rozkazów królewskich, jakie rozczerowanie! Hetmani litewscy we wszystkiemu ulegli prymasowi, który już był w zмовie z Karolem XII; nie tylko że wojska im powierzonego ani myśleli powiększyć, ale nawet tę garść, która była zebrana, umyślnie rozłożyli, żeby na wypadek napadu nieprzyjaciela nigdzie nie znalazł stanowczego oporu.

Adam zastał w Oszmianie chorągiew królewską, nad którą objął dowództwo, i zaczął od jej przeglądu. Z boleścią serca w nią nie znalazł nad kilkunastu towarzyszy i mało co więcej szeregowych; reszta, tyle tylko, że była zapisana na rejestrze komputowym, ale po większej części żaden z nich nie widział swojej chorągwi. Wziął się do zaciągania ochotników własnym kosztem, ale mu to zaraz wzbronione zostało. Widział więc oczywistą zdradę, i nie omieszkiał o tym zawiadomić króla. Ale August, zatopiony w nową miłość dla Szwedki, hrabiny Königsmark, obojętny na wszystko, bo uśpiony jej wdziękami, zostawił to doniesienie bez odpowiedzi.

W tém przyszła wieść, że Karol XII poraził pod Narwą zebrane hufce cara, a z nią i druga niemniej ważna, że zamiast pójścia do Moskwy, dla zabezpieczenia sobie korzyści z tak świetnego zwycięstwa, z chęcią sobie zwyczajną dąży ku Litwie. Wyrzucają jemu dziejopisarze jako omyłkę, że dał odetchnąć Piotrowi Wielkiemu, a tém sposobność wystawienia nowego wojska. Wszakże kto wie, czy nie było w tém i wyrachowania, że wołał udać się ku tej stronie, gdzie miał dla siebie zapewnione stronnictwo, niż wglębiać się w kraj niezmierzony, wśród ludu religijnie przywiązanego do swoich władców i swojej niepodległości, a któryby jednomyślnie powstał za zbliżeniem się nachodzący. Może też osobista niechęć, jaką karmił w sercu przeciw Augustowi II, była tego powodem. Jakkolwiekby, rzucił się na Litwę, tak dobrze jak bezbronna. A gdy na wstępie oświadczył, że o żadnych zdobyczach na Polsce nie myśli, a tylko pragnie widzieć na jej tronie jednego z synów nieboszczyka króla, natychmiast obudził uśpioną partję Sobieskich, potężną na Litwie, bo ją prowadził książę Radziwiłł kanclerz litewski, rodzony siostrzeniec Jana III-go.

Zawiązała się na Litwie konfederacja przeciw królowi panującemu,

a wojska Rzeczypospolitej tam stojące, wraz ze swojemi hetmanami do niej się przyłączyły. Potocki, strażnik koronny, i Adam Śmigiełski usiłowali się temu oprzeć. Nawet ostatni chciał na czele swojej chorągwi przedrzeć się do cara Piotra, ale zawiedziony od rycerstwa, któremu dowodził, w którym jeszcze nie miał czasu pozyskać ufności, opuścił chorągiew, nie mogąc jej zachować w wierności dla swojego pana, i postanowił na ustroniu szukać przyjaźniejszych okoliczności, któreby mu pozwoliły stać się dla niego pożytecznym. W takić był myśli, kiedy pan strażnik koronny, wówczas dzielający jego przekonania, jemu powiedział: — Mości starosto, umyjmy sobie ręce od wszystkiego i ruszajmy razem do naszych rodziców. — Adam poszedł skwapliwie za jego radą.

Znakomity młodzieniec uczuł siebie jak odrodzonym w tym Krotoszyń od kilku lat opuszczonym, gdzie odebrał życie, wychowanie, i gdzie spędził błogie pierwiastki młodocianego żywota. Na łonie rodziny oddawał się swobodnie przywiązaniu, jakie miał dla ojca, matki, a zwłaszcza babuni, której każdego słowa słuchał jakby wyroczni. Był zbliżony do tej, która wzniciła jego pierwsze płomienie, ciągle wzrastające z latami. Babunia ożywiała jego nadzieje, gdyż on o niczem innem z nią nie mówił, kiedy byli bez świadków, bo matka starannie unikała jego powierzeń. A co się tyczy ojca, ten aż nadto był przekonany, że coś silniejszego niżeli affekt synowski przywiązywał go do strzechy rodzicielskiej, ztąd w jego stosunkach ze swoim jedynakiem było coś nieśmiałego, coś wymierzonego; widocznie obawiał się z nim mówić. Raz tylko pokazał się dla niego wylanym, kiedy ten oświadczył się, że kosztą wyprawy dla siostry na siebie przyjmuje; ale to była tylko krótka przerwa w tej oziębłości, jaką był się przeciwko niemu uzbroid, a która bynajmniej Adama nie martwiła, bo już go babunia oświeciła, że ta oziębłość była kłamaną, i jakie były powody tej dyssymulacji.

On mieszkał w dworku rodziców, ale większą część dnia spędzał w zamku, gdzie go wojewoda przyjmował ze stateczną uprzejmością, a wojewodzina, jego dawna dobrodziejka, okazywała mu przywiązanie prawdziwie macierzyńskie. Rzadko kiedy przybliżał się do Zosi; tyle tylko, że jak igła żeglarska ku północy, tak wzrok jego ciągle się zwracał ku niej. Często ich oczy się spotykały; wtedy żywszy inkarnat nowe wdzięki przydawał rysom nadobnej dziewicy. Czy kiedy ją witał, przychodząc do zamku, czy kiedy ją żegnał przy kończącym się wieczorze, ile razy ośmielał się do niej wyrzec słowo, ona go słuchała z oczami spuszczone, odpowiadała jakoby z oszczędnością wyrazów; jednak nie w tym sposobie, żeby mu okazać, że jego grzeczność sprawuje dla niej niemiłe wrażenie. Pomyślnie wróżby babuni pobudzały w nim wiarę, póki nie patrzył na Zosię; ale kiedy ją widział, nadto

namiętnie ją kochał, żeby być spokojnym. Dreczęł się w duchu tą myślą, że ta, która serce jego rozpłomienia zapalała tak silnym, tak gwałtownym, tak statecznym, niczem nie zdawała się upoważniać najmniejszej nadziei. Mawiał do siebie, że ona jest obojętną, że nie chce wiedzieć, nie chce się domyslać tego, co się dzieje w jego sercu. A jednak przez te tajemnice, pojęte od tych tylko, co choć raz w życiu prawdziwie kochali, sam sobie kłamał dla własnego udęczenia.

Kto umie kochać, kto czuje ten święty zapach dusz szlachetnych, przedmiot, który go w nim wzbudził, dla niego obojętnym być nie może. Bywają miłości, zachcianki się miłosne, które zewnątrz obyczajami tak są podobne do miłości, że nawet ten, który ich doświadcza, może być omamionym. Jeżeli do nich się przymiesza drażliwość pychy, ciągle lekającej się upokorzenia, to niecie uczucie doprowadzić może do zbrodni, do samobójstwa, do najgwałtowniejszych uniesień rozdrażnionej namiętności. Ale jakże to jest dalekie od tej prawdziwej miłości, z której tylko wspaniałe i szczytne czyny się wywiązują, a która zmusza do wzajemności jakimś tajemniczym środkiem, nie mogącym być wyrozumowanym! Człowiek zakochany wistocie, w tym wszystkim co się odnosi do jego miłości, jest jasnowidzącym, nieomylnym, lubo nie ma samopoznania tych nadzwyczajnych zdolności swojej duszy. Jest to zmysł nowy, ten sam, który tworzy poetów, artystów i bohaterów. Jest to ten Znicz niewygasły, przed którym czołem padali przodkowie świętej naszej Litwy. Kto z niego nie wniósł do serca jakiejś iskielki, ten nigdy nie pojmie tych wielkich rzeczy.

W rzeczy samej oko duszy Adama, więcej jeszcze niż cielesne, dobrze zauważyło, że kiedy wojewodzina każe mu opowiadać rozmaite przygody jego rycerskiego zawodu, Zosia się jemu przysłuchuje z widocznym nateżeniem umysłu; bo chociaż schylona nad swoją robotą, nią tylko zdaje się być zajęta, widać że kole igłą a nie szyje, a z opowiadania ani jednego wyrazu nie traci. Często jej oczy pomimo wolnie zwracają się na Adama, a wtedy jej rysy przybierają jakieś dziwne naprzemian wyrażenie trwogi i radości. I to nie uszło jego uwagi, że jeżeli jaki młodziwiec usiłuje zawiązać z nią rozmowę, coś tak dumnego, tak surowego jawi się na jej obliczu, że nieborak zmieszany musi się oddalić. Przeciwnie z gośćmi podeszłego wieku swobodnie oddawała się poufalszemu obcowaniu, z nimi rada rozmawiała. Wtedy znowu Adam podśluchiwał ją w milczeniu, żeby ani jednego wyrazu jej dowcipu i serca nie stracić. Starzy pod niebo wynosili Zosię, a zwłaszcza pan Kukawski. Zosia jego wiersze do siebie pisane zawsze z uprzejmością, a nawet z wdzięcznością przyjmowała, i lubiła słuchać jego opowiadań o ostatniej wojnie; jakżeby ich nie miała polubić, kiedy w opowiadaniach tego Laureata lutni zawsze mieściły się jakieś popisy Adama. Nasz bohater miał więc po-

wody niepłonne do nazwania siebie szczęśliwym, a jednak był istnym męczennikiem.

Wojewoda niemały szacunek mu okazywał, mawiał z nim często o rzeczach publicznych, i nie tylko że pobyt starosty Stuleńskiego w Krotoszynie nie zdawał mu się ciężcy, ani jego ciągłe przebywanie w zamku natrętne, ale ile razy zabierał się do spoczynku do rodzicielskiego dworku, zawsze wojewoda go zapraszał na dzień jutrzejszy, a pan strażnik nie przestawał go upoważniać do najściślejszej poufałości. Ale jakkolwiek usiłował niczem nie zdradzić tajemnicy swojego serca, ona nią nie była dla osób należących do dworu. Coś po za okiem pańskim nie jeden o tym przebąkiwał. Często z tych ucinkowych, a złowieszczonych gadanin sług, coś się obijało o jego uszy i trwogą go przerażało, osłabiając w nim nadzieję, jakie i babunia i wszystko co sam widział mogły w nim wzniecić. A jakie to były gadania?

Oto takie: — wojewoda nasz pan na to nigdy nie pozwoli; wojewodzina mu sprzyja, wojewodzianka widocznie nie od tego, ale co to pomoże? Sam wszystko stanowi, a nie jest to kęs do strawienia łatwy. Szlachcie na zagrodzie, równy wojewodzie, i to panowie powtarzają, ale dopóty tylko, dopóki nie chodzi o ich własną skórę. Pan starosta, mąż godny, ma więtość u króla jegomości, jest sownie opatrzony chlebem Rzeczypospolitej, ale cóż to w porównaniu do widoków, jakie nasz pan ma dla swojej jedynaczki! Jak Polska Polską, tego nie bywało, żeby pan córkę oddał synowi swojego sługi. Często gospodarz jest ostatni, który się dowiędzie, co się w jego domu dzieje; bo któż się odważy przyjść do niego z nie miłą wieścią? ale jak się sam czegoś domysli, nie daj Chryste Jezu być świadkiem burzy, jaka z tego nastąpi.

Jednak dziwna rzecz, że wojewoda niczego nie zdawał się domyslać; bo jakkolwiek Adam ani mówił, ani przybliżał się do Zosi, tylko z największą trzeźwością, i to zawsze z oznakami głębokiego uszanowania, nie dopuszczającego cienia nawet tej poufałości, która zresztą ze strony towarzysza jej dzieciństwa nie powinna na żadne złe wnioski naprowadzać, — w jego roztargnieniach, w jego spojrzeniach, w jego poruszeniach było coś tak wymownego, że chyba przed bardzo niedoświadczonym mógł utać płomień, który go pożerał. Nakoniec żeby i nie co innego, postęпки pana Kukawskiego już były dostateczne, żeby każdego oświecić: bo w wierszach, które mu się sypały jakby z rękawa, często tak jasno do tego robił przytaczania, że lubo rzeczywistych nazwisk nie wymieniał, a wszystko kładł na karb jakichś bogów i półbogów mitologicznych, któżby nie poznał prawdy pod tak przezroczystymi alegoryami, tym więcej, że on tak dalece był przy-

wiązany do Adama, iż nie tylko że w oczy i po za oczami ciągle go wynosił, ale przeniósł się do dworku gubernatora hrabstwa, jedynie żeby z nim stać w jednej izbie. A że wojewoda, pomimo wysokiego swojego rozumu, na to wszystko był ślepy, to się tём tylko może tłómaczyć, iż był tak dumny, że podobnej myśli nie mógł przypuścić, by nie należący do rodu możnowładców polskich ośmielił się oczy podnieść na jego córkę.

Zaledwo dziesięć dni upłynęło od przyjazdu Adama, a to wszystko co opowiadam przed nim się roztaczało. Zmysłność serca, a do tego rozmaite powierzenia babuni tyle sprawiły, że nie był bez nadziei pod względem uczuciowym, bez wątpienia tu najważniejszym, a nawet mógł powziąć jakieś przekonanie, że ze strony wojewodziny raczej zachęt, niż przeszkody otrzyma. Razu jednego, gdy w jój komnacie bez natrętnych świadków siedzieli we troje, wojewodzina i Zosia, trzymając w rękach robotę, a Adam w rozważaniu oczekiwał hasła do rozmowy, wojewodzina odezwała się do niego: — Powiedz, mój kochany starosto, czy prawda, że nawet najwaleczniejszy wojak doświadcza uczucia trwogi, kiedy po raz pierwszy znajduje się w potyczce? — Nie wiem pani, co się z innymi dzieje; ale co do mnie, czy kiedy pierwszy raz gonilem na ostre z nieprzyjacielem, czy kiedy już, że tak powiem, byłem wdrożony do tych krwawych ustępów żołnierskiego rzemiosła, zawsze jakąś bojaźń czułem w mojej duszy. — To mnie dziwi; a co też to dziać się musi z innymi, kiedy nawet nasz Adam, tak słynny w całym narodzie swoją nieustraszoną, przecie śmierci się lękał? — O nie, pani! wcale inne powody moją trwogę pobudzały, niż widok grożącej mi śmierci. — A czegoż innego obawiać się można w bitwie, jeżeli nie śmierci lub kalectwa? — Poprzedzam pani, że o tych nigdy nie myślałem, i z tego niesłuszniebym się chełpił, bo chociaż to się jój wyda być śmiesznością, miałem i mam dotąd niezłomne przekonanie, że nigdy na wojnie ani zabitym, ani nawet ranionym nie będę. Ztąd dla mnie nie ma w niej rzeczywiście niebezpieczeństwa. Na czém się to moje przekonanie gruntuje, tego jasno przed sobą samym wytłómaczyć nie umiem. Może do tego wpływa zarozumiałość, zwykle towarzysząca młodości; może wychowanie jakie odebrałem i ufność w opiekę mojego dziada, jaką umiała wzniecić w mojem sercu moja najukochańsza babka; może wiara, jaką pokładałam w tym relikwiarzyku, co mi go dała panna wojewodzianka, kiedy opuszczałam Krotoszyn pod opiekuńcami skrzydły pana Stanisława Mateusza Rzewuskiego, teraźniejszego hetmana, który to relikwiarzyk nigdy nie opuszczał i dotąd nie opuszcza moich piersi. Przyczyna trwogi, jaką doświadczałem, jest szlachetniejsza, niżeli troskliwość o życie i zdrowie. — Panie Adamie, wiesz że jestem twoją przyjaciółką, i pochlebiam sobie, że mam jakieś prawa do twojej ufności.

Taką we mnie ciekawość pobudziłeś, że jeżeli jój nie zaspokoisz, będę miała żal do ciebie. — Po takim zakłęciu, byłbym najniewdzięczniejszym z ludzi, gdybym się nie pokazał szczerem: otóż powiem pani, że nie zawsze serce jest podwładne rozumowi. I to aż nadto się sprawdza w mojem życiu. Bez wpływu mojej woli, uległem namiętniej miłości od tej chwili, kiedy jeszcze nie umiałem rozpoznać co czuję, a coraz gruntowniej mogłem się przekonać, że to uczucie stanowi całkowite moje przeznaczenie; bo jemu jestem winien i mój byt, i moje jakiegokolwiek położenie towarzyskie, i tę odrobinę sławy, jaką mi łaskawe serca przyznają. Nie tailem przed sobą, że ta miłość, która przez żaden sposób nie może być uwieńczona wzajemnością, jest szaleństwem, a jednak ani mogłem, ani chciałem być z niej wyleczonym. Powiedziałem sobie: ta, której obraz ani chwili nie przestaje się snuć przed moją duszą, której pamięć odzywa się w każdym biciu mojego serca, tyle jest wyższą odemnie, że nigdy się nie odważę jój kiedykolwiek obrazić wyznaniem moich uczuć. Tajemnicę serca zaniosę do grobu. Jestem ubogi, nieznan w narodzie; jeżeli przez jaką lekkomyślność dam poznać przedmiotowi moich zapaleń, uczucie, które we mnie wznieciła, co najwięcej wywołam z jój strony poniżającą litość. A więc nie mi nie pozostaje, jak stać się jój godnym przynajmniej przed własnym sumieniem. Szukałem sławy, poświęciłem siebie ojczyźnie jedynie w tym celu. Ona była bodźcem do tego wszystkiego, czém miałem szczęście zwrócić ku sobie uwagę moich dowódców. Ale łatwo pani pojmiesz, ile w każdej potyczce mogłem się trwożyć, azali nie opuszczę tej okoliczności, którą mi Opatrzność podaje do wywyższenia siebie, azali nie pokażę siebie za mało mężnym, za mało czynnym, żeby moje imię mogło dojść aż do niej. Widzi pani, że na jój rozkaz odkryłem przed nią wszystkie tajnie mojej duszy.

Kiedy to skończył, bystre jego oko już się skierowało do Zosi, która nie na swoją robotę, ale ciągle na niego patrzała. Ich oczy spotkały się. Zosia natychmiast swoje spuściła ku swojej pracy, jakby nią wielec się zajmowała. Ale miał czas zauważyć, że na jój ciemnych rzęsach iza się była zawiesiła, i że ją ukradkiem otarła.

— Oceniam należycie tak szlachetną obawę — odrzekła wojewodzina. — W samą rzecz, kto wszelkie usilności obraca ku temu, żeby siebie pokazać godnym tej którą kocha, nie powinien rozpaczać, chociażby los największe stawiał przeszkody jego miłości. Bo w pięci naszej nie ma tak oszańcowanego serca, do którego by drogą sławy dostąpić nie można. To mówię z własnego doświadczenia. Kiedy jegomości zaczął się o mnie zalecać moim rodzicom, nie miałam lat szesnastu, a mogę powiedzieć, że co do wstąpienia w stan małżeński, byłam tak dobrze jak panią swojej woli, gdyż nieboszczyk ojciec dla żadnych

widoków, nie nagliłby mnie być do związków, od jakichby wstąpiła moja dusza. Jegomość mógłby być moim ojcem, nie miał powabów powierzchownych, bo tyle tylko, że jak na mężczyznę nie był szpetnym, — do tego niewiele sobie zadającym pracy w ubieganiu się o serce panny, w sposobie któryby mógł ją ułudzić. A jednak bez bojaźni o moją przyszłość jemu oddałam siebie, jedynie dlatego, że był siebie wsławił w narodzie rycerskimi czyny. — Ach pani! jakaż wielka różnica w naszych położeniach! Pan wojewoda za sobą miał rodziców pani, którzy jakkolwiek nie zmuszali jej woli, przecie za nim do niej przemawiali. Wasz związek w niczem nie był przeciwny wyobrażeniom, jakie świat od wieków powziął o warunkach stanowiących stosowność położenia towarzyskiego stron, które go mają zawrzeć z sobą. Pan wojewoda był możnym, posiadał szeroką ojcowiznę, liczył tłumy sług, klientów, przyjaciół, piastował godność senatorską, spadkową w jego wysokiej krwi. Ale co rodzice, coby pani sama powiedziała, gdyby syn sługi prywatnego domu, ubogi, bo nie posiadający innej ojcowizny, tylko pocziwe imię i pocziwe serce, odważył się jawnie starać o jej wzajemność? — Gdybym nawet skrycie mu sprzyjała, nie odważyłabym się odkryć tego przed nim. Bo nie godzi się karmić nadziei, które zbyt trudno uiszczać. Jeżeli ta, którą kochasz, jest wolną, jak o tym wątpić nie mogę, ale nie może sobą rozrządzać bez woli rodziców, im za złe poczytać nie można, że pragnąc usadowić swoje dziecko jak najwyżej wedle świata, okaza się w tym po zbytku oględni. Ale i to pewna, że szlachcic pocziwy, zasłużony ojczyźnie, ubiegający się o wzajemność panny, wysokiej jak to mówisz krwi, czy dostąpi do zamierzonego celu, czy nie, pod żadnym względem krzywdy jej nie przynosi. — Te słowa pani wprowadzają moją duszę w jakiś dziwny stan wahania, bo jeżeli z jednej strony pani odbierasz wszelką nadzieję, z drugiej upoważniasz mnie poniekąd do odkrycia przed nią w zupełności mojego serca. — Ani jedno, ani drugie. Mój kochany starosto, o mojej życzliwości nie powinienem wątpić, gdyż śmiało powiedzieć mogę, że byłam dla ciebie jakby drugą matką, a sława, z której użytkujesz, tej życzliwości pewnie nie umniejszała. Otóż winnam się otworzyć przed tobą, będąc przekonaną, że ta moja otwartość ci posłuży do dalszych postępów w przyszłości, której przeniknąć nie można. Między puszczeniem wodzy nadziei, a jej zaparciem się zupełnem, przestrzeń jest tak szeroka, że roztropność może na niej znaleźć stanowisko pośrednie, ile że rzeczy niepodobne niekoniecznie są niemożliwe. A co się tyczy powierzeń, bez wątpienia ufność zasługuje na wdzięczność. Wszakże bywają położenia tak drażliwe, że najstateczniejsza nawet przyjaźń od niej wstrzymać siebie powinna. Tu nie nie mówię takiego, czego by szlachetne serce naszego Adama nie zrozumiało.

Na te słowa Adam w uniesieniu ukląkł przed wojewodziną, porwał ją za rękę, a przybliżając ją do ust uczuł lekkie ściśnienie. Potem wyszedł śpiesznie z komnaty, ażeby w samotności rozbierać ten natłok uczuć, które słowa tej dobrej pani wznieciły w jego duszy.

XX. Choroba.

Adam przed zwyczajną porą wyszedł z zamku, bo jeszcze słońce nie było zaszło, i puścił się piechotą ku Zawali, drogą, którą tak często deptał w swoim dzieciństwie. Przechadzając się ponad malowniczym wybrzeżem Krotoszynki, usiłował zwracać marzenia swoje do błogich czasów poranku swojego życia. Ale skołatany tyłoma wrażeniami, które rozmowa z wojewodziną w nim wznieciła, mniej niż kiedykolwiek umiał władać swojemi myślami. Zosia ciągle stała przed jego oczami, a o jego uszy ciągle się obijały ostatnie słowa jej matki, pospołu groźne i przyjazne dla jego przyszłości. Szedł machinalnie, nie oglądając się na otaczające przedmioty, które zdawały się wdzięcznie do niego uśmiechać; jednak szum rzeki spadającej na koła młynu przypominał mu, jak to będąc jeszcze w szkołach, razu jednego na tymże stawie puścił się wpływ za dzikiem kaczkatkiem, żeby się niemi przysłużyć Zosi. Rzucił okiem ku wodzie, i spostrzegł pana Kukawskiego, siedzącego na skale z wędką w ręku, nieruchomo: tak wielce był zajęty swoim rybołówstwem.

Naten widok uśmiech zabłąkał się na jego uśmiech, wśród jego zadumań. Człowiek skołatany frasunkiem lubi mieć przy sobie gotowego powiernika, chociażby nawet żadnych powierzeń nie zamierzał mu robić. Odezwał się więc do pana Kukawskiego. Ten natychmiast opuścił skałę, oddał wędkę mielnikowi, i przybliżył się do niego. Adam wziął go po pod rękę i poszedł z nim ku dworkowi, ale zaledwo kilka słów mu powiedział, znowu utonął w zadumanium.

Pan Kukawski poznał, że coś cięży na sercu młodego przyjaciela, tym więcej, że musiał być znacznie zmienionym. Cera jego była blada, usta spieczone, często dłonią dotykał się głowy, a nawet często doświadczał dreszczu, chociaż wieczór był ciepły. Chodząc z nim, miał czas to wszystko zauważyć, nareszcie przerwał milczenie temi słowy: — Co się z tobą stało, mości starosto? Nigdy ciebie nie widziałem ani tak mizernym, ani podobnie roztargnionym. — Żle ze mną, mój Kukasiu, cierpię nieznośny ból głowy, czuję gorzyc w gębie i oziębienie wewnętrzne, a w oczach tak mi ęmi, że bez twojej pomocy nie trafię do domu. — Domyslałem się, skąd to pochodzi. Jakies wielkie nieszczęście musiało spotkać pana starostę w zamku. Ułożę spis wszystkich niefortunnych przygód, jakich mogłeś doświadczyć, azali nie trafię do prawdziwej. Oto panna wojewodzianka zamiast spojżenia z uko-

sa na pana starostę dwadzieścia razy w kwadransie, spozrzała tylko razy dziewiętnaście. Albo upuściła kłębek, a panu Opalińskiemu udało się go podnieść przed naszym starostą, a ona go z jego rąk przyjęła. Albo pani wojewodzina, kiedy ją zegnał, zamiast: mój starosto, powiedziała do niego: panie starosto. Albo pan wojewoda przytoczył jakąś dykteryjkę o swoim przodku hetmanie Rewerze, a więc przemówił panu staroście, który nie ma hetmanów w swojej genealogii. Albo... — Panie Kukawski, czyby nie łaska na późniejszy czas odłożyć swój spis, bo nie czuję siebie być teraz sposobnym do żartów. — Mój młody przyjacielu, w tym żarcie jest prawdziwa nauka. Bo jeżeli upadasz na siłach przy lada widzi mi się, co to będzie, si quid vere adversum tibi accidet? Myślałem, że jesteś vir tenax propositi, a pierwszy wichur ciebie obala. Wstydziłbyś się, mój starosto! — Caecus de coloribus non certat; wierzej mi, mój Kukasiu, że są położenia, których nigdy nie pojmiesz. — O, mój starosto! nie myśl, żeby co takiego było na szerokim świecie, czego by stary Kukawski w siedmiodziesięcio-letnim żywocie nie widział, albo nawet nie doświadczył. Albo to ja się nie kochał swojego czasu? Byłem na dworze pana Lanekorońskiego, wojewody podolskiego, nim się dostałem do świętej pamięci pana podskarbiego koronnego. Tam było pierwsze pole mojej dworszczyzny, a u Podskarbiego drugie i ostatnie. To dawne czasy: nie miałem nad lat dwadzieścia kilka, a już ludzie mówili o moich wierszach. Z tego względu umiałem sobie oddawać sprawiedliwość. Pan wojewoda mieszkał w Komornem, a przy wojewodzinie była panna na respekie, nawet cokolwiek należąca do krwi pańskiej, panna Balbina Popławska. Miała ona siaki taki posażek na ewikęi u wojewody, a wysmukła, a gładka, a zgrabna jak Dyanna. Jakem ją poznał, zaraz chciałem zostać jej Endymionem. Zakochałem się, ale tak, że na bok Muzy, a jednak nie zupełnie, bo ciągle odbiera z rąk moich rymowane oświadczenia, a tak ogniste, że aż papier się kurzył. Zdało mi się, że pozyskałem jej wzajemność. A trzeba wiedzieć, że miałem rywala w jakimś panu Uniatyckim, zwołanym juryście ziemstwa Trembowelskiego. Bywało po odbytej kadencyi, ani go wygonić z Komorna, gdzie miał u państwa zachowanie. Te jego zaloty dokuczały mi, ale pomyślałem sobie: moja Nimfa ma uczucia zbyt szczytne, żeby ta wymowa kratkowa mogła na niej jakieś wrażenie zrobić, zwłaszcza że byłem ją wezwyczał do języka Bogów. Ja jej przytaczałem wiersze przez nią natchnione, a on jej ciągle mawiał o sprawach którymś atentowal, o interesach obywatelskich które prowadził, o rocznych kapitulacjach które pobierał. Myślę sobie: tém siebie zabija, bo ją nudzi. Owoż tedy razu jednego, myśmy obaj naprzeciw niej siedzieli i z nią rozmawiali. Poruszyło mnie nieco, że jakoby się przysłuchiwała opowiadaniu mojego rywala.

Jakkolwiek wmawiałem sobie, że to robi przez grzeczność, zacząłem się gniewać, i w sposobie dość cierpkim wziąłem się do wywyższania synów Apollina nad zwolennikami Temidy. Na to pan Uniatycki rzekł do mnie: — Mój mości poeto, na świecie pierwsza rzecz chłéb. Jurysta i dla siebie, i tym dla których pracuje ma czém zabezpieczyć nie tylko obiad i wieszerzę, ale i odzież i obuwie. A poeta tyle tylko, że usypia takich, co mu użyczają ucha, ale nawet pościeli swojemi wierszami nie sprawi. — Takiego despektu nie zniosłem, wyzwałem go na rękę, a już był rębaczem. Tak mnie ciął po ramieniu, że aż kości się dostało. Mój moczny Boże! trzeba było na noszach zanieść mnie do kwatery, bo ciągle mdlałem. Jabym siebie nie dał, ale trzeba wiedzieć, że przed kilkoma dniami z teorbanem w ręku większą część nocy przepędziłem pod oknem mojej Duleynelli; śpiewałem, a że noc była chłodna, przeziębilem się, i nabawiłem siebie febry, ale bardzo uporczywej. Miałem straszny paroksyzm w wigilią; a nazajutrz z szablą na szablę, zkądże tu siła? To jeszcze nie, ale z febry zrobiła się maligna; przyszło do tego, że mnie dysponowano na śmierć. Jakoś człowiek przyszedł do siebie. Otóż kiedy wracałem do zdrowia, chociaż w łóżku, mogłem przecie z ludźmi obcować. Dowiaduję się, o dies nefasta! że kiedy bez przytomności walczyłem ze śmiercią, wtedy odbywały się zaręczyny pana Uniatyckiego z panną Balbiną, i że już abierają pannę do ślubu, bo właśnie była niedziela. Chciałem koniecznie umrzeć, ale chwała Bogu to mi się nie udało. Kiedy przyszedłem do zupełnego zdrowia, powtórnie zaprosiłem pana Uniatyckiego, żeby odwetować za moją krzywdę. Ale on już mojego wyzwania nie przyjął, a pan wojewoda dał mi poznać, że weale nie był od tego, bym puścił na zawsze jego dwór, bo w nim swarów nie lubi. I możnaż mówić, że nie wiem co to jest miłość? Ale jak widzę, pan starosta najmniejszej uwagi nie przykładasz do mojego opowiadania. — Mój Kukasiu, powtarzam, że tak jestem chory, iż myśli moich zebrać nie umiem. Sam widzisz, jak się włokę oparty na twojem ramieniu, żebyś mnie opuścił, położyłbym się na ziemi, bo o swój siłę nie zdążę trafić do domu.

Oparty na ramieniu pana Kukawskiego, przywlokł się na koniec do dworku; ale już tak był upadł na siłach, że kazał sobie rozebrać i położył się. Babunia, matka i pan Kukawski usiedli około łóżka, z oką go nie spuszczać. Bez przestanku zapytywali go, co mu jest? on z początku odpowiadał, że cierpi ból głowy, a potem tylko pokazywał palcem na głowę. Napojono go rumiankiem, obłożono głowę chustą umoczoną w occie, nic nie pomagało; gorączka się wzmagala tak, że już około północy wszystkie zdolności umysłowe były go odstąpiły. Wszysey, a nawet pan Zacharyasz, wielce się strwożyli. Kobiety krzątały się z panem Kukawskim, a z tego krzątania nie się nie wywiązywało; ale pan Zacharyasz nikomu o tém nie mówiąc, wyprawiał

swojego manualistę do zamku na wózku parokonnym, z zaleceniem, by jak najspieszniej przywioził doktora. Wkrótce powrócił manualista, a z nim konsyliarz Koehler, rodowity szlachcic polski, lubo z nazwiskiem niemieckim, lekarz nadworny wojewody, a do tego mąż wysokiej enoty, głębokiej nauki i wielkiego doświadczenia. Ten zaraz wziął się do rozpoznania stanu chorego i do jego ratowania, ale przed nikim nie utulił, że go widzi w stanie bardzo niebezpiecznym.

Można sobie wyobrazić, jakie wrażenie to oświadczenie konsyliarza sprawiło. Matka, siostra, pan Kukawski byli jakby piorunem rażeni: a pan Zacharyasz niemniej od nich pokazał się porażonym; ani się spodziewano, by tak miłował syna. Wszyscy oni, to wchodzili do jego izby, to z niej wychodzili, mało co więcej od niego przytomni. Nie nie umieli przedsiębrać, ani wypełniać zaleceń konsyliarza, ani nawet go rozumieć. Jedna tylko babunia tak jak zawsze głowy nie była straciła. To jednemu, to drugiemu ciągle powtarzała: nie bójcie się, nie mu się nie stanie, nasz pan konsyliarz wróci mu zdrowie, bo mój Stanisław zainstynktuje mu, co ma dać jego wnukowi. Wyprowadził go niejednokrotnie z mieczów i postrzałów pogańskich, wyprowadzi go też i z natarczywości gorączki. I ona jedna w tém powszechném zamieszaniu domowém zachowując zimną krew, wszystkim rozrządzała i wszystkiemu zaradzała.

Już z rana dowiedziano się w zamku o niebezpieczeństwie, w jakim zostawał młody Śmigieński. Bo pan Koehler, po przepędzeniu całkowitej nocy przy chorym, z rana, za powrotem do zamku zapowiedział państwu, że żadnej nie ma nadziei wyratowania chorego. Ciągle co dzień więcej zatrważające wiadomości o nim dochodziły ich uszów, bo codziennie i Koehler i Kukawski przychodzili do zamku, obaj zasmuceni, a zwłaszcza ostatni, który ledwo że od rozumu nie odchodził. Pan wojewoda po kilka razy na dzień posłał do dworku, żeby się dowiedzieć, azali nie ma jakiego polepszenia; tak dalece okazywał współczucie dla zasłużonej jego domowi rodziny. Wojewodziną ze łzami w oczach wypytywała się o swoim wychowau, wyrzywała się, by go nawiedzić, ale tego wojewoda jej nie pozwolił, oszczędzając jej czułość. A Zosia, Zosia.... Mój Boże! gdyby kto i nie domyślał się o jej uczuciach, na sam jej widok umiałby poznać, ile ten chory był dla niej drogi.

Dni mijały, a starosta w jednymże stanie pozostawał. Pan Koehler co chwilę oczekiwiał jego rychłego skonań, i pojąć nie mógł, że dusza będąca ciągle na wylocie, opuścić nie może niknącego w niemocy ciała. Wyglądano tylko, azali chwilowa przytomność na nim nie zabłyśnie, żeby przynajmniej obyczajem katolickim skończył. Bo w owym czasie nieczęść spadała na całą rodzinę, któraby dopuściła jakiemu ze swoich członków umrzeć bez duchownego przygotowania,

a tego doczekać się nie mogli. Nakoniec rektor kolegium Jezuickiego, niegdyś nauczyciel Adama, a zawsze wyrocznia jego całej rodziny, powiedział: — Moi państwo, niebezpieczeństwo ciągle się wzmacnia, a przytomność nie wraca; niechże nie schodzi ze świata, nie będąc opatrzony przynajmniej ostatnim Sakramentem. — Rozumieli się, że prawowierni rodzice temu się nie sprzeciwili, owszem sami chcieli być przytomni temu aktowi. A nawet kiedy kapłan Olejem Świętym namaszczał do podróży ostatecznej syna, zrobiła się jakaś przerwa w boleści rodziców, bo dobrze wiedzieli, że siła jego wprost wypływająca z ran Boskiego Odkupiciela jest tak wielka, że chociażby wszystkie warunki żywota odjęte zostały choremu, zdrowie sposobem nadprzyrodzonym mu wróci, jeżeli to jest potrzebne dla jego zbawienia. Przyjął Adam to święte namaszczenie, a w jego stanie żadna nie zaszła odmiana.

Ale co też to się w zamku działo z Zosią? Całkowite nocy przepędzała w bezsenności, że ledwo przed porankiem sen, i to przerywany, niekiedy kleił jej powieki. A gdy opuszczała dziewczęce łóżce, przechadzała się niespokojnie po salach dotykających jej komnat, jakby kogo szukała. Często godziny mijały, a ona nieruchoma stała z twarzą jakby przyklepioną do szklanej okiennicy, jakby jaką niezmierzoną przestrzeń usiłowała zbliżyć do swojego oka. Z pannami szlachetnymi do jej usług przydanymi nie rozmawiała; zagłębiając się owszem w tak uporeczywém milczeniu, że trzeba było kilkukrotnie powtarzać jej zapytania, nim się nakoniec zdobyła na odpowiedź. Często ukradkiem jakaś iza sączyła się jej po jagodach. Ochmistrzyni o tém wszystkiém donosiła wojewodzinie, i nie nowego jej nie mówiła, bo to się ciągle powtarzało, kiedy na pokojach niby pomagała matce do przyjęcia gości i domowników. Wtedy zasiadłszy z robotą w rękę, była nieruchomą jak piękny posąg, z głową schyloną nad robotą, ale każdy mógł poznać, że robota nie postępowała, a tylko jej służyła, aby twarzy nie pokazywać. A tylko kiedy drzwi się otwierały, wzrok niespokojny ku nim obracała. Ile razy pan Kukawski pokazywał się na progu, zaraz zrywała się z miejsca, jakby poruszona iskrą elektryczną, i znówu siadła na tém samym krześle w widoczném pomieszaniu; potem utkwiała w nim wzrok, jak gdyby coś z jego twarzy wyczytać chciała. Wszystkie jej wewnętrzne burze wyrażały się na jej obliczach. Jej cera była blada, oczy podsińnię, roniła się stopniami jej świeżość, a ona obojętna na to, co jej wdziękom krzywdę przynosiło, nawet nie szukała ulgi dla boleści, które trapiły jej duszę. Już nakoniec i wojewoda byłby się domyślał tego, co dla nikogo nie było tajemnicą, gdyby nie pewna okoliczność, która go nagle przyzwalała do Warszawy. Nigdy w Krotoszynie nie pamiętano podobnie nagłego wyjazdu wojewody. O samém południu przybył konno jakiś

posłaniec, nikomu ze sług nieznan, ale domyślano się po jego butności, że musiał być ze szlacheckiego stanu. Bo kiedy zsiadł z konia, i to nie za bramą, ale wprost przed krużgankiem, gdzie stało mnóstwo sług i dworzan, krzyknął: — Hej! niech który z was zaraz pobiegnie do wojewody, i powie mu, że trzeba... albo nie, zaraz mnie do niego zaprowadzić, tu nie ma czasu do meldunków, a drugi niech przeprowadza mojego konia. — Było w nim coś tak rozkazującego, a co więcej tak przywykłego do dawania rozkazów, że nikt mu się nie śmiał przeciwieć. Jeden ze sług wziął się do jego konia, a jakiś dworzanin zaprowadził go przez schody do przedpokoju wojewody; tam go chciał zostawić, żeby zapytać pana, czy pozwala mu się z nim widzieć. Ale nieznajomy odepchnął dworzanina, sam otworzył drzwi i zamknął je za sobą, zostawiając go w wielkim zadziwieniu.

Co tam było między wojewodą a nieznajomym, niewiadomo; tyle tylko, że ten ostatni, nie zabawiwszy nad pół godziny, wyszedł przez te same schody prosto do swojego konia, siadł na niego najspieszniej, rzucił talarka temu co go przeprowadzał, i wkrótce przez bramę zamkową puścił się na wielki gościniec. Jeszcze poczet stojący w krużganku nie był przyszedł do siebie z zadziwienia, nowa okoliczność to zadziwienie podwoiła; albowiem koniuszy podróżny wojewody został do niego przywołany, ale zaraz wrócił, zapowiadając wszystkim, że pan rozkazał mu wszystko przygotować, żeby zaraz po obiedzie mógł wyjechać w daleką podróż, której końca nie zamierzył, i poszedł do stajni, by pańskie rozkazy spełnić.

Kiedy nadeszła obiadowa pora, pan wojewoda i syn jego pan strażnik koronny pokazali się oba, mając ładownice na sobie, oznaka gotowości do rychło nastąpić mającej podróży. Podczas obiadu wojewoda był ciągle milczący i zamyślony; jednak dworzanie najwięcej do niego nawykli zauważyli, że myśli jego nie musiały być smutne, że owszem jakaś dumna nadzieja błyskiwała w jego spojrzeniu. Wszakże każdy, stosując się do humoru pańskiego, milczenia nie odważył się przerwać. Wstano od stołu. Wszystko na dziedzińcu było już przygotowane do odjazdu. Wyszedł wojewoda, przy nim najbliższa żona i córka. Jedna była po prawej, druga po lewej stronie, on je obie przycisnął do swojego łona. Zastanowił się chwil kilka w sieniach, żeby powiedzieć marszałkowi dworu: — Na waćpana zdaję cały mój dom; miej baczność, żeby w mojej niebytności, wszelki rozkaz mojej żony był spełniony. Miej waćpan oko na moje gospodarstwo, bo mojemu biednemu Śmigielskiemu teraz nie o nięm myśleć. Zalecam, pod łaską moją, żeby największą mieć staranność o jego synie i żadnego kosztu nie unikać, byle tylko go ratować. Moja żona o tém pamiętać będzie. A jeżeli Panu Bogu się podoba okryć żałobą dom Śmigielskich, panu staroście Stuleńskiemu sprawić pogrzeb tak oka-

zały, jakby do mojej krwi należał. Moja milicya nadworna niech będzie gotowa do wyruszenia na pierwsze moje zawołanie. — To rzekłszy, poszedł kilka kroków i znowu się zastanowił, żegnając żonę, żal okazując, że nie przewiduje chwili, w której będzie mógł na nowo z nią się złączyć. Wojewodzina zawieszona na ramieniu męża płakała, a Zosia była we łzach jakby niktąca, kiedy sędziwy ojciec, wzięwszy jej głowę w obie ręce i podniosłszy ją do góry, a w nią wpatrując się, rzekł: — Coś ty mi bardzo mizerną wyglądasz, jedynaczko droga. Niech cię Bóg błogosławi, a Najświętsza Panna od wszelkiego nieszczęścia strzeże. — I jemu także łzy stanęły w oczach. Przy pojeździe po raz ostatni odnowił się te ustępy rzewliwe, przy rozłączeniu się chociażby tylko chwilowem cnotliwego małżonka z połowicą, daną mu od Boga, czułego ojca ze swoim dzieckiem. Nakoniec siadł do kolasy z synem, a kobiety wróciły do swoich komnat.

XXI. Podróż wojewody do Warszawy.

Już wieżyce Krotoszyńskiego zamku znikwały z przed oczu dostojnych podróźnych, a wojewoda, zatopiony w nurtach rzewnych marzeń, jeszcze zostawał w głębokim milczeniu. Syn, towarzyszący mu w tej nagłej podróży, nie ośmielał się mu przerywać, aż nareszcie ojciec odezwał się: — Niech to ciebie nie dziwi, panie Janie, ani tego bierz za smutne przeczucie, że się wydaję zasmuconym w chwili, kiedy jako prawy obywatel powinienbym pokazać się wesołym. Ale nie byłbym człowiekiem, gdybym w sercu nie czuł goryczy, rozstając się z pocziwą żoną i drogą jedynaczką, a nie przewidując, kiedy Bóg mi dozwoli z niemi na nowo się złączyć. Tuszyłem, że procul negotiis zakończę przy tych drogich istotach moją starość, i że one mnie zamkną powieki, kiedy wyrok mojego stwórcy każe mi złączyć się z przodkami. Ustąpiłem z mojego krzesła w przekonaniu, że nie przystoi powiernikowi króla Jana na nim dawać rady temu, który stał się sprawcą poniżenia i niedoli jego krwi. Ex consule civis, prosty obywatel, ale dobrze zasłużony ojczyźnie, na łonie miłej równości oczekiwałem spokojnie chwili, w której Zbawiciel powoła mnie do zdania mu liczby z długiego żywota. Byłem się do tego wzwyczaił. Starzec, znowu jestem rzucony w odmęt życia publicznego, kiedy siły stargane wiekiem i trudami niewiele mi pozwalają mieć nadziei, bym zdołał zadość uczynić tym nowym obowiązkom, do jakich mnie teraz powołuje ufność obywatelów pocziwie myślących. Jedna tylko myśl mnie pociesza i wspiera, że przecie pozbyliśmy się tego niemieckiego elektora, tak nam obcego i mową i obyczajami. Ale może tu niewłaściwie odzywam się przed waścią, mości panie strażniku, bo wiem, że nie jesteś

jemu nieżyczliwym. — Nie taję się z tém, że dla króla Augusta mam obowiązki. Nie zapieram się, iż jego łaska nad moje zasługi, nad mój wiek mnie wyniosła. Ale jegomość dobrodziej możesz być pewnym, że w publicznym zawodzie, jako i w prywatnym, innej drogi trzymać się nie będę, tylko tej, jaką mi wskaże ojciec i głowa naszego rozrodzonego domu. — O tém nie wątpię, panie Janie. Biada rodowi, którego członki nie ulegają kierunkowi od jego głowy nadanemu. Bezrząd w familii wprowadza bezrząd w narodzie. Nie tylko że synowie winni we wszystkich być posłuszni ojcu, ale wszyscy noszący to samo nazwisko, wszyscy pieczętujący się jedynem godłem, winni się skupiać około jednej głowy, ślepo jęj zaufać. Na tém się opiera potęga domów bez naruszenia swobód powszechnych. A ta potęga staje się ściągną narodu. Domy, gdzie każdy działa po swojemu, gdzie jeden dla drugiego staje się obcym, upaść muszą koniecznie. A jeżeli broń Boże między obywatelami jednej krwi zagęszczą się swary po jurydykach krajowych, a nie kończą się pośrednictwem familijném, można być pewnym, że szerokie dostatki ich nie ocala: że przyjdą do nędzy, do niesławy, bo siła pojedyncza jest zawsze wiotka. — W naszym dzieciństwie, mój brat i ja tę naukę odbieraliśmy z ust jegomości dobrodzieja, a ta padła nie na opokę twardą, ale na rolę miękką, w której głębokie korzenie zapuściła. Jakkolwiek czułem wdzięczność dla króla, i miło mi było za ojcowskiem przyzwoleniem życie mu przynosić w ofierze, zaledwo z ust jegomości dobrodzieja usłyszałem wyrok, że już mi o nim zapomnieć trzeba, i że może wypadnie komu innemu przynieść moje usługi, ani się wahać iść za jego wolą. Bo wiem dobrze, że u nas wszelkie obowiązki wywiązują się z ognisk domowych, tak dalece, że syn nieposłuszny nie może być prawym obywatelem. Moje osobiste skłonności, a nawet przekonania, miło mi złożyć pod stopy ojca, który jest pierwszym moim panem na ziemi. — Synu! i ty kiedyś będziesz ojcem, a Bóg ciebie nagrodzi posłuszeństwem twoich dzieci. Bo dobry syn musi być szczęśliwym ojcem. Wszakże nie spodziewam się, byś miał powód kiedykolwiek tęsknić za tym gnuśniącym w rozpuście Augustem, który nawet nie pokusił się czynnie siebie zastawić przeciw swemu młodemu współzawodnikowi. Jaki bo też to bohater ten Karol XII! jaka waleczność! jaka chyżość! jakie niezmordowanie! ledwo zwyciężył pod Narwą, a już Wilno zajęte. Jeszcze się naradzają w Warszawie, jakie być mogą dalsze zamiary zwycięzcy, a już ta Warszawa otwiera mu wrota, a August ze swemi nałożnikami skrywa się w swojej dziedzicznej Saksonii. Po odebraniu z Warszawy pisma od pana Stanisława Leszczyńskiego, wojewody Poznańskiego, zawsze mojego ścisłego przyjaciela, a przez moją żonę tak bliskiego krwi mojej, tak śpieszyłem się z wyjazdem, że o wielu szczegółach tego pisma nie miałem czasu ważyć mówić. Do-

nosi mi, że król Szwedzki wielce się pokazał zasmuconym, że synowie nieboszczyka króla, będąc zamknięci w więzieniu niemieckim, nie mogą korzystać z jego dla nich życzliwości: „Ale, dodał, póki żyję, póki jeden jeszcze Szwed będzie mi posłusznym, nie pozwolę, by August rozkazy dawał w Polsce. Z boleścią serca wstrzymać muszę moje dobre chęci dla królewicza Jakóba. Ale to darmo. Polska nie może być bez pana. Wybierzcie sobie króla, jaki wam na to najdogodniejszym zdawać się będzie, byle Piasta, a ja z moją Szwecją jestem na „jego usługach“. Obywatele zebrani w Warszawie powołują mnie na marszałka konfederacyi, która się zawiązuje w Koronie pod tarczą króla Szwedzkiego. Kardynał Radziejowski jest duszą tej konfederacyi; pisze do mnie, żebym jak najprędzej się stawił w Warszawie, dla objęcia jej kierunku. Detronizacya króla jest już ułożona. Trudno przewidzieć, kto zostanie jego następcą; tyle tylko możemy wiedzieć, że bez wątpienia jakimkolwiek byłby nowy elekt, będzie godniejszym od tego, co mu miejsce ustąpił. — Będzie to zależeć więcej od króla Szwedzkiego, niżeli od nas. Wszak przewiduję, że nowy król, jakiegobądź byłby jego zalety, nie na małe trudności będzie narażony. Koronę cierniową nosić będzie. — Na czémże waść opierasz tak smutną wróżbę? — Na tém, że przez żaden sposób jednomyślności za sobą mieć nie będziemy. Naród się rozdzieli, a wojna domowa nastąpić musi. Car Piotr nie zaśpi w Moskwie; tyle tam użyje czasu, ile mu będzie potrzeba do wystawienia nowego wojska, a na jego czele będzie szukał króla Szwedzkiego w Polsce. A czy król August nie ma stronników? Pan Sieniawski, hetman wielki koronny, pierwszy za nie go nie odstąpi, a jakkolwiek ścisła przyjaźń łączy pana Rzewuskiego, hetmana polnego, z jegomością dobrodziejem, ja, który dość długo służyłem pod nim, żeby poznać jego sposób myślenia, wiem z pewnością, że on detronizacya króla uważa będzie jako dzieło buntu, na które nigdy nie przyzwoli. Jak tylko powróci do Polski, a car wkroczy w naszą granicę, daję na to moje gardło, że się do niego przylączy, a za nim pójdzie i wojsko partyi ukraińskiej i większa część ruskiej szlachty. Wierz mi jegomość dobrodziej, że nie na małe trudności porywamy się. — To co mówisz, synu, aż nadto przewiduję, ale na to wszystko jestem przygotowany. Idę nie dla widoków prywatnych, ale za tém, co mi się wydaje być dobrém; a mam nieprzełomną ufność w gwiazdzie Karola XII, że ona do pomyślnego kresu nas doprowadzi. Szkoda, że nasz młody Śmigieński przykuty niemocą, zostaje bez nadziei życia. Taki żołnierz, taki wódz, jakżeby teraz był potrzebny dla naszej sprawy. — Co jegomość dobrodziej mówisz? Gdyby Śmigieński powrócił do zdrowia, w jego osobie najstraszniejszego znaleźlibyśmy przeciwnika. Hetman Sieniawski prędzej niż on odstąpiłby króla. Przed kilkoma tygodniami, kiedy mówiono na Litwie, że Karol XII nie

da pokoju Rzeczypospolitej, pokąd król August nie będzie odsądzony od korony, byłem świadkiem, jak Śmigieński się oburzał na samo wspomnienie, że naród na to może zezwolić. Kiedy wodzowie nas skłaniali, żebyśmy akces podpisali do konfederacyi, zawiązującej się pod powagą Karola XII, on na nikogo się nie oglądając wręcz odpowiedział, że już przysiągł królowi, że mu wiara do końca dochowa, że dla niego wszelkie prześladowanie zniesie, i że chociażby cały naród się splamił odstąpieniem swojego pomazańca, on sam jeden do śmierci nie przestanie być jego poddanym; że w takim razie przeniesie się do Rosyi, wstąpi w służbę sprzymierzeńca króla, woląc skazać siebie na wygnanie, niż pozostać w wiarołomnej ojczyźnie; że król jest nie tylko jego panem, ale dobroczyńcą, i że wstydziłby się własnego cienia, gdyby się pokazał niewiernym poddanym i niewdzięcznym sługą. Ja tylko wyglądałem ze strachem, jak hetman każe go rozstrzelać. Jakoś to mu uszło na sucho, i zaraz potem, lękając się o jego bezpieczeństwo, namówiłem go, że ze mną razem udał się do Krotożyna. — Wojewoda na te słowa się zasępił i powrócił do dawnego milczenia.

W tej podróży tak nagłój, gdyż nigdzie się nie zatrzymywali, tylko tyle czasu, ile go potrzeba było dla przeprzeżenia koni, nie ciekawego im się nie przydarzyło. W Piotrkowie pierwszy raz spotkali szwedzki posterunek, który im się pokazał w sposobie przyjacielskim. Były to rajtary hrabiego Tolla. Skoro oficer od warty zameldował swojemu pułkownikowi przybycie wojewody, ten natychmiast na czele korpusu swoich oficerów przybył do gospody, przed którą stanął, jedynie żeby go ucieścić. Pułkownik baron Ikskul, szlachcic Inflancki, wysokiej krwi, pełen poloru, w czystej francuskiej mowie oświadczył wojewodzie, że odebrano rozkaz królewski, ażeby wszędzie oddawać jemu honory wojskowe. I dodał mu oficera i kilku rajtarów, żeby go glectowali aż do samej Warszawy.

Przybywszy do stolicy, warta szwedzka zatrzymała ich przy rogatce od Woli, a dowódca warty, po zamianie kilku słów z dowódcą glectu, przybliżył się do pojazdu z oznakami najgłębszego uszanowania i przywitał wojewodę, przepraszając go najunizieniej, że go nie może puścić do miasta, aż na to otrzyma rozkaz królewski, na który wszakże nie długo czekać będzie, i zaprosił go do kordygardy, by w niej wypoczął. Deszcz lał jakby z wiadra. Wojewoda i strażnik wysiedli z powozu; dowódca warty ich przeprowadził z głową schyloną do izby oficerskiej, pełnej oficerów, którzy powstali, a których zaledwo można było dopatrzeć przez chmurę bakunowego dymu. Wojewoda nie był rozpieszczonym; usiadł na twardym tapczanie, pokrytym przedziurawionym kilimkiem, i zaczął rozmawiać po niemiecku z oficerami, którzy będąc ze szlachty Inflanckiej, łatwiej w tym języ-

ku się tłumaczyli, niżeli po szwedzku. Oczekiwał z widoczną niecierpliwością chwili, kiedy mu będzie wolno opuścić ten brudny przybytek dzieci Skandynawskich.

Nie tyle mu się przykrzyła materyalna niewygoda izby, bo w długim zawodzie rycerskim już był z tem się odbył, ile go gorszyła bezczelna dezynwoltura dwóch szynkarek, które z butłą miód oficerom szafowały, a ci, nie oglądając się na powagę wojewody, zanadto byli z niemi poufali. Wojewoda siedział jak na szpilkach; przyszło do tego, że nie zważając na nawałę, zabierał się powrócić do swojego pojazdu z synem i tam czekać na rozkaz króla, pozwalający mu wjechać do miasta. Wtém zabrzmiały bębny, oficerowie wyszli śpiesznie z izby, żeby stanąć przed bronią. Zostali tylko wojewoda, strażnik, i dla nich weale niemiłe bachantki.

Wkrótce potem drzwi się otworzyły, i weszli do izby kanclerz Szwecyi Piper, Löwenhaupt feldmarszałek i młody Poniatowski, adjutant bokowy króla, zapraszając wojewodę i jego syna w imieniu króla, żeby się natychmiast przed nim stawili. Dwie poczwórne karety, z liczby tych, które pozostały po królu Auguste, a które teraz służyły jego zwycięzcy, zajechały. W jednej siadł kanclerz szwedzki z wojewodą, w drugiej pan Löwenhaupt z panem strażnikiem, a pan Poniatowski na przodzie. I wyruszyli ku zamkowi.

Na pokojach nie zastali króla, bo chociaż nawałnica nie była ustala, on na dziedzińcu zamkowym sam nauczał nowozaciecznych żołnierzy, świeżo przybyłych ze Szwecyi. Ale wojewoda zastał mnóstwo panów sobie znanych, oczekujących króla; między nimi było wielu dopiero gorliwych stronników Augusta, a nawet przez niego obdarczonych, ale którzy przy zmianie szczęścia już się obracali do wschodzącego słońca. Między nimi książę Prymas okazywał się promieniącym nadziejami. Wojewoda, przyjaciel i powinny kardynała, z nim na osobności rozmawiał, kiedy król, oparty na ramieniu Stanisława Leszczyńskiego, o którym już się dowiedział wojewoda, że stoi na najwyższym szczeblu przyjaźni i zaufania Karola XII, wszedł do sali i lekkim ukłonem powitał schylone ledwo że nie do ziemi zgromadzenie.

Król, jak czytelnikowi wiadomo, ubierał się raz na tydzień; w niedzielę się przebierał, a że to była sobota, można łatwo wyobrazić sobie, jak wyglądała jego odzież, ile że bez płaszcza, wśród nieustającej nawałnicy, więcej dwóch godzin na dworze musztrował swoich żołnierzy. Obłożony, zlany do nitki, miał na sobie mundur granatowy z grubego sukna, z wylogami niby żółtymi, ale których pierwiastkowej barwy nie łatwo można było odgadnąć. Do tego wstę i spodnie z łosiowej skóry, i buty jałowicze, uzbrojone w długie żelazne ostrogi. Na pasie skórzanym, szczelnie ściskającym jego boki, wisiała szpada

z Norymberskiej stali, spuścizna po Gustawie Adolfie, a której ręką-jeść była ściśniona w jego dłoni, kiedy już był zakończył pod Lützen swój bohaterski zawód. Ani srebro, ani złoto błyszczało na odzieniu króla, i ta skromność wydatniejszą się okazywała, przy bogatym ubiorze polnego marszałka Löwenhaupta. Wszakże można było poznać króla podumnych i ognistych spojrzeń, które trzaskały z jego błękitnych oczu. Włosy jego rzadkie i jasne, piramidalnie wznosiły się nad jego wysokim czołem, i w czasie kiedy mąż dostojny śmiał się pokazywać tylko z czupryną starannie ufryzowaną, on jeden nie znał pudru i żelazka. Zimna woda była jego pomadą, a palce grzebieniem. Istna krew Skandynawska; nie nosił ani wąsów, ani podbródka; zresztą tak tępo zarastał, że raz tylko na tydzień się golił (*). Mowa jego była lakoniczna i ucinkowa. Mąż czynu, czuł wstręt przyrodzony do wszelkich ozdób krasomówstwa tak dalece, że jeżeli kto z nim rozmawiając używał choćby najmniejszej amplifikacji, zaraz się niecierpliwił i urywał rozmowę. Głos jego był chrapliwy, ale donośny, poruszenia gwałtowne; była w nim jakaś niespokojność, że nigdy na jednym miejscu nad chwil kilka pozostać nie mógł. Zresztą jego wychowanie nie było zaniedbane. Był mistrzem w naukach matematycznych; z łatwością w kilku językach się tłómaczył. I czy w wojnie, czy w pokoju, kiedy się przebierał, lub pożywał skromną strawę, zawsze jego sekretarz czytał mu najczęściej jaki rozdział Plutarcha, którego z uwagą słuchał i robił nad nim swoje uwagi.

Kiedy wszedł, śpiesznie zbliżył się do wojewody, zawsze oparty na panu Leszczyńskim, i powiedział mu: — Czekałem na waćpana niecierpliwie, i cieszę się że go poznaję. — Wojewoda, jeszcze nie spoufalony z obyczajami króla, wystąpił do niego z mową, ale po pierwszym peryodzie król mu przerwał temi słowy: — Panie wojewodo, obywatele dobrze myślący zawiązując się w konfederacyę, ogłosili waćpana swoim marszałkiem; cieszę się, że jój kierunek będzie w rękę przyjaciela nieśmiertelnej pamięci króla Jana. Waćpanowie uważacie detronizacyę elektora saskiego być rzeczą niezbędną dla waszój Rzeczypospolitej, a ja w tém podzielam zupełnie wasze zdanie. Bo gdybyście chcieli być temu przeciwni, musiałbym z wami postąpić, nie jak sprzymierzeniec, ale jako nieprzyjaciel. Wam nie trzeba Niemca, ale swojego. Pragniecie mieć królem pana Stanisława Leszczyńskiego, mojego przyjaciela; ten wybór dla was dobry jest i dla mnie doko-

(*) Wielu się zdaje, że gęste obrośnięcie ciała ma być oznaką wielkiej siły fizycznej, zwłaszcza odwagi. Jednak waleczne ludy północy, które rozszarpały państwa watach i brodatych Rzymian, miały włosy jasne i rzadkie, toż i wąsy i brody. Z pomiędzy wszystkich narodów Europy, Neapolitanczyki najciemniej i najgęściej zarastają, a jednak wcale nie są słynni z odwagi.

dnym. A więc jak najspieszniej winniście go ogłosić królem, żeby konieć położyć bezkrólewiu, które przed kilku dniami ogłosił książę Prymas. Nie macie czasu do stracenia. August uciekł do swojej Saksonii, ale ja go tam znajdę; jutro wyruszę ze swojemi i przymuszę go, że uzna Stanisława królem polskim. Ja będę w Saksonii, a nowy król niech urządzi swoje państwo. Wy będziecie mu posłuszni i wierni; wszakże to on ze krwi waszój. Zbierajcie wojsko, on je dobrze poprowadzi, a jak wrócę z Saksonii, z nim pomyślimy o awulsach Rzeczypospolitej. Nad wszystko trzeba jedności. Stronnictw, broń Boże! ja ich nie ścierpię. Jestem przyjacielem Stanisława, a kto jemu nieżyczliwy, ten na mnie nastaje. Hetmani koronni się srożą, mniejsza o nich. Oni pokładają ufność w carze Piotrze, który ma wkroczyć do Polski. Już on poznał moich Szwedów pod Narwą; jak powrócę, będę się starał, żeby jeszcze lepiej ich poznał. Zostawiam wam mojego Löwenhaupta; on ma dowództwo nad moimi i waszemi wojskami. Proszę waćpanów dziś jeszcze ogłosić króla, bo jutro wschód słońca mnie nie zastanie w Warszawie. Mości marszałku konfederacyi generalnej, o trzeciej po południu będziesz miał waćpan posłuchanie u mnie; ale żebyś mi przyniósł akt, ogłaszający królem mojego brata Stanisława. To ułożycie z prymasem. Nie zabieram wam drogiego czasu, bo macie czém ważniejszém się zająć, niż marną gadaniną. A ja muszę popracować z moim Piperem. — I to rzekłszy, wyszedł jeszcze śpieszniej niż przyszedł, a kanclerz państwa szwedzkiego z pugilaresem pod pachą za nim. Ale zaledwo chwil kilka upłynęło, kanclerz powrócił do sali, poszedł prosto do Stanisława Leszczyńskiego, niziuteńko przed nim się skłonił, mówiąc: — Najjaśniejszy panie! król mój pan uprasza waszą królewską mość, byś raczył przyjść do niego, gdyż ma ważne rzeczy jemu do udzielenia. — Wyszedł Stanisław, a za nim Piper ciągle schylony. Wszyscy pozostali w zadziwieniu i milezeniu. Przerwał je pierwszy książę Lubomirski starosta Olsztyński, temi słowy: — A to osobliwszy człowiek, ten król Szwedzki. Nie ma kwadransa, jak w naszój przytomności naglił pana marszałka generalnego konfederacyi, żeby ogłosił króla nowego, a dawnego detronizował, a teraz sam go ogłasza. Nie wiem, jak przyjmą województwa wiadomość o takiej nowej rodzaju elekcyi. — O detronizacyi nie ma co mówić — odezwał się pan Działyński, wojewoda Chełmiński — bo książę prymas już ogłosił bezkrólewie, a dotąd w narodzie nikt go o to nie obwinił, a qui tacet consentire videtur. Ale co do ogłoszenia nowego króla, król Szwedzki uznając go zawczasie, tyle tylko, że wystrzelił przed komenderówką. Bo jużci winniśmy przyznać, że on uprzedził nasze żądanie. Zresztą, verba volant, a scripta manent; a nasz szanowny marszałek nie omieszka jak najspieszniej sporządzić akt urzędowy elekcyi, stosowny do woli najjaś-

niejszego naszego sprzymierzeńca i jednomyślności pocziwie myślących obywateli. — Ale nieinaczéj — na to prymas. — Te wszystkie formy są właściwe w czasach pokojowych, ale nie wtedy, kiedy pochodnia wojny gore we wszystkich częściach Rzeczypospolitéj. Detronizacja króla Augusta jest faktem nie podwładnym naszym rozprawom. Gdybyśmy jéj nie chcieli uznać, królabyśmy nie ocalili, a tylko sami zginęlibyśmy z nim pospołu. Toż i wyniesienie na tron Stanisława. Gdyby nawet osobiste przymioty za nim nie przemawiały, prawo konieczności wymaga od nas, byśmy uprawnili wolę niezwykłego Karola XII. Od tego kroku zależy mieć jego albo przyjaźń, albo toczyć z nim wojnę. Zdaje się, że żaden dobry obywatel w wyborze wahać się nie może. Niechże pan marszałek jak najspieszniej akt elekcji sporządzi, a my go podpiszemy. *Necessitas flagrans* nas usprawiedliwi przed narodem, że się niektóre formy prawne opuściliśmy. Pomyślność Rzeczypospolitéj nas rozgrzeszy; zresztą, szpada Karola XII i mądrość Stanisława I zastąpią w rzeczy to, co mogłoby się okazać niedostatecznym w formie.

Radzi nieradzi, wszyscy się na to zgodzili; akt elekcji króla Stanisława sporządzony został przez nieupoważnionych do tego żadnym mandatem. *Necessitas frangit legem*. Uskuteczniło się wszystko w jednej godzinie, nie rozchodząc się z sali. Konfederacja przydała deputacyą do swojego marszałka, dla zanieśienia tego aktu nowemu królowi i jego potężnemu sprzymierzeńcowi, i oświadczenia im, że już jest rozwiązana, a że wszystkie władze narodowe zostawiają w rękach króla nowo obranego. Nazajutrz, jak to oświadczył Karol XII, jeszcze słońce nie zeszło, on już dążył ku Saksonii, a Stanisław panował w Polsce z władzą, jakiej nie miał żaden z jego poprzedników.

XXII. Tajemnica odkryta.

Nowy król okazał się gorliwym w dopełnianiu swoich obowiązków, a Potocki, wrócony do swojego krzesła, odkąd jego następcą w senatorskiej godności opuścił go dla tronu, dzielnie mu dopomagał. Przychodziły ciągle adhezye województw do czynności generalnej konfederacji; ale z drugiej strony niebezpieczne opozycje zaczynały się pojawiać, zwłaszcza w ziemiach zbliżonych do granic państwa Rosyjskiego. Hetmani trzymali z Augustem. Sieniawski, hetman wielki koronny za nim wyjechał do Saksonii, gdzie był jego nieodstępnym towarzyszem. Hetman polny Rzewuski, powróciwszy z Turcji przed ostatecznym końcem układów, które dopiero później uskutecznił, nie tylko że się nie udał do Warszawy dla złożenia królowi hołdu poddaństwa, ale zatrzymawszy się na Podolu, nie zważając ani na wezwanie wo-

jewody Poznańskiego, ani na osobistą przyjaźń, która go łączyła ze Stanisławem Leszczyńskim, pierwszy zaniósł manifest przeciwko detronizacji Augusta, i nawet zbierał już wojska, by go orężem popierać. Na Litwie książę kanclerz Radziwiłł, który pierwszy był się zbliżył do Karola XII, powodowany przywiązaniem, jakie miał dla swojego ciotecznego brata królewicza Jakóba, już widocznie ostygł i dawał się słyszeć z tém, że oszukany został, bo nigdy się nie spodziewał, że mu każą być poddanym młodego wojewody Poznańskiego. Nawet chodziły wieści, że księżna kanclerzyna, gorliwa przyjaciółka cara Piotra, ciągle się z nim listownie znosiła, i pracowała około męża, żeby go skłonić ku niemu. Wiedział o tém wszystkiém król Stanisław; wyczerpnął wszelkie środki roztropności, żeby siebie utrzymać na chwiejącym się tronie; usiłował panów swojego stronnictwa utrzymywać w jedności; wysłał gońców do stronników Augusta, zaklinając ich, żeby nie rozdawali narodu; czynił im wielkie obietnice i nie zrażał siebie bezskutecznością swoich zabiegów.

Najusilniej się zajął urządzeniem wojska, ale skutek nie odpowiadał jego staraniom. Wszystko szło tępo; jego rozkazy albo wcale się nie spełniały, albo źle były spełniane. Wytrwałość i rozum króla, cóż mogły zrobić w narodzie, który w powszechności nie pokładał wiary w stateczność jego panowania? I chociaż goniec wysłany od Karola XII przyniósł mu zrzeczenie króla Augusta wszystkich jego praw do korony polskiej, wymożone na nim w Altranstädt, nawet ta wiadomość, tak pomyślna dla króla, nie była zdolną wzniecić téj ufności publicznej, bez której nie może być sprężystości w rządzie, zwłaszcza złożonym z tak różnorodnych żywiołów, jaki wówczas był w Polsce. Każdy oddawał sprawiedliwość wielkim enotom Stanisława, jego wysokim zdolnościom, jego odwadze, jego wytrwałości; ale oprócz garści jego zagorzałych stronników, niewielu było takich, co by wierzyli, że one być mogą korzystnymi dla kraju. Z pomiędzy tych, co położeniem swoim mogli przewodniczyć szlachcie, większa część szczerze przywiązana do ustaw rzeczypospolitéj, gorszyła się nielegalnością aktu, który prawego króla z tronu usunął, nadając mu samowolnie następcę. Zrzeczenie się króla Augusta nie na wielu zrobiło wrażenie, bo większa liczba uważała to być dziełem gwałtu i przemocy, bynajmniej nie upoważniającym do złamania przysięgi: massa narodu, mająca zmysłność nieomylną w tém wszystkiém, co się dotyka jego bytu, przeczuwała że bitwa pod Narwą, która taką zarozumiałość wznieciła w duszy zwycięzcy, była co najwięcej nieszczęśliwym ustępem dla wojsk rosyjskich, ale ani umniejszała rzeczywistej potęgi samej Rosyi, ani była zdolną cofnąć jéj przeznaczenia. Nie było obywatela na Litwie i Rusi, któryby nie przewidywał, że wkrótce car Piotr wejdzie do nich, dla wydzwignienia nieszczęsnego sprzymierzeń-

ca, a wtedy każde oświadczenie za Leszczyńskim srodze będzie opłacone, ile że między statystami ówczesnej Polski już powstało przekonanie, że bezpieczeństwo i sam byt nawet Rzeczypospolitej zachować się mogą tylko pod warunkiem wiecznego sojuszu z Rosją (*).

Bynajmniej siebie nie łudząc, król Stanisław poznawał całkowitą wiotkość swojego położenia, jakkolwiek usiłował wesołością kłamać, pokrywać to dręczące uczucie. Jedyłą nadzieję pokładał w powrocie Karola XII, azali dotąd szczęśliwy na polu bitwy, nie utwierdzi orężem tego chwiejącego się berła, które mu włożył w rękę. I w samą rzecz przez zwycięztwa jedynie mógł ostać się na przywłaszczonym tronie, bo one jedne były zdolne zmusić do mileczenia stronnictwa. I jakkolwiek słabe były środki, jakich mógł użyć, żadnego z nich nie zaniedbał, żeby przyczynić się do zwycięstw przyszłych Karola. Można powiedzieć, że w tym krótkim swoim panowaniu wyczerpał wszelkie zasoby geniuszu, dla zebrania tych szczupłych posiłków, które ciągle wysłał Löwenhauptowi, i dla pomnożenia liczby swoich stronników.

Marszałek polny Löwenhaupt nie miał dość wojska, żeby niemi zająć wszystkie województwa. Z garścią swoich Szwedów, z milicjami panów Wielkopolskich, i jakimi takimi posiłkami, które mu król Stanisław z niemałą trudnością wysłał, trzymał się w województwach więcej zbliżonych do Warszawy, od której nie śmiał nadto się oddalać.

(*) W nowej szkole historycznej, czy jak ją nazywają filozofii historii, albo historyzofii, gdyż czczość rzeczy lubi siebie pokrywać polyskiem szumnych wyrazów, pojawia się wszędzie fatalizm pod zasłonami mniej lub więcej przezroczystymi. Takowa zasada nie tylko że jest szkaradna pod tym względem, że historią obdziera z wszelkiej moralności, ale nawet w samém założeniu swoim jest błędna; na dowód tego przytoczę jeden przykład. Według tej nowej nauki jest to pewnik, że narody umierają jedynie dlatego, że wewnętrzne warunki żywota w nich wygasły. Takby było rzeczywiście, gdyby ich śmierć była normalną. Ale nie było przykładu, żeby człowiek czy pojedynczy, czy zbiorowy, dożył zakresu jemu od przyrodzenia przeznaczanego. Żaden starzec przyrodzonym sposobem nie zgaś; zawsze była jakaś przyczyna jego śmierci, której mógł uniknąć. Toż i naród. Jakkolwiek teoria pokaże, że już warunki życia były w nim ustale, przecie gdyby stercnia takiego narodu nie byli się dopuścili tego lub owego błędu, tej lub owej nieroztropności, onby mógł przedłużyć swój żywot. Ktoby temu zaprzeczał, doszedłby logicznie do twierdzenia: że nie ma różnicy między złym a dobrym rządem, między rozsądkiem politycznym a szaleństwem. Wszakże jedna rzecz jest pewna, że bitwy pomysłnie czy nieszczęśliwie toczone, nie tyle wpływają na losy państw, ile z pierwszego rzutu oka się wydaje. W tej ostatniej wyprawie, która wywróciła wszystkie dynastie Napoleońskie, cesarz Francji kilka świetnych zwycięstw odniósł, i ani jednej bitwy nie przegrał. Znowu Austria, w ciągu wojen rewolucyjnych zawsze zwyciężona, po rychłym odpodcznieniu coraz silniejszą zdziwioną Francuzom się okazywała. Wiele jest w historii zagadek dla filozofów, ale one niemi nie są dla mężów stanu, bo mądrość tych ostatnich nie opiera się na rozumowaniach, lecz na praktycznej wiadomości podań politycznych swoich społeczeństw.

Ile że Karol XII zabrał był z sobą do Saksonii to co było najlepszego w wojsku szwedzkim, a nawet najdzielniejsza część tego polskiego rycerstwa, na które mógł rachować Stanisław, tamże uprowadzoną została przez Sieniawskiego, hetmana wielkiego koronnego. W Wielkiej-polsce i tych województwach Litwy i Małopolski, które Löwenhaupt w posłuszeństwie trzymał, kleiło się coś podobnego do rządu, ale w prowincjach, gdzie nie było wojska, była największa anarchia, bo tam nikt nie śmiał ująć władzy; panowie po większej części schronili się byli do Węgier, czekając końca wojny i czyimi mają zostać poddanymi, nikomu się nie naraziwszy. Pozostali obywatele, jeżeli czuli w sobie ducha wojennego, przedzierali się albo do Warszawy, żeby ofiarować swoje usługi Stanisławowi, albo na Pokucie i Podole, gdzie hetman polny w imieniu króla Augusta zbierał wojsko, a najwięcej było takich, co zarówno lękając się i Karola XII i cara Piotra, oszańcowali się w ulubionem domatorstwie, zawczasu zasłaniając siebie bezczynnością od przyszłych prześladowań zwycięzcy. Ale i w tej bezczynności nie każdy znalazł dla swojego zacisza bezpieczeństwo. Wszystkie jurydykce się rozwiązały, prawa bez pieczy urzędów mileżały, namietności prywatne zastąpiły życie publiczne: jedni drugich najeżdżali, rabowali, sąsiad sąsiedzkie grunta przywłaszczał. Bandy hajdamaków bezkarnie plądrowały domy obywatelskie; jednem słowem, stan prowincyj nie zajętych wojskami był okropny.

Karol XII ciągle zapowiadał rychły powrót do Polski, a nie wracał; z jednej strony broniąc swojej Pomeranii od Duńczyków, z drugiej nie dowierzając Brandeburczykowi, który już się zabierał wzrastając swoje państwo powiększyć dzierżawami szwedzkimi w Rzeszy niemieckiej. Tyle tylko, że niektóre oddziały swoich wojsk szwedzkich i polskich wyprawił do Löwenhaupta. Jeżeli Stanisław Leszczyński oczekiwał go z niecierpliwością, dla położenia końca anarchii, która niszczyła większą część jego królestwa; niemniej niecierpliwie wyglądał Löwenhaupt jego przybycia, gdyż jego położenie coraz trudniejsze było. Hetman polny już miał kilkanaście tysięcy wojska swoim staraniem zebranego i dość wyćwiczonego. Dotąd z niemi pilnował granicy tureckiej, bo gdy traktat z Portą ottomańską, w skutku nowych zamieszek Polski, nie mógł być ratyfikowanym, ten mąż, nie będąc bez obawy z tej strony, chciał przynajmniej zachować w całości tę część Rzeczypospolitej dla każdego, który zostanie w przyszłości jej panem. Ale już chodziły nie bezzasadne wieści, że car Piotr zapewnił go o wszelkiem bezpieczeństwie od strony tureckiej, i że hetman zabiera się rozpoczynać kroki zaczepne przeciw Stanisławowi. Wiadomo było, że car tak mało miał siebie za osłabionego zwycięstwami Szwedów, że na ziemi na Szwedach zdobytej, a jeszcze mu nieprzyznanej żadnym traktatem, zakładał pokład nowej stolicy swoich

państw. A co straszniejszem było dla Löwenhaupta, wojska rossyjskie zebrane w Smoleńsku już wkraczały, acz powolnym krokiem, w województwo Mścisławskie, gdzie rej wodził książę Sapieha, gorliwy stronnik Augusta. Jednak nie stracił odwagi szwedzki dowódca. Pokrzepiony posiłkami świeżo otrzymanymi, poszedł naprzód, zawczasu myśląc o niedopuszczeniu złączenia się hetmana polnego z wojskami rossyjskimi. Gdźieniedzie na Litwie stronnicy Augusta rozpoczęli wojnę partyzancką; te oddziały, gromione przez Szwedów, ciągle się odznaczały, dokuczały Löwenhauptowi, tak dalece iż postanowił szukać wojsk nieprzyjacielskich i przy ich spotkaniu nie unikać ogólnej bitwy.

Taka była kolęj rzeczy na prowincyi. Co do Warszawy, król często ją opuszczał, udając się do postępujących obozów Szwedzkich, ale do niej powracał. Z położenia okoliczności ówczesnych więcę się musiał zajmować wojskiem, niż innemi gałęziami administracyi państwa: te zostawały w rękach księcia prymasa i Potockiego wojewody Poznańskiego; a że ten ostatni był krewnym i najściślejszym przyjacielem i króla i księcia kardynała, więc rzeczywiście on był głównym sternikiem rządu. Wszystko się na nim opierało: pomnożenie i opatrzenie wojska, korespondencye z obywatelami na prowincyi możnymi, i z postronnemi mocarstwami; rozdawnictwo urzędów i starostw i tak dalej. Można sobie wyobrazić, jak jego pałac musiał być napelniony, jak mało mu pozostawało czasu dla siebie. Obaj jego synowie, lubo niewielką pokładali wiarę w szczęście króla Stanisława, i w głębi serca nie pochwalałi detronizacyi króla Sasa, wszakże wierni duchowi familijnemu, z największem poświęceniem osobistém służyli stronnictwu, którego ich ojciec był gorliwym popiecznikiem, a nawet poniekąd głową. Starosta Bełzki na czele téjże samęj chorągwi, którą niegdyś dowodził Adam Śmigiełski, znajdował się w Saksonii z Karolem XII. Strażnik koronny, pod rozkazami Löwenhaupta, ścierał się na Litwie z partyzantami Augusta i zawsze szczęśliwie. Naczelnym wódz wielką ufność w nim pokładał. Trzeba było takiego wydarzenia, że kiedy polny marszałek robił popis swojego wojska, pan strażnik obok niego uczestniczył temu przeglądowi. Była musztra ogniowa. Otóż kiedy stanęli przed linią strzelców szwedzkich, którzy ślepemi ładunkami dawali ognia, jeden żołnierz w prędkości wypalił, nie wyjąwszy stępla z rury, i ugodził konia strażnika. Koń upadł z jeźdźcem, i został na miejscu, pan strażnik się podniósł, ale miał rękę złamaną w dwóch miejscach. Lekarze nadbiegli, zanieśli strażnika do kwatery naczelnego dowódcy, opatrzono mu ramię, a lekarze oświadczyli, że kuracya wymaga czasu, i że nie prędko będzie mógł na nowo pracować.

Jakkolwiek polnemu marszałkowi było markotno rozstać się z dzielnym i już doświadczonym rycerzem, gdy się przekonał, że przez żaden sposób nie może być czynnym, sam go skłonił, by się udał do Warszawy i w niej przebywał, dopóki powrót do zdrowia mu nie dozwoli powrotu do obozu. Pan strażnik mocno cierpiący poszedł za tą radą. Z jednym tylko szatnym i felerem nadwornym, który mu opatrywał rękę po kilka razy na dzień, puścił się ku Warszawie powolnym krokiem, bo cierpiał jak dusza czyscowa. Dojechał nakoniec do stolicy, i prosto kazał siebie zawieźć do pałacu ojcowskiego na Podwalu. Wysiadł przed gankiem z ręką zawieszoną na temblaku, i zabierał się iść do wojewody. Słudzy go otoczyli, żeby go powitać; on kazał oznajmić ojeu swoje przybycie i zapytał go, czy mu pozwoli przed sobą się stawić. Podczas gdy jeden dworzanin pobiegł, by spełnić jego zalecenie, marszałek podróżny, wzięwszy go na stronę, powiedział mu: „Prawdziwie Duch Święty przysłał jasnie wielmożnego pana dla ułagodzenia jegomości. Przed kilkoma dniami przybył tu z Krotoszyna pan Gajewski, cześnik Poznański, a jasnie pan wiesz, jakie on ma zachowanie u jegomości. Więc dwóch godzin sam na sam zamknęci, z sobą rozmawiali, co tam było między nimi, nikt nie wie, ale to pewna, że my odtąd pana nie poznamy, tak się jego humor popsuwał. My słudzy dogodzić mu nie możemy, nikomu do brego słowa nie powie, ciągle się gniewa. Codzień nowego gońca wysłał do Krotoszyna, a co gorzej, tak się zmienił na twarzy, że lekamy się wszyscy o jego zdrowie.“

Jeszcze nie skończył mówić, a już dworzanin powrócił z doniesieniem, że wojewoda czeka syna. Poszedł strażnik schodami, noga za nogą, tak mu doskwierało ramię, i stanął przed ojcem. Chciał się murzucić do nóg, ale tego wojewoda mu nie dopuścił, widząc jego rękę w temblaku. Czego nigdy nie bywało, pocałował go w czoło, i przysunął krzesło, prosząc go żeby siedział. Wzbraniał się strażnik usiąść przed stojącym ojcem, chociaż jego cierpienia były widoczne. Nakoniec rozkazał mu żeby wypoczął; dopiero usłuchał, tém chętniej, że się obawiał ojciec, zmuszając go do siadania, by nie dotknął zbolatego ramienia.

Strażnik więc siedział, a wojewoda niespokojny i roztargniony przechadzał się po pokoju. Twarz jego była zmieniona, czoło zmarszczone. Po kilkakrotnie zabierał się mówić, poczem znowu się zamyślał, nakoniec odezwał: — Piękne rzeczy nas spotkały w Krotoszynie. Człowiek wszystko opuścił, by siebie poświęcić krajowi, a czart z tego korzystał, żeby mu szczęście pożycia domowego do góry nogami przewrócić. Mało kłopotów mi przynosi życie publiczne, mało się martwić niebezpieczeństwami ojczyzny grożącymi, trzeba jeszcze, żeby udurczenia prywatne mnie przy-

gniatą. Waś nie wiesz co się stało w Krotoszynie; oto ten młody Śmigieński, waćpana przyjaciel, moim chlebem wykarmiony, moim groszem wychowany, wyrósł i podniósł się dla hańby naszego rodu. Miarkuj co za zuchwałość: on śmiał oczy podnieść na waćpana siostrę, na moją jedynaczkę. Niezlęż rzeczy mu się zachciało. Syn mojego sługi odważył się pomyśleć, że może zostać moim zięciem! Czy uwierzysz własnym uszom, że podobna rzecz wychodzi z moich ust? Niezegoby nie brakowało, jak żeby wojewodzianka Poznańska została gubernatorówicową Krotoszyńską. — Bardzo dobrze pojmuję, że Adamowi Śmigielkiemu mogła się podobać moja siostra, ale temu nigdy nie uwierzę, żeby się z tém miał przed nią odkryć. — Otóż właśnie, że się odkrył. Był tu Gajewski, który dla żartu nigdy w życiu swoim nie skłamał; on pierwszy mi oczy otworzył. Ja młodego Śmigielkiego przyjmowałem uprzejmie, jako zwyczajnie syna zasłużonego mnie i mojemu domowi sługi i gracyalisty. Pochlebiało to nawet obywatelskiej dumie, że moim kosztem wychowany chłopiec zjednał sobie jakąś wziętość, i że się wyniósł nad innych jego stanu; ale czy mogłem się spodziewać, że w nim ogrzewam i otulam węża? Zostawiliśmy go bez nadziei życia; jam go żałował jak czego dobrego, kazałem mieć o nim największe staranie. Otóż wyzdrowiał na moją biedę. Ot! żebym tego nie wymówił, bo już ci z miłosierdzia Bożego jestem katolikiem, nikomu bez ciężkiego grzechu nie należy źle życzyć, ale to pewna, że jego powrót do życia strasznie pomieszał mi szyki. — Niech sobie żyje w dobrém powodzeniu, byle się do nas nie czeplił. Świat jest dość szeroki i dla niego, i dla naszego domu; ale że niepodobne rzeczy marzy sobie, jeszcze nie ma z czego tak dalece się frasować; łatwo można się zakochać w pięknej dziewczynie, ale jeszcze krok daleki od tego, żeby od niej być kochanym! — Otóż to właśnie! wcale niedaleki! Z tych dziecinnych przyjaźni, które nas wszystkich bawiły, wielkie niepotem wyrosło. Zosia wcale nie jest obojętną na te uczucia, tak jej niegodne. Odczytaj-no waś list mojej żony, aż włosy jeżą się na głowie. Kobieta poczeiwa, ale zwyczajnie kobieta, pisze, że Zosia omal życiem nie przypłaciła choroby tego utrapionego gacha. I daje mi do poznania, że lepiej widzieć swoje dziecko usadowione w niezupełnie właściwem małżeństwie, niż na marach. Honor imienia, sława domu, wszystko to jakby nie dla niej. To jeszcze szczęście, że przedemną nie ma nic tajnego. Jakoś człowiek temu zapobieży, bo gdyby się na nią spuścić, skończyłoby się na wykradzeniu córki. — Przepraszam jasnie wielmożnego ojca dobrodzieja, że tu nie mogę podzielać jego zdania. Znam nadto Śmigielkiego, żebym na chwilę przypuścił, że bez woli rodziców gotów jest uwieść pannę. Serce może mu być niepodwładne, ale że poczeiwego sumienia szlachetnego nie splami, śmiało za to ręczyć mogę. — Ja się na to nie

spuszczam. Nie bój się waś, już przedsięwzięłem środki, żeby zapobiedz nieszczęściu, które naszemu domowi zagraża. Jeżeli wdycha romansowy kawaler, to między czterema ścianami; w tej chwili musi on być zamkniętym w moim zamku Prusowskim. Zamek obronny, niełatwo z niego się wydobyć. Tam niech odprawia rozpamiętywania, póki głowa mu nie wystygnie. — Jak to! jegomość dobrodziej szlachcica i urzędnika uwięzić rozkazałeś? — Nie inaczej, i z tego zdam liezbę, chociażby przed sejmem. Mnie tyle chodziło o interes prywatny, ile o bezpieczeństwo ojczyzny. Waś sam wiesz, że ten Śmigieński jest zagorzałym stronnikiem detronizowanego króla. Jakizby ze mnie był poddany króla Stanisława, gdybym najzawziętszemu jego nieprzyjacielowi zostawił sposobność z orężem w rękę na przeciw niemu się stawić. Bo to rzecz niezawodna, że na nic innego wolności by nie użył, tylko żeby jak najspieszniej się przyłączyć do Rzewuskiego, do onego swojego wodza, który już jest wywołany jako nieprzyjaciel ojczyzny. Ja temu winienem zapobiedz.

Na tém się skończyła rozmowa, bo już nadeszła była godzina, w jakiej panowie rady zbierali się u króla. Oznajmił wojewodzie dworzanin, będący u niego z kolei na dzienniej służbie, że karetą już czeka. Wyszedł więc wojewoda, zostawując syna wielce zbolalego i wielce zafrasowanego.

XXIII. Zamek Prusowiecki.

Dla zrozumienia tego, z czém się wojewoda wymówił przed synem, potrzeba wiedzieć, że jak tylko pan cześnik Gajewski objaśnił go o tém, co się w jego domu działo, gdyż jedynie w tym celu był przyjechał do Warszawy, pan wojewoda jemu wypocząć nie dał, ale natychmiast go wyprawił nazad do Krotoszyna z zaleceniem, żeby koniecznie Adama Śmigielkiego zamknął w obronnym zamku Prusowskim, o leką milę od Krotoszyna położonym, spuszczając się na jego roztropność i gorliwość w spełnieniu tego zalecenia. Nazajutrz wyprawił gońca do żony z listem bardzo ministeryalnym, bo jeżeli w nim nie tał nieukontentowania, że ją widzi poniekąd pobłażającą dla nieroztropnych widoków Adama Śmigielskiego, wszakże nie w tym sposobie, by aż wszelką nadzieję mu odbierać. A to z powodu, iż nie dowierzał żonie, by przed córką, która u niego była w tak wielkiem podejrzeniu, w ścisłości zachowała tajemnicę jego korespondencji. Miał więc siebie w pewnej ostrożności, by do rozpacz nie przywieść młodzieńca, a tém samem utrudzić cześnikowi możność jego uwięzienia.

Cześnik nie był złym człowiekiem w pozycyi domowém, a nawet w zawodzie publicznym dawał ciągle dowody bezinteresowności, poświęcenia i najszlachetniejszych uczuć. Ale był z niego najwierniej-

szy typ owoczesnego klienta. Ślepe zaufanie w każde słowo wyrzeczzone od jego mecenasa, było główną cechą jego charakteru. Wola wojewody była dla niego tém, czém igła magnesowa dla żeglarza: ktoby się jój sprzeciwił, w jego przekonaniu był zbrodniarzem, a najmniej szaleńcem. *Idzie o słowę pana wojewody; tak kazał pan wojewoda* — to były wielkie słowa; na to hasło nie było uczucia, któreby nie ustąpiło. W tém nie było nie niewolniczego: pochodziło to jedynie z wiary, jaką w nim pokładał, a ta wiara wyrastała z przywiązania i szacunku, jakie czuł dla niego, niemniej z jakiejś skromności i niedowierzania sobie, które cechowały wówczas obyczaje szlacheckie. On wierzył w nieomylność wojewody, bo gdyby w nią nie wierzył, za nic w świecie nie byłby jego klientem. Kto zaprzeczy, że ten klientyzm, do takiego stopnia wygórowany, mógł dawać powód nieraz nadużyciom? że w teraźniejszym pokoleniu, zużytym przez racjonalizm, a tak mało sposobnym do czynu, to zaprzanie się własnej woli, tylko pogardliwe wzruszenie ramion wywoła? Co bądź, to pewna, że bez ducha klienteli aż do niewolnictwa posuniętego nie może istnieć forma zbiorowego rządu (*), i właśnie dla tego niedostatku wszystkie zakresy teraźniejsze, żeby ją utrwalić w niektórych społecznościach stałego ładu Europy, w tak gorszącym sposobie pokazały się omylnymi. Chociaż nasz cześnik, gorliwie miłujący ustawy swojego narodu, dobrze wiedział, że więzić obywatela prawnie nieprzekonanego było zgwałceniem prawa; wszakże był przekonany, że samo prawo winno było ulegać tłumaczeniom jego mecenasa, jako prawo rzymskie, wzór dla wszystkich prawodawstw, w niektórych okolicznościach ustępowało woli dyktatora. Ledwo więc odebrał rozkaz, któryby go zgroził przesył, gdyby z innych ust wyszedł, już czuł siebie być związanym i honorem i sumieniem, by go jak najwierniej spełnić.

Młody Śmigieński, wyszedłszy z niebezpieczeństwa, wracał stopniami do dawniej czerstwości; codziennie o swojej sile powolnym krokiem przychodził do zamku z nieodstępnym od niego panem Kukaw-

(*) W jednej tylko Anglii rząd zbiorowy jest normalnym, i dlatego w niej jednej funkcjonuje. Ale też nigdzie, oprócz w niej, nie ma klientyzmu. Klasy szkockie na stałym ładzie byłyby anomalią, toż i głosowanie na ślepo za projektami ministrów. W Anglii, w tém co stanowi mechanizm rządowy, a tém samym żywotność narodu, racjonalizm bardzo słabą gra rolę, i właśnie dlatego naród jest potężnym w życiu politycznym, a enotliwym w życiu domowym. We Francji już praktycznie doszli do przekonania siebie o niezbędnej potrzebie rządu osobistego, bo widzą, że te ważące się władze tak racjonalnie wychwalane, i te mądrze zapisane karty, dziś konstytucjami nazwane, nie tylko że nie dają narodowi życia politycznego, ale nie umieją zabezpieczyć prawa własności od natarczywości tych, co nie mają nic do stracenia, a są zanadto postępowi, żeby jakąś wagę przywiązywać do tego siódmego przykazania, co go zabobonnik mają za Boskie. Na co tu głębokich wyszukiwań? dość gazety czytać, żeby się przekonać, że rządy zbiorowe na stałym ładzie o tyle tylko funkcjonują, o ile narody są ogłoszone w stanie obłąkania.

skim, żeby napawać siebie widokiem drogiego przedmiotu swoich zapaleń. Zosia niemniej od niego mizerna, z nim pospołu odzyskiwała świeżość swoich wdzięków. Wojewodzina wiedziała o ich wzajemnych uczuciach, i jakkolwiek była ostrożną, można było poznać, że w duchu im sprzyjała, o ile to się dawało pogodzić z uległością poczciwej żony widokom swojego męża. A oni, chociaż sobie żadnych powieżeń nie czynili, chociaż nawet nigdy do siebie się nie zbliżali, doskonale siebie rozumieli.

Adam był szczęśliwym, bo lubo wyniosłość wojewody nie była mu tajną, lubo aż nadto poznawał, że ani ojciec zezwoli na jego skojarzenie z córką, ani córka przeciw woli ojca nie ulegnie swoim skłonnościom, jednak już był pełnym nadziei. Zamięszania krajowe dochodziły do Krotoszyna, i na nich właśnie on te nadzieje swoje opierał. Tuszyl, że one mu otworzą pole do wyniesienia swojego imienia już znanego w narodzie na taki stopień, że wojewoda zmuszonym zostanie przyznać mu z sobą równość, nie tę ułudną, jaką panowie mamili szlachtę, ale rzeczywistą, bo wysokimi dostojeństwami uposażoną. Nawet odmienność przekonań politycznych między nim a wojewodą nie tylko że mu się nie zdawała stawić zapory do innego rodzaju stosunków, ale owszem podawała mu zachętę do wytrwania w swoich nadziejach. Myślał albowiem nie bez słuszności, że gdyby z nim pospołu służył temu samemu stronnictwu, onby mu nigdy nie dopuścił takiego wyniesienia się, któreby go aż do jego godności zbliżyło: podczas gdy walcząc w przeciwną stronę, szczęśliwe wypadki, o jakich nie wątpił, mogły go postawić w takim położeniu, iżby sam wojewoda szukał jego życzliwości, jak zwyciężony u zwycięzcy. Czuł więc, że jego wierność w dochowaniu przysięgi prawemu królowi w niczem nie sprzeciwiała się jego osobistemu szczęściu, i niecierpliwie oczekiwał pełnego odzyskania sił, któreby mu дозволиło przedrzeć się jak najprędzej do hetmana Rzewuskiego, który pierwszy otworzył mu drogę do sławy, żeby pod nim odnowić przerwany zawód żołnierski. Zresztą wszystko mu się uśmiechało, bo był pewnym wzajemności Zosi.

W domu rodziców, babunia, która podzielała jego przywiązanie do króla Sasa, zagrzewała go w chęci ofiarowania mu swoich usług, jak tylko zdrowie, cudownie jemu powrócone, utwierdzi się do tyła, że wielką podróż bez niebezpieczeństwa będzie mógł odbywać. — Pamiętaj, Adasiu — mawiała mu — że z jego łaski zostałeś starostą: przez całe twoje życie winienes się jemu wywiązywać. Dobrze ci poszło, żeś swój zawód zaczął pod opieką pana Rzewuskiego, teraz hetmana polnego, a więc staraj się na nowo pod nim służyć i trzymaj się jego. — Z nią jedną w domu o tych rzeczach mówił, bo co do pana Zacharyasza, dla niego był zarówno obojętny i August i Stanisław, a w głowie mu było tylko nie narazić się panu wojewodzie; a co się

tyczy pani Zacharyaszowej, ona zachowując zgodę, jaka cechować powinna chrześcijańskie stadło, zajęta wyłącznie gospodarstwem domowym, sporządzeniem wyprawy dla córki i dogadzaniem we wszystkiem mężowi, unikała wszelkich rozmów, przechodzących szranki życia domowego.

Ale w zamku, gdzie codziennie przebywał kilka godzin przedwieczornych, przed wojewodziną i jej córką śmiało puszczał wodze swoim wynurzaniom politycznym. Usiłował nie zdradzać swojej miłości jakim nieobaczniem słowem, ale zresztą nie miał dla nich nic tajnego, i nie krył przed niemi zamiaru udania się na Podole, do stronników króla Augusta. Pani wojewodzina, będąc stryjeczno-rodzoną siostrą królowej Leszczyńskiej, nie mogła nie sprzyjać jej małżonkowi, inaczej potępićby musiała swojego męża, od czego jej cnotliwa dusza była daleka; ale umiała być wyrozumiałą dla Adama, nie mogła nie szacować w nim tej wdzięczności, przez którą chciał się wywiązać swojemu królowi i dobroczyńcy, tak dalece iż go pochwaliła, kiedy jej powiedział, że tyle ma obowiązków dla hetmana polnego, że w żadnym wypadku broni przeciw niemu nie podniesie; a że w czasie wojny domowej, obywatel bez narażenia czci swojej, nie może gnieść w bezczynności, więc wszystko go przynagla do tego, który pierwsze jego kroki kierował i któremu wszystko w zawodzie swoim winien.

Adam siedział w pokoju wojewodziny, kiedy pokazał się niespodziewany pan cześnik Gajewski, a właśnie wtedy było kilku gości z sąsiedztwa, i doktor Koehler który siedział obok starosty. Pani wojewodzina i jej córka wiedziały, że był pojechał do Warszawy; wstały obie, żeby domowego przyjaciela powitać i zapytać go o mężu i ojcu. — Zdrów z łaski Pana Boga, przezemnie ukłon zasęła wszystkim łaskawym sąsiadom i przyjaciołom, a oto do pani pismo niedługie, ale dziś, jutro, pani odbierzesz obszerniejsze, bo się przedemną wymówił, że do niej wyprawia umyślnego. — Wszyscy przytomni go otoczyli, robiąc mu bez końca zapytania o wojewodzie i o interesach publicznych. — Prawdziwie, państwo, że to jest cud Boży, że pan wojewoda od poranku aż do późnej nocy pracując, wyraźnie odmłodził. Co to moi państwo, ciężar całej Rzeczypospolitej tak dobrze jak na jego barkach polega. Król bez niego nic nie robi. Król mądry, wielki, ale młody, a więc jemu potrzeba dojrzałego doradcy, a takiego Bóg mu dał w naszym wojewodzie. A król, co to za król! takie gośmy nigdy nie mieli; a jak pracuje! wolnej chwili nie ma dla siebie; to nie leniuch, jak ten Sas, od którego Bóg nas uwolnił. Ale Bóg o swoich pamięta, bo naszemu królowi praca idzie w korzyść na zdrowie, tak i wojewodzie. A... ścielę się do stóp pana starosty dobrodzieja; cieszę się, że go widzę tak znacznie postępującym w siłach. Pan wojewoda bardzo się panu kłania, mówił mi: już byłem zwątpił

o życiu naszego starosty; Bóg łaskaw na nasz kraj, zachował go, mam nadzieję wkrótce go powitać w Warszawie. Pan starosta wyobrazić sobie nie możesz, ile on ma dla niego szacunku. — Jeszcze mnie o tak dalekiej podróży nie myśleć — odpowiedział starosta — z łaski Boga i pana konsyliarza dobrze, że piechotą powlec się mogę z domu rodzicielskiego do zamku; ale jak tylko zdołam wytrzymać turkot pojazdu, nie omieszkam udać się ku Warszawie. — Od jutra — odezwał się pan Koehler — pan starosta weźmie się do doświadczenia swoich sił w pojeździe. Chwała Bogu, już lekarstw z apteki nie potrzebuje; weźmiemy się do innej kuracji. Potrzeba mu codziennie jakąś milkę przejechać się i bywać po sąsiadach, żeby ich nawiedzić i u nich wypocząć, a tym sposobem włożyć się i do dalszych podróży. — A mości starosto; mam wszelkie prawo upomnieć się, byś odemnie sługi i przyjaciela jego rodziców zaczynał. Nigdy nie miałem szczęścia powitać go w moim domku; a wszakże miałem jego obietnicę na to. Z moją żoną wyglądaliśmy tego zaszczytu, kiedy Bóg nas dotknął wielmożnego pana niemocą. Wszakże ledwo o milę od Krotoszyna leży wioska, co ją trzymam z łaski jaśnie wielmożnego wojewody. — Kiedy pan cześnik dobrodziej pozwolił mi służyć sobie w jego domu, jutro nie omieszkam złożyć jemu i jego szanownej małżonce moje uszanowanie. — Kiedy pan starosta tyle na mnie łaskaw, więc mi pozwoli sobie służyć w tej przejażdżce. Pod jednym dachem dziś nocujemy, bo zajechałem do szanownych rodziców wielmożnego pana dobrodzieja. Pan wojewoda tyle mi dał zaleceń do ojca pańskiego, że przynajmniej kilka godzin muszę z nim pomówić. Jutro sam pana starostę zawiozę do mojej chałupy i odwiozę go do Krotoszyna po szlacheckim obiadku. A teraz czas tak mi jest drogi, że stoję jak na szpilkach. Jaśnie wielmożna pani niech pozwoli sobie pożegnać. Żal mi pójść za drzwi, nie natrzymawszy się na panią i na jaśnie wielmożną wojewodziankę, i opuszczać tak miłe towarzystwo na mnie łaskawych sąsiadów, ale powinność mnie za łeb ciągnie. Jutro pana starostę odwiozę, i będę jaśnie wielmożnej pani służyć. Mości starosto, czy mogę pochlebiać sobie, że pan mi nie odmówi jutro swojego towarzystwa? wszakże i pan konsyliarz nie ma nic przeciw temu? — Całym sercem przyjmuję łaskawe żądanie, a tyle zaszczytne dla mnie pana cześnika dobrodzieja. Będę mu jutro służył. — Tylko śmiej jeden warunek położyć, odezwał się pan Koehler. — A jaki? — Oto, żeby pan cześnik nie był bardzo gościnnym dla pana starosty. Bo ja wiem z doświadczenia, że bardzo trzeba być zdrowym, żeby bezpiecznie służyć panu cześnikowi w jego domu. — Rozumiem, do czego to pan konsyliarz mówi; a broń Boże! a cóż to ja onegdaj się urodziłem, żeby nie wiedział jak się obchodzić z chorym? Jego zdrowie wypić, bo tak Bóg przykazał. Wszakże nieładą gościa przyjmę w moim domu, ale jakim sodalis, naglić go

nie będę do kielicha. — To rzekłszy, pożegnał wojewodzinę, wojewdziankę i gości. I zostawił ich.

Może niespełna upłynęła godzina, a goniec o którym był wspominał cześnik, przybył z ekspedycją od wojewody do jego małżonki. Żeby czasu jęj nie zabierać, wszyscy ją pożegnali, a pan starosta z wiernym swoim Kukawskim piechotą udał się na Zawale, do dworku rodziców.

Nazajutrz już był obok cześnika, na wygodnej bryczce na pasach zawieszonj. Pan cześnik miał o nim starania aż do naprzykrzenia. Ciągłe jego uszy piłował zapytaniami: — A czy nie trzęsie? a czy panu staroście źle się nie robi? czy go nie bolą kiszki? — A znowu na woźnicę: — Nie zrywaj, nie zacinaj, nie dawaj kłusować, truchtu się trzymaj, masz przecie na wozie chorego, ale jakiego? Wiesz, trutniu, że pierwszy raz masz szczęście powozić wysokiego urzędnika? — Nudził towarzysza podróży, który ciągle siłił się, by tego na sobie nie pokazać. Nakeniec powiedział cześnik: — A to pokazuje się nam zamek Prusowiecki; za pozwoleniem pana starosty dobrodzieja, muszę trochę zboczyć, by kołem o ten zamek zaczepić. Mam ważne zalecenia od pana wojewody do komendanta tego zamku. Czy panu staroście znany ten zamek? — Będąc w szkołach, raz byłem w nim na majowej rekreacyi, ale zwyczajnie dziecko, nie mogłem go wiele zauważać. — A warto go widzieć, nawet temu co Chocim oglądał. Jest-to zamek najwarowniejszy w całej Wielkiéj Polsce. Nie łatwo go dobyć. Pradziad pana wojewody jego pierwszy kamień swoją ręką położył, a odkąd go wyniesiono, jedno po drugim aż do teraźniejszego wojewody, każde pokolenie coś do niego przydało. Co też tu pieniędzy i pracy ludzkiej nie pękło! Pan starosta, jako wódz doświadczony, osądzisz czy jest w dobrym stanie? czy załoga robi swoją powinność? — Wielec jestem wdzięczny panu cześnikowi, że mi go raczysz pokazać. Tylko nie wiem, czy nam wystarczy czasu, żeby go szczegółowie jak się należy obejrzeć? — Zabawimy w zamku godzinę, a więcej panu nie potrzeba dla jego poznania. Póki sprawiac się będę z komendantem, on panu staroście przyda oficera od milicyi nadwornj, który go wszędzie oprowadzać będzie; jest na co patrzeć. Pan starosta się przekonasz, że w suterynach zamkowych tyle jest zapasu amunicyi i żywności, że gdyby nawet o dwa razy załoga była liczniejsza, wystarczyłoby dla nięj rok okrągły wytrzymać oblężenie. Zamek nie był tak mocny jak dziś, a nie dał się Szwedom, z któremi Karol Gustaw był Polskę najechał. Wtedy Szwedzi nie byli jak teraz naszymi przyjaciółmi, wszystko u nas niszczyli. Otóż czterdzieści tygodni oblegali zamek Prusowiecki. Do takiego niedostatku przyprowadzili byli załogę, że kiedy konfederacya tyszowiecka wykurzyła Szwedów, i koniec położyła jęj utrapieniu, to w zamku nie można było znaleźć szczura

na lekarstwo, bo wszystkich wyjedli. A ta wielka baszta, co ją pan starosta widzisz po lewój stronie, to także ciekawość. Na górze złożone archiwa nie tylko domu Potockich, ale wielu sąsiednięj szlachty, jako w miejscu bezpieczném. A na dole jest więzienie, dziś chwała Bogu próżne, ale gdzieby w potrzebie jedna i druga secina więźniów bardzo wygodnie umieścić się dała.

Podczas gdy tak rozmawiali, pojazd stanął przed podniesionym mostem zamku. Na rozkaz cześnika most się spuścił. Pojazd ruszył i stanął na dziedzińcu zamkowym, gdzie komendant ich przyjął z honorami wojskowemi. Pan cześnik pierwszy wysiadł, wziął na stronę komendanta i powiedział mu kilka słów, poczem podniosłszy głos rzekł: — Waćpan dasz mi sprawę ze stanu warowni i jęj załogi, a przydad najroztropniejszego oficera, żeby tymczasem oprowadzał wszędzie pana starostę Stuleńskiego, syna naszego gubernatora. On waszmości da rady, bo on rozumie lepiej niż my, jak bronić i dobywać zamki.

Chociaż pan starosta był jeszcze rekonwalescentem, natura rycerska wzięła w nim górę. Obchodził pilnie suteryny, kiedy niekiedy odpoczywając, toż i wieżycę; ale kiedy go oficer przeprowadził po pod sklepieniem baszty, gdy stanęli w głębi przed jakimś kratami zamkniętymi, ten się do starosty odezwał: — Tu pan najciekawszą rzecz obaczysz — i to rzekłszy otworzył kratę. Wszedł naprzód Adam, ale jakież było jego zadziwienie, kiedy za nim krata zapadła, a oficer zatrzasnąwszy wrzeczadze powiedział mu za kratą: — Wybacz, mości starosto, ale ztąd nie wyjdiesz, aż póki na to nie odbierzemy rozkazu od samego pana wojewody.

Starosta machinalnie chwycił za dziadowski pałasz, który był u jego boku, ale zaraz poznał, że napróżno było pomyśleć o ucieczce. Krata była zamknięta, a on był więźniem, w czasie kiedy właśnie wolność mu była najpotrzebniejszą. O długiem nieszczęściu wątpić nie mógł, kiedy obchodząc swoje mieszkanie, natknął się na stół, na którym domacał się krzesiwka i siarniczek, a niém wyrzesawszy ognia, zapalił jarzące świece, stojące na stole. Bo obaczył, że przy stole było łóżko zasłane wygodnie, a na stole kilka książek. Mało tego; znalazł na stole karty, kałamarz, papier, pióra, sztuciec instrumentów matematycznych, nawet fletrowers, na którym grał niegorzję; jedném słowem to wszystko, coby go w samotności rozerwać mogło. Wkrótce potem usłyszał z góry te słowa: — Oto pan starosta masz obiad, który znajdziesz w tym koszu; mamy rozkaz, żeby panu na niezem nie zbywało, póki u nas będziesz gościł. — W samj rzeczy kosz się spuścił, a w nim był porządny obiad i butelka wina. Starosta kosz wypróżnił, a ten zaraz podniósł się w górę.

XXIV. Powrót do wolności.

Obył się Adam Śmigilewski ze swoim położeniem i cierpliwie oczekiwiał jego odmiany. Miłe światło, książki, papier i fletrowers, więc się nie nudził; a do tego siły olbrzymim krokiem mu wracały. Mógł się o tém łatwo przekonywać, codziennie ich doświadczając, bo przynajmniej pół godziny machał swoją ciężką szablą, co mu wiele dla zdrowia służyło. Między książkami, które mu opatrzone, były komentarze Juliusza Cezara; te stały się dla niego niewyczerpanym źródłem zajęcia. Na papierze kreślił mapy rozmaitych części Polski i na nich wymyślał plany wypraw, kierując się temi komentarzami. Tak wprawiał się do teorii sztuki wojennej, którą praktycznie posiadał.

Zresztą jadł dobrze obiad i wieczerzę, sypiał smaczno, a zwrót jego myśli ku drogiej Zosi bynajmniej go nie wprowadzał w smutek, gdyż, jak czytelnikowi wiadomo, był pewny jej wzajemności. Mawiał do siebie: — Nie ma co powiedzieć, wleciałem w samotrzask; niech tego Bóg nie pamięta panu wojewodzie, bo chociaż ciężką mi wyrządza krzywdę, zapomnieć nie mogę, ile mam dla niego powodów wdzięczności. Nakoniec on jest ojcem Zosi, a to samo wszelką myśl o zemście od mojego serca oddala. Ale ten cześnik! miałem go za enotliwego męża, a jaki z niego chytry zdrajca! O co temu, radbym poobcinać uszy na pamiątkę. Tylko nie! i do niego nie godzi się piastować żalu. Zwyczajnie klient, bierne narzędzie w rękę swojego mecenasa. Przesadzone wyobrażenie obowiązków wdzięczności dla pana i dobroczyńcy nim powodowały. Z mojego ojca, jaki pocziwy człowiek! a w podobnych okolicznościach nie inaczej od cześnikaby postąpił. U nas w Polsce są rzeczy dobre i złe; dobry obywatel jedno i drugie przyjąć winien, bo niebaczne niszczeniem tego co się wydaje być złem, kto wie czy na tém nie ucierpi to, co jest rzeczywiście dobrem. Nie ma czego w bawelnę obwijać, zostaje w djabelnie smutnym położeniu, ale mogłoby być jeszcze gorsze; mógłbym być zamkniętym między gołemi ścianami, a tu mam przynajmniej czém siebie rozerwać. Bogu niech będzie chwała i za to, ile że nawet w tym gniewie, którego jestem niewinną ofiarą, upatruję jakieś szczątki życzliwości dla siebie.

W samą rzecz, oprócz że mu najmniejszej nie czyniono nadziei, by mógł wrócić do wolności, we wszystkiém innym jemu dogadzano. I tak, zaraz po swoim zamknięciu opatrzył się, że nie miał zegarka, a tém samém wskazówki do rozporządzenia czasem. Jest to rzecz nieznosna dla każdego człowieka wyższego usposobienia. Otóż kiedy mu spuszczone wieczerzę, on w kosz włożył zapisane żądanie, by mu dano jakiegokolwiek zegarek, a nazajutrz wraz z obiadem znalazł w ko-

szu i zegarek kieszonkowy i stojący godzinnik z excytarzem, bijącym i godziny i kwadransy, co go wielce uradowało.

Już od dni kilkunastu był zamkniętym w tej ciemnicy, do której nigdy promień słońca i księżyca nie zabłąkał, a która tylko sztucznym światłem była oświetlona, kiedy pożywając obiadową strawę, znalazł w środku kapłona upieczonego bilecik. Otworzył go jak najszkwapliwiej i wyczytał w nim te wyrazy, kreślone pięknym charakterem jemu nieznanym: „Ręka tobie życzliwa radzi, żebyś oświadczył tym, co ciebie mają w swojej mocy, że chcesz się wypowiadać, a że mając „szczególne nabożeństwo do ś. Feliksa, twojego drugiego patrona, „prosisz, by sprowadzono kapłana z klasztoru Kapucynów Krotoszyńskich. Tego ci odmówić nie mogą. Pójdź za tą radą, i wierz że „jest serce życzliwe tobą się opiekujące.“ W jednej chwili Adam takowe żądanie zapisał i włożył je w kosz ze szczątkami obiadu, a ten wkrótce się podniósł.

Dwie doby minęły, żadnej odmiany nie zaszło. Dopiero trzeciego dnia, więcej niż w godzinę po wieczerzy dzwon się odezwał, czego dotąd nie bywało, gdyż nie dawał się nigdy słyszeć, jeno dla zwiastowania obiadu i wieczerzy. Adam był wtedy zajęty wojowaniem na papierze, ale zaraz się zerwał od stołu i poszedł na głos dzwonu. Jakież było jego zadziwienie, gdy ujrzał spuszczone na trzech powrozech, coś podobnego do więcierza, a w nim Kapucyn ze spuszczonym kapturem, którego siwa broda do dolnej części piersi się dostawała.

Gdy Kapucyn wyszedł ze swojego więcierza i stanął na ziemi, Adam go powitał z uszanowaniem, zaprosił go do stołu, na którym jadł i pracował, i prosił go siedzieć. Zakonnik usiadł, okiem zmierzył przestrzeń między miejscem gdzie się znajdował, a otworem, przez który dopiero spuszczonym został, obejrzał się po kilka razy w około, po czém zarzucił w tył kaptur, zdjął z siebie brodę i parsknął śmiechem, patrząc na zmieszanie się Adama.

Ten, po krótkim wpatrzeniu się w swojego gościa, a zwłaszcza, kiedy się ten głośno zaśmiał, krzyknął: — Kukasiu, kochany Kukasiu! twoja przyjaźń i w tej ciemnicy mnie znajduje — i z uniesieniem młodzieńczym zaczął go przyeiskać w swoich objęciach. — W jakimże celu do mnie przybyłeś? — Cicho, cicho panie Adamie — odrzekł pan Kukawski, już oswobodzony od swojego habitu. — Czart nigdy nie zasyja; a nuż ściany mają uszy? Stawię się przed tobą, mój starosto, żeby ztąd ciebie wyzwolić, bo wzięłem ciebie na moją głowę. — A to jakim sposobem? — Poczekaj, panie, daj mi się rozpatrzyć. Widzę, że pościółka nie twarda, wiem że charcz smaczny; a co znaczą te butelki, co stoja w tym węgle? — Ty wiesz, że tylko wodę piję, a mnie łaskawy tutejszy gospodarz na każdy obiad i każdą wieczerzę opatruje jedną butelką wina; ja ich nie otwieram, a tylko w tym kącie składam,

dla pociechy tego; który kiedyś moją dzisiejszą posadę weźmie w spadku: ośmnasty dzień się kończy jak jestem inkarcerowanym, a że po dwie buteleki mam dziennego żołądu, musi ich zatem być tam sztuk trzydzieści sześć. — A to dobrze, to dobrze, *vinum cor laetificat*. Jest to wyborny towarzysz, nawet w samotności, i bynajmniej Apollina nie wypłusza; wszakże jego wychowaniec powiedział: *Nunc est bibendum, nunc pede libero pulsanda tellus*, i tak dalej. A co to? papier, pióra, książki, wszystko co widzę na tym stole, jakby umyślnie dla mnie; tylko fletrowers, co mi się na nie nie przyda. Zróbmy-no przegląd książek. Komentarz Cezara, mniejsza z niemi. Biblia sacra, co to, to ale! mam wszelkie pozwolenie do jej czytania, bo przecie jestem Baccalaureus sacrae Theologiae. Sam nie wiem, dlaczego nie wstąpiłem do stanu duchownego. Opera Valerii Horatii Flacci, a to szczęście: Horacego trzeba czytać, odczytać, na pamięć się nauczyć i jeszcze czytać, bo coraz coś nowego w nim się odkrywa. Poezya już dalej postąpić nie może. Ody Horacyusza, są to kolumny Herkulesa, wyniesione na szczycie Parnasu, z tym napisem: *huc usque*. Wierz mi, mój starosto, że to mnie do ciebie najwięcej przywiązało, iż je umiesz na pamięć. Jest to jedna rzecz, co ci ją zazdrości. Jeruzolima wyzwolona Kochanowskiego i Psalterz, wyśmienite! Pisma Górnickiego i Orzechowskiego! dość, dość tego! Jakby przeczuwali, że tu będę mieszkał, a to szczęście prawdziwe być tu zamkniętym. I jeszcze Summa Theologica angeli scholae! me Hercule! szczęścia aż do zbytku. Do tego obiad, wieczerza, świec jarzących ad libitum, po parę butelek wina na dzień, nie licząc tego oto zapasu! a prawdziwie, nie można zarzucić głupstwa temu, co swoją wolność odda na podobną niewolę. No, mości starosto, przybyłem po to, żeby zostać twoim spadkobiercą. I jak widzę, nie źle na tym wychodzę. — Nie rozumiem ciebie, mój Kukasiu. — A tak, tak, nie inaczej; mamy zrobić między sobą zamianę. Pan starosta weźmiesz mój habit i moją brodę, a ja się intromituję do jego kwatery. Ale to się nie robi bez jakiejś ofiary z jego strony. Trzeba się pożegnać ze swoją czupryną; widzisz jaka się bernardyńska pałka zrobiła z mojej głowy. Mam wszystko co na to potrzeba; choć nie ma wody ciepłej, na zimno pana ogolę, ani włoska na nią nie zostawię; bo gdybym zostawił część czupryny na koronę, jakośby to nie było ad rem, przy białej brodzie mieć na głowie włos ciemny. Ktoby pana spotkał, powiedziałby: ten Kapucyn musiał szeregą więcej pracować, niż mózgiem. Na taki deszpek zakonnikowi pozwolić nie możemy, a oto z moich siwych włosów korona, którą gummą przylepię panu do głowy. Jak się metamorfoza odbędzie, ja tu zostanę jak Elizeusz, i będę patrzył, jak nasz starosta, nowy Elias, w więcierzu do góry będzie się podnosił. — Co mówisz, pocziwy starcze? uszom moim nie wierzę. — Otóż trzeba im wierzyć. Niech-no pan siada, oto mydeł-

niczka! Widzisz, panie, jak wybornie rozpuszczam mydło! Żydek lepiej się nie popisie. Jak nasz Starosta wylézie z jamy, trafi gdzie mu potrzeba, bo Kapucyna nikt u nas po drodze nie zatrzyma. W Polsce bezpieczniej z ogórkami, niż w panczerzu; ale, ale! oto masz sakiewkę, a w niej sto hollendrów, a każdy z nich mu powie: *Concordia res parvae crescunt*. Zdadzą się one na każdy wypadek, a z jakich rąk nadziana kieska wyszła, o tém nie wspomnę, bo znam pana Adama; onby gotów w najwięcej naglącej potrzebie ich nie użyć, a tylko chować jak relikwie święte. — Jabym na to zezwolił, bym miał odzyskać wolność kosztem twojej? Nie, mój Kukasiu, poznaję twoją życzliwość, ale jej nie nadużyję. — Otóż jest! i jaka dla mnie krzywda tu siedzieć? Mnie właśnie było potrzeba na jakiś czas odosobnić się od ludzi, żeby wyprawić ekspedycją dla potomności. Pełno u mnie rzeczy niedokończonych, niedogładzonych, niedorymowanych; a czy to dadzą człowiekowi na świecie pracować? To ten, to ów przychodzi, jedynie żeby przeszkadzać. Nigdzie tylu próżniaków nie ma, ile w Polsce. Im aby czas zabijać: mierz przed którym z nich, gniewa się że nim nie jesteś zajęty; gadaj do niego, on tego nie słucha. Ledwo dziesiąty czems pożytecznem się zajmuje, a dziewięciu i sami nie robią i drugim robić nie dają; a tu *procul negotiis nec non a vocatione mentis*, wszystko co się zrobiło, udoskonali. Patrz, jaka paka papierów! jest czem się zabawić. A mam jeden pomysł weale oryginalny, nawet już się wynurzył kilkuset wierszami, ale jeszcze daleko do końca. Oczekałem zupełnego powrotu do zdrowia pana starosty, żeby z nim o tém pomówić. Będzie to poemat pod tytułem: *Wstęp do wszystkich Epopei*; będzie to cacko, jak się skończy i obrobi. Ale właśnie na to potrzeba mi posiedzieć w kozie, bo bez tego nigdy nie trafię do końca. — Jakże, pocziwy starcze, mogę ciebie narażać na gniew wojewody? co ty myślisz? Jak się opatrzą, że miasto mnie, ciebie trzymają, a o tém doniosą jemu, a czy sam możesz powiedzieć, jaki wyrok na ciebie pierwszy jego popęd zaferuje? a jakibykolwiek on był, niezawodnie od służalców jak najskwapliwiej wykonany zostanie. Nie, tak nie będzie, ruszaj sobie nazad, a mnie zostaw! — Tedy, mości starosto, bierzesz się do alembiku, żeby przepędzić aż do wysoku delikatności uczuć. Ale to nie w swoim miejscu. Posłuchaj, młody przyjacielu, mnie, którego czasem pan podskarbi koronny posłuchał. Po pierwsze *volenti non fit injuria*, a ja nie tylko że pragnę tu posiedzieć, ale najusilniej o to proszę. Powtóre, domagam się tego w imieniu potomności, dla której chcę moje pisma wykończyć, żeby *rudis indigestaque moles* przemieniła się w gmach, *claro micantem auro, flammasque imitantem Pyroro*. Mości starosto, o potomność chodzi, to wielka rzecz! Po trzecie, nieprędko się spostrzegą, że ja ciebie zluzowałem. Dopiero jak gdzieś tam o sobie dasz sły-

szć, powiedzą sobie: co to jest za ubiquitous? i tu siedzi, i tam dokazuje! Wtedy się wezmą do weryfikacji; ale nim to nastąpi, moje utwory będą w całkowitym swoim blasku. Bo, jak wiesz z doświadczenia, tego domu gospodarze mają staranie o gościu, który w nim wieść in fundo przesiaduje, ale jemu bynajmniej nie naprzykrzają się nawiedziny. Więc, jako się powiedziało, choć się opatrzą, że bez ich woli uskuteczniła się facyenda w zamku, to nie dziś, nie jutro. Potomność na tém nie traci. Moje *opuscula* będą pokończone, a zwłaszcza wstęp do wszystkich Epopei, a jak się wezmą do zazierania mi w oczy, cóż złego ztąd wypaść może dla mnie? Czy ja kocham wojewodżiankę, a ona mnie, żeby się mieli pastwić nademną? a gniew pana wojewody, to są strachy na Lachy. Jak się dowięd, że poeta Laureat u niego siedzi w wilczej jamie, nie będzie wiedział jak go przeproszać. A co to myślisz, panie starosto? że skrzywdzić poetę, jest to łatwy kęs chleba do strawienia? Jeden Neron na to się odważył. Lukan nie taki to osobliwy poeta, nie chwalać siebie, możeby się odemnie czegoś dowiedział, a pewnie niczegoby mnie nie nauczył, a że go kazał zamordować, za ten czyn więc na sławie cierpi po dziś dzień, niżli że rodzoną matkę zgładził. No, mój starosto, siadaj i dawaj głowę pod moją brzytwę! Nie ma czasu do tracenia, żeby czasem nie pomyślano na gorsze, że jesteś wielkim grzesznikiem, kiedy tak długo się spowiadasz. — Nie, nie, mój Kukasiu, na to nigdy nie pozwolę. — A to prawdziwie oszaleć trzeba z tym człowiekiem! Ody Horacyusza umieć na pamięć, a rozsądku pasz, a uparty jak kozioł. Gadaj do niego jak z książki, jakbyś grochem ciskał o ścianę. A co to waszmość chcesz mnie wy kierować na ostatniego błazna, żebym się ludziom pokazywał z kapucyńską głową? a to jesteś bez sumienia chyba, kiedy mi nie dajesz czasu, ażebym znowu obrósł po szlachecku! A czy waszmość wiesz czy nie wiesz, że w tém wszystkim nie czyj rozum, jeno panny wojewodżianki? Ona to ułożyła z gwardyanem u Kapucynów; ona to dokazała, że uczeiwszy uszy, w kuperku od kapłona jej pisemko doszło do rąk waszmości; ona przez moje ręce zasła jemu ten woreczek z żywcami; zgoda ona wszystko obmyślała, a ja tyle tylko, że jej plany wykonywałem. To ale niewiasta *Mulier fortis*. Będzie ona też mieć miejsce w moim wstępie do wszystkich Epopei. W czépku się urodziłaś, panie starosto, że ta Cynozura ciągle nad tobą świeci. Aleś jej nie wart. Chcesz mnie na to wyprowadzić, żebym nie śmiał oczu na nią podnieść. Ale oddam za swoje, pokażę się jej z tą koroną na głowie i powiem: — Przenieś pani swój affekt gdzie indziej, bo on gardzi zarówno i miłością i przyjaźnią. — Stój! nie gniewaj się, Kukasiu. To co mówisz, jest dla mnie więc więcej niż zakłęciem. Rób i z moją głową i zemną co ci się podoba. We wszystkim daję się tobie

powodować. — Co tak, to ale! Rozbieraj się, mój starosto, ja ciebie ogolę; od tego trzeba zacząć.

Namydlił mu głowę Kukawski, a w ciągu operacji dalszej nie przestawał mu dawać rady. — Na dziedzińcu stoi wózek, który mię tu przywiozł. Pan starosta, jak go ztąd wywindują, pójdziesz prosto przed sobą, notabene z kapturem nasuniętym, i dawać będziesz benedykcyę w prawo i w lewo. Wózek tutejszy zawiezie go do Krotoszyna, prosto do klasztoru Kapucynów, a tam już drugi na niego czeka, i na nim wyruszysz aż do Zbuczyna. Zwyczajnie Kapucyn jedzie po kweście. W Zbuczynie pan starosta najmie sobie fernalkę; ma w kieszeni co na to potrzeba, i ruszy sobie, gdzie go Bóg zainstynktuje. Trafisz ja na kość do przyjaciół króla Augusta, którzy na niego czekają, jak kania na deszcz. Wiem, że pan starosta jemu dobrze życzy, i ja z nim trzymam. Żeby jego sprawa była nie-potem, młody pan, dziś hetman polny, pewnieby się za nią nie oświadczył. Ale co mam mówić? do brój głowie dość dwie słowie. Otóż i po czuprynie! Szkoda! ale cóż robić? Poczekaj, starosto, trzeba tę brodę przylepić gummą arabiką, i tę koronę na głowie. O tak! Zupełny Kapucyn, nawet choroba na dobre się przydała, mizerny, wybladły, zwyczajnie mortyfikant. Tylko nie! jeszcze z wąsami pożegnać się trzeba, bo coś zanadto wyglądają po żołniersku; ale ich golić nie będę, tylko ostrzygę, o tak. A teraz twarz ociemnić, bo płeć zanadto młoda w stosunku do korony i brody. Rzecz skończona. Teraz trzeba habit wziąć na siebie i ogórki pościagać; niech starosta weźmie szablę, ona pod habitem nie zawadzi. A co? czy nie gładko się sprawiłem? jakbym przez całe życie nie robił, tylko ubierał Kapucynów. Przecudownie! metamorfoza kompletna z młodego pułkownika na starego mnicha. No, teraz proszę do kosza. Ale, ale! momencik tylko! Weź, reverendissime pater, pióro i pisz! — Co takiego? — Nic, tylko kilka słów. Tu na każde jego pisane żądanie pomyślna rezolucya zapada. Przyszło mi na myśl, że to niesprawiedliwie, że tę samą porcyę wina dają na obiad i na wieczere; niechże na obiad dają po dwie butelki. Niech starosta to napisze, bo już mnie nie wdawać się w żadną korespondencyę! Jakby obaczyli, że inna ręka, gotowiby nie dać skończyć mojego wstępu do wszystkich epopei. Rzecz skończona. Za pozwoleniem! muszę wypić za sześcienne powodzenie. O tak! vinum bibile! szkoda, że nie będzie z kim go pić, tylko do Apollina. Alboż to niedość dla poety? Jeszcze tylko dwa bileciki mnie zostawisz; jeden o parę sztofów wódki gdańskiej, bo tu kiedyś komendant mnie nią poczęstował, a drugi, po drugie parę sztofów, jak te się wypróżnią; i trzeci podobnej do tamtych odezwy nie zawadzi napisać. *Omne trinum perfectum*. Nawet w tém jest dyplomacya, bo co tydzień jeden bilecik wyprawię. Niech się cieszą, że tak dobrze trzymają wielmożnego starostę Stuleńskiego,

kiedy on już będzie kurtę im kroił. Na tém koniec! o niczem się nie zapomniało. *O beata posteritas*, dla której się wyzuwam z wolności. *O beatus Rex noster Augustus*, któremu takiego *inclutum virum* posłałam. Teraz proszę wielbnego ojca do kosza, a jak na nowo przedziergniesz siebie w pancerne, nie zapomnij zanieść ukłon jasnie wielmożnemu hetmanowi polnemu od jego prawdziwego sługi. A zegarka nie bierzesz. Co to za człowiek! kontent, że schował bilecik wojewodzianki, już o niczem nie pamięta.

Jeszcze przed koszem, pokilkakrotnie siebie uściskali. Adam wlaź w swój więcierz, już zniknął, a pocziwy Kukawski jeszcze ku niemu wyciągał ręce.

XXV. Niespodziewane spotkanie.

Gdy wywindowano starostę, on najskrupulatniej wykonał instrukcye dane mu od pana Kukawskiego, który tak roztrupnie wszystko był przygotował, że w zamku nikt zaimprovizowanego Kapucyna nie zatrzymał. Noc była widna, siadł na wózku, i szczęśliwie dojechał do klasztoru Kapucynów Krotoszyńskich, gdzie druga fornalka na niego czekała. Tyle tylko zabawił w klasztorze, ile mu potrzeba było czasu dla powitania gwardyana, podziękowania mu i przyjęcia jeszcze kilku przestroóg dotyczących się podróży, co ją miał przed sobą. Wyruszył z miasta i westchnął, żegnając okiem i sercem zamek Krotoszyński, oświecony promieniami księżyca. Gdy przejeżdżał przez Zawalę, po pod same wrota rodzicielskiego dworku, łzy mu stanęły w oczach, otarł je, i dalej!

Z rana popasał w jakiś karczmie po drodze, a z kończącym się dniem zajechał do Zbyszyna, gdzie go fornalka pożegnała, bo woźnica wolał nocować w karczmie na gościńcu, niż w mieście, gdzie i owies i gorzałka były droższe. Przed noclegiem miał nieco kłopotu w dostaniu koni do dalszej podróży, bo gwardyan Krotoszyński był go ostrzegł, żeby bardzo był ostrożnym z wydawaniem pieniędzy, ponieważ reguła zabrania Kapucynom mieć przy sobie kruszec, popisując się groszem, mógłby stać się powodem zgorszenia, a nawet wpaść w podejrzenie. Był to orzeszek niełatwy do zgryzienia, bo zamierzał się udać w Krakowskie, żeby ztamtąd łatwiej się dostać na Pokucie, zajęte przez hetmana polnego. Ale jakże mieć konie, nie dobywszy pieniędzy z worka?

Pan Bóg to jakoś opatrzył. Do téjże gospody zajechał dworno obywatel, niejaki Bezsiekiński, szlachcic z przodkujących w województwie Kujawskiem, możny, ba nawet podobno urzędnik, do tego podżyły i pobożny, ale zuchwały, jak zwyczajnie szlachcic. Skoro ujrzał Kapucyna, zaraz się wziął do niego. A z kądem? a gdzie? a po co?

Kapucyn na każde zapytanie musiał odpowiedzieć. Ale kiedy do tego przyszło, że ma obedyeneyą do Krakowa, a nie wie jak do niego się dostać; na to pan Bezsiekiński: — Jak najlepiej! jadę do Częstochowy na odpust; ruszaj ze mną, wszystko bliżej Krakowa. Niepodobienstwo, żebyś w Częstochowie nie znalazł jakiej pobożnej duszy krakowskiej, któraby ciebie, księżuniu, z sobą nie chciała zabrać. Obok mnie odbędziesz podróż do Jasnej-Góry, a za charecz i podróż, odmawiać będziesz ze mną po drodze koronkę, a jak staniesz w swoim klasztorze, będziesz miał mszę śpiewaną za spoczynek duszy nieboszczki mojej żony, Agnieszki z Wiszowatych Bezsiekińskiej. — Skłonił się niziutko Kapucyn, i już o swoją podróż był spokojny.

Nocowali w téj samej izbie. Już pan Bezsiekiński był wnurzony w miękki lubo w podróżny pościeli, a jego towarzysz przy łójwce wziął się do brewiarza, którym pan Kukawski nie zapomnił go opatrzyć, a to nie tylko z pobożności, ale także dla uniknienia uciążliwej gadatliwości tego, na czym wozie miał siedzieć. To mu szło bez trudności, bo jako wszyscy wychowañcy szkół Jezuitkich, był obeznany z tajemnicami rubrycelli. Skończył chóry kanoniczne, kiedy silne chrapanie przekonało go, że pan Bezsiekiński snem głębokim już spoczywał.

Był to pierwszy ich nocleg. Nazajutrz siedzieli obok siebie w kołacie. W ciągu podróży z rana odmawiali godzinki, pod wieczór koronkę. Na stronę zostawiwszy pobożność obyczajową ówczesnych Polaków, i z innego nawet względu te ćwiczenia duchowne były dla młodego Śmigielskiego chwilami najmilszymi w całej téj podróży, bo robiły jakąś przerwę w natrętności pana Bezsiekińskiego. On był wielkim gadułą. Ciągłe mu też piłował uszy wszystkimi przechwałkami domatorstwa szlacheckiego: — że w całych Kujawach u nikogo nie ma pszenicy tak obfitéj i tak dorodnej jak u niego, — że nigdzie rolnictwo nie stoi na równym stopniu, — że wszyscy sąsiedzi usiłują na jego wzór gospodarować, ale że to się im nie udaje, — że lubo niczego sobie nie odmawia i żyje po pańsku, jednak własną pracą tyle dokazał, iż ma więcej dwa razy dóbr, niż ich wziął w spadku po rodzicach, — że co roku powiększają się summy, które ma ulokowane po ludziach. Gęba mu się nie zamykała, kiedy wpadał na materję piękności swojego stada rogatego bydła, owczarni. A cóż dopiero, jak zaczynał rozprawać o swoim znaczeniu w województwie, jak wszyscy go się boją, jak wielkie pany mu się kłaniają, raz żeby dostać u niego pieniędzy, powtóre, że na każdym sejmiku ma kilkaset szabel na zawołanie. I że sam jest takim rębaczem, iż jeszcze nie zdarzyło mu się spotkać takiego, coby jego zakład dotrzymał.

Jeszcze to było pół biedy, że temi samochwalstwami trąbił mu w uszy, bo tyle tylko, że niemi go nudził, ale często dotykał się strony

bardzo dla Adama drażliwej, tak, że nie bez trudności sobą tyle wla-
dał, iż siebie przed nim nie zdradził. Pan Bezsiekiński, jak już na
noclegu był się z tém wydał, był gorliwym stronnikiem Leszczyńskie-
go, którego nazwiska nie wspomniał, żeby zaraz nie dodać, że ma
z nim jakieś pokrewieństwo w siódmym czy ósmym stopniu. A że
tém samém był zawziętym nieprzyjacielem Augusta, na nim ani czei,
ani wiary nie zostawił. Gdyby to co wychodziło z jego ust, śmierć
i kalectwo rozsiewało, jak to co wychodzi z otworu armaty, takby
wyrzebił i króla Augusta i jego stronników, iż król Stanisław aniby
został teściem przodkującego w chrześcijaństwie króla, aniby uszczęśli-
wiał Lotaryngów mądrym i łagodnym rządem, ale byłby spokojnie
dni swoje skończył w Warszawie. Pan Bezsiekiński nie inaczej na-
zywał Augusta, tylko wściórnskim Sasem. A o hetmanach nie mó-
wił, tylko jako o zdrajcach ojczyzny. Do Rzewuskiego zwłaszcza,
którego, jak się pokazało później, w oczy nigdy nie widział, nie wie-
dzić z jakiego powodu czuł nieubłaganą nienawiść, tak dalece, że po-
kilkakrotnie się wymówił: — Nie umrę spokojnie, aż wprzód go
obaczę dyndającym na szubienicy. — Takowy rodzaj tłumaczenia się,
mówiąc o królu i wodzu, dla których nasz bohater czuł obowiązki
wdzięczności, tak go oburzały, że o mały włos czasem nie wyleciał
porywcy pułkownik z pod habitu pokornego mnicha.

Pomimo tego, szlachcie w gruncie poczciwy, ale zrozumiwały,
i choć stary, burzliwszy niż jak jaki młodzieniec; przez całkowitą po-
dróż, nie przestawał puszczać wodze swoim wybrykom. Po karczmach
tarmosił żydów; ani nocleg, ani popas nie obeszł się bez hałasu, ile
razy przychodziło do rachunku z gospodarzem. Gdzie tylko zajechał
do gospody, rozpędzał wozy, które zastał; cudze konie przez ludzi
swoich odstawał od żłobu, żeby jego własne miały przestronniejszą
wygodę. Ze szlachtą rwał się do korda, z plebejuszami do batogów.
Wrzeszczał nieustannie na sługi. Jedném słowem, już w pierwszym
dniu podróży tyle dokuczył Śmigielskiemu, że czasem przychodziło
mu na myśl, odrzec się tego protektoratu i samopas puścić się na wolę
Bożą. I byłby to może uczynił, gdyby jedna okoliczność, od niego
nieprzewidziana, nie stała się powodem rozerwania towarzystwa z tym
niespokojnym szlachcicem.

Wypadał im nocleg w Wieluniu. Z popasu pan Bezsiekiński,
wedle swojego zwyczaju, wyprawił brykę kuchenną do Wielunia,
żeby wieczery i kwaterę gotową tam zastać. Bo pomimo tego, że
w każdej karczmie, przed którą konie jego przez chwil kilka zatrzy-
mywały się dla wytechnienia, zawsze coś przekąsił, nie dla obżarstwa, ale
dla zdrowia (gdyż jak się tłumaczył, w pojeździe prędko się trawi,
a mieć czezy żołądek, jest to igrać ze śmiercią), przestrzegał gorliwie,
żeby wysiadając z pojazdu, czy to na popasie, obiadu, czy na noclegu,

wieczery nigdy nie czekać. Dojeżdżając do Wielunia, tém żarliwiej
gotował się do wieczery, że na ostatnim popasie u przechodzącego
strzelca był kupił pół tuzina kuropatw, zwierzynkę, którą nad wszelkie
jadła ulubował, i kazał kucharzowi, żeby mu z nich potrawkę na wie-
czerzę przyprawił. Owa potrawka tak mu była zajechała w głowę, że
rozejm zrobił z królem Augustem i jego stronnikami, nawet zaniechał
swoich przechwałek gospodarskich, i o nieczém już nie mówił Kapucy-
nowi, tylko o biegłości swojego kucharza, z jakim kosztem on go kazał
wychować w tym kunszeie, że dwa lata terminował w kuchni księcia
kardynała Prymasa. — Jak kiedy, mój miły Kapucynie — dodał —
zawitasz do Kujaw, pierwsza rzecz, którą tam usłyszysz, niezawodnie
będzie o moim stole. Człowiek na to pracuje, żeby miał co jeść i pić.
A wolę być głodnym i spragnionym, niż wziąć w usta co takiego,
coby było nic-potém. O tém się przekonasz, jak będziesz w moim
domu, bo spodziewam się, że jeżeli kiedy wypadnie ci być w Kujaw-
skiem, o mnie nie zapomnisz. Nakarmię ciebie sztokfiszem po wasze-
mu przyprawionym, bo trzeba oddać sprawiedliwość Kapucynom, że
u nich sztokfisz jest prawdziwym specyalem. A o kwestę bądź spo-
kojny. U mnie chyba ptasiego mléka nie dostaniesz. Owóż tedy,
mój poczciwy brodaczu, nie mogłeś poznać się jeszcze na moim ku-
charzu. Bo zwyczajnie po karczmach, gdyby miał łeb Salomonowy,
cóżby poradził z chudym drobiem i rybą nie świeżo z rzeki, czy jak
u mnie z sadzawki przyniesioną? Ale w Wieluniu, po kuropatwach
poznasz jego mądrość. Będzie do nich sosik z cytrynką; od czegoż
żydki? Wieluń przecie miasto z ziemstwem i grodem; czego tam nie
dostaniesz! Jest tam winiarz, słynny w całej Wielkiej Polsce, mnie
znany; do niego kazałem zajechać; obaczysz, jakim węgrynem zakro-
pimy nasze kuropatwy! — Wszakże pokazało się, że co do kuropatw,
nie przewidział, że te piękne nadzieje go zawiodą.

Już wiadomo czytelnikowi, że Karol XII na ciągle wzywanie Lö-
wenhaupta wysłał mu oddziały szwedzkiego i polskiego wojska
z Saksonii. A że już August do tego stopnia przez niego był znę-
kany, że nie wątpił, iż wkrótce do abdykacyi go zmusi, coraz silniej-
sze oddziały do Polski wyprawił i rychły swój do niej powrót zapo-
wiedał. Trzeba takiego wypadku, że właśnie wtedy batalion draban-
tów szwedzkich, i silnie pokryta chorągiew kawalerii narodowej, pod
dowództwem barona Magnusa, generała szwedzkiego, zwały się ra-
zem do Wielunia. Była to chorągiew hetmańska, którąśmy już po-
znali w obozie oblężonym pod Barem, gdzie każdy towarzysz, a na-
wet szeregowy był znany Śmigielskiemu. Wieluń niewielkie miasto.
Generał zajął austeryą, gdzie Niemiec był gospodarzem, a oficerowie
szwedzcy i towarzysze polscy z żołnierzami i luzakami rozłasowali
się u żydów, tak, że lubo wszystkie domostwa zajęli, przecie można

powiedzieć, że stanęli na ciasnych kwaterach, i biada była podróżnemu, któryby wtenczas zajechał do miasta.

Pan Bezsiekiński wjeżdżając do Wielunia powtórzył rozkaz, żeby zajechać do Naftuły, bo tak się nazywał zawołany winiarz. Jakież nie było jego zadziwienie, kiedy brykę kuchenną zastał na rynku przed domostwem, konie wyprężone pożywające z worków obrok, a kucharz wraz z innymi sługami obok koni. — Co to jest? — krzyknął na kucharza. — A co ma być, wielmożny panie? Sien tak napełniona koniami panów towarzyszków, że ani kątka nie ma dla naszych. Wyprosiłem u pana namiestnika izdebkę; w niej wielmożny pan przenocujesz z wielbnyim ojcem, a my przy koniach i pojazdach zostaniemy na dworku. — A wieczerza? — Jaka wieczerza? a niech-no pan obaczy, czy w kuchni, a nawet w piekarni żydowskiej jest miejsce, żeby palec położyć, a dopiero rydel? Ta tu taki bajram panów towarzyszków, że ich większa część tu wieczerza u pana namiestnika. Rądle jak jakie kotły smola się przy ogniu; całe domostwo zaprawione zapachem od zrazów. — Tu omal że szlachcie paraliżem nie został naruszony od złości; zerwał się z pojazdu, wyskoczył prosto do sieni, i dawaj krzyżeć na kucharza. Cóż to do krośset djabłów? Mnie obywatela, urzędnika, krzywdzić? moich koni nie puszczać? Czy ty, mazgaju, powiedziałeś tym panom, kim jestem? — Ale mówiłem; prosiłem. Pan namiestnik, człowiek ludzki, dał sobie mówić, ale powiedział: mój kochany, wybacza, ale konie Rzeczypospolitej na dwór nie pójda dla wygody koni twojego pana. — A to utrapienie! a to rozbój! dam ja jemu konie Rzeczypospolitej! a co to, ja nie członek Rzeczypospolitej, i członek nie lada! Zaraz mnie konie wprowadzić do żłobu, a ile potrzeba wyprowadzić koni tych zuchwalców. A co to? nasz miły grosz utrzymuje wojsko na pogrzebienie obywatelów? Ruszajże, gawronie, z mojemi. — Co pan robisz? czy pan chcesz, żeby nas wszystkich rozsiekano na miazgę? Ta to sprawa z całą chorągwią, i to poważnego znaku. — Jakiego znaku? — A wszakże to chorągiew hetmańska. Cóż to! Towarzysze malowani, żeby sobie pozwolili napluć w kaszę. — A chyba to hetman tego wściórniackiego Sasa, zdrajcy ojczyzny, którego czeka szubienica. Co to namiestnik! ja siebie nie dam senatorowi. Cóż myślisz, że ja nie skoligacony z mitrami i krzesłami? Rób co ci każe! — Aj panie, daj temu pokój, a nie zaczepiaj biedy! Wolisz panie oto z ojcem pójść do izby, i po ludzku przemówić do panów pancernych. — Na to zaczął się trząść ze złości zuchwały szlachcie. — Cóż to? ja nie noszę u boku szabli, żeby lada kto mógł mnie krzywdzić? To my na to utrzymujemy wojsko, żeby nas głodem morzyło? Jeżeli mamy takie exorbitancye ponosić, a niech lepiej diabli porwą Rzeczypospolitą! — Tu coraz głośniej zaczął przeklinać kawalerją narodową, mianując ją zgrają roz-

bójników, a Śmigieński w duchu się śmiejąc, czekał co z tego wyniknie.

Na ten hałas drzwi od gospody się rozwarły, i pokazał się namiestnik, a za nim kilku towarzyszy. Śmigieński zaraz go poznał i jego kolegów. Był to Kurowski, znany jako zawadyaka, ale już nieco umiarkowany i stopniem co go wysłużył, i kilkoma latami, które przez niego przeszły, odkąd był wyszedł z pod rozkazów Śmigieńskiego. — Co to za hałas? — odezwał się z zimną krwią. Na jego widok nastąpiło nowe wybuchnięcie gniewu pana Bezsiekińskiego. Odważny szlachcie, nie zważając na siłę zbrojną, złapał namiestnika i porwał się do szabli. Kurowski na te jego słowa, jakkolwiek cierpkie, odpowiedział: — Ej mości dobrodzieju, daj temu pokój, to niepięknie; mógłbyś być naszym ojcem, a zły przykład nam dajesz. Na co te gniewy? Gospoda jest to młyn; w nim miele ten, co pierwój do niego przybył, a cóż dopiero oddział wojskowy? Wszakże my jutro ztąd wychodzimy; cobyś waszmość sam powiedział, gdybyśmy nie dbali o wygodę koni, na których nie dla własnego, ale krajowego pożytku pracujemy. Waszmość jesteś zacnym obywatelem, ale i my nie wypadli sroce z pod ogona; jesteśmy wszyscy synami osiadłych obywateli, inaczej nie bylibyśmy towarzyszami poważnego znaku. Waszmość głodny, więc się gniewasz, to nasza polska natura; ale mamy wieczerzę gotową, prosimy na żołnierską strawę, i waćpana dobrodzieja i oto tego szanownego zakonnika, który mu towarzyszy, a przy którym niepięknie się kłócić i robić burdy, a pan pozwolisz, żebyśmy za stołem się z nim poznali, bo od tego zaczęliśmy, że jego szanowne zdrowie wypijemy.

W jednej chwili szlachcie się uspokoił, przyjął uprzejmie zaprosiny w swoim i w Kapucyna imieniu i odezwał się: — Panie namiestniku, bardzo jestem rad że pana poznaję. — Z tak zacnym mężem chlubniej zabierać znajomość kielichem niż pałaszem. Bo ze swoim lepsza zgoda, niż kłótnia. Siadę z łaski waszmości za jego stołem; to sobie tylko wymawiam, że jeżeli panowie mnie macie karmić, pozwolicie, bym ich napoił. Od tego nie odstępę, bo dlatego, że dobrą sercem przyjmuję waszą ofiarę, nie spodziewam się, byście mnie cheieli skrzywdzić, odrzucając moją. — Zgoda, zgoda — odrzekł namiestnik: a te jego słowa po kilkakrotnie powtórzyli koledzy.

Wzięli się do misy w najlepszej komitywie. Wieczerza była prawdziwie szlachecka: zrazy zawiesiste z sosem, gdzie się mieszały wonie cebuli i majeranku, kasza ze szwedami z świeżym masłem, i pierogi z twarogiem i śmietaną. Te potrawy proste, ale narodowe, tak dobrze były zgotowane, że pan Bezsiekiński przestał tęsknić za swojemi kuropatwami, zwłaszcza kiedy z największą kortezyą spełnił za jego zdrowie kielich pan namiestnik, a za nim jego koledzy.

Niemniej grzecznym okazał się gość; było do trzydziestu biesiadników, wszystko ochoczych do kielicha; jeden tylko Kapucyn, pomimo nalegań gospodarza, nie dał się do niego namówić. Zresztą wszyscy oddali się miłej zabawie i do szczerój i przyjacielskiej wzięli się rozmowy.

— Tak, tak — zaczął Kurowski — Bogu niech będzie chwała, że król Szwedzki odesłał nas do Polski. Bo już ta Saksonia stanęła była nam kością w gardle. A to osobliwszy kraj! waserzupka u nich barszczem; piją z rana jakiś cienkusz słodko-gorzki, który nazywają kawą, a skapce, że jeszcze dotąd się nie urodził Sas, któryby gościa u siebie poczęstował. Tego się w naszej Polsce nie nauczyli. Niemiec umrze Niemcem. — A do tego — odezwał się jeden towarzysz — mowy ludzkiej nikt tam nie rozumie. Jeżeli czego potrzebujesz, bierz się do migów jak głuchoniemy. — Jedna tylko rzecz w Saksonii mi się podobała — rzekł drugi towarzysz — oto piwo. — Na to kilku towarzyszków razem: — Dajże pokój z twojém saskiem piwem, kolego. Nie ma czego mu przyganiać, ale dalibóg nasze piwo łęczykie jemu nie ustępuje. — Jak widzę, mości namiestniku — odezwał się pan Besiekierski — niebardzo miłe wrażenie na was sprawiła Saksonia. Tego tylko wam pozazdrościć można, żeście naszli tego wściórnackiego elektora, któremu ni ztąd, ni zowąd, ubrdało się zostać naszym królem. To jedno musiało pocieszać w waszjéj tęsknocie za naszym miłym krajem. — Miernie, mości dobrodzieju. Poszliśmy do Saksonii, bo nam kazano, ale żebyśmy mieli iść ochoczo po nieprzyjacielsku, ażeby królowi przynosić szkodę w jego państwie dziedzicznym, do tego żaden z nas się nie przyzna. Otwarcie powiem, i wszyscy koledzy na to się nie zgodzą, że każda wojna inna byłaby dla nas milszą. — Jak to! wybyście mogli załować Niemca? — Wszakże Szwed jest takim jak i Sas. Zresztą, jakąż to była wojna? Sasi z nami się nie bili, tyle tylko, że my im kury zabierali w niewolę. I chwała Bogu, bo my do nich nie czujemy żadnej zawziętości. Komu wypadnie nad nami królować, nie nam wchodzić; są na to mędrsze głowy, nie nasze, ale Bogiem a prawdą nie doświadczałyśmy krzywdy od króla Sasa. — Już ci król Stanisław, krew krwi, i kości kości naszych was ukrzywdzić nie może. Prawdziwie nie spodziewałem się, żebyście panowie tak mało sprzyjali teraźniejszemu królowi. — Już ci sprzyjamy, kiedy mu idziemy w pomoc, choć wiele czyni kto musi. Cóż możemy mieć przeciw królowi Stanisławowi? Wszyscy o nim mówią, że to ma być dobry i mądry pan, i my temu nie przeczymy, a jeżeli znośmy krzywdy, to nie jemu przypisujemy. Co to! nas w ciemię bito, żebyśmy nie wiedzieli, że on swojej woli nie ma, i że on tak jak i my to robi, co każe król Szwedzki. — Panowie, opamiętajcie się! Jakąż wy krzywdę macie choć i od króla Szwedzkiego? Może żołądka nie pobiera-

cie? — Mniejsza o żołąd. Mamy z łaski Pana Boga i o swojém jaki kwartał jeden i drugi wojować, ale że jesteśmy skrzywdzeni, chyba ten co za górą siedzi, o tém nie wie. — Czy to słyszana rzecz! żeby chorągiew, jeszcze hetmańską, oddać pod rozkazy jakiegoś barona! żeby piechur był starszy od towarzysza, zagraniczny autorament brał prym nad kawalerją narodową! My, jak zwyczajnie sieroty, bez hetmanów. Przyszło do tego, że ja, namiestnik, dowodzę całą chorągwią. Bo jak tylko król Szwedzki, wyprawując nas do Polski, kazał nam być posłusznymi swojemu Magnusowi, nasz porucznik pan Rozwadowski, który był dla nas ojcem nie wodzem, co go rotmistrz jasnie wielmożny Rzewuski, hetman polny koronny, cenił jak żrenicę w oku, o którym głos powszechny, że tylko chyba jednemu Adamowi Śmigielskiemu ustępuje w prowadzeniu rycerstwa do zwycięstwa (a niech-no pan zapyta obywateli pogranicznych, co on dokazywał na Podolu i Wołoszczyźnie), otoż nasz Rozwadowski powiedział nam: — ruszajcie waćpanowie, gdzie wam każą, i bądźcie posłuszni panu Kurowskiemu, waszemu namiestnikowi, ale co do mnie, oczu nie śmiałybym podnieść na jasnie wielmożnego hetmana, naszego rotmistrza, gdybym kwadrans słuchał Niemca. Wy zgódźcie się z wolą Pana Boga, a ja was usprawiedliwię przed hetmanem. — I wpadł jak w wodę. Zapewne, że musi być teraz blisko Pokucia, może już przy hetmanie. Szczęśliwy człowiek! — I pan namiestnik możesz mu zazdrościć, że zostaje przy zdrajcy ojczyzny? bo za takich generalność ogłosiła obudwóch hetmanów. Niech-no pan odczyta jój uniwersał. — Waćpan dobrodziej o takich rzeczach i nie wspominaj. Generalność siedziała u Pana Boga za piecem, kiedy pan hetman z nami gromił bisurmanów. Teraz na niego zapisane papierki posła. Gdybym się Duchu Świętego nie bał, który wyrzekł, że za każde słowo niepotrzebne zdamy jemu liczbę, toby może powiedział, na jaki użytek wartoby obrócić podobne papierki. — Jak widać, czego bym się nigdy nie spodziewał, panowie więcj sprzyjacie hetmanom buntownikom, niż narodowi, którego wolę konfederacya generalna ogłosiła.

Z początku towarzysze za przykładem namiestnika dyssymulowali, ale że już kilka kielichów byli wypróżnili, nie taili swojej niechęci i przeciw generalności i przeciw Szwedom. Jeden towarzysz odezwał się: — Chciałbym wszystkich Szwedów w tój kaszy, żeby ich razem połknąć; — drugi, że hetmani lada dzień przyjdą z wojskiem i posiłkami cara. — Nawet pan namiestnik powiedział: — My jak błędne owce, słuzymy sprawie, którą w duchu przeklinamy. Mamy ręce i nogi, ale nie przymawiając sobie samemu, nie ma u nas głowy. Oj! żeby między nami był Śmigielski! my wiemy, że on trzyma z hetmanami; tenby nam poradził, tenby nas poprowadził! Ale Bóg wie, gdzie on się obraca. Ja zaręczam, że w całej naszej chorągwi ani jeden się nie

znajdzie taki, któryby za jego rozkazem nie skoczył choćby w ogień. — A wszysej nato: — Prawdę mówi namiestnik! Niech żyje Adam Smigielski, jego zdrowie wypijemy! — Pan Bezsiekiński siedział jak na szpilkach, jednak nie odważył się odmówić tego zdrowia.

Już wszysej byli zagrzani winem, jeden tylko Kapucyn nie brał udziału w tej fазie biesiadującego towarzystwa, i dotąd nikt go do tego nie naglił, gdyż poświęcona sukienka miała wielką powagę w rycerstwie burzliwem, lecz bogobojnem; ale tu jeden z towarzyszków, więcej od innych zaszumiony, przyczepił się do niego: — Cóż-to, księżuniu? wodę tylko pijesz, jak gdybyś nam wszystkim chciał przemówić? dotąd my to mimo siebie puszczały, ale zdrowie Smigielskiego musisz koniecznie wypić, bo tu idzie o sławę kawalerii narodowej. — Któż to jest, ten pan Smigielski! — odpowiedział skromnie Kapucyn. — Ty się o to pytasz! — odrzekł towarzysz. — Po kweście chodząc, zwiędzasz kraj, a nie słyszałeś o największym bohaterze, jaki się kiedykolwiek na ziemi polskiej urodził? Ta to my, ilu tu nas jest, jemu winniśmy, że zamiast dźwigania kajdan w Carogrodzie, biesiadujemy wesoło z łaski o to tego zacnego obywatela, który ciebie tu przywiozł. Pamiętasz, panie namiestniku, jak to pod Barem nam wszystkim burczało w żołądku; świętej pamięci stary podskarbi utrzymywał nas i prośbą i groźbą i przykładem, bo Bóg i ludzie widzieli, jak sam ścierwo zajadał, i to pod miarą i wagą; ale trudna była sprawa. Jeszcze parę dni, a bylibyśmy sami siebie oddali w jassyr. Zostać niewolnikiem bisurmańskim szlachcicowi polskiemu, i to osiadłemu, to nielada determinacja. Bo jak tu nas widzisz, Kapucynku miły, każdy ma i kąt, i pieczenie, i posłuszeństwo dla siebie, ale bierz djable i wolność, która się na tym kończy, że wolno umrzeć z głodu. Na nasze zbawienie Bóg zesłał jasnie wielmożnego referendarza koronnego; ten nas wyjął z matni, rozbiwszy na kwaśne jabłko syna tatarskiego hana, podczas kiedy jego ojciec na nas gotował dyby. — A pan referendarz — odezwał się drugi towarzysz — teraz hetman, sam przyznał, że nieby nie zrobił hanowiczowi, gdyby nie Smigielski, chociaż to było jego pierwsze pole. — Albo pod Jazłowcem — na to trzeci towarzysz — kiedy to staremu Dunikowskiemu smigownica *requiem aeternam* powiedziała: jak on jego chorągiew prowadził, i naszą razem, bo choć byli u nas starsi od niego, nie wiedzieć jak to się zrobiło, że my wszysej poszli za nim i tylko jego głosu słuchali. Po takim zwycięztwie mógł pan podskarbi pożegnać świat, już dość na nim dokazał; wtedy publicznie oświadczył panu Smigielskiemu, oddając mu chorągiew, że jemu winien całkowiłą pomyślność tego dnia. — A było widzieć, jaka to była rozpacz — odezwał się inny towarzysz — w jego chorągwi, kiedy ją zdawał innemu, zostawszy pułkownikiem znaku królewskiego w chorągwi, która aż na Litwie stała, a która jemu się przeniewierzy-

ła. A gałgany! A łotry! towarzysze królewskiej chorągwi! Oj żebym którego z nich złapał, dałbym jemu! — A na Wołoszczyźnie, jak dokazywał — rzekł inny jeszcze towarzysz, więcej bełkotając niż mówiąc, bo miał szczękę przestrzeloną. — Czy pamiętacie, jak on z nami napadł na tego samego hanowicza, którego był przetrzepał porządnie pod Magdankiem, a który był porwał panienkę z zamku tego magnata Wołoskiego? Wy może nie pamiętacie, ale ja tego nie zapomnę, bo mnie wtedy Tatar w sam język trafił z pistoleta, że aż teraz dopiero nauczyłem się na nowo mówić i to nie wiedzieć po jakiemu. — Już to prawda — rzekł namiestnik — że kroniki o większym bohaterze nie wspominają. My teraz sami nie wiemy co robimy, dokąd idziemy i czego się trzymać mamy. Wolałbym z głodu zdechnąć pod Barem, niż doczekać się, żeby zagraniczny autorament zacierał kawalerią narodową. Oj! żeby się pokazał nasz Smigielski, dopiero pokazalibyśmy co umiemy! Żarazbym mu siebie oddał w posłuszeństwo. — Na te słowa wszysej zaczęli krzyżeć: — Pan namiestnik tu nie tylko w swoim, ale w imieniu całej chorągwi przemówił. Niech żyje Smigielski! Księżuniu, jeżeli jego zdrowia nie wypijesz, wino ci za kaptur wylejem, póki czegoś gorszego się nie doczekasz.

— Za pozwoleniem — odrzekł Kapucyn — powiedzcie państwo moi, ile tu jest koni w waszej chorągwi? — Pięćdziesiąt dwa towarzystwa a sześćdziesiąt dziewięć szeregowych pod bronią — odpowiedział namiestnik. — A broni i ładunków dość? — O to pokój! jesteśmy dobrze opatrzeni. — A Szwedów piechurów ilu? — Będzie tego szmatałajstwa do trzechset. Ale jak widzę jesteś bardzo ciekawy, mój Kapucynku, że tak nas badasz o rzeczach, co nie wchodzą do katechizmu. — Za pozwoleniem! a gdybym wam powiedział, gdzie się znajduje teraz ten pan Smigielski, który znalazł u was taką łaskę. — Ach ojcie! ach dobrodzieju! — powstały głosy — powiedz, gdzie go znajdziemy! Ostatkiem się z tobą podzielimy, odkąd żyjesz takiej kwesty nie widziałeś, jaką teraz zanieziesz swojemu klasztorowi. Tylko nie! ty zmyślasz, żeby się wykręcić od kielicha, ale my z siebie nie damy żartować. Gadaj zaraz, gdzie jest Smigielski! — i zaczęli go szamotać towarzysze.

Kapucyn zerwał się od stołu i odepchnął dwóch towarzyszków, którzy go wyraźnie dusili. — Dam ja wam porywać się na służę Bożego. Cicho, ani mi się odzywać, zaraz wam pokażę Smigielskiego. — To rzekłszy, zrzucił brodę i habit, dobył szablę znaną w całej kawalerii narodowej i odezwał się piorunującym głosem: — Oto go macie.

Czas jakiś wszysej stanęli jakby skamienieli, ale wkrótce krzyk powszechny powstał: — Nasz Smigielski! nasz Smigielski! niech żyje nasz Smigielski! jemu się oddajemy. — Pan Kurowski do niego się zbliżył z oznaką głębokiego uszanowania, wypowiedział mu słowny

rapport o stanie chorągwi, której dowództwo mu złożył, i zapytał go, jaki rozkaz mu daje. — Od tego zaczniemy, żebyście mi wynaleźli jaką czapkę dla pokrycia mojej łysiny. — Natychmiast wyskoczył jeden towarzysz i przyniósł mu czapkę. — Teraz, moi państwo, nie traćcie czasu! Niech jak najspieszniej chorągiew stanie na rynku pod bronią, ale żeby trąby się nie odzywały. Na co mamy ostrzegać Szwedów? A i ja przecież na waletę muszę z wami wypić jedno zdrowie, ale nie kolejnym kielichem, tylko razem, bo szkoda czasu. — Wszyscy napełnili szklanki, Adam Śmigieński podniósł swoją i krzyknął: — Niech żyje August wtóry król polski! niech żyją jemu wierni hetmani! niech żyje car Piotr, jego sprzymierzeniec, a niech djabli porwą Leszczyńskiego, Karola XII i wszystkich jego Szwedów! — Wszyscy te słowa powtórzyli, i wypróżniwszy szklanki, za sobą nimi rzucili o ziemię, żeby po takim zdrowiu już do innego nie były użyte. Jeden tylko pan Bezsiekierski nie chciał tego zdrowia spełnić. Śmigieński nie pozwolił towarzyszom go zmuszać i rzekł do niego: — Dziękuję waszmości starosta i pułkownik królewski za jego uczynność dla biednego Kapucyna. Połóż się, panie, bo tu się odbywać będą rzeczy dla waszmości niepotrzebne, a ja go zaręczam, że mu włos z głowy nie spadnie. Do koni koledzy, proszę za sobą! Wy jesteście ci sami zwycięzcy Bara i Jazłowca, a ja zawsze tym samym Śmigieńskim. Miło jest biesiadować przy kielichu, ale zaraz weźmiemy się do milszej dla nas biesiady. Za mną bracia! — i wszyscy tłumnie opuścili izbę.

XXVI. Działania wojenne.

Całkowita chorągiew już była zebrana na rynku. Objechał jej front Śmigieński, wybrał piętnastu towarzyszy, którym kazał zsiąść z koni i rzucić się na odwach. Tę wyprawę powierzył jednemu z towarzyszy, który się nazywał Ligeza, a którego przytomności i determinacyi niejednokrotnie doświadczył na wojnie z Tatarami. Ligeza doskonale się sprawił, bo chociaż sztyldwach dał do niego ognia, on jak piorun wpadł na odwach, i w okamgnieniu wszystkie bębny tam będące pokłął, a zaraz potem i żołnierzy od warty. Wszakże na głos wystrzału, w austeryi, przy której był odwach, a gdzie kwaterował generał ze swoim sztabem, zaczęły światła migać w oknach, i kilku wojaków wyszło dla dowiedzenia się, co takiego; ale żaden ze Szwedów roztaszowanych po kwaterach nie pokazał się na rynku.

Już Śmigieński był odłączył od siebie oddział dla spatrołowania miasta i dla niedopuszczenia rozkwaterowanym żołnierzom zebrać się w kupę; dał mu rozkaz, żeby zaraz do niego powrócił, jak tylko usłyszy trębaczów. Poczém odezwał się po niemiecku do oficera,

który był wyszedł z austeryi: — Niech panowie wrócą do izby, i oświadczą generałowi, że jemu i panom nie się nie stanie, ale jeżeli jakikolwiek żołnierz pokaże się z téj austeryi, napadnę na nią i was każę wyrzucić co do nogi. — Garstka tych ludzi przerażona, cofnęła się do austeryi. Na rozkaz Śmigieńskiego, Ligeza ze swojemi wrócił do swoich koni.

— Panie pułkowniku — rzekł do niego Kurowski — niech-no pan nam pozwoli uchwycić pana Magnusa; jak go dostaniemy, cała jego komenda wpadnie w nasze ręce. — Na to nie pozwolę. Jak rzucimy się w głąb austeryi, Magnus, mężny żołnierz, zatarasowany w swojej izbie, będzie się bronił do upadłego. Jeden wystrzał nie obudził Szwedów pijanych po kwaterach, ale powtarzające się wystrzały ich zaalarmują, że będą wylazć ze swoich legowisk, a towarzystwo i szeregowi za niemi tak się rozsypią, że potem niełatwo ich skupimy. Wreszcie gdyby nie mało swoich straciwszy, udało się nam ich wszystkich zabrać, tyle tylko byłoby zysku, że obciążylibyśmy siebie niewolnikiem. Bo jużci bezbronnym pozarzynać nie sposób. Tegoby nam pan Bóg nigdy nie odpuścił, a nam trzeba się jak najspieszniej złączyć z panem hetmanem, nigdzie się nie zatrzymując. Inna jest rzecz, która łatwiej da się zrobić, i dla naszej sprawy wielkie przyniesie korzyści. Mówiłeś mi, że za miastem stoi ośm armat, które Magnus prowadzi Löwenhauptowi; niewielka musi być przy nich obrona, zwłaszcza naprzeciw takiej niespodzianki. My je uchwycimy, a jeżeli się nie dadzą wywieść, przynajmniej poradzimy, że odtąd naszym nie będą szkodzić. — Ale mości pułkowniku, niech-no pan zważa, że... — Ani słowa, tak trzeba robić jak ja każę. — Poczém nieco łagodniej: — Mój Kurosiu, w tobie największą nadzieję pokładam. Poprowadź nas do tych armat, a Bóg da, że one będą nasze.

Wódz doświadczony o niczem nie zapominał! Ligezie zostawił kilkanaście koni, żeby nie wypuszczał Szwedów z kwatery; ale dał mu rozkaz, żeby jak tylko usłyszy ogniową broń od téj strony, gdzie stoją armaty, jak najspieszniej opuścił miasto i z nim się złączył. Opatrzył swoją komendę kilkunastoma siekierami, i z nią wyruszył za miasto od kaliskiego traktu.

Wkrótce stanął u swojego celu. Noc, oświecona księżycem w samej pełni, tak była widna, że mógł porachować nie tylko armaty, pulwerkary i wozy z amunicyami, ale nawet artylerzystów i trabantów, których nie było nad trzydziestu, a którzy na ziemi spoczywali wszyscy, oprócz dwóch sztyldwachów. Ostrożność nie była wielka, bo w kraju uległym królowi Stanisławowi, ze wszech miar bezpiecznym, gdyż na lewym brzegu Wisły żadnych zbrojnych jego przeciwników nie było. Szwedzi nie mogli spodziewać się napadu. Artylerya i prochy stały za miastem, żeby nie było przypadku ogniowego, któryby wraz

z amunicjami i miasto wysadził na powietrze; a innego rodzaju niebezpieczeństwa nikt nie przewidywał.

Kiedy Śmigieński zbliżył się ze swoją komendą, sztyldwachy poznali swoich, bo już byli obcy z całkowitą chorągwią. Śmigieński im powiedział, że z rozkazu generała przybył, dla upewnienia się, że straż robi swoją powinność. Na jego skinienie kilku towarzyszków zsiadło, przystąpili do sztyldwachów, rzucili się na nich, rozbili, nie dawszy im czasu opamiętać się. Udało się Śmigieńskiemu całą straż rozbroić bez wystrzału. Późem rzekł do nich: — Idźcie do miasta do waszych; powiedzcie im, że Adam Śmigieński, pułkownik króla Augusta, dobrego zdrowia życzy generałowi Magnusowi. Ale jeżeli mojej rady posłuchać chcecie, szukajcie sobie wolnego chleba, bo jak generał się dowiędzie, że bez wystrzału daliście wziąć armaty waszjej straży poruczone, od pierwszego do ostatniego każe was wywieszać.

A tak ich odprowadzając, kazał wszystkie ławety, pulverkary i wozy na kawałki porąbać, armaty pozagwoźdzać, i z tych szczątków zrobić wielki stos. Gdy się tak sprawili, odezwał się do swoich: — Teraz trzeba dać znać naszym, zostającym w mieście, żeby do nas przybyli; — i rozkazał wszystkim wystrzelić razem z pistoletów. Jednocześnie prawie, z miasta zaczęły się odzywać strzały, coraz gęstsze, a wkrótce potem ujrzeni Ligezę, cwałem ze swoimi biegącymi do nich. — A co się robi w mieście? — zapytał Śmigieński Ligezę. — Szwedzi się opamiętali — odpowiedział Ligeza. — Trzeba im oddać sprawiedliwość, że jeżeli się przestraszyli, to nie na długo. Ich generał z czterema żołnierzami wyleciał ze swojej kwatery i kazał dać ognia, a potem ze wszystkich domów wyłazili Szwedzi, i strzelali do nas, dążąc ku swoim armatom. Jak tylko zostaliśmy ostrzeżeni wystrzałami pańskimi, że pan pułkownik każe nam iść do siebie, wzięliśmy się do spełnienia jego rozkazu, ale oddział Szwedów już się był skupił w ciasnej ulicy, żeby nas z miasta nie wypuścić. Ja prosto na nich szeregami, bo w takiej ciasnocie rozwinąć się nie można było. Przebiełem się przez ich ogień, ale nie bez szkody, bo trzech towarzyszków mi nie dostaje, a tylko ich konie bez jeźdźców za nami przybiegły. Muszą oni być w niebie, albo ranni w rękach szwedzkich. Cały ich batalion tu idzie.

— Nie mamy czego ich czekać — odrzekł Śmigieński. — Trzeba tylko, żeby im nie było po co przychodzić. — Kazał zapalić stos, i jak najspieszniej wyruszyć, ale co konie mogły wyskoczyć; i dobrze zrobił, że tak kazał lecieć, bo pół ćwierci mili nie ubiegli, a dało się słyszeć okropne wybuchnięcie, że aż ziemia pod nimi się zatrzęsała. Można sobie wyobrazić co to był za hałas, kiedy po zajęciu się stosa, ogień dostał się do zapasu prochu, który z rozkazu Śmigieńskiego, był położony na jego wierchołku. Śmigieński zatrzymał swoją chorąg-

giew i rzekł: — No, panowie bracia, już jesteśmy bezpieczni, a przyznam się, że nie byłem bez obawy, żeby jak proch wybuchnie, nie dostało się któremu z nas kawałem ławety, lub pulverkara. Teraz możemy powolnym krokiem postępować. Na co mamy męczyć nasze konie? zdadzą się one na wypadek, jeżeli jakiś oddział czy Szwedów, czy Stanisławczyków zastąpi nam drogę. Chwała Bogu, że posiłek wysłany Löwenhauptowi tyle tylko ma prochu, co w ładownicach. Da Bóg że przeprawimy się przez Wisłę, i zaprowadzimy naszą chorągiew hetmanowi.

W samą rzecz, wojsko szwedzkie stało na prawym brzegu Wisły, wszelką usilność obracając ku temu, żeby księżę Menszykow, który już był wkroczył do Litwy z wojskiem rosyjskim, nie złączył się z hetmanem Rzewuskim, bo ten już całkowite ruskie województwo bez przeszkody był opanował. Na lewym brzegu Wisły nie było innego wojska, tylko to, które się zbierało w okolicach Warszawy pod dowództwem wojewody Poznańskiego, świeżo mianowanego od króla Stanisława hetmanem wielkim koronnym, po odsądzeniu od brław obu dwóch hetmanów, jemu przeciwnych. Löwenhaupt, chcąc zachować w całości wojsko swoje dla Karola XII, unikał bitew stanowych, i na to jedynie wyczerpywał wszelkie kombinacje strategiczne. Często małe oddziały jazdy szwedzkiej ścierały się z rosyjskimi; w tych utarczkach Szwedzi odnosili najczęściej korzyści, bo wojsko rosyjskie, dopiero przystępowało do prawideł taktyki europejskiej. Ich piechota była straszna, bagnety rosyjskie stawiały mury nieprzełomne, ale jazda jeszcze była w kolebce; wszystkie wydziały jej służby odbywały się przez kozaków ukraińskich. Lud nawykły do koni, wysmienity do alarmowania nieprzyjaciela, do ścigania na wypadek jego porażki, do spełniania forpocztowej służby; ale naturą swojej organizacji, mało sposobny do tych wielkich obrotów, które rozstrzygają losy bitew, a z nimi i narodów. Do tego źle uzbrojony, nawet w pojedynczych szermach nie mógł być szczęśliwym przeciw tym Skandynawskim rajtarom, na których zbrojach łamały się kozackie spisy, a między którymi przechowywało podanie wszystkie tajemnice sztuki jeźdźnej, obmyślane przez Gustawa Adolfa, największego kawalerzysty tego wojennego okresu, w którym żył, działał i wstąpił siebie i swój naród, ledwo znany przed nim w Europie.

Löwenhaupt więc poprzestawał na małych utarczkach z Kozakami, a te jego rajtarom, a jeszcze więcej tym oddziałom polskim, stronę Stanisława trzymającym, które zostawały pod jego dowództwem, szczęśliwie się wiodły. Pomnażał ile możności swoją siłę zbrojną, a przewidując, że jedynie artylerją mógł coś stanowczego otrzymać nad wojskiem rosyjskim, bo wiedział, że najlepszej piechocie jest za-

nadto niebezpiecznie zbliżać się do piechoty podobnego szyku i ducha, z największą niecierpliwością oczekiwał tych ośmiu dział, o których wiedział, że je Magnus prowadzi. Czynność więc Śmigielskiego, która te nadzieje na nie obróciła, wywarła wpływ stanowczy na kierunek całej tej wyprawy, bo zmusiła Löwenhaupta do odmiany planu kampanii.

Wkrótce gruchnęła w Warszawie wieść o nieszczęśliwym ustępie generała Magnusa. Wojewoda Poznański, jako się powiedziało, już hetman, nie mógł przyjść do siebie z podziwienia, że ten Śmigielski, którego miał za zamkniętego w ciemnicy zamku Prusowieckiego, największą szkodę zadawał jego sprawie. Wysłał natychmiast roztropnego gońca do Krotoszyna, żeby objaśnić tę okoliczność, a nie czekając na to objaśnienie, zebrał ile mógł na prędkę do dwóch tysięcy jazdy, wyszedł na czele tego silnego oddziału ku części południowej Wisły, żeby Śmigielskiemu nie dopuścić jej przeprawy, a palając gniewem niczem niepokohowanym, oświadczył, że jeżeli Śmigielski wpadnie w jego ręce, bezwzględnie każe go powiesić.

Ale i książę Menszykow nie tracił czasu. W wojsku oczekiwano cara, a jego wierny poddany chciał uczcić nadzieję jego przybycia świetnym czynem. Oddzielił część swojego wojska, rozkazał jej atakować Löwenhaupta, i wydać ogólną bitwę, nie troszcząc się, jakieby stać się mogły jej następstwa. Natarczywość Rossyan była tak wielką, że Löwenhaupt był przekonany, iż ma do czynienia z całkowitem wojskiem Menszykowa, i wszystkie swoje siły skoncentrował dla odporu. Rossyanie, pomimo swój waleczności i wytrwałości, po kilkugodzinnej bitwie porażeni zostali, bo pokazało się później, że walczyli jeden przeciw dwóm. Wszakże Menszykow nie na to ich oddzielił, żeby myślał, iż mogą odnieść zwycięztwo, ale jedynie żeby zatrudnić Szwedów, a sobie dać sposobność połączenia się z hetmanem Rzewuskim, którego posterunki już się zbliżały do Włodzimierza Wołyńskiego, ażeby z nim razem na wyższą skalę wyprowadzić działania wojenne. Udało mu się oszukać Löwenhaupta, bo kiedy temu się zdawało, że odnosi zwycięztwo nad całym wojskiem rossyjskim, Menszykow, poświęciwszy tego wojska część, zręcznie się cofnął niespostrzeżony od Szwedów, a lewem skrzydłem postępując, zajął takie stanowisko, że już między nim a wojskiem wiernym Augustowi ani jednego nie było nieprzyjaciela.

Wojsko rozbite przez Löwenhaupta, a raczej szczątki tego wojska, już się nie mogły połączyć z Menszykowem, ale cofnęły się w głąb Litwy, zajętej przez ich przyjaciół posłusznych księciu kanclerzowi Radziwiłłowi, który właśnie w tymże czasie podejmował z największą okazałością cara Piotra w Nieświeżu.

Löwenhaupt spostrzegł swój błąd, i już zupełnie inny obrót przedsięwziął. Nie będąc w możności przeszkodę jakąkolwiek postawić połączeniu się Menszykowa z Rzewuskim, nie mógł wątpić, że ci dwaj wodzowie wszelką usilność obrócą, ażeby działania wojenne przenieść na lewy brzeg Wisły; a wtedy jego samego położenie mogłoby zostać nader krytyczne, zwłaszcza, jeżeli przeprawiwszy się przez Wisłę, pójdą na Warszawę. Bo nie tylko, że zajęcie stolicy przez stronników i sprzymierzeńców Augusta zadałoby cios śmiertelny stronnictwu Stanisława, ale on sam miałby przerwane wszelkie komunikacje z Karolem XII i z zapasami wojennymi, jakie miał w Warszawie. Jak najspieszniej więc wyruszył ku południowi, zawsze trzymając się brzegu Wisły; wysłał gońców z rozkazem do władz od ujścia Wieprza aż do Sandomierza, ażeby wszystkie galary zatrzymywały, by tamować nieprzyjacielowi środki do przeprawy przez tę rzekę, zaś jednego ze swoich adjutantów posłał do Warszawy z odezwą do króla i hetmana Potockiego, że gdy niebezpieczeństwo dla stolicy przeniosło się ze strony północy na południową część Wisły, więc żeby Potocki ze wszystkimi siłami polskimi, jakie tylko zebrać może, niemniej z oddziałami szwedzkimi, jakie przybywać będą, stanął nad Pilicą i tego stanowiska nie opuszczał aż do nowego rozkazu. Wyprawił przytém do Warszawy szwedzkiego generała Mardefelda, dla dawania rad hetmanowi, a rzeczywiście żeby kierować jego działaniem. Ale ani generał, ani adjutant, nie zastali w Warszawie hetmana, który od dwóch dni ze swoją jazdą był wyruszył, dla pomszczenia się nad Śmigielskim.

Generał Mardefeld ruszył za nim, żeby go dopędzić, a adjutant powrócił do Löwenhaupta, i zastał go w Józefowie, rwącego sobie włosy na głowie ze złości. Trzeba wiedzieć, że ten adjutant rozminął się był z gońcem wyprawionym od króla Stanisława do Löwenhaupta, który jemu przyniósł aż do najdrobniejszych szczegółów wiadomość o nieszczęściu Magnusa, sprawioném wiarołomstwem chorągwi hetmańskiej, a mężstwem i roztropnością Śmigielskiego, niemniej i tę, że hetman Potocki, nie jako naczelny wódz całej siły zbrojnej narodu, ale jako partyzant opuścił stolicę, dla zgniecenia jednej chorągwi.

Löwenhaupt był człowiekiem gwałtownym, można więc łatwo wyobrazić sobie, co się z nim dziać musiało w pierwszej chwili powzięcia wiadomości o tak niefortunnych wypadkach. Wszystkich przeklinał, zaczynając od Karola XII, nie oglądając się na żadnego z przytomnych. — Dajże sobie radę z tym szaleńcem — odzywał się w największym wzruszeniu — dopóki on będzie drzemał w Saksonii? Najlepszych żołnierzy przy sobie trzyma, a tylko bałamuci nas, obiecując rychłe swoje przybycie, i jakby dla śmiechu, małe oddziały kapaliną nam wysła. Gdybyż te oddziały przynajmniej po ludzku wy-

prawiał; ale czy zły duch go opętał, powierzać konwój armat samym Polakom, takim ludziom, którym do głowy coraz inny wiatr zawiewa? Magnus przepadł, bo król na nim ukarze własną swoją nieroztropność. Co on winien? Zapewneby lepiej zrobił, gdyby z całym batalionem nocował przy armatach; ale czy mógł się spodziewać, że zostanie zdradzonym? trudno upilnować się od swoich. Albo ten hetman! Czy oszalał biegać z wojskiem naprzeciwko jednej chorągwi? Choćby dopędził Śmigielskiego, jakaż ztąd pociecha? Most złoty rób takiemu co ucieka, a swojego stanowiska dla pastwienia się nad garścią zbiegów nie opuszczaj. Zda się stary już człowiek, wojował pod królem Janem, powinien być roztropnym, ale w tej Polsce nigdy głowy nie starzeją. Nie ma co robić, trzeba jak można cudze głupstwa naprawiać.

Zostawmy zakłopotanego Löwenhaupta, a wróćmy do Śmigielskiego, nieco się cofając w naszym opowiadaniu, które bez tego ustępu, niezupełnie dla czytelnika byłoby zrozumiałem.

XXVII. Konfederacya Sandomierska.

Po wielunijskim wydarzeniu Śmigielski miał przed sobą dwie drogi: pierwsza, iść prosto ku południowi, żeby przejść Wisłę po pod Krakowem, i dążyć do hetmana krajem dziś nazwanym królestwem Galicyi. Takowy pochód mógł uskutecznić się bez żadnej przeszkody, bo na całej tej przestrzeni najmniejszego oddziału wojska nieprzyjacielskiego spotkać nie mógł. Druga, na województwo Lubelskie, by przeprowadzić się przez tę Wisłę, w okolicach Puław. Tu droga była mniej bezpieczna, bo że Warszawa bliżej położona od tych okolic, niż Wieluń, oddziały wojsk w Warszawie kwaterujących mogły łatwo mu zastąpić drogę. Ale że kwestya czasu była dla niego ważniejszą, niżeli kwestya bezpieczeństwa, postanowił więc iść ku Puławom, mimo siebie puszczając przeszkody, jakieby go spotkać mogły.

Hetman Potocki, jako się powiedziało, już o dwa dni marszu był się oddalił od Warszawy, kiedy go dopędził generał Mardefeld, przynosząc mu rozkazy polnego marszałka Szwecyi. Z wielkim żalem musiał się cofnąć za Pilicę, a ten żal jeszcze się zwiększył, kiedy stanawszy w Odrzywolu, zastał gońca wysłanego od Karola XII, który mu przyniósł rozkaz samego króla, żeby zebrał wszystkie wojska szwedzkie i polskie, będące na lewej stronie Wisły, i z nimi wkroczył w województwo Lubelskie, by bronić tej przeprawy nieprzyjacielowi; w tym rozkazie było i to, że polny marszałek Löwenhaupt także się cofnie, i stanie między Wisłą i Narwią, dla zasłonięcia Warszawy od strony północnej, zagrożonej wojskiem zjednoczonym rosyjskim i litewskim, prowadzonym przez samego cara. Była obszerna instruk-

cya dana hetmanowi, żeby Menszykowi i Rzewuskiemu stawiał czoło nad Wisłą i utrzymywał komunikacye z Löwenhauptem. Obiecywał król jak najrychlejszy powrót do Polski, gdyż interesa w Saksonii mają się już ku złatwieniu, i na tém kończył, że złączy wkrótce wojsko swoje z wojskami Löwenhaupta i hetmana, na lewym brzegu Wisły wyda generalną bitwę Rossyanom i buntownikom polskim z nimi zjednoczonym, a tak w kilku godzinach rozstrzygnie przeznaczenie Rossyi.

Choćaż hetman zastał pod Pilicą całą dywizyą szwedzkiej piechoty, i kilka oddziałów polskich przybyłych z Warszawy, niemniej i artylerya, na jakiej mu zbywało, i drabantów generała Magnusa, pałających chęcią zatarcia hańby, która ich spotkała w Wieluniu, wszakże tem cofnięciem się swoim stracił cztery dni marszu, i możność zastąpienia drogi Śmigielskiemu. W niepomahowanym gniewie rozpoczął na czele całego wojska pochód przerwany, a uniesienia jego często czuć się dawały jego podwładnym, a zwłaszcza Szwedom. Ledwo cokolwiek się uspokoił dumny i popędliwy starzec wiadomością, którą przy tém odebrał, że Karol XII, nie przyjmując żadnych tłumaczeń, kazał rozstrzelać generała Magnusa, i że ten okrutny wyrok został na nim spełniony w Poznaniu.

Wszystko to szło na rękę Śmigielskiemu, bo wyruszywszy z Wielunia, już bez żadnej przeszkody mógł dążyć ku wyższej Wiśle. Z początku szedł pochodem szybkim, ale gdy po drodze dowiedział się o cofnięciu hetmana ku Warszawie, zwolnił swój marsz, dopuszczając większych wygod towarzyszom i szeregowym. Udało mu się po drodze zaciągać ochotników z młodzieży szlacheckiej, którzy na własnych koniach i dobrze uzbrojeni do niego się łączyli, by zawód rycerski rozpoczynać pod wodzem głośnym w narodzie, a którego świeża czynność tak wielką sławę jemu zjednała. Zresztą był o wszystkim potrzebnem uwiadomiony przez żydków, których umiał używać.

Rząd nieprawy ma to do siebie, że chociażby w rękach najgodniejszych mężów pozostawał, zawsze musi być gwałtownym, bo nie mając poddanych w zupełnym znaczeniu tego wyrazu, a tylko stronników, zmuszony jest wiele im pobłażać, czując, że nie uczucie powinności, ale tylko osobiste widoki ich zatrzymują w jego chorągwiach. Rząd prawy nie ma potrzeby pochlebiać namiętnościom wykonywaczów swojej woli. Ale przywłaszczyciel, do jakiejże idei moralnej odwołać się może z tymi, którzy są współnikami jego nieprawości (*)? Karność

(*) Prawność władzy była pojęta w świecie przed-Krzyżowym, bo bez tego pojęcia nie byłoby społeczeństwa, ale jej prawność jest ideą czysto-chrześcijańską, tak dalece, że gdzie tylko wiara słabiej, tam wyobrażenie prawości w równym stosunku się zaciera. I właśnie dlatego wszystkie władze, czy to rządowe, czy to familijne, żyją od dnia do jutra w zachodniej części ładu Europy. Jeżeli coś podobnego do rządu tam jeszcze dzia-

musi koniecznie rozprządnąć się i w wojsku, i w urzędach. I lubo Stanisław Leszczyński, co do przymiotów serca i rozumu ze wszech miar przewyższał Augusta, fałszywe położenie, w którym go postawiło przywłaszczenie tronu, wpływało na jego rządy. Dowódca łada oddziału jego wojska postępował samowolnie wszędzie gdzie się znajdował, a skargi obywateli były bezskuteczne. Trzeba wiele czasu i wielkiego szczęścia, ażeby rząd nieprawy mógł stać się dość silnym, żeby aż został sprawiedliwym. Leszczyński z boleścią serca patrzył na karność stronnictwa Augusta, porównując ją z anarchią swojego, której nie tylko że nie mógł kazać, ale owszem musiał z nią wchodzić w umowy, by uzyskać powiększenie liczby swoich adherentów. W czasie wojny nie miała zasługa zachować porządek i posłuszeństwo zwłaszcza w wojsku, które skazane na wszystkie trudy rycerskiego rzemiosła, nie spotyka się z nieprzyjacielem i znaleźć go nie może, by ożywić ustępem sławy, prace jakie ponosi. Tu winna być oddana sprawiedliwość Śmigielskiemu, że i chorągiew, która sama jemu się oddała, i ochotników, którzy z różnych stron do niego przybyli, umiał związać węzłem takiej karności, że w ciągu tego pochodu żaden mieszkaniec najmniejszej krzywdy od burzliwego rycerstwa nie doświadczył, tak dalece, że wszędzie obywatele przyjmowali go jak miłego gościa, co nie miało posłużyć królowi Augustowi.

Województwo Sandomierskie, przez które przechodził Śmigielski, żeby się dostać na brzeg Wisły, było niby uległe Stanisławowi. Coś podobnego do władzy rządowej utworzyło się było w Opatowie, do brach hetmana Potockiego, z kąd przyjaciele i słudzy jego pod nazwiskiem uniwersałów wysyłali samowolne rozkazy po całym województwie. Opatowiec niewiele przedłużał drogę ku Wiśle Śmigielskiemu. Postanowił więc obrócić swój pochód na to miejsce, gdzie się urodził jego ojciec, żeby rozpedzić jurydykę, w jego przekonaniu nieprawą, a wielce dokuczliwą dla mieszkańców, zwłaszcza tych, których podejrzewała o niegorliwość dla party króla Stanisława, czyli raczej szwedzkiej.

Będąc uwiadomionym od żydów, których doniesienia sowiec opłacał, a nawet od obywateli, w duchu sprzyjających królowi Augustowi, że w Opatowie, jak to zwykle bywało w zamieszaniach polskich, było wiele mów, wiele odgrzań się, nawet wiele odwagi osobistej, ale je-

ła, to jedynie przez nieustanne zgwałcenie tychże samych praw, które niby się wyznawają. I to nie może być inaczej. W tym odwołuję się do historii, że tylko te rewolucje, które były pobudzone jakąś ideą religijną, objawiły mniej lub więcej siły organicznej. Przez nią rozwinęła się Anglia, a utworzyły się Prussy, Hollandya, nawet Stany Zjednoczone, Ameryki, zaludnione nonkonformistami angielskimi, którzy przełożyli wygnanie nad ścieśnienie swoich wyznań religijnych.

dnosci mało, a siły zbrojnej rzeczywiście żadnej, Śmigielski dobrze wiedział, że tam oporu nie znajdzie i że jego pokazanie się dostateczne będzie dla rozpedzenia, lub zmuszenia do milczenia tych językowych bohaterów; oprócz politycznego widoku unicestwienia jurydykcyi, przez przywłaszczony rząd ustanowionej, jeszcze był inny powód, który skłonił Śmigielskiego iść do Opatowca. Dowiedział się on, że tam było wielu uwięzionych obywateli, oskarżonych (jak to bywa w tych nieszczęśliwych czasach zaburzeń wewnętrznych, kiedy ciało społeczne wychodzi ze swego stanu normalnego), o zdradę ojczyzny. Któż nie widzi, ile jest zatrważającym stan najnieвинniejszego człowieka, na którego pierwszy krzykacz podobny zarzut ciśnie, wtedy kiedy świeżo narodzona władza, będąca pod wpływem że tak powiem ulicznym, przed każdym zmuszona jest tłómaczyć się ze swoich postępów. Do tego, żydek świeżo przybyły z Opatowca przyniósł mu wiadomość, że w dniu poprzednim zatrzymano w jednej wsi hetmana Potockiego jakiegoś Niemca przejeżdżającego, i przywieziono go do Opatowca, a tam znaleziono przy nim ważne jakieś papiery króla Sasa, — że go osadzono w więzieniu, a odłożono na dzień następny dalsze z niego badanie, z powodu iż wszyscy mieli się zebrać u pana regimentarza Poczajskiego, solenizanta, na pijatykę. Ale że z tem dali się słyszeć, iż po skróceniu inkwizycyi będzie wisić, to najwięcej spowodowało Śmigielskiego jak najspieszniej stanąć w Opatowcu, ażeby wyzwolić te nieszczęśliwe ofiary od szubienicy, która gra tak wielką rolę w kolejach anarchii. Ale wprzód dowiedzmy się, co wtenczas działo się w Opatowcu.

Jeżeli tam było coś podobnego do władzy, ta prawie wyłącznie w rękę młodzieży zostawała, bo gdzie wszelka powaga i prawość jest w pogardzie, jakżeby powaga wieku utrzymać się mogła? Jednak stary człowiek, pan Bobowski, pod tytułem marszałka konfederacyi Sandomierskiej sprawował niby zwierzchność rządową. Nazywano go dyktatorem województwa, a w rzeczy samej ta dyktatura kończyła się na tem, że ciągle podpisywał to, co mu kazano podpisywać w radzie, która składała się z samej młodzieży. Pan Bobowski był najlepszy człowiek, ale najczęściej podpisywał papiery, nie rozumiejąc czego chcą od niego. I gdyby nawet był mężem światłym, nie więcej byłby szczęśliwym, bo i ci co się domagali jego podpisów, nie mogliby mu jasnie wytłómaczyć, czego żądają. Cieszył się stary, że ciągle się obijały o jego uszy wyrazy: nasz marszałek, nasz dyktator, — bo jeszcze postęp wieku nie był uwolnił młodzieży od form grzeczności towarzyskiej. Ale to jego życie publiczne tak już go dławilo, że rad był powrócić do ulubionego domatorstwa i do gospodarstwa, które tak dobrze jak odłogiem leżało, bo na jego nieszczęście i podstarości i pisarz پروwentowy gwałtem chcieli się przekształcić w polityczne figury; w gło-

wie u nich było, gdzie Szwedzi, gdzie Sasi, a nie to co się w polu działo: a jeszcze więcej go zniechęcało, że będąc starym, nie mógł dotrwać w nabechtanych jemu illuzjach młodego wieku; nie widział siły w swoim stronnictwie, i instynktownie niewielką ufność w jego przyszłości pokładał.

On z wypadku został wyniesiony na naczelnika. Kiedy bowiem podniosła się dla Stanisława konfederacja w Sandomierskim, dojrżeli obywatele, wyjawszy tych co klientelą ściśle byli związani z Potockim i jego wsie trzymali w dzierżawie, lękając się następstw, jakie spotkać mogły każdego, któryby zbyt otwarcie okazał się przeciwnikiem panującego króla, na wypadek gdyby ten zwyciężkim został, albo zupełnie nie chcieli się pokazać na sejmiku, albo na nim trzymali się *passive*. Tym sposobem sam z siebie sejmik wpadł pod wpływ młodzięży, zawsze skłonnęj do odmiany; kiedy więc przyszło do wybrania na naczelnika, młodzież podzieliła się na dwa stronnictwa. Roztropniejsi chcieli mieć pana Lubicza, który im był pozyskał jakiś odgłos na ostatniej wojnie tureckiej, ale wartogłowy, którzy naturalnie byli liczniejsi, woleli mieć pana Sobietnickiego, który coś był liźnął z nauki szkolnej, a innych zalet nie miał, oprócz wielkiej zarozumiałości. On uchodził za majątnego i rej wodził w młodzieży sandomierskiej. Wszakże tyle zachował przynajmniej przyzwoitości, że sam wstrzymał zapęd swoich przyjaciół, a nie życząc sobie pana Lubicza, któryby mu nie pozwolił burmistrzować, naraił pana Bobowskiego, starego domatora, ażeby pod jego nazwiskiem wszystkiem kierować. Ten wybór obie partye pogodził, i pan Sobietnicki zajął z najgorliwszymi swojemi przyjaciółmi miejsca konsyliarzów, żeby mieć obszerne pole bruźdzenia.

Rada składała się z kilkudziesięciu członków, bo jak wiadomo, nie ma rzeczy, do której nasz ziomek jest równie skwapliwy, jak do dawania rady. Jednak w tak znacznej liczbie radeów, długi czas szły rzeczy dość gładko, o lada bzdurstwo nie kłócono się z sobą. I tak: jeżeli który z członków, zagniewany na jakiegoś obywatela, że mu kiedyś odmówił córki, lub zabronił polować w swoich dobrach, lub nie chciał mu pożyczyć żądanej kwoty, oskarżył go o zdradę ojczyzny, i domagał się jego uwięzienia, naturalnie dla zachowania pokoju w koleżeństwie taka bagatela się nie odmawiała. Wzajemna podobnego rodzaju powolność utrzymywała jednomyślność. Każdy uniwersał był jednomyślnie uchwalony, a podpisany przez pana Bobowskiego, który był Bogu duszę winien.

Chociaż często przychodziło na sessyi do sprzeczki, ta wkrótce się kończyła, bo strona mająca silniejsze płuca przeciwną stronę zagłuszała. W tych sessyach był ogromny wydatek słów i krzyków, gdyż jeżeli w narodach, które i siłą obyczajów i szczęśliwemi okoliczno-

ściami zostają w swoim stanie normalnym, im kto mniej mówi, tem więcej zasługuje na sławę męża światłego i pożytecznego, to w narodach uwikłanych w zaburzenia gadułą uzyskują wszystkie zaszczyty rozumu, a niezmordowaność płuc uchodzi za wymowę i wszystkie spory rozstrzyga. Na nich więc opierała się wziętość pana Sobietnickiego, bo i sam miał żelazne piersi, tak że kilka godzin bez znużenia, mógł bez kawałka sensu rozprawiać, i miał dla siebie poświęconych najupartszych krzykaczów rady. Wszakże w prowadzeniu swojej partyi nie był bez pewnych zdolności, i nieraz dawał dowody głębokich kombinacyi. Ponieważ naprzykład chęć zaskarbienia sobie młodzieży emanypowanej a próżniackiej nadwreżyła była spadek, który otrzymał po zejściu gospodarnych rodziców, rzucił się w partyą Leszczyńskiego nie tylko dlatego, że młodemu co nowe to się zaraz podoba, ale że wiele krzycząc i wiele się ruszając, pochlebiał sobie, iż otrzyma w nagrodę jakąś porządną królewską pensję, która załata dziury w jego ojcowiznie zrobionej, czego naturalnie spodziewać się nie mógł od rządu prawego. Powtórę, dla zwalenia w znaczniejszej części wydatków, które głowa partyi ponosić musi, wyjednał od przyjaciół, że obrali regimentarzem Sandomierskim pana Poczańskiego, człowieka młodego, prawego, ograniczonego, ale który był spadkobiercą znacznego majątku, i umiał nim rządzić. Pan Sobietnicki za nos go wodził tak dalece, że lubo pan Poczański był w rzeczy samej skąpcem, on ciągle pobudzając jego próżność, silniejszą jeszcze od skąpstwa, w jego domu i jego groszem założył dla wszystkich swoich stronników garkuchnię i winiarnię, a pan Poczański, upojony nadzieją buławy czy pieczęci, ciągle podlegany przez pana Sobietnickiego i pochlebców, których na niego nasadzał, ani się spostrzegał, jak jego przychody, a nawet więcej niż przychody przechodziły przez gardła przyjaciół. Dotąd te kłótnie członków między sobą ułatwiał się przed solwowaniem unii, bo najczęściej w nich nie było rzeczy, a tylko słowa. Ale wkrótce kłótnia miała powstać w radzie.

Trzeba wiedzieć, że między konsyliarzami konfederacyi Sandomierskiej zasiadał niejaki pan Ćwikiewicz, mający lat około trzydziestu, zawołany gospodarz, a którego gumno było zawsze napełnione chlebem. Lubo jego mózgownica była równego kalibru, co i pana Sobietnickiego, ale był pozyskał nawet między starszemi i roztropniejszymi pewien rodzaj wziętości, jaka przez starowne gospodarstwo zawsze się otrzymuje w narodzie rolniczym. On był związany ściśle na pozór przyjaźnią z panem Sobietnickim, obaj potrzebowali siebie, ale rzeczywiście jeden drugiego nienawidził. Pierwszy drugiemu zazdrościł popularności u młodzieży, dla której musiał mu się kłaniać, bo chciał koniecznie siebie wynieść; drugi miał na sercu powodzenie pieniężne pierwszego, i nie mógł mu odpuścić, że tak gorliwie pilnował swoje-

go grosza, iż z niego najmniejszej ofiary uczynić nie chciał. Chociaż bowiem był wielce próżnym, nad wszelkie znaczenie przenoślił te, które ubezpiecza się dostatkami. Obaj ściskali się serdecznie, pochlebiali sobie wzajemnie, przysięgali dogonną przyjaźń, ale po za oczy jeden na drugim ani czei, ani wiary nie zostawiał, Pan Cwikiewicz osławiał pana Sobietnickiego przed szlachtą, a pan Sobietnicki nie przedstawiał szyć mu butów w radzie, gdzie był silniejszy, bo jeżeli tam ludzie majątniejsi po większej części sprzyjali jego ukrytemu współzawodnikowi, on miał za sobą wszystkich tych, co niewiele mieli do stracenia, a więc w radzie był poparty taką większością, że nikt jemu jawnie nie śmiał się opierać.

Co do siły zbrojnej, o téj, prawdę powiedziawszy, nie bardzo myślano. Zebrało się było w Opatowcu cokolwiek szlacheckiej młodzieży, z czego wyrosło ze trzydziestu pułkowników, z osiemnastu rotmistrzów, ale do posłuszeństwa było tylko około stu Kozaków nadwornych wojewody Potockiego. Pan Lubicz z początku niemi się zajął, ale opatrzywszy się, że ci wszyscy pułkownicy i rotmistrze ciągle rozkazami swojemi bałamucą Kozaków, że każdy z nich hetmani, a żaden nikogo nie chce słuchać, obmyślił sobie ręce od wszystkiego, wysunął się z Opatowca i przemyślał, jakby się dostać w województwo Ruskie, by usługi ofiarować hetmanowi polnemu w wojsku, gdzie ani na porządku, ani na karności nie zbywało. Taki stan rzeczy był w Opatowcu, kiedy Śmigieński do niego się przybliżał.

XXVIII. Rozwiązanie konfederacyi Sandomierskiej.

Trzeba wiedzieć, że pobyt tych wszystkich bohaterów w Opatowie był wielce uciążliwym dla ekonomii miejscowej. Gubernator Opatowieckiej włości, pan Woszczatyński, wierny sługa wojewody, rady sobie dać nie mógł na rozkazy, jakie ciągle odbierał od swoich gości. Kiedy mu dopiekało do żywego, bywało idzie do proboszcza, w którym największą pokładał ufność, i jakąś ulgę znajduje, wynurzając przed nim to wszystko, co miał na sercu. — Wielebny ojcze! — rzekł mu jednego razu — dalej oszaleć wypadnie, albo uciekać z Opatowca. Dotąd miałem jednego pana, któremu nie chwaląc się służyłem jak Bóg przykazał, ale odkąd Rzeczpospolita ma dwóch królów, każdy się zrobił moim panem. Mnie staremu przyszło znosić wszelkie chimery smarkaczów. Wszyscy powtarzają, że nasz pan wojewoda, a terazniejszy hetman, jest na czele tego wszystkiego co się w kraju robi, a tego nie wiedzą, że w jego własnym dziedzictwie cudzy rządzą. Co godzina nowa rek wizycya. Rznij cielecia pańskie w czumbuł; dawaj nabiał, kiedy go nie ma, dostań zkąd możesz a dawaj; dalej na lekarstwo w żadnym folwarku ani kury, ani gęsi, ani indyka nie do-

staniesz. A czy na tém koniec utrapieniu? Oto dziś człowiek rozporządził pańszczyznę, żeby nie siedzieć z założonemi rękoma, a po Bożemu w polu popracować, aż tu pan konsyliarz Sobietnicki z swoją hałastrą napada, ludzi moich zabiera, żeby z nich obławę zrobić w kniejach pańskich. Podstarości reflektuje go, żeby się bał Boga, a żadnej krzywdy nie robił panu hetmanowi, pod którego rozkazami sam zostaje. — I opamiętał-że się przecie? — Ale! wyszturchano jeszcze dyspozytora, i tak jego żonę przestraszano, że aż zachorowała. — A waćpan co na to? — Co? westchnąłem do Boga, i ręce opuściłem. Z temi panami języka nie mam. Bywało po ludzku przekładam, żeby zaniechali tych gwałtów, że my nie Tatarzy, ale rodowita szlachta. Ojciec wiesz jaka ich odpowiedź? — a to trzymasz z Sasem! a toś zdrajca ojczyzny! a szubienica na takich! U nich zawsze w ustach ta sama antyfona. Rad nierad, człowiek musi trzymać język za zębami, choć serce boli, że rabują a rabują. Wielebny ojciec to przy sobie zatrzyma, bo niech Bóg broni, żeby to do naszych ichmościów doszło, ale za króla Sasa lepiej było z nami. Każdy był spokojny, każdy wiedział co swoje, a co cudze. Swoje pilnował, a cudze szanował. Czy nieprawda, księżu proboszczu? — A jakże ma być dobrze z nami, kiedy duch niezgody nas opętał, że brat łowi brata, a sąsiad czyha na bezpieczeństwo sąsiada. Wszakże pismo mówi: *divisum in se imperium peribit*, a co do ucisków jakie ponosisz, trzeba cierpieć co Bóg zśle. Tych ucisków obłamki i mnie często dotykają. I tak wczoraj ludzie pana Sobietnickiego ze sługami innych jeszcze konsyliarzów, wszystkie gruszki wytrzęśli z mojego sadu. Ja oto z tego okna patrzałem, jak mnie grabią, wysłałem organistę, żeby im wytłómaczył, że nie oni sadzili tych szczepów, że to grunt kościelny, że go nachodzić jest ciężkim grzechem, i żeby precz poszli. Co to rozpuszczony naród! Organistę przepędzili, i na mnie jeszcze się odgrażali. Wolałem patrzeć na spustoszenie mojego sadu, niż doczekać się, żeby mnie samemu coś się dostało. Mówią, że między naszymi nie ma jedności, a patrz-no waćpan, jaka pomiędzy konsyliarzami zgoda, kiedy oto chodzi, żeby nas uciskać. — Nie bardzo, wielebny ojcze! To wszystko tylko na oko. Jeżeli się z sobą jeszcze nie kłóć, to dlatego, że pan Sobietnicki z swojemi krzykaczami za łeb ich trzyma. Ale niechby-no można było się odezwać, bez obawy być oskarżonym o zdradę ojczyzny, dopięrobyśmy widzieli, czém jest rzeczywiście ta jedność. Pan marszałek, że dał siebie zapędzić w jamę, w niej siedzi jakby malowany, i to robi, co mu każe pan Sobietnicki, ale gdyby mógł z niej gładko się wywinąć, odrzekłby się i tego niemniej malowanego znaczenia, jakiem go przywabili do sprawy, której nie rozumie. — A pan Cwikiewicz, jaki przyjaciel pana Sobietnickiego! Z czém się odezwie ten w ich radzie, tamten jeszcze głośniejszy powtarza,

a proszę-no posłuchać, co on na niego wygaduje za oczami! Na co daleko szukać? Wielebny ojciec znasz mnie, bo przed nim nie mam nie ukrytego. Jużci ja dla żadnego z nich nie mam ani szacunku, ani skłonności, a jednak każdemu jestem posłuszny. Żeby to przynajmniej było kogo się obawiać, nie tyle żalu. Ale komu to świat gubić? Wszakże jabym mógł to wszystko pozapędzać, gdzie pieprz rośnie. Kozacy moi, ekonomia moja, samych gajowych aż nadto do tego. I nieraz pokusa przystępuje, żeby im powiedzieć, a zasię waćpanstwo, bo już wytrzymać nie można! Ale cóż? nasz terazniejszy hetman na czele tego wszystkiego. A on więcej nienawidzi Sasa, niż miłuje swoje własne dobro. Cóż robić? pan każe, a sługa musi, ale gdyby nie to, dawnobym wymiół tę hałastę z Opatowca. — Wszakże pan hetman ma lada dzień do nas przybyć z wojskiem, a wtedy będzie koniec naszego utrapienia. — Ale tu o czém inném słuchy; tylko na miłość Boga, wielebny ojciec z tém się nie wymów! Nasz arendarz włożył mi w ucho, ale pod wielkim sekretem, że nasz pan wyszedł był z Warszawy ku nam, ale do niej wrócił, a to dlatego, że podobno sam pan hetman Sieniawski z Sasami zajął Wielkopolskę, i na głowę pobił każdego z naszych, którego spotkał. Podobno prędkiej będziemy się z nim widzieć, niż doczekamy się naszego pana. Ale jeszcze raz powtarzam, żeby to z naszych ust nie wyszło, bobyśmy przepadli.

Nie potrzeba było zachowywać tajemnicy, bo już tego samego dnia ze wszech stron gruchały te same wieści, a jak to bywa w podobnych okolicznościach, wzrastały w olbrzymich rozmiarach. Przyszło do tego, że hetman Sieniawski do szczeru poraził nietylko pana Potockiego, ale króla Stanisława i samego Karola XII, i że na czele stu tysięcy wojska idzie naprzeciwko konfederacyi Sandomierskiej. Większa część szlachty porożędziała się do wiosek swoich, tak że oprócz urzędników i uwięzionych mało kto pozostał w Opatowcu.

Zasiedli konsyliarze, i czego dotąd nie bywało, długi czas trwało milczenie, chociaż ciągle marszałek powtarzał: — No panowie koledzy, kto ma jaki projekt do podania w tak naglącej potrzebie, niech raczy zabrać głos! — Nakoniec pan Krzywółupski, podżyły kauzyperda, pieczeniarsz domowy pana Sobietnickiego, który wysztytowanym został na konsyliarza przez swojego mecenasa, a zawsze najgłośniej wrzeszczał na sessjach, odezwał się: — Nie myślę, żebyśmy mogli siłę siłą odpiąć. Na moje wyszło: wszystko przepadło, bośmy pobłądzili zdrajcom; otóż zdrada naprowadza na nas sto tysięcy wojska. Nie pozostaje nam inny środek, tylko wszystkich zdrajców, co ich mamy w ręku, zaraz powywieszać, potem zrobić manifest i rozjechać się, i o to, z mojego miejsca się dopraszam. — W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! — na to pan Poczajski, który chociaż ograniczony i próżny, był przecie w gruncie poczciwym człowiekiem. — co to waćpanu

do głowy przystąpiło? Wiedząc ludzi bez sądu, a kto waćpana tego nauczył? Niby to ich przyjaciele nie mogą się za nich odwetować? Waćpanu nie, bo możesz zaprzepaścić siebie choć na kraj świata. Ale my mamy własne kąty, gdzie nas znaleźć można. Na to nie ma zgody. — Aż się odezwał pan Dziecioł, u którego nadzieja była całkowitym funduszem: — Otóż to arystokracja. Tym bogaczom się zdaje, że oni jedni miłują ojczyznę, a że ubogi nie może być dobrym obywatelem. A właśnie ubogi nie ma nic do miłowania, oprócz ojczyzny. U nas wszystkie zdrady od bogaczy; ubogi zawsze poczciwy, bo gdyby nie był poczciwym, nie byłby ubogim. Ale między bogatemi dzieśiąty chyba myśli poczciwie. Gdyby wszystkich bogaczy wywieszano w Polsce, cały świat i jeszcze dwa drugie jemu podobne światy radyby jęć nie dali. Ja trzymam z panem Krzywółupskim. Co będzie to będzie, a od tego zacząć, żeby wszystkich zdrajców powywieszać. — Pan marszałek drapał sobie głowę i wyglądał, azali kto nie zgromi pana Dziecioła; ale że ten był raził pana Cwikiewicza w słabą stronę, on tak się rozgniewał, że czas jakiś przemówić nie mógł. Nareszcie się odezwał: — Bynajmniej obchodzić mnie nie może potwarz rzucona od pana Dziecioła; na wszystkich majątnych, bo wcale siebie nie mam za bogacza. Tyle tylko, że nikomu nie jestem ciężarem. Są między nami zacni ze wszech miar mężowie, których Bóg obdarzył szerokimi dostatkami, jako nasz marszałek, szanowny nasz regimentarz, oto pan Sobietnicki, i jeszcze inni, którzy między nami zasiadają. Do nich należy wziąć się za zniewagę, jaką dopiero wyrządził pan Dziecioł wszystkim tym, których mu podobało się nazwać bogaczami. Co to do mnie należy? Ale jako członek rady, winienem jurata fide, o ile jest we mnie, odwrócić to co mi się wydaje być szkodliwem dla ojczyzny. I oświadczam się, że nie pozwolę, ażeby obywatele podejrzań, ale prawnie nie przekonani o zdradę, haniebną śmierć ponieśli; a toby był wyraźny rozbój! Kto samowolnie drugich częstuje toporem i stryczkiem, ten na siebie samego i topór i stryczek przywołuje; a chwała Bogu, jeszcze mi głowa nie ciężna na karku, a co się tyczy rozjechania się, otwarcie powiem, że bądź co bądź, ja ani myślę wyruszyć z Opatowca. — A rozumiem — rzekł pan Sobietnicki dotąd milczący — waćpan chcesz przed Sasami winę na nas zwalić, a siebie usprawiedliwić. — Daj waćpan pokój! Znamy się. Waćpan bardzo jesteś wymowny, kiedy trzeba komuś dokuczyć, albo obrazić przymówką. Ale kiedy wypada obmyśleć jaki środek obrony, to wtedy milczysz, a tylko zauszników swoich upoważniasz, żeby odzywali się nie do rzeczy. Waćpan wszystkiemi trzęśles, nikt się jemu nie sprzeciwiał. Chwała Bogu dwudziesty drugi tydzień, jak my się tu zebrałi. I cóżes waćpan uradził? Zapełniłeś klasztory uwięzionymi obywatelami, a jaką obronę obmyśliłeś? Na czasie nie zbywało. Pan Lubiec byłby się wziął do

siły zbrojnej, toś mu tyle nadokuczał, że się wszystkiego odrzekł i nas odstąpił. Teraz mówią, że pan hetman Sieniawski postępuje. Oto pora okazać co waćpan umiesz. Obmyśl-że teraz, jakbyś go wstrzymać. — Dlaczego waćpan mnie te wymówki czynisz? a co to, ja jeden tu zasiadam? Wszakże ja nie marszałek, a tylko członek rady, jak i waćpan; jeżeli źle radziłem, a czemuś waćpan mnie nie sprostował? wszak nasza powaga równa. — O bardzo przepraszam. Wszystkie projekta szły zawsze od waćpana i jego tak dobrze jak domowników. A my wszyscy tyle mu ufali, że ani jeden z nas, ani sam marszałek nigdy się jemu nie sprzeciwił. Wprowadziłeś nas w błoto, teraz wyprowadź nas z niego. — Gdyby wszyscy mieli energią i chcieli siebie poświęcić, znalazłby się środek do ratowania naszej sprawy, ale z takimi samolubami jak pan Ćwikiewicz, ani się z tém odzywaj. — Tu wszyscy i pan Ćwikiewicz głośniej od innych odezwali się: — Prosimy o podanie tego środka. — A kiedy państwo tego żądacie, więc posłuchajcie! Oto wszystkie gumna i śpichlerze obywatelskie, zaczynając od własnych, pozapalajmy, żeby nieprzyjacieli ani kawałka chleba nie znalazł w całym województwie, a zaręczam że się cofnie. — Zgoda, zgoda! — zaczęli krzyzczeć panowie Dziecioł i Krzywołupski. — Uchwalmy podziękowanie panu Sobietnickiemu za tak zbawienną radę! Chyba zdrajca ojczyzny może mieć coś przeciwko temu, a takich między nami być nie powinno. — Tu nawet pan Bobowski się obruszył. — Co? nasze gumna palić? a to co znów? a to trzeba nie mieć piątej klepki, żeby pozwolić na podobne absurdum. — A pan Poczajski, jeszcze więcej zniecierpliwiony: — A gdyby nawet oszalał, panowie tak nieroztropne laudum uchwalili, ciekawy jestem, jakbyście je do skutku doprowadzili? A co to? obywatele od czubków wypuszczeni, żeby pozwolili, by ich prace w popiół obrócono? Ja pierwszy otwarcie powiadam, że gdybyście nie tylko jedne, ale tysiąc laudów uchwalili na to, z ich wszystkich żartować będę, a swojego gumna zapalić nie pozwolę. — A to pan regimentarz trzymasz z Sasem! — rzekł Dziecioł. — Przeciemy się o tém dowiedzieli, wiemy więc, jak mamy z panem postąpić. — Tu pan Ćwikiewicz podniósł głos do diapazonu dotąd niezwykłego, nawet między zawołanymi krzykaczami rady. — Zaniechaj waćpan do kroć djabłów tych pogrożek! Nie strasz, bracie, kiedy waści nikt się nie boi. Waćpan jesteś *vagabunda persona*. Cudza pieczenia jest waćpaniną gumnem. Kiedy chodzi o ofiary, waćpan i odzywać się nie powinien, bo nie masz nic do ofiarowania, prócz niedorzecznych słów. Oświadczam się z mojego miejsca, że pierwszemu, który z ogniem przystąpi do mojej krwawicy, wypalę w łeb jak wściekłemu psu. Także mi ludzie hojni z tego, co nie ich! — Otóż ja, będąc osiadłym obywatelem jak i waćpan — odrzekł pan Sobietnicki — pokażę państwu, że kiedy chodzi o sławę i ojczyznę, umiem pogardzać osobistą korzyścią. Ja sam

podpalę moje gumno, a dopraszam się, żeby panowie poszli za moim przykładem. — Dziękuję waćpanu za przykład — na to pan Poczajski. — Także to przykład do naśladowania! Co to? nie wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi? U mnie trzyletnia krescencya. Obacz-no waćpan, jaki kawał chleba u naszego marszałka, u pana Ćwikiewicza i oto u kilku kolegów, którzy się poznali na waćpana projektach; a u waćpana zboże jeszcze na pniu corocznie się sprzedaje. Ciekawy jestem wiedzieć, co waćpan masz do spalenia? kilka stosów przegniłej słomy i dwie szopy na pół zwalone; oto mi wielka ofiara! — Ja waćpanu otwarcie powiem — dodał pan Ćwikiewicz — że waćpana impozyeya od dawna nam dopieka. Waćpan i jego zauszniki, którychś nam naprowadził, a raczej narzucił, jesteście jak ta liszka bez ogona, która na każdym lisim sejmiku wносиła, żeby wszystkim ogony poodryzać. Dość tego.

Tu powstał w izbie straszny tumult. Hołysze byli w większej liczbie, ale mniejszość broniąca swojego bytu od napaści miała podwojone siły, tak że jej wrzaski omal nie zagłuszały wrzasków strony przeciwniej. Przyszłoby do krwawej bitwy, bo każdy miał szabłę u boku, kiedy wpadł do izby szatny pana marszałka, pomieszany, i powiedział: — Panowie! nieprzyjacieli w mieście. — Na te słowa wszyscy umilkli, jakby uderzeni paraliżem. Nakoniec pan marszałek drżącym głosem dał się słyszeć: — Panowie koledzy, cóż teraz porzucimy w takim nieszczęściu? — A co? — rzekł pan Ćwikiewicz — niech każdy sobie radzi. Ja się Sasów nie boję, mam tłumaczenie gotowe. A co to? ja byłem marszałkiem, albo regimentarzem, albo rej wodzilęm w radzie, jak pan Sobietnicki, żeby czapka gorzała na mojej głowie? Zasiadałem między wami, boście mi kazali. *Nec Hercules contra plures*. Siedziałem tak dobrze jak bez głosu. A mam na to świadków, że pan Sobietnicki i jego zauszniki pokilkakrotnie mi wyrzucali, że sprzyjam królowi Augustowi, najmiłośńszemu naszemu panu. — Jakto? — na to pan Poczajski — waćpanbyś się chciał usprawiedliwić, na nas rzucając winę? a czy to się godzi? — Każdy dla siebie, a Bóg dla wszystkich. Jeżeli przybycie wojsk naszego króla poczytujecie być nieszczęściem, ratujcie się jak umiecie. Co do mnie, cieszę się, że przecie będzie koniec bezprawiom pana Sobietnickiego. On wie, że ja sprzyjałem mojemu królowi; a że się głośniej za nim nie odzywałem, to dlatego że wiedziałem, iż to na nie się nie przyszyda, gdyż większość rady była zawsze za panem Sobietnickim. Wszakże dotąd więzienia są napełnione z jego łaski wiernymi poddanymi króla. — Cóż waćpan masz mnie o to obwiniać? Wszakże zwierchność nie była przy mnie. — Panowie koledzy! zmińcie się, nie zwalajcie na mnie winy, którąście wszyscy ze mną podzielali. Czy to ja wniosłem projekt, żeby wywieszać uwięzionych obywateli? — To waćpan moim kosztem chcesz się ratować — rzekł na to pan Krzywołupski. — Ja

świadków postawię, że waćpan mnie namówiłeś, żebym to wniósł na radzie. — Taki tok brała narada, kiedy drzwi otworzyły się z trzaskiem i kilku towarzyszków kawaleryi narodowej pokazało się na progu, a przed niemi Śmigiełski. — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — odezwał się wódz. — Wszyscy odrzekli: — Na wieki wieków. — Przy kim tu zwierzchność? — zapytał Śmigiełski. — Przy panu Bobowskim — odpowiedział pan Cwikiewicz — on się ogłosił marszałkiem konfederacyi Sandomierskiej. — Tu pocziwy marszałek głowę stracił; ledwo drżącym głosem mógł wyrzec: — Jasnie wielmożny panie, nie gub ojca sześciorga dziattek, ja jestem niewinny. Bóg świadkiem duszy mojej, że nigdy niczego się nie domyśliłem, a to tylko podpisywałem, co mi podpisać kazano. — To i ja — rzekł pan Sobietnicki — nie z własnej woli tu zasiadałem; pociągnięto mnie prawie powrozem, jak niewinnego baranka na ofiarę. — I ja, i ja, przymuszony zostałem — odzywali się wszyscy jeden po drugim, nawet panowie Dziecioł i Krzywółupski. — A kto dopiero wnosił — odezwał się pan Cwikiewicz — żeby wszystkich uwięzionych tu niewinnie obywateli powywieszać? kto się odgrażał na wszystkich tych, co swoim własnym chlebem żyją? — Panowie nie kłóćcie się — odrzekł Śmigiełski — nie wchodzę w to, co się działo, póki mnie tu nie było, ale teraz trzeba to robić, co ja wskażę. Najprzód, i to zaraz, podpiszecie waszmość reces od mniemanej konfederacyi, sprowadzicie tu wszystkich tych, coście pozamykali, a wszystkie papiery, jakieście przy nich znaleźli, natychmiast mi oddacie. Wykonanie tego zdaje na waćpana, którego nie mam zaszczytu znać, ale który pierwszy się odezwał. — Pan Cwikiewicz nisko się uklonił przed Śmigiełskim, i na cały głos krzyknął: — Niech żyje król August pan nasz miłościwy! — co wszyscy koledzy jednogłośnie powtórzyli; poczem porozesłał pachołków, żeby otworzyć wrota więzień, i więźniów przyprowadzić do ich oswobodziciela. A kiedy pachołki wyszli dla spełnienia tego rozkazu, trzymający pióro ułożył żądany reces w wyrazach przyzwoitych i umiarkowanych.

Śmigiełskiemu najwięcej chodziło o oswobodzenie więźniów, bo naturalnie miał ich za stronników swojej partyi, zwłaszcza był ciekawy dowiedzieć się, kto to był ów przejezdny z Saksonii, o którym doniesiono mu, że w dniu przedwczorajszym był zatrzymany w okolicach Opatowca. O jego nazwisku nie mógł się dowiedzieć od członków konfederacyi; zaczynał więc drabować papiery przy nich znalezione, które leżały na stole, kiedy tłumem wcisnęli się do izby uwolnieni więźniowie, żeby złożyć dzięki Śmigiełskiemu. Śmigiełski uprzejmie zabierał z nimi znajomość; wtém rzucił okiem na jednego z nich, właśnie był to ten co z Saksonii przyjechał, i krzyknął ramiona przed

nim otwierając: — Brandt, szanowny nasz Brandt! — i obaj zaczęli się ścisnąć, jako żażyli przyjaciele.

Trzeba wiedzieć, że Brandt, urodzony w Saksonii, ale indygenowany szlachcic polski, dosłużył się był generalstwa trzydziestoletnią służbą w wojskach Rzeczypospolitej; ani jedna gałązka wawrzynu nie była zebrana w wojnach za panowania Jana Sobieskiego, żeby się o jakiś listek nie miał prawa upomnieć. Pod dowództwem Michała Floryana Rzewuskiego i jego syna Stanisława zawsze prowadził piechotę, i był u nich domownikiem. Brandt poznał się ze Śmigiełskim pod Guzłowcem, i taki szacunek powziął dla jego osoby, że lubo młodzieniec mógł być jego najmłodszym synem, stary generał najpoufalszą przyjaźnią z nim związał. Król August, gdy poznał na koronacyi swojej znakomitego żołnierza, który po drugi raz zostawał jego poddanym, odtąd szczególnem zaufaniem go zaszczycał. Król mu był dał niebezpieczne polecenie z Drezna przedrzeć się przez kraj okryty Szwedami i stronnikami Leszczyńskiego, by się dostać do Rzewuskiego, hetmana polnego, z ważnemi pismami od niego i od hetmana wielkiego Sieniawskiego. Wierny generał podjął się spełnić wolę królewską, bez względu, że co krok gardłem mógł przyplącić podobną usługę. Między papierami przy nim znalezionemi był list króla do Rzewuskiego, upoważniający go do konferowania wszystkich urzędów wakujących tym, których do tego uzna sposobnymi, a przy tym liście kilkanaście przywilejów z okienkami, dla zapisania w nich nazwisk wedle woli, przywilejów z gotowemi podpisami i króla, i kanclerza, który wraz z hetmanem wielkim ani chwili go nie odstępował.

Obaj przyjaciele rozmówili się na wolności, i w kilku słowach ułożyli ze sobą dalszy sposób działania. Kazano wszystkim konsyliarzom opuścić Opatowiec, i siedzieć po wsiach, gdzie ich spokojności nikt nie naruszy. Obywatele młodzi, z pomiędzy tych, których Śmigiełski uwolnił, przystali do jego szeregów i tęp zwiększyli jego siłę, a wszystkie konie wierzchowe obrócone zostały na pożytek sprawy publicznej. Sami ich właściciele dobrowolną z nich uczynili ofiarę. Poważniejszych obywateli Śmigiełski wyprawił ku Wiśle, dokąd jak najspieszniej kazał im się dostać, dając im na piśmie władzę nad wszystkimi obywatelami całej okolicy; ale zalecił pod srogą odpowiedzialnością, ażeby były przygotowane promy i galary z dostateczną liczbą flisów na prawy brzeg Wisły, ażeby mogły się przeprawić wojska króla, które lada dzień na tamtej stronie muszą się pokazać. A dla naglenia skutku tego rozkazu, wysłał z niemi dwadzieścia koni pod dowództwem Kurrowskiego, namiestnika, któremu ufał, jednak nie omieszkął wyprawiać go, powiedzieć: — Susz sobie waść głowę jak chcesz z panami komisarzami i z obywatelami, ale żeby pojutrze było wszystko gotowe do przeprawienia naszych z prawego na lewy brzeg Wisły.

Hetman musi teraz być blisko Puław, bo wiem, że ku nim dążył. Ja jutro ztąd wyruszę także do Puław, właści tam zastanę; ale niech właści Bóg strzeże, żebym wszelkiej gotowości do przeprawy nie znalazł, bo wtenczas przywabisz na siebie gardłową sprawę; wszyscy od dawna mnie znacie, a wiecie że nie żartuję w czasie wojny.

Brandt ze zwróceniem jemu papierami wraz z oddziałem wyprawił, ale w porządną kolasię. Brandt tak pragnął co najrychlej oglądać hetmana, że jak tylko zajęła kolasa, już nieczego nie słuchał, tylko uściśkał młodego przyjaciela, zabrał z sobą papiery, które w kolasię pokieszeniach pochował, rapport napisany od Śmigielskiego do hetmana włożył między koszulę a kamizelkę, i sam skończył w kolasię z lekkością baletnika, chociaż sześćdziesiąt lat mu liczono. Z kolasy odezwał się, ręką żegnając Śmigielskiego: — Do obaczenia! — i puścił się silnym kłusem ku Puławom, a za nim stępą oddział powierzony Kurowskiemu.

Śmigielski całkowicie ten dzień stał w Opatowie; i ludziom i koniom kazał wypocząć, ale sam momentu wolnego nie zostawił sobie. Od tego zaczął, że zrobił przegląd tej sekcji Kozaków nadwornych, która, jako się powiedziało, była pod rozkazami ekonomii Opatowieckiej. Znalazł ich dobrze umundurowanych, uzbrojonych i wyćwiczonych w obrotach wojskowych. Po skończonym przeglądzie, powiedział im po rusku, bo nauczył się był tej mowy, wojując lat kilka na Ukrainie i Podolu: — Dzieci, kto chce pójść za mną służyć królowi naszemu, niech stoi na miejscu, a kto chce w domu pozostać, niech sobie rusza z Bogiem. — Kilkunastu Kozaków wystąpiło z szeregu i poszło, ale reszta pozostała, oświadczając, że za Śmigielskim pójdzie choć na kraj świata. W samym Opatowie, zliczwszy Kozaków, szlachtę i jej sług, przybyło mu więcej półtorasta koni. Wszystkim kazał być w pogotowiu do marszu nazajutrz o piątą z rana. Zostawmy na krótki czas Śmigielskiego, a przeniesmy się na prawy brzeg Wisły.

XXIX. Niespodziewana pomoc.

Już wojsko wierne Augustowi złączyło się z wojskiem posiłkowym cara. Oba wojska, zjednoczone wspólną sprawą, stały na prawym brzegu Wisły, zabierając się do przeprawy. Wszakże to nie była rzecz łatwa; pontony jeszcze nie były w użyciu ani u Rosyan, ani u Polaków. Wszystkie galary i inne środki do przewozu były na tamtym brzegu; obywatele opuścili byli swoje wioski przed nadchodzącym żołnierzem, zwierchność nad poddaństwem ustała, a przynajmniej bez sprężytości przez pozostałych podstarośców spełnianą była, tak dalece, że nie było do kogo się udawać skutecznie w potrzebach dwóch wojsk, które do czterestu tysięcy głów liczyły w swoich szeregach, ilość jak na owe czasy znaczna, gdyż według ówczesnego systemu, za

tém wojskiem siedł tabor tak liczny, że dziś stotysięczny żołnierz podobnego by nie potrzebował. Książę Menszykow miał swoich własnych kibitek obładowanych dwadzieścia cztery, hetmańskich wozów było przeszło czterdzieści. W takim stosunku wlokły się kibitki i wozy generałów, rotmistrzów, pułkowników i innych wodzów; to wszystko trzeba było przeprowadzić, bo nie pojmowano, żeby wojsko mogło działać bez znacznego obozu.

Dziś postępowanie w sztuce wojennej zasadzające się szczególnie na tó, żeby wojsko jak najwięcej było obrotne, zniósł to wszystko, co by je obciążać mogło, i bez wątpienia, w tó wiele się ułatwił kierunek wypraw. Ten postępowanie sztuki niemałe korzyści przynosi działaniom wojennym. Ale że dziś przedsiębiorstwa wojenne są na większą skalę podniesione, że teraz łatwiej przy szczęściu wywrócić państwo, niżeli dawniej zdobyć prowincję, nie idzie zatem, żebyśmy mieli prawo pogardzać dawnym systemem, który stosunkowo terazniejszemu nie ustępował. Dziś nietrudno rzucać masy ogromne w pobojowisko, bo ubytek w tych massach łatwo jest zastąpiony; ale dawniej żołnierstwo było rzemiosłem, i nie bez trudności można było dostać żołnierza, a więc oszczędzano go ile możności, tak dalece, że można powiedzieć, iż nim tylko w potyczkach szafowano, ale dbano o jego wygody, żeby przynajmniej wyszedłszy szczęśliwie w boju, nie padał ofiarą nędzy i choroby. Wojowano tylko latem; w jesieni wojska szły na zimowe leże, a w okresie wojennym żołnierz nie pod gołóm niebem, ale spoczywał w namiotach, bo śmierć żołnierza była rzeczywistą stratą, niełatwą do nagrodzenia. Ztąd ogromne tabory, od jakich wojska nie śmiały się zaudać oddalać, obciążały pochody. To co nazywano taborzem złożone było z wozów, które w czasie bitwy tworzyły jakiś rodzaj cytadeli ruchomej, gdzie wszystkie zapasy wojska i wojacy ranni byli zasłonięni obronną strażą. Wojsko zmuszone do odwrotu, znajdujące przytułek w swoim taborze, często w nim odnawiało walkę, a nieprzyjaciół, pokąd tego taboru nie zdobył, nie mógł się nazywać zupełnym zwycięzcą. Zwłaszcza w wojnach z Turkami zdarzało się, że tabor polski dzielnie bronił wstrzymywał zapęd zwycięzki bisurmanów i zmuszał ich do odwrotu. Zgoła takowy sposób wojowania, przyjęty na Wschodzie i Północy, mniej więcej był znany wszystkim narodom Europy.

Zaledwo wojska się złączyły, Menszykow stosownie do rozporządzeń cara stawiał się z całą starszą przed hetmanem polskim, który nawzajem stawiał przed nim swoich wodzów, i nie tracąc ani chwili obaj naczelnicy zrobili przegląd połączonych bratnich zastępów. Hetman Rzewuski podziwiał piechotę rosyjską, jej szykowność, jej postawę, jej wyćwiczenie w obrotach, wzrost ledwo nie olbrzymi walecznych synów Wołgi. Niemniejsze wrażenie sprawiła na Menszykowie ja-

zda Sarmatów, jęj skrzydlaci hussarze, jęj pancerni, okuci w żelazo, płomieniejące proporce towarzyszy, igrające z wiatrem, bo ścisłe zjednoczenie jeźdźców z dzielnymi rumakami, które poniekąd urzeczywistniało bajkę starożytną o Centaurach. Tę więc obaj bohaterowie wynurzali przed sobą wzajemne uczucia, że Menszykow nie miał innej jazdy, tylko kozaków wysłanych jemu przez Mazepę, a ta odrobina piechoty wojska hetmańskiego nie była złożona z Polaków, mało jeszcze sposobnych do tego rodzaju służby, ale z werbowanych Węgrów, Niemców i Wołochów. Jedno wojsko posiadało to, na czém drugiemu zbywało, a tak jedno drugiem uzupełniało się, i oba mogły obiecywać sobie niewatpliwe zwycięstwo. Menszykow i Rzewuski po kilkakrotnie powtarzali sobie w ciągu tego przeglądu: z taką jazdą i z taką piechotą, z taką piechotą i z taką jazdą, świat można podbić.

Po skończonym przeglądzie, według ówczesnego obyczaju, wspólny obiad pod gołym niebem połączył wodzów i oficerów obu narodów. Na piersiach Menszykowa wisiał orzeł biały, a hetman polski nosił insygnia św. Jędrzeja, któremi świeżo został zaszczycony od potężnego sprzymierzeńca, jego pana. Przyjaźń, jaką sobie okazywali naczelnicy, objęła się o serca ich podwładnych. Rossyianie i Polacy rozmawiali z sobą poufale; ich języki, z wspólnego źródła wytrysłe, wówczas nie były nawet tak oddalone od siebie jak teraz. Naczelnicy, w języku francuzkim, niezrozumianym od ich podwładnych, układali dalszy tok działań wojennych. Inni biesiadnicy, nie wchodzący w te układy, a tylko gotowi rozkazy wykonywać, wesołe myśli zamieniali z sobą. Wszakże ta uczta nad godzinę się nie przedłużyła, tyle zajęcia zważyło się razem na głowy naczelników.

Menszyków w imieniu cara oświadczył hetmanowi, że jemu zdaje dowództwo nad swoim wojskiem, gdyż nazajutrz musi wyjechać do Nieświeża, by zdać osobiście sprawę Piotrowi Wielkiemu o jego złączeniu się z wojskiem polskiem na prawym brzegu Wisły, co zmusi Löwenhaupta do opuszczenia tej części Litwy, którą dotąd zajmuje, ażeby zasłonić Warszawę. — Tyle pokładam ufności — dodał — w doświadczeniu waszém, że pozwolę sobie zapewnić swojego pana, iż w dniu, w którym stanę przed nim, już wojska sprzymierzone musiały się dostać na lewy brzeg Wisły. — I waszmość śmiało możecie go o tem upewnić. Jutro zaczę przepawę, chociaż nie mam do tego przygotowanych środków. Gdybym miał przebyć rzekę wpław, gdybym miał obóz zostawić, za trzy dni najdalej i ja i wojsko musimy być na tamtej stronie.

Menszykow odjechał, a hetman nie oddał się spoczynkowi, ale zaczął się rozporządzeniem. By jak najrychlej most wiązany mógł stanąć na Wiśle. Wyprawił Kozaków po wszystkich wsiach okolicy, żeby gromadzić wieśniaków do lasów położonych w bliskości obozu, i żeby

siekier ile możności nagromadzić; a nie poprzestając na pomocy narodu, dwa tysiące żołnierzy piechotnych przeznaczył do rąbania płatów i ich wiązania. A lubo najzaufanyszym i najwięcej od niego doświadczonym mężom polecił wykonanie swoich rozkazów, lubo oni wzięli odpowiedzialność na swoje gardła, że przed świtem zaczną się roboty, i że słowo dane przez hetmana wodzowi rosyjskiemu będzie dotrzymane, wszakże hetman niespokojny ciągle przechadzał się w swoim namiocie, lubo z niego nie wychodził, żeby tej niespokojności nie zdradzać przed wojskiem.

Już od dwóch godzin słońce było opuściło widokres, kiedy otrzymał wiadomość o przybyciu pierwszych wieśniaków z wszelką już gotowością do roboty i jednego wozu naładowanego siekierami. Można wyobrazić sobie, jaką radość w nim sprawiło tak rychłe wykonanie jego rozkazów. Wyszedł z namiotu rozweselony dla przeglądu robotników, i dla szafunku siekier między piechurami przeznaczonemi do robót. Zabierał się ich zaraz wyprawić do lasu, nie czekając brasków porannych, gdyż noc była dość widna, i już o tem rozmawiał z naczelnikiem piechoty rosyjskiej, kiedy ujrzał czwałem bieżącego ku niemu Orłowskiego, porucznika hussarskiego znaku, doświadczonego żołnierza, któremu był poruczył baczną nad posterunkami stojącymi po nad samym brzegiem Wisły.

Kiedy zgrzany rumak zrównał się prawie z hetmanem, porucznik zsiadł z niego, i postąpiwszy do naczelnego wodza stanął, rękę prawą przykładając do misiurki. — Co nam powiesz, mości poruczniku? — rzekł hetman. — Jaśnie wielmożny hetmanie, na tamtym brzegu pokazują się wojska nieprzyjacielskie. — Tam do katala! a wiele tego być może, jakieś mógł osądzić z oczu? — Nie wiele, kilkanaście jeźdźców się snuje po nad samym brzegiem, ale tego musi być więcej za niemi. — Jakiego gatunku żołnierz? — Kawalerya narodowa; nietrudno swoich poznać, ale między niemi są jakieś Kozaki. — A więc zechcą zapewne mitrzyć naszą przepawę. Jakoś to będzie. Ruszaj-że waszmość nazad, z oka ich nie spuszczaaj, i co tylko obaczysz nowego, wypraw z tem do mnie którego ze swoich towarzyszy, ale takiego, żeby umiał słyszeć co mu powiesz i mnie to powtórzyć. — Poczęm obracając się do wodzów polskich i rosyjskich: — Może coś będzie z tego, może nic. W każdym względzie nie potrzebuję wam przypomnieć, żebyście byli we wszelkiej gotowości na każdy wypadek; każdy z panów raczy stanąć przy swojej komendzie, i tam niech oczekują dalszych rozkazów. Panowie! na miejsce! Niech żyje Polska i Rossya! niech żyją król August, nasz miłościwy pan, i car Piotr, jego sprzymierzeniec! — Oba wojska ten krzyk powtórzyły.

Hetman poszedł do swojego namiotu, a za nim na jego wezwanie Stanisław Chomentowski, dzielny wódz, w którym pokładał nieogran-

niezoną ufnosć, a który jako regimentarz był pierwszym po hetmanie w obozie polskim. Kiedy weszli i zasiedli sam na sam, hetman zaczął temi słowy: — Nie inaczej, to pan wojewoda Poznański majaczy z tamtęj strony. Ciekawy jestem, co on myśli, czy bronić nam przeprawy, czy samemu się przeprawić na prawy brzeg Wisły? My go dobrze znamy; stary żołnierz, trochę zależał pola, ale zuchwały jak młodzieniec. A tu domyślać się trzeba, ile ma też wojska; nie ma sposobu o tém słuchu powziąć. Targuj kota w worku. — Dałby Bóg, żeby on chciał przejść na tę stronę; mybyśmy się cofnęli przed nim, a potem w samém jego poruszeniu, napadłszy na niego, dopie-robyśmy mu nawarzyli kaszy. — My sprawy nie zaśpiemy, to daremna rzecz. Mnie tylko w głowie, że dałem słowo Menszykowi, iż bądź co bądź, a za trzy dni będę na lewym brzegu. O honor idzie, most musi koniecznie stanąć, i chociażby pan wojewoda wszystkie armaty, jakie się ułały w Szwecyi od trzechset lat, przeciwko mnie wystawił, pójdę przebojem z buławą w rękę. Na swoim postawię, albo zginę w nurtach Wisły, a wtedy nie będzie przed kim się wsty-dzić, żem nie dotrzymał słowa. — To bo nieszczęście, że spóźniona jesień; woda tak duża, że nie ma sposobu jeździe przejść ją wpław; gdyby nie to, możnaby o jaką milę wyżej. Wyprawię parę chorągwi naszych, a toby panu Potockiemu pomieślały szyki. Bo na to daję gardło, że jego wojsko sama zbierana drużyna; co było najlepszego w tej niewielkiej ilości naszego rycerstwa, która przystała do pana Stanisława Leszczyńskiego, to król Szwedzki zabrał z sobą do Saksonii, a tylko sam fus zostawił temu, co go ulepił polskim królem. — Toć to prawda co waszmość mówisz, ale musi pan wojewoda mieć Szwedów ze sobą, i pewnie mu dodano jakiegoś doświadczonego generała. Ani król Szwedzki, ani Löwenhaupt wojskaby nie oddali do wiernych rąk pana wojewody. Jemu nie ubliżam, owszem zawsze zaszczycałem się jego przyjaźnią, mam nawet z nim swojaćwo, gdyż moja macocha jest jego rodzoną ciotką. Ale co prawda, to nie jest grzech. Wszystkim wiadomo, że pan wojewoda, choć stary, umie z szablą w rękę łamać szyki nieprzyjacielowi, ale nie jemu układać rozporządzenie bitwy dla szerokiego cokolwiek wojska. Tać to ja patrzył na niego pod Wiedniem, kiedy ciężko został rannym, bo z rozkazu świętej pamięci króla wtedy byłem jemu posłuszny. U niego to nieprzyjaciół, co przed oczyma, ale co się dzieje z tyłu, z boku, o to go nie pytaj. Mój Boże, dla ludzi pocziwych nie ma klęski nad wojnę domową. Ledwo że serce nie pęknie, jak pomyślę, że to nasza dawna zażyłość z panem wojewodą przemieniła się w nienawiść. Ale nie z mojej strony! Bóg świadek, że nie z mojej strony! Ja zawsze czuję dla niego i szacunek i przywiązanie. On na mnie ani czei, ani wiary nie zostawuje; cóż robić? trudno mi dla jego przyjaźni zdradzać

mojego króla. Albo pan Stanisław Leszczyński? — czy to nie istne nieszczęście mieć go za nieprzyjaciela? wszakże to anioł dobroci! Tać to jemu dopiero lat dwadzieścia sześć, a daj Boże staremu mieć tyle zdania. Jakem go poznał, do razu mnie zawojował. — Wierzaj mi, panie hetmanie, że to na króla stworzone; a jaki przykładny w po-życiu domowém, jaki ojciec, jaki małżonek! — Ale czyż ja go nie znam, panie Stanisławie? Czy raz go hojdałem na moich kolanach? Jego ojciec, pan wojewoda Kaliski, był moim srodze wielkim przyja-cielem. Bywało kiedy przybędę do Leszna, dla złożenia mu uszano-wania, nie puszcza mnie ze swojego domu, aż ukradkiem muszę się z niego wynieść. Co to za godny i światły był senator, a jakie wy-chowanie dał synowi! Staś nie miał nad lat ośm, a już czterema je-zykami tłumaczył się, jak swoim własnym; powiadam waszmości, że chłopca trzeba było odrywać od książki, tak był pochopny do nauki. Ale cóż! nakoniec poszwankował. Podobala mu się korona, jakby się godziło jej pragnąć, pókąd żyje król przezeń obrany. Cóż to! król nasz jest posłem na sejmie, lub deputatem na trybunale, żeby w za-mierzonym czasie kończył swoje urzędowanie i został, jak to mówią, *ex Consule civis*? Wszakże nie tylko targnienie się na powagę królew-ską, ale samo myślenie o jego następcy, pókąd on żyje, już jest zbro-dnią. Szacowałem, a nawet dotąd miłuję pana Stanisława Leszczyń-skiego; być może, że byłbym jego stronę trzymał, gdyby się był oświadczył do naszej korony w czasie bezkrólewia; ale teraz nie wi-dzę w nim, tylko wicherzyciela, buntownika, wiarołomcę, nieprzyja-ciela ojczyzny. A w czém przewinił najjaśniejszy król August, pan nasz miłościwy, żeby aż go od korony odsądzić? — Ma w tém zu-pełną słuszość jasnie wielmożny hetman. Z tém wszystkiém szkoda, że nie kto inny, ale właśnie pan Leszczyński postawił siebie w takim położeniu, że my, jemu życzliwi, zmuszeni jesteśmy pocziwością na-szą iść po jego głowę. Bo jeżeli królowi uda się powrócić do nas, jak o tém w Bogu nadzieja, to przy najwyższej jego wspaniałomyśl-ności, na kim się zmiele, to zmiele, a na panu Leszczyńskim pewnie się skrupi. A szkoda! Co do nas, jasnie wielmożny hetmanie, może-my powiedzieć, że stoimy na egzaminie. Bo jeżeli wygrana będzie przy królu Auguste, myśmy przecie na nią dzwonili, a jeżeli Szweda będzie na wierzchu, przeniesiemy naszą wierność innemu królowi, który Bogiem a prawdą, ani w enocie, ani w rozumie terażniejszemu nie ustępuje. — *Deus avertat!* Co się waszmości stało, panie Stani-sławi? Ażebyś tego nie wymówił! — wolałbym peregrynować po obcych ziemiach, niżeli póki żyje mój pan, zaskarbiać sobie względy zbuntowanego przeciwko niemu poddanego. Jużci pan Leszczyń-ski przed Bogiem jest jego poddany, tak jak my. A cóż to? Jak szczęście opuści pana, to już poddany ma plunąć na swoją przysięgę?

a to Beliala moralność? A czy to człowiek jak bydlę, żyje tylko na tym świecie, żeby jak ono iść ślepo za pociągiem cielska, i szukać wyłącznie tego, co mu dogadzać może? A czy nie mamy obiecanego żywota wiecznego, żebyśmy aż tak dalece mieli się troszczyć o to, co się z nami stanie przez te kilka dni, które płużymy w tém błocie ziemskiem? Żeby naród w całkowitości odstąpił swojego prawego króla, tobyśmy oczu nie śmieli podnieść przed obcemi. Obraliśmy jednomyślnie króla, stosownie do naszych ustaw, położyliśmy jemu warunki, żeby przyjął naszą wiarę, a król odrzekł się od téj, w jakiej był wychowany, i jaką jego poddani dziedzicznie wyznawają. A cóż to! ta umowa jego z całym narodem miałażby być pułapką przez nas na niego zastawioną? wszakże w paktach konwentach z nim zawartych, nie napisano, że my będziemy jemu wierni; dopóki będzie szczęśliwy. Bo przy szczęściu nie ma potrzeby wiązać do wierności, i bez przysięgi każdy aż nadto pochopny dworakować takiemu, co ma szczęście za sobą. Byłś świadkiem, że na elekcyi nie byłem z liczby tych, co gardłowali za elektorem Saskim; mojej życzliwości dla królewicza Jakóba nie tailem; ale kiedy dla miłości zgody złączyłem się z większością, już odtąd widząc palec Boży w wyniesieniu króla Augusta, pókad on żyje (a daj Boże, żeby nas wszystkich przeżył); wierności, którą jemu ślubowałem, do nikogo nie przeniosę. I chociażby pogrążony niedolą, król został zmuszony rzec się praw, jakie ma do nas, niech go wszyscy odstąpią, ja jeden mu pozostanę wiernym poddanym. — Hetman to mówił w największym wzruszeniu; a że był nadzwyczajnie popędliwy, Chomentowski już się nie odzywał, żeby czasem niewymknęła się mu jaka uwaga, któraby niezawodnie gwałtowną burzę przywołała. W tém wlatuje do namiotu porucznik Rozwadowski, ów dowódca hetmańskiej chorągwi, którąśmy widzieli w Wieluniu, ten sam Rozwadowski, który w Saksonii pożegnał swoich, żeby nie służyć pod piechurą i co najrychlejsz złączyć się z hetmanem, swoim rotmistrzem. Odtąd przy jego boku zostawał, zawsze tęskniąc za swoją chorągwią, i nazywając siebie porucznikiem drażkowym. Stanał przed hetmanem zadyszany, zaczął obiema ramionami kiwać, kołysać się z jednej na drugą nogę, tak że hetman zadziwiony wrócił do zimnej krwi, i utknął w nim wzrok badawczy, nie mogąc zrozumieć co to znaczy. Rozwadowski choć gębę otwierał, nie mógł się zdobyć tylko na wyrazy przerywane: — Panie hetmanie... oto... jaśnie wielmożny panie... nowina... ale jaśnie panie... — Cóż to, mój Rozwadosiu? opamiętaj się, poruczniku drażkowy! czy nieprzyjacieli przeprawia się przez Wisłę, żeś tak pomieszany? — Ale nie... ale nie... gorzej... ale nie, lepiej... Och, och... nie mogą przyjść do siebie... już nie drażkowy porucznik... nasza na wierzchu... Moja chorągiew... nie moja, ale jaśnie wielmożnego pana tu... tu... Śmigiełski, ach co to za człowiek, jaśnie

wielmożny panie... Nasza chorągiew, a Kurowski namiestnik, jak mi się spisał... oto mój, nasz towarzysz Jułtuszkiewicz czołnem do nas... — Matko Najświętsza! panie Stanisławie, czy widzisz? wszak to nasz Rozwadowski z tęsknoty za swoją chorągwią oszalał! — Ale nie, nie oszalał, tylko omal nie oszalał z radości. Oto nasz towarzysz czołnem przywiózł generała z ważnemi papierami od króla jegomości do jaśnie pana, o tu, tu, jaśnie wielmożny pan od niego o wszystkiem się dowiesz, jak nasz Jułtuszkiewicz zamelduje się swojemu rotmistrzowi — a mnie pozwól, jaśnie wielmożny panie, iść na brzeg Wisły, popatrzeć na naszą chorągiew; choć nie jasno, ja każdego konia poznam, aż serce ledwo nie wyskoczy z piersi do swoich. — Dam konia z rzędem temu, kto waści rozumie. Ruszajże sobie z Bogiem, bo z wacją ładu nikt nie dojdzie, a miej przynajmniej tyle oleju, żeby powiedzieć tym co do mnie przybyli, żeby natychmiast się tu stawili.

Wyszedł Rozwadowski, a w kilka chwil po jego wyjściu weszli do namiotu hetmańskiego towarzysz Jułtuszkiewicz w pełnym rynsztunku, i generał Brandt, trzymający duży pugilares. Towarzysz stanął przed hetmanem, ręce podniósł do czoła, i rzekł: — Józef Jułtuszkiewicz, towarzysz pancernego znaku, chorągwi polnej buławy, stawi się jaśnie wielmożnemu hetmanowi polnemu koronnemu, swojemu rotmistrzowi, z raportem przysłanym od urodzonego Adama Śmigiełskiego, starosty Stuleńskiego, pułkownika królewskiego, dowódcy oddziału wojsk króla jegomości i Rzeczypospolitej, który czeka na lewym brzegu Wisły rozkazów hetmana, a teraz wyprawia galary i statki z lewego na prawy brzeg Wisły. — To wyrzekłszy, dobył z nadrzędnego raportu na piśmie dość obszerny, i wręczył go hetmanowi, który zaraz wziął się do jego przeczytania.

Regimentarz i towarzysz pancerny i generał Brandt stali w milczeniu, a hetman okiem czytając pismo, coraz weselszy wyraz okazywał na swojej twarzy. Często odzywał się: — Co też to za żołnierz, ten Śmigiełski! — jaki zuch! — a jak roztropny!... Prawdziwie, chlubić się mogą, że moja opieka otwierając mu zawód, który tak świetnie przebiega, stała się tyle korzystną dla Rzeczypospolitej... Coby to powiedział mój ojciec, gdyby żył!... Człowiek aż na siłach upadał, myśląc jak to się dostać na tamtą stronę, a ten wszystko ułatwił, że do gotowego przychodzim. — Poczém obracając mowę do przytomnych: — No moi panie towarzyszu, zaraz przywołać do mojego namiotu generałów rosyjskich, i naszych rotmistrzów i poruczników, oprócz tych, którym posterunki nad Wisłą są poruczone. — To rzekłszy, znowu zaczął czytać; wtem przerwał powtórnie czytanie, i odezwał się: — Brandt, nasz kochany Brandt, proszę uniżenie, a ja waści w téj opończy nie poznałem. Panie Stanisławie, cóż to? nie witasz się z naszym pocziwym piechurą? Wszakżeście z sobą razem dokazywali na

Wołoszczyźnie. Tylko na potem wasze powitanie, możecie je odłożyć na tamten brzeg, gdzie w Bogu nadzieja jeszcze przed świtem obaczymy się. Teraz czémś jeszcze ważniejszém zatrudnić się trzeba. Podaj-no to, co masz do mnie od króla jegomości.

Brandt otworzył pugilares, wyjął z niego ogromną pakę opieczętowanych papierów, i z oznaką najgłębszego uszanowania oddał ją hetmanowi. Hetman z widoczną niecierpliwością odrywał pieczęcie jedną po drugiej. — Widać — rzekł — że bardzo musiałeś się bać, żeby listy z koperty nie uciekły; aż ośm razy ją opieczętowałeś. — Otóż były uciekły, jasnie wielmożny panie, w Opatowcu. Była tam prawdziwa frejbanda; wszystkie papiery drabowano, nawet list najjaśniejszego króla, co go jasnie wielmożny pan w tej pące znajdziesz, odważono się odpieczętować i czytać. — Pisz do mnie Śmigielski, że zastał ciebie, mój piechurze, w nielada opałach, kiedy przybył do Opatowca. — A jakże nie w opałach, jasnie wielmożny panie? Przyszło do tego, że nie wiem, czy nawet pół godziną byłem przegrodzony od szubienicy. Jak mnie wzięto na konfessatę, po każdej mojej odpowiedzi jeden i jeden był zawsze amen: będziesz szelmo wisiał! Gdyby nie Śmigielski, takby było niezawodnie. I o tém byłem upewniony. Że żyję, mam to za darowane, za cudze, i jako cudze nie będę tego oszczędzał, jak wypadnie mi znowu pod okiem jasnie wielmożnego pana potykać się z nieprzyjacielem, co może jutro nastąpi. — Mój Brancie, ty nigdy siebie nie oszczędzałeś i bez tego. Podziękuję Śmigielskiemu za waści w imieniu króla, bo mam przecie takiego, co poprowadzi tę trochę piechoty, która się ze mną wlecze. Cóż pisze król jegomość do mnie? A, a, pan lepszy, niż pomimo najszczerzych usilności może być jego wierny sługa; a czémże się jemu wywiąże za taką nieograniczoną ufność i łaskę? Panie Stanisławie, czy uwierzysz, że król mi daje władzę rozdawać *ad libitum* wszystkie wakujące urzędy, od daty jego listu aż do jego powrotu do Polski. Patrz ile tu gotowych przywilejów z okienkami! Przecie nie nadużyję łaski królewskiej. Poddany, kiedy ma szafunek łask swojego pana, winien ich skąpo używać, ażeby potem nie pomyślił, że szalonemu dał miecz w rękę. A jednak w tej chwili pozwolę sobie użyć tej łaski. Nie ma dwóch tygodni, jak w Braclawiu przeniósł się do wieczności Pękosławski, stolnik koronny, i starosta grodowy Gnieźnieński. Był to mój wielki przyjaciel, wierny królowi; był z pierwszych, co się do mnie udali; nie zginął od kuli jak tego sobie zyczył, ale od puchliny, która go więcej roku męczyła. Otóż w przywileju na starostwo Gnieźnieńskie wpisać nazwisko Śmigielskiego, już znane w narodzie. I sam mu, da Bóg, za parę godzin wręczę. A pewnie ani król, ani żaden jego wierny poddany nie powie, że porywco postąpiłem.

Rzekł i usiadł przy stoliku podróżnym, wydobyl z pugilaresu przy-

wił na starostwo, i w nim własną ręką zapisał nazwiska Gniezna i Śmigielskiego; napisane wyrazy zasypał tabaką, której używał nałogowo, a do której się był wzwyczał z powodu słabości oczu, na jaką wprzód często zapadał po otrzymanym strzale niżej prawego oka, z czego nigdy w zupełności nie był wyleczonym. I ten przywilej zakładał za pas, który okręcał stan od łosiej wołoszki, którą miał na sobie, kiedy towarzysz przed namiotem na ordynansie zostający wszedł z doniesieniem, że starszyna polska i rossyjska przybyła stawić się na rozkaz hetmański.

XXX. Przeprawa przez Wisłę i bitwa.

Gdy stanęli wodzowie, hetman do nich: — Panowie! Bóg nam pobłogosławił pomocą nieoczekiwaną. Nie mamy potrzeby czekać, aż mosty się zwiążą, owszem zaraz będziemy się przeprawiać przez Wisłę, bo czegośmy się nie spodziewali, to nam Bóg zesłał. Nie Szwedzi, nie zbuntowani Polacy, ale wierni poddani naszego króla stoją na tamtej stronie, i wysyłają co jest potrzebném dla przeprawy. Już jest kilka galar przy brzegu, a więc nie tracąc czasu zaczynamy powoli wysłać naszych. Najprzód piechota, potem jazda. Na tabor nie ma czego się oglądać. Generał Brandt zostanie tu, pokąd most się nie zwiąże, i z taborem razem za nami pójdzie. Ja znam Brandta, on sprawy nie zaśpi. Prędzej on z nami się złączy, niż się spotkamy z nieprzyjacielem. Jak się odbędzie żołnierzy, galary mogą być użyte do przewozu tego, co w obozie jest najpotrzebniejszém. — Poczém obracając się do księcia Baratyńskiego, dowódcy piechoty rossyjskiej: — Mości książę! jesteście dla nas najmiłszymi gośćmi; więc my jako gospodarze, wam pierwszeństwo zostawujemy do dostania się na brzeg przeciwny. Książę raczysz wyprawić, ilu się na galarach zmieści swojej piechoty i nieco armat. Panowie pozwolicie w ich przytomności przywdziać zbroje, która jest naszym bojowym mundurem, a potem pójdziemy na brzeg. A wasza książęca mość racz wyprawić kogo ze swoich, żeby piechota poruszyła się ku brzegowi.

Przystąpili natychmiast koniuszy i szatny hetmański ze zbroją. Hetman ją wziął na siebie i przez te chwil kilka, gdy mu ją po obu bokach zawiązywali, ciągle generałom dawał rozporządzenia. Jak się okuł w żelazo, powiedział: — Proszę panów za sobą. — Przed namiotem już stał jego rumak w pełnym rynsztunku, a przed nim buńczuczny hetmański, w jednym ręku trzymający cugle swojego konia i buńczuk, a w drugim buławę. Hetman siadł na swojego, przeżegnał się; buńczuczny przystąpił do niego wręczając mu buławę, sam na swojego konia skoczył, podniósł buńczuk, przodem wyruszył, a za nim hetman i cała starszyna.

Stanęli nad brzegiem; tam zastali kilkanaście statków rozmaitego kształtu, które wkrótce napełniły się piechurami i zaraz odwinęły. Na tamtej stronie ognie rozpalone wytykały miejsca, ku którym flisy się miały kierować. W cichości tu przeprawa się odbywała; nie nie było słychać, tylko poruszenie wiosel, ale i te wkrótce przestały dawać się słyszeć. Hetman ciągle stał na brzegu, oczekując w niecierpliwym milezeniu powrotu próżnych galar. Wiosła tak się uwijały, gdyż żołdacy rossyjskie luzowały flisów, a nawet większą część ich pracy wzięli na siebie, że przed świtem kilka razy galary poszły, i nim jutrenka zniknęła przed pierwszemi promieniami słońca, piechota i armaty były na tamtej stronie. I już hetman zaczynał wyprawiać hussarów, pancernych i uzbrojonych mężów stanu rycerskiego, którzy byli opuścili swoje domy, często nawet żony i dzieci, aby pod dowództwem hetmana wywiązywać się z obowiązków, jakie mieli dla ojczyzny i króla.

Tu milezenie przerwane zostało. Bo skoro tylko jazda polska z końmi zaczęła przeprawę, nim jeszcze znak dano do odwinienia, hetman zaintonował pieśń Bogarodzicy, a rycerstwo i na galarach stojące, i to które oczekiwało na brzegu ich powrotu, na cały głos wtórzyło. Donośne walecznych i pobożnych mężów pienia na tamten brzeg dały się słyszeć, i zwiastowały mu przybycie rychłe jazdy polskiej. Zresztą już tak było widno, że oba brzegi widziały siebie jak na dłoni.

Nie ma widoku tak rzecznego, więcęć powiem, tyle zniewalającego szlachetne sprężyny duszy, ile widok rycerstwa pobożnego. Wojsko bez wiary może zadziwiałcami zjawiskami pobudzać uwielbienie dla cudów waleczności, które częstokroć wykonywa; ale zawsze jemu zbywać będzie na wytrwałości (*) w chwilach, kiedy szczęście się od

(*) Śmiem podać za pewnik, bo go udowodnić mogę nie tylko świadectwem całkowitej przeszłości historycznej, ale więcęć jeszcze tém, co się dzieje w teraźniejszej porze, że w narodach, gdzie wierzenia religijne uległy rozkładającej czynności racjonalizmu, o ile ludzie utracają wiarę w pomoc wyższych od ludzkości istot, o tyle nabywają skłonności do podłości. I właśnie dlatego nie są sposobni do walki z przeciwnościami. Nie ma tu mowy o tej części ludzkości, która jest wskazana do pracy materialnej, zwłaszcza rolniczej; bo ta, chwała Najwyższemu, wszędzie jest wierząca, i pod tym względem nie wątpię, że na niej polega nadzieja jakiegóżś szczęśliwszej przyszłości moralnej świata, teraz wycieńczonego mniemanem ukśtałceniem. Ale mówię o tych, których potrzeby materialne bez ich zachodu są opatrzone, a którzy uczestnicząc w życiu umysłowem, dają kierunek dążnościom historycznym narodów. Zapytam ich, dlaczego kunszt, ów kwiat cywilizacyi, w tym okresie niby tak światłym zniknął? dlaczego poezya nie objawia szczytnego dźwięku, tylko z tych kilku lutni jeszcze zostających w rękach tak nazwanych obskurantów i zabobonników? Dźwięk niestety! zagłuszony wrzaskiem Saturnaliów racjonalizmu, co raz rzadziej się odzywa, nim na zawsze umilknie. Dlaczego już nie widzimy tych silnie odciechowanych indywidualności, które dawniej były tak gęste, a tylko same że tak powiem gminowości, jedne do drugich podobne, jak Aleksandryny wierszopisów szkolarzy? Kiedy jeden przeczytałeś, przeczytałeś wszystkie, gdy jednego pozna-

niego odwróci. Skoro pochodnia wiary wygasa w społeczeństwie, duch ofiary niknie, a z nim wszelka szlachetność, tak prywatna, jako i publiczna. Nasze pokolenie jest teraz w ślepotcie; naprożno mu pokazywać przedmioty, kiedy ani ich barwy, ani ich kształtów dowidzieć nie zdoła; ale niech-no długim pasmem nieszczęść już zaczętem, ale jeszcze bardzo dalekiem od swojego dokonania, łuski mu spadną z oczu, wtedy ten rozum ludzki, nad którym dziś się unosi, zostanie przedmiotem jego wzgardy. Nastąpi, i to wkrótce, tak silna przeciw niemu reakcyja, że właśnie okrzyczani teraz obskuranci staną w jego obronie, żeby ocalić to, co w nim rzeczywiście jest dobrego. Chwytaćże nowinek zagranicznych w swoich doktrynach, w których zresztą niewielką wiarę pokładają, widzą samą pszenicę, w starych sam kłakol. Ale kłakol, który ich niwę intelektualną zalega, nie przeszkadza mężom starych wyobrażeń dopatrywać na polu swoich przeciwników pięknej pszenicy, niezupełnie tym kłakolem zgłuszonych, a więc... Ale zwyczajnie stary gaduła, oddałam się od materyi.

Już jedna chorągiew kawaleryi narodowej, a druga podolskiej szlachty, z końmi dopływały do prądu rzeki, kiedy hetman, który wzroku nie odwracał od galarów, i tych co ich był wyprawił na tamtą stronę, spostrzegł zdaleka ku jego stronie dążący bat, nieco odmiennego kształtu od innych. Miał maszt, a powrozy które z niego się spuszczały były umajone świeżym liściem; widać było na tej szalupie rozpięty mały namiot, na którego wierzchu chorągiewka pół biała, a pół czerwona powiewała. Kiedy już ona dotykała prądu, słyszeć się dał marsz rycerski trąb i kotłów. Lekki wiatr zachodni popychał szybko żagle wzdęte, ale gdy się przybliżyła do brzegu, tak że już można było rozemnać twarze flisów i trębaczy, kotły i trąby ucichły, a na ich miejscu podniosła się pieśń rycerska:

I przez skwary, i przez lody,

I przez lądy, i przez wody

Lećmy bracia do hetmana,

Niech krwi naszej nie żałuje,

Szczodrze niechaj nią szafuje

Dla ojczyzny i dla pana.

Jeś, poznałeś wszystkich; wszakże musi być tego jakaś przyczyna. Lecz nim nasi mędrcoowie ją odkryją, niech mi wolno będzie wierzyć, że pieśń Bogarodzicy, God save the king, kiedyś więcęć wywoływały zwycięstw, niż teraz szumne rozkazyienne i wymowne proklamacye, która dzięki postępowi światła zastępuje pobożne pienia. Powie kto, że jeżeli marsylijski hymn już Francuzów nie pobudza do sławy, to i krzyk Montjoye i Święty Dionizy nie więcęć zachował dawny porządek. W tém jedna tylko zachodzi różnica, że już przed rewolucyą pierwszą zaprzestali Francuzi wierzyć w pobożny krzyk swoich wielkich przodków, a ich liberały wszelkich barw dotąd powtarzają hymn, o którym wspominałem.

Ta pieśń była dobrze znana hetmanowi, i tym co pod nim służyli w tureckiej wyprawie, bo ją był ułożył Kukawski, zostający wówczas przy boku jego ojca. Z tego powodu ta pieśń obudziła w nim tak błogie myśli, że przez jakiś czas myśl jego utonęła w rzewnym zadumaniu. I z niego dopiero się przebudził, kiedy szalupa zawinęła do brzegu.

Wyskoczył z niej młodzieniec w pancerzu i misiurce; rysy jego twarzy i spojrzenie były tak szlachetne, że aż ściągnęły zadziwienie generałów rosyjskich, otaczających hetmana. Był to Adam Śmigiel-ski. Przystąpił do hetmana, zdał mu słowny krótki raport o tej części wojska, która była już przeprawniona, dodając, że szalupa jest we wszelkiej gotowości do przeprowadzenia hetmana.

Hetman już był przeczytał w swoim namiocie całkowite sprawozdanie wszystkich czynności Śmigiel-skiego, od jego wyjścia z więzienia, sprawozdanie tak jasne, tak szczegółowe, że o wszystkim był uwiadomiony. W największym wzruszeniu nie mu nie odpowiedział, tylko przycisnął go do swojego łona. W niemniejszym wzruszeniu Śmigiel-ski ucałował rękę naczelnego wodza, który wróciwszy do krwi chłodniejszej, obrócił się do księcia Baratyńskiego: — Pozwól, mości książe, bym mu przedstawił najdzielniejszego naszego kawalerzystę, Adama Śmigiel-skiego. On to poraził na głowę Magnusa, wierną królowi chorągiew znacznie powiększoną ochotnikami do nas doprowadził, szlachtę całego województwa, zbaczającą ze swojej powinności, do posłuszeństwa przywiódł, a to wszystko uwięził daniem nam sposobności przejścia Wisły. Ale, ale, mój Adasiu! spodziewam się, że taka poufałość z mojej strony ciebie nie razi; mam ci coś do oddania od króla jegomości. Oto masz! — i wręczył mu przywilej, który miał przy sobie. — Co to jest, jasnie wielmożny hetmanie? — Oto przywilej na starostwo grodowe Gnieźnieńskie. — Ach panie! czyż zasłużyłem na taką godność? — Zasłużyłeś, zasłużyłeś, spuść się w tym na mnie. No powiedz-że, mój starosto, jakże ci się udało umknąć z więzienia? — A cóż? pocziwy a domowy sługa jasnie wielmożnego pana, mój dobry przyjaciel, Kukawski, ów Laureat, co na wojnie tureckiej nasze trudy podzielał, a sławę jasnie wielmożnego pana spiewał, z największym poświęceniem osoby swojej mnie wybawił. — A to jakim sposobem? — Przebrał się za Kapucyna, dostąpił do mnie, i dał mi swój habit, ogoliwszy mi głowę. Tym sposobem wyszedłem, a on na mojem miejscu został. — Pocziwy Kukawski, poznaję jego serce. — Ja mu się opierałem, ale na swoim postawił. Dowodził mi, że jemu więzienie jest niezbędne dla dokończenia swoich poematów; a kiedy już mnie windowano, jeszcze zaklinał mnie, żebym jego uszanowanie złożył jasnie wielmożnemu panu, jak będę miał szczęście jego oglądać, co mnie jako vates rokował, a za pomocą Najświętszej

Panny się ziściło. — Mój starosto, nagadamy się do woli na tamtej stronie; a teraz dziękuję ci, żeś tak o mnie pamiętał. Bat tak piękny, tak ozdobny, jakby dla przewiezienia nadobnej kochanki, a nie starego hetmana.

To rzekłszy, zaprosił księcia Baratyńskiego i oficerów jego orszaku, i z niemi w asystencyi Chomentowskiego i Śmigiel-skiego, swojego kapelana, kilku towarzyszy i służby swojej, wsiadł na bat, zostawiając zwierzchność nad pozostałym wojskiem i jego przeprawę generałowi Brandt, któremu jeszcze powtórzył rozkaz, żeby jak najspieszniej most był związany, by tabory mogły się złączyć z wojskiem. Bat niej most był związany, a za hasłem danym przez Śmigiel-skiego trąby i kotły się odezwały. Płynął bat, a za nim mnóstwo rozmaitego kształtu statków napełnionych rycerstwem obu narodów, a kiedy się przybliżał do brzegu, huk armat powitał przybywającego hetmana.

Hetman wysiadłszy, obejrzał obóz i oświadczył zadowolenie swoje generałowi rosyjskiemu, że tak dobrze był wytknięty. Pomimo krótkości czasu, był okopany i tyle obronny, że mógłby wytrzymać natarczywość w trójnasób liczniejszego wojska. Hetman wszystko opatrzył, wszystkie oddziały przeglądał; ale trzeba było widzieć radość jego chorągwi, kiedy do niej się zbliżył, a zwłaszcza kiedy Śmigiel-ski ją zdawał Rozwadowskiemu, który po kilkumiesięcznym rozstaniu się z swojemi dziećmi łączył się z niemi, ozdobionymi jeszcze nowemi wawrzyny. A tymczasem baty nie próżnowały, oddziały po oddziałach ciągle przystawując do obozu. Śmigiel-ski, nim się był puścił batem po hetmana, żołnierski obiad kazał przygotować dla niego i starszyny, i otrzymał zaszczyt przyjęcia ich swoim chlebem. Wedle ówczesnego obyczaju, o godzinie jedenastej z rana dostojni goście u niego obiadowali. Książę Baratyński obok hetmana siadł za stołem. Obiad trwał krótko; w nim jedna tylko okoliczność wielkie zadziwienie sprawiła w generałach rosyjskich, jako rzecz dla nich zupełnie nowa. Kiedy przyniesiono pieczone, kotły i trąby z wielkim hałasem się odezwały. Wódz rosyjski, doświadczony we wszystkich prawidłach wojskowości, nie mógł zrozumieć, co to miało znaczyć, zwłaszcza że hetman powstał i skłonił się staroście Gnieźnieńskiemu, który jako gospodarz nie siedział za stołem, ale chodził w około niego, żeby usługiwać gościom. Książę pobudzony ciekawością poprosił hetmana, by go raczył oświecić o tém co widzi i słyszy, a nie rozumie. Hetman mu odpowiedział śmiejąc się: — Jest to etykieta naszego narodu. Ile razy się zdarzy częstować hetmana, na pieczone podają żrebeca samca, by uczcić wodza rycerstwa rycerskim jadem, i huk trąb i kotłów to mu oznajmują. Jeżeli wasza książęca mość masz wstręt do podobnego jada, bo to najwaleczniejszemu mężowi przydarzyć się może, są innego rodzaju pieczenie na jego usługi. — Nie, mości het-

manie — odrzekł książę — miło mi jest we wszystkim iść za jego przykładem. — I nie różniąc się od swoich wodzów, rycerstwo obu narodów wesoło zaczęło pożywać koninę.

Po obiedzie hetman i książę Baratyński robili przegląd wojska już uszykowanego, rozumie się, tego oddziału, który Śmigieński z sobą przyprowadził. Książę nie mógł się odechwalić chorągwi hetmańskiej, dzielności jej koni, zwinności i postawy jej pancernych, ich ubiorowi. Oni mieli na sobie koszulki druciane, a na nich pancerze hartowne, których kula ręcznej broni przeszyć nie mogła. Ich bronią była szabla, pistolety, koncerz i proporzec. Misiurki z ogniwek stalowych okrywały im głowy, a rysie skóry, zarzucone na tyle zbroi, z przodu spięte pazurami mosiężnymi, uzupełniały ich rynsztunek. Było to dziwnie piękne widowisko. A to co najwięcej ich zabezpieczało w potrzebie, każdy towarzysz nosił na piersiach: ryngraf z wizerunkiem Najświętszej Panny Częstochowskiej. Było widziéć, z jakim uniesieniem ta szlachecka i szlachetna chorągiew powitała swojego hetmana, który był razem jej rotmistrzem, albo kiedy po skończonym przeglądzie hetman ją oddał na nowo Rozwadowskiemu. Towarzysze zsiadli z koni, po oddaleniu się hetmana porwali na ręce swojego porucznika i obnosili po całej chorągwi, a ten zalany łzami radości i rozrzewnienia z każdym się całował, nie tylko z towarzystwem, ale nawet z szeregowymi. Na widok tej miłości oznak, i Polacy i Rossyjanie przystomni serdecznie się rozszlochali.

Naczelnicy wodzowie sprzymierzonych wojsk cały dzień jak najwesolej przepędzili z sobą, bo Śmigieński tak szczegółowo ich objaśnił o stanie wojska, będącego pod rozkazami wojewody Poznańskiego, o jego sile liczebnej, o posiłkach, jakie otrzymał i nadal mógł otrzymać od polnego marszałka szwedzkiego, o gorliwości obywateli Małopolskich dla króla Augusta, o rozpowszechnionej w narodzie niechęci ku Szwedom, że już mogli śmiało układać plan dalszej kampanii, ile że jeszcze przed zmrokiem wszystkie obu wojsk armaty i więcej niż dwie trzecie części żołnierzy już były na ich stronie. Skoro nazajutrz ze świtem poszli na brzeg, ich radość podwojoną została, kiedy ujrzeli już na środku Wisły płynące wozy od taboru. Z razu hetman nie mógł zrozumieć co to znaczy, że mostu nie było, a jednak tabor wyruszał. Dopiero kiedy pierwszy transport zawinął do brzegu, ta tajemnica w pełni odkryta została. Brandt przeznaczył, wpadł był na jedną myśl, którą i wykonał. Zamiast związania mostu, co by zanadto wiele czasu wymagało, kazał powiązać tratwy, jakich zwykle używają do przewozu drzew, ale dobrze opatrzone od wszelkiego niebezpieczeństwa. Kilkanaście takich przez dobę stało w gotowości, bo robotnikom odetchnąć nie dał. Każdą tratwę obładował wozami, ile ich wytrzymać mogła, i ją powrozami umocował do galaru poru-

szanego wiosłami, który przodem idąc, powoli transport ciągnął za sobą. Tym sposobem, wszystkie galary, przewiozwszy żołnierzy i armaty, wzięły się do przewiezienia obozu. Do zachodu słońca już całkowity stanął na lewym brzegu. Z ostatnim transportem przybył sam Brandt i raportował hetmanowi, że ani jeden rzemyczek nie został na tamtej stronie.

Mając więc wszystko w gotowości, hetman dał rozkaz wyruszyć nazajutrz przed wschodem słońca całemu wojsku, a staroście Gnieźnieńskiemu porucił dowództwo nad przednią strażą, która się złożyła z chorągwi hussarskiej wielkiej buławy, sotni Kozaków Opatowieckich, których przywiał do siebie, i dwóch sotni Kozaków Mazepy. Ci ostatni byli pod rozkazem atamana Połubotka, doświadczonego Kozaka, który po zdradzie Mazepy otrzymał później jego dostojęństwo od Piotra Wielkiego.

Śmigieński najpierwszy wyruszył. Wojsko powolnym pochodem ciągnęło się za nim, ku granicom województwa Sandomierskiego z województwem Sieradzkim, żeby gdziekolwiek spotkać się z Potockim, o którym wiadano, że dąży ku Wiśle. Niedługo na to czekano, bo w trzecim dniu pochodu, po południu, już kozacy Połubotka ścierać się zaczęli ze szlachtą Wielkopolską, składającą przednią straż Potockiego. Po kilku wystrzałach niewiele skutecznych, Połubotek się cofnął do Śmigieńskiego. Nieprzyjaciel coraz silniejszy nacierał kilkakrotnie na niego, ale ten ciągle wstrzymywał zapęd swoich, i w najlepszym porządku uskuteczniał wsteczny pochód ku Warcie, gdzie była główna kwatera hetmańska, ostrzegając hetmana przez wysłanych do niego towarzyszy, żeby się przygotował do spotkania nieprzyjaciela, gdyż wedle wszelkiego podobieństwa Potocki ma zamiar wydać mu bitwę.

Hetman po krótkiej radzie ze starszą polską i rosyjską, postanowił czekać napadu w silnym stanowisku, które obrał. Połubotkowi rozkazał ucierać się ciągle z lekką jazdą nieprzyjacielską, wszakże nie postępować naprzód, ale jakoby ją wabiąc za sobą, a Śmigieńskiego, z chorągwią hussarską i kozakami opatowieckimi i nieco szlachty województw Podolskich i Ruskich, postawił na lewym skrzydle, raz żeby się ubezpieczyć od tej strony, powtóre, żeby mieć kim dobrym napasę z boku na nieprzyjaciela. Sam, zajmował centrum z piechotą rosyjską, garścią polską, której Brandt dowodził, i kilkoma chorągwiami kawalerii narodowej. Prawe skrzydło opierało się o las, który na początku został opanowany przez strzelców hetmańskich, tak, że od tej strony było bezpieczeństwo. Wojsko Leszczyńskiego pierwsze nastąpiło, Augusta trzymało się odpornie. Armaty, co do ilości z obu stron równe, grać zaczęły.

W pamiętkach Mardefelda czytać można opis tej bitwy pod Warką

w tém szczególnie ważnej, iż w niej pierwszy raz Szwedzi zostali porażeni. Bo lubo wszystkie swoje armaty wyprowadzili, jednak po ośmiogodzinnej walce cofnąć się musieli, zostawując na pobojowisku około tysiąca zabitych i rannych. Trofea ich zwycięzców były przeszło czterechset wziętych niewolników i dwie chorągwie szwedzkie, pierwsze, które od początku wojny z Rosyją i Polską utracili. W tym opisie generał Mardefeld sprawiedliwość oddaje nie tylko waleczności, nigdy niezaprzeczonej rycerstwa polskiego, ale i uczonym kombinacyom ich naczelnego wodza. Była jedna chwila stanowcza, w której sam hetman z buławą w ręku szarżował rajtarów szwedzkich na czele pancernych i hussarów, z takim narażeniem osoby swojej, że omal nie został wziętym w niewolę. Mówi o zaciętej zaciepce, niemniej o zaciętym oporze, jaki się dał widzieć w lesie, o który prawe skrzydło polskie się opierało. Szwedzi cztery razy weszli do tego lasu i cztery razy byli z niego wyparowani. Książę Baratyński, po raz ostatni zdobywając ten las, niebezpiecznie został rannym. Z tém wszystkiém ostateczne rozstrzygnięcie tej bitwy na korzyść Augusta i potężnego jego sprzymierzeńca, przyznaje Śmigielskiemu.

Nie ma wojen okropniejszych nad wojny domowe, bo w żadnej innej namiętności osobiste nie są do równego stopnia podniesione, ale też żadne nie są tak korzystne dla dziejopisarza i poety, z powodu epizodów w jakie obfitują. Przytoczę jeden, który się wydarzył pod Warką, a którego pamięć dotąd zachowuje się w podaniu. Rzeszotarski, podstarosta Wschowski, niegdyś dzielny żołnierz Jana Sobieskiego, połączony ścisłą przyjaźnią z Potockim, wojewodą Poznańskim, a hetmanem Leszczyńskiego, poświęcił się jego stronnictwu, i nie zważając na wiek nieco podeszły, wyruszył z oddziałem ochotników stanu szlacheckiego za wojewodą. Trzeba było, żeby syn jego jednak, towarzysząc w chorągwi wielkiej buławy, znajdował się na Podolu w chwili, kiedy naród rozdzielił się między prawym królem, a tym co jego berło usiłował sobie przywłaszczyć. Nie odstąpił od swojej chorągwi i poszedł z hetmanem, nie spodziewając się, że ojca spotka w przeciwnym obozie. W czasie najzaciętszego pomieszania szyków, kiedy nieprzyjaciół już się ratował uciekając, ujrzał rycerza na koniu dziwnie piękności, uciekającego przed nim. Pobudzony chęcią dostania tego konia, puścił się za nim w pogoń, dopędził go, i ciężką swoją szablą takie mu cięcie zadał po karku, że rycerz opuścił strzemiona, i padł o ziemię. Uradowany młody Rzeszotarski kazał luzakom zabrać konia, i rannego nieszczęśliwego przeciwnika krwią zlanego. Ale kiedy go wniesiono do zwyciężkiego obozu i oduciono, gdyż rana nie była śmiertelną, syn poznaje ojca. Na ten widok rozum młodzieńca

wytrzymać nie mógł, w jednej chwili dostał pomieszania zmysłów. Ojciec wrócony do domu, za łaską hetmana, wywiózł swojego jednynaka; odtąd usiłował go ciągle pocieszać, niczego nie zaniedbując, żeby go wrócić do przytomności. Marne zabiegi, próżne starania. Światło umysłu na zawsze w nim wygasło; jeszcze lat kilka włókł nieszczęśliwy żywot; przed zgonem odzyskał przytomności tyle, ile mu było potrzeba, żeby skończyć po chrześcijańsku, a ojciec w rozpacz zamknął mu powieki.

Inny jeszcze był ustęp, ściślej związany z akcją, jaką wystawiam czytelnikowi. Wojewoda Poznański, na czele prawie całkowitej jazdy swojej rozbiwszy Połubotka, zabierał się uderzyć na centrum nieprzyjacielskie, i tu sprawiedliwość winna być wymierzona Śmigielskiemu, że jego przytomność wyratowała całe wojsko. Z nierównie mniejszą siłą odważył się atakować oddział, który flank wojewody asekurował, i w jednej chwili udało mu się go przewrócić. Taką korzyść odniósłszy, napadł z tyłu na wojewodę w samém jego poruszeniu, i wydarł mu wszelką nadzieję zwycięstwa. Wojewoda, wzięty z dwóch stron, musiał się cofnąć. Szuki pomieszały się z sobą, zrobiła się bitwa homeryczna, pojedynczy rycerz łamał się z pojedynczym rycerzem. Było to widowisko straszne i poetyczne. W tém zamieszaniu, koń wojewody zwałił się, ugodzony w czoło kulą od pistoletu, a kilku jeźdźców, którzy go poznali, zeskoczyli z koni po tak świetną zdobycz. Szamotał się wojewoda, ale już był w ich ręku. Śmigielski ledwo to obaczył, pośpieszył jak najprędzej; krzyknął na towarzyszków rozjuższonych, żeby go natychmiast puszczone. Głos wodza nie mógł być bezskutecznym. — Panie wojewodo — odezwał się do niego młodzieńiec — ojciec Zosi, dobroczyńca mojej krwi, żadnej przykrości nie doświadczy tam, gdzie Adam Śmigielski rozkazuje. Może wykraczam przeciwko mojej powinności, ale nie znam powinności, któraby mnie obowiązać mogła do wyrządzenia mu krzywdy. Niech pan siada na mojego konia, on jest tak wartki, że żaden koń u nas go nie doścignie. Uciekaj, panie! Strzeż cię Boże, żebyś wpadł w ręce naszych; ja żadnemu z naszych nie pozwolę go ścigać. — A do swoich: — Szwedów mi zabierajcie jak najwięcej, a dla swoich bądźcie umiarkowani w gonitwie. — Wojewoda siadł na konia, i jak strzała uszedł z pobojowiska, w obliczu zadziwionego żołnierstwa.

Uradowane tak świetnym zwycięstwem wojsko, po krótkim spoczynku posunęło się dalej. Sława tego dnia powszechnie przyznana była Śmigielskiemu, wszakże jego postępek z wojewodą, ściągając na niego naganę wodzów. Chomentowski domagał się nawet, żeby został sądzonym; ale hetman wziął jego obronę i przekonał go, że po takich wysługach oglądać się na jakieś jego przeciwienie, nie zgadza się ani z wdzięcznością jemu należną, ani nawet z bezpieczeń-

stwem własném, gdyż wojsko tyle pokłada w nim ufności, że jego prześladowanie niezawodnie wywołałoby powszechne szemranie w obozie. A będąc na osobności ze Śmigielskim, powiedział mu:—Jestem ci wdzięczny za twój postępek, boś mnie uwolnił od wielce smutnego położenia. Chociaż wojna domowa mnie stawia przeciwko wojewodzie, nigdy nie życzyłem sobie być zmuszonym postępować z nim jak niubłagany nieprzyjaciół. a gdyby był moim jeńcem, nie miałbym sposobu go ocalić. Bądź pewny, że najmniejszej szkody nie poniosłeś w moim szacunku.

XXXI. Rozwiązanie.

Nie będę opisywał dalszego zawodu Śmigielskiego, który do historii dokładnej należy; jestem tylko powieściopisarzem, i nie przechodzę szranek mojego powołania. Zostawuję dziejopisarzom opis zwycięstw pod Piotrkowem i Kaliszem, do których tyle się był przyczynił, a spieszę do rozwiązania jego miłości z Zosią, i jak po tylu przygodach, po tylu przeciwnościach ta miłość uwięzioną została.

Komuż niewiadomo, jak powrót Karola XII z Saksonii na czele bitnego swojego wojska, zniszczył te zwycięstwa nad jego podwładnymi otrzymane? jak Rzewuski musiał na nowo oprzeć się aż na Pokuciu, jak Karol XII wszystko przed sobą wywracając, dopiero pod Połtawą znalazł grób i swojej sławy i swojej potęgi, jak Śmigielski dowodził w tym dniu pamiętnym, który utwierdził wielkość Rossyi, oddziałowi Polaków, który się tak dzielnie przyczynił do tego zwycięstwa, i jak chlubne jest o tém wspomnienie w dzienniku Piotra Wielkiego?

Skutki bitwy pod Połtawą zapewniły wyższość Rossyi, ale niemniej były stanowcze dla Polski. August drugi wrócił na tron, z którego nieprawnie straconym został. Leszczyński, z chwilowego króla wygnaniec, już był się schronił nad Ren z żoną i córką, gdzie go wkrótce potem spotkało świetniejsze przeznaczenie, niż dzierżenie tej kłopotliwej korony, którą przez czas jakiś nosił. Jego stronnictwo rozwiązane zostało; wszyscy co do niego wchodzili, przebaczenie otrzymali. Jeden tylko Potocki wyjęty został z amnestyi, i wszystkie zabiegi jego przyjaciół, jakkolwiek wysłużonych Augustowi, w tém jedném wstępie przewyciężyć nie mogły. Nieodstępny towarzysz Karola XII i pod Połtawą i w Benderze, nie bez jakiejś słuszności był uważany od króla za najzawziętszego przeciwnika, i kilkakrotnie ten oświadczał, że kto za Potockim do niego przemówi, tego za przyjaciela poczytywać nie może.

Tymczasem Polska zupełnie się uspokoiła. Król tak dalece został silnym w narodzie, iż nawet zaczął przemyśliwać, jak koronę wyborczą zamienić w dziedziczną dla krwi swojej. W tym celu pod jego

wpływem zawiązała się konfederacja Tarnogrodzka, pod łaską Ledóchowskiego która zamieniona w sejm przezwany niemym; zwinęła wojsko Rzeczypospolitej, redukując je na dwanaście tysięcy głów. Zamiar nieprawy pomyślnego rozwiązania nie otrzymał; król ani nawet odważył się wnieść projektu zamiany elekeji na dziedzictwo, tyle tylko że wyzwał naród z obrony.

Wszakże król po tylu przygodach, tyle był popularności uzyskał, że z wszelkiém bezpieczeństwem mógł sobie pokazać wspaniałomyślnym. Hetmani Sieniawski i Rzewuski, jakkolwiek między sobą już emulować zaczęli, zgodzili się, by złączyć swoje usiłowania dla otrzymania od króla zupełnego przebaczenia dla wojewody, z którym znosili się listownie. Bo już i jemu naprzykrzyło się było tułactwo, i szczerze się chciał pojednać z królem i odtąd być jego wiernym poddanym. Król, lubo znacznie ułagodzony, jednak odmówił hetmanom, tyle tylko, że im nie odbierał jak dotąd wszelkiej nadziei, bo pierwszy raz im powiedział: — Trzeba to zostawić jeszcze czasowi.

Wtém wydarzyła się okoliczność przyjazna dla wojewody, który natenczas bawił w Cieszynie na Szlasku, oddalony od żony i dzieci. Bo pani wojewodzina z córką zawsze mieszkała w Krotoszynie, zkąd dosłała pieniądze mężowi na jego utrzymanie; a jego synowie, po uczynionej submissyi królowi, już byli powrócili do swoich urzędów, i nawet zaczęli nabywać względów u niego. Otóż w tym właśnie czasie Piotr Wielki i August wtóry umówili się zjechać do księcia Lubomirskiego, by z sobą porozumieć się osobiście o dalszych interesach obu państw. Wiadomo, że Piotr Wielki przemyślał łącznie z Karolem XII, żeby prawego króla Anglii osadzić na należnym mu tronie, i zepchnąć z niego elektora Hanowerskiego. Piotr Wielki na flocie hiszpańskiej zamierzał zawinąć z wojskiem swoim i szwedzkim do Szkocyi, a żądał żeby August z swoimi Sasami i Polakami, zajął Hannover, i w tym celu chciał się z nim widzieć. Śmierć Karola XII nie pozwoliła tym projektom zamienić się w czyn.

Hetmani wezwani na ten zjazd ułożyli, by na nim otrzymać dla Potockiego to, około czego od dwóch lat bezskutecznie pracowali. Książę starosta Kazimirski był krewnym Potockiego, i miał dla niego wielki szacunek. Książę kanclerz Radziwiłł, którego Piotr Wielki nazywał najściślejszym swoim przyjacielem, miał być na tym zjeździe, a więc hetmani postanowili użyć instancyi Piotra Wielkiego do króla za Potockim, na wypadek, jeżeliby król okazał się twardym, a rachowali na księcia kanclerza, że tę instancją otrzymają, bo byli aż nadto pewni, że car jemu czego nie odmówi. Książę Radziwiłł swoje współdziałanie przyobiecał.

Już byli hetmani wyprawili gońca do Cieszyna, zapraszając wojewodę do księcia starosty na dzień umówiony, a drugiego do Krotos-

szyna z listem do wojewodziny, w którym wystawili jęj niezbędność przybycia z córką na tenże sam dzień do księcia, dla widzenia się z mężem i ratowania go u króla, rokując jęj najlepszy skutek z tego kroku. Zjazd był wielki w Opolu. Cała polska magnacya na nim się zebrała. Król August o dwie godzin tylko wyprzedził przyjazd swojego wielkiego sprzymierzeńca, żeby go przyjąć. Cały dzień był obrócony na zabawy, a konferencyą odłożył Piotr do dnia jutrzejszego.

Zauważmy, że Adam Śmigiełski, już stolnik koronny i właściciel kilku starostw, był z liczby tych, których Piotr Wielki zaszczycał najszczególniejszymi względami. I nie dziwnego. On jeden z Polaków będących w tém zgromadzeniu, znajdował się pod Połtawą. Piotr często z nim rozmawiał, a zwłaszcza o szczegółach służby jazdy. Przyszło do tego, że mu powiedział: — Mości panie stolniku, ofiarowałem waćpanu służbę w mojem wojsku; szanuję pobudki, które mu nie dozwoliły jęj przyjąć. Wszakże bądź pewnym, że ile razy się udasz do mnie, znajdziesz zawsze we mnie przyjaciela. Przykro mi jest tylko, że niczem nie mogę waćpanu dowieść, że go kocham i szanuję; zażądaj coś takiego, coby było w mojej mocy uczynić, a obaczysz, jak skwapliwie zadość uczynię temu żądaniu. — Najjaśniejszy panie! w mocy twojej zrobić mnie szczęśliwym; od jednego twojego słowa mój los może zależeć. — Powiedz, co chcesz. — Po takiej zachęcie byłbym najnierozsądniejszym z ludzi, gdybym przed waszą cesarską mością nie otworzył mojej duszy. Kocham i jestem kochany, a jednak nie mogę otrzymać ręki przedmiotu moich uczuć. — Cóżto! ona ma już męża? — Nie, najjaśniejszy panie, ona jest panną, ale sobą rozrządzać nie może; ma ojca, a ten nigdy na jęj związek ze mną nie pozwoli. — Chyba oszalał, że takiego nie chce zięcia? Czémże się jemu naraziłem? — Niczem, najjaśniejszy panie! ale on jest z plemienia wysokiego w narodzie, w jego rodzie sami hetmani, senatorowie, dygnitarze. Jednem słowem jest to magnat, i miałby za hańbę łączyć swoją krew? krwią jęj nie odpowiednią w świetności. A ja, lubo łaska króla, mojego pana, wyniosła mnie i wzbogaciła, urodziłem się ubogim szlachcicem, jestem synem jego sługi. Oto jest, co między mną a życzliwością wojewody stawia mur, który tylko łaska waszjej cesarskiej mości obalić zdoła. — Wszakże jesteś sam generałem, dygnitarzem, ozdobiony orderami. Przecież mówią, że u was szlachta z sobą równa. Ojciec waćpana kochanki musi być wielkim dziwakiem. Tylko cóż mam się dziwić? i u nas były podobne gupstwa, pokąd miestnicestwo nie zostało zniesione, a za służba osobista nie wzięła góry nad pamiątkami historycznymi. Powiedzże mi, któż to jest ten dumny magnat, który na waćpanu nie umie się poznać? — Wasza cesarska mość jutro go będzie oglądać,

jest to pan Potocki, wojewoda Poznański, a hetman Leszczyńskiego. — I głowa jego partyi. Ten nasz zacięty nieprzyjaciel, któregoście tak przetrzepali z hetmanem Rzewuskim pod Warką. A przecie powinni być łaskawym na waćpana, boś go wypuścił z niewoli, nawet mu dałeś własnego konia. Życie swoje zryzykowałeś dla niego, bo gdybym był z wami, możebyś tę wspaniałomyślność drogo był opłacił. Ale to już minęło, mój mości Śmigiełski; Bóg z nim! Jednak ciekawy jestem go poznać. Nie wiedziałem, że otrzymał przebaczenie u waszego króla. — Jeszcze nie otrzymał, najjaśniejszy panie, ale hetmani na to go sprowadzają, żeby króla przeprosił, a księżę kanclerz obiecał, że niczego nie opuści, żeby to przebaczenie jemu wyjednać, chociażby miał użyć pośrednictwa waszjej cesarskiej mości. Już rzeczy tak ukartowane, że król pewnie głuchym nie będzie na tyle poważnych instancji. Cała magnacya za nim prosić będzie. Otóż, ale nie śmiem o taką łaskę prosić waszą cesarską mość. — Mów śmiało, mości Śmigiełski. Każdy który u nas walczył pod Połtawą, nabył wszelkich praw do mojej łaski, i śmiało może odzywać się do mnie w każdej potrzebie. — Kiedy mnie wasza cesarska mość tak wspaniałomyślnie ośmielasz, błagam abyś najjaśniejszy panie, kiedy król przebaczy panu wojewodzie, z swojej strony do niego jakies za mną łaskawe słowo wymówił, aby mi nie odmówił ręki téj, którą nad życie kocham. — Bądź spokojny, mości panie stolniku! Będę twoim swatem, a Piotr nigdy bezskutecznie niczego się nie domagał.

Nazajutrz zjazd u księcia starosty Kazimierskiego znacznie się powiększył. Zjechała między innymi pani wojewodzina Poznańska z córką swoją Zofią. Obie damy były czarno ubrane, z powodu iż małżonek i ojciec był jeszcze wywołany; ile że po Wielkiéj polsee chodziły wieści, jakoby król August miał oświadczyć, że innych przeciw sobie przewinienia już zapomniał, ale jednemu wojewodzie nigdy nie odpuści. Wszakże ich smutny ubiór nie robił krzywdy ich wdziękowi, bo wszyscy przyznali wyższość nad innymi znajdującymi się damami nie tylko wojewodziance, ale nawet jęj matce, która jeszcze za doskonałą piękność uchodzić mogła. Król August nadzwyczajnie był grzeczny dla wojewodziny, i car Piotr prosił króla, żeby ją z nim poznał.

Śmigiełski, który od tak dawnego czasu ich nie widział, witając wojewodzinę ukląkł przed nią, dziękując jęj za tyle łask, jakich od niej doświadczył, im przypisując niniejsze swoje położenie. Wojewodzina mu podała rękę jako przyjaciółka, winszując mu nowych zaszczytów, i ziszczenia wszystkich przepowiedni babuni. Po czém długo z sobą rozmawiali o téjże babuni, jeszcze żyjącej, choć posuwającej nogi, a ciągle pragnącej oglądać najprędzej kochanego Adasia. Wojewodzina mówiła mu dalej o jego ojcu Zacharyaszu, zawsze kierującemu gospodarstwem Krotoszyńskiem pomimo wyniesienia się syna, i o jego

matce. Wszystkie te szczegóły o tak drogich dla Śmigielskiego istotach łakomie były przez niego chwytane. Dziś tegoby pojąć nie mogli, co wówczas było w powszechnym obyczaju, że dygnitarz, wysoki urzędnik, okryty sławą w dwóch potężnych narodach, zaszczycony względami własnego króla i obcego cesarza, do tego możny dostatkami, nie tylko że nie taił się z tem, iż wzrost swój winien domowi Potockich, i że jego ojciec dotąd jest sługą tego domu, ale nawet bez niczyjego zadziwienia robił sobie z tego chlubę.

Do Zosi zbliżył się z oznaką głębokiego uszanowania, nie jak do kochanki, której posiadał wzajemność, ale jak do córki swojego pana. Jój serduszek musiało zastukać; tego jednak nikt nie spostrzegł. Była to dziewczica starożytnego hartu, od dzieciennych lat nawykła władać sobą, tak że kiedy do niej przemówił, odpowiedziała mu jako do dobrze jój znajomego, bez poufalości i bez tej wymuszonej oziębłości, która najwięcej zdradza rzeczywiste uczucia płci pięknej. Lica dziewczicy rozjaśniały żywszą barwą przy jój spotkaniu się z rycerzem, ale z tego żadnego wniosku nie można było uczynić o jój skłonnościach. Bo w ówczesnych obyczajach stosunki obu płci były pod surową strażą opinii. Nie tylko panna, ale mężatka nawet tak była ostrożną w rozmowie z takim, co nie był z nią żadnem pokrewieństwem złączone, że samo jego przybliżenie się do niej widoczne jakieś pomieszczenie na niej sprawiało. Dopiero matka dorosłych dzieci, matrona, emancypowała siebie z tych ścisłych prawideł. Jój wolno było zdanie swoje o wszystkim i o wszystkich głosić. I zdaje mi się, że jeżeli w narodzie burzliwym i wojowniczym, jakim był polski, taka grzeczność, taka słodycz, takie umiarkowanie cechowały jego towarzystwa, to szczególnie przypisać można tej czi, jaką szlachta nasza wyznawała dla matron. One panowały samowładnie w każdym zbiorze biesiadniczym. Biada młodzieńcowi, któryby w ich przytomności się zapomniał. Długim zawodem uległości częstokroć ciężkim obowiązkiem, zabezpieczały sobie tę powagę, która już w innych narodach zaczynała upadać. I to jest rzeczą pewną, chociaż nikt dotąd nie zauważył, że nigdzie język potoczny, użyty dla zamiany myśli i zabawy towarzystw, nie doszedł do tej czystości, tej grzeczności, tej nawet wykuintności, jaki był w użyciu w domu każdego obywatela, nawet na prowincyi mieszkającego. Wyrazy gminne, dwuznaczne, mogące razić czémkolwiek skromność, były wygnane ze szlacheckiego towarzystwa, dzięki uszanowaniu jakie wszyscy mieli dla matron. Nigdzie właściwiej nie można było powiedzieć, niż w Polsce, że jeżeli ojcowie tworzą prawa, matki tworzyły obyczaje (*).

(*) Niestety, już ta barwa cywilizacyi, która jeszcze w początkach niniejszego stulecia odznaczała nasze szlacheckie towarzystwa, dziś prawie znikła. A żąd-że to

Jednak Śmigielski odważył się jój powiedzieć w ciągu dyskursu. — Powinienbym paść do nóg pannie wojewodziance, żeby jój podziękować za to wszystko, co z jój łaski otrzymałem. — Nie rozumiem, co pan stolnik cheesz przez to powiedzieć. — Pozwól pani wyznać przed nią, że i te zaszczyty, które o tyle tylko cenię, ile one mnie w czémkolwiek do pani zbliżają, nigdyby nie były moim udziałem, gdyby jój dobroć nie otworzyła mi pola do ich nabycia. Pocziwy Kukawski o wszystkim mnie uwiadomił, kiedy... — Tu mu przerwała wojewodzianka. — Do nieczego się nie przyznaje, mości stolniku, tylko do tego, że nie przystoi mi słuchać tej mowy. — To rzekłszy wstała, nie zdając się zważać na zasmucenie Adama, i usiadła obok swojej matki, od której dotąd była przedzieloną.

Piotr Wielki kiwnął na Śmigielskiego, który na ten znak do niego skwapliwie przystąpił. — Mości panie stolniku — rzekł car do niego — winszuję ci przyszłej żony, dziwnie piękna dziewczyna. — Najjaśniejszy panie! słowa twoje są wyroki przeznaczenia, bo cóż się im oprzeć może? A jednak nie śmiem puszczać wodzów nadziei. — Otóż to rycerz! Walczyłeś pod Poltawą, a boisz się przyszłości! Rozmawiałem z moim bratem Augustem, waszym królem; on dawno byłby przebaczył Potockiemu, tylko na mnie się oglądał, myśląc że ja się na niego gniewam. Ale ja jemu powiedziałem, że mnie w głowie urządzenie moich państw po tak długiej wojnie, a nie to, że tam jakiś wasz wojewoda trzymał przeciwko mnie z moim bratem Karolem. Już się pojednałem i z nim, a nawet go szczerze kocham, bo to wielki król; on mi dał wielką naukę, i za nią umiem być wdzięcznym. Nie jam go pobił, Bóg był za mną, a Bogu nikt się nie oprze. Co znaczy rozum i ludzka siła? Tyle tylko, że powiedziałem waszemu królowi, że jeżeli uszczęśliwić chce swojego wroga, niechże przytém uszczęśliwi i wiernego a zasłużonego jemu poddanego. Wié król, że Potocki już się znajduje w Opolu, i że ma się tu wygrać scena teatralna. Zwyczajnie po waszemu, otoczą króla panowie rada, na dane hasło wprowadzą winnego, ten królowi padnie do nóg, panowie rada klęką przy nim, ręce wyciągając. A król podniesie pana Potockiego, i jutro tak będzie widziany od niego, jak gdyby go nigdy nie odstąpił. Jednak uprosiłem króla, żeby przy tej okoliczności prosił dla waćpana o rękę panny wojewodzianki. Zdaje się, że po otrzymaniu przebaczenia, nie przystałoby mu się opierać woli króla; wszakże gdy-

poszło? oto ztąd, że nasze kobiety, na wzór francuzkich, zanadto wczesnie zaczęły się emancypować i przez to wszelki wpływ utraciły. A skoro tylko mężczyźni przestali się lękać kobiet, anarchia opanować musiała koniecznie salon. Tym sposobem powróciłszy do barbarzyństwa. Sprowadzane z Francyi i Szwajcaryi guwernantki, niewyrachowane szkody przyniosły naszemu ukształceniu.

by, czego się nie spodziewam, okazał się twardym, wtedy ja wmięszam się do rozmowy. A nie myślę, żeby wasz wojewoda chciał się ze mną kłócić. — Śmigieński rozczulony nie nie umiał odpowiedzieć, tylko porwał cara za rękę i przycisnął ją do ust swoich.

Tak się stało, jak powiedział Piotr Wielki. Hetmani, księżę kanclerz, księżę gospodarz domu i wszyscy panowie zaczęli prosić króla za wojewodą, pokazując mu jego żonę i córkę, i obrócili się do cara, prosząc o jego wstawienie się. Wtém, za umówionym znakiem, drzwi się otworzyły, stary wojewoda przybiegł do króla i padł mu do nóg, żona i córka ukłękły obok niego przed królem, i wszyscy panowie, a między niemi i Śmigieński, także ukłękli błagając miłosierdzia. Król podniósł dostojne damy, kazał wszystkim powstać, i powiedział: — Puszczam w zapomnienie co było między nami, mości wojewodo, a tuzę, że odtąd będziesz mi zawsze wierną radą i przyjacielem. — Wojewoda powtórnie padł do nóg królowi.

Król przedstawił wojewodę Piotrowi Wielkiemu, który mu powiedział: — Nie możemy się zaprzéć naszej znajomości. Pod Połtawą widziałem, jak mężnie na czele garści ochotników zasłaniałeś odwrót króla Szwedzkiego. — Najjaśniejszy panie, nie zawstydzaj mnie tém, co bym rad krwią moją okupić, a o czém król, pan mój miłościwy, zapomniał; kiedy tak łaskawie, tak wspaniałomyślnie wrócił mi swoje łaskę. — Nie, nie mości wojewodo! waleczność ma zawsze swoje cenę, chociażby nie była połączoną z powinnością. A że ze zwykłą jemu dzielnością waleczyłeś przeciwko mnie, tém na moim szacunku nie straciłeś. Może Bóg da, że działać będziemy razem dla wspólnej sprawy. — Chociaż w moim wieku, najjaśniejszy panie, przystoi myśleć nie o sławie, ale o zbawieniu, wszakże niczego nie pragnę, jak doczekać, bym mógł i moje stare kości powlec w usługi mojego pana, i wielkiego jego sprzymierzeńca. — O tém nie wątpię, mości wojewodo. Ale nim to nastąpi, możesz mnie przekonać, że chcesz być moim przyjacielem, przyzwalając na to, co najusilniej pragnę. — Mów najjaśniejszy panie, a bądź pewny, że nie możesz mnie dać takiego rozkazu, którego bym najgorliwiej nie usiłował spełnić. — Kiedy tak, a więc nie pozostaje mi jak powinszować sobie, że mogę wywiązać się przyjacielowi króla i mojemu z długu, jaki u niego zaciągnąłem. Mości panie wojewodo, pozwól bym mu przedstawił bohatera kiedyś mu znanego, pana Śmigieńskiego, stolnika koronnego, jednego z bliższych i mojego, i waszego króla serca, i prosił o rękę waszej córki dla niego. Wszak przyrzekłeś dopiero zadość uczynić temu, co od niego zażadam. Gdybym nie ufał jego słowu, srodze bym go obraził w chwili, kiedyśmy się na zawsze z sobą pojednali. — Wojewoda nieco się zmieszał na widok Śmigieńskiego, który ze drżeniem oczekiwał swojego wyroku.

Po krótkim milezeniu wojewoda przyszedł do siebie, i zdobył się na taką odpowiedź: — Najjaśniejszy panie, w chwili kiedy oglądam razem i mojego króla, i potężnego jego sprzymierzeńca, tak jestem przejęty szczęściem, jaki moja ojczyzna otrzyma z ich przyjaźni, że mojej myśli nie umiałbym zwrócić do prywatnych okoliczności domowych, nie zasługujących na wdanie się tak wielkiego monarchy. — Mości wojewodo, zawsze byłeś dzielnym rycerzem, a nie jurystą, więc podobne wykręty nie są godne ani waćpana, ani mnie. Wiem, że pan stolnik jest synem waćpana sługi, bo on sam mnie o tém oświecił, i tego bynajmniej nie poczytuje sobie za hańbę; ale wiem także, że nie ma krwi, którejby jego osobiste zasługi nie sprostwały wszędzie, a tém więcej u was, gdzie szlachta jest równa z sobą. Wreszcie pozwól sobie powiedzieć, że masz dla niego obowiązki, bo chociaż wyraziłeś mu krzywdę, jemu winienes, że tu z nami się znajdujesz swobodny. Przypomnij sobie bitwę pod Warką. Nakoniec, mam waćpana słowo. — Tu przybrał twarz nieco surową. — Interes pana Śmigieńskiego poczytuję być moim własnym, bo go zapewniłem o dobrym skutku mojego wstawienia się za nim, i nie spodziewam się, żeby w przytomności mojego brata Augusta, jego poddany narażał mnie na wstyd, że mojej obietnicy dopełnić nie mogłem. — Na te słowa odezwał się król August. — Mości wojewodo, nie mam prawa mojej woli stawiać przeciw woli rodziców w postanowieniu ich dzieci, ale miałem prawo na zawsze mu wzbronąć powrotu do naszej ojczyzny, a jednak tyle znałem szacunku dla waćpana, że za pozwoleniem najjaśniejszego imperatora, któremu winienem odzyskanie moich praw, mimo siebie puściłem żal, jaki mogłem czuć do waćpana. Wreszcie, jeżeli którykolwiek z moich poddanych sprzeciwia się woli mojego brata, przyjaciela i dobroczyńcy, ten mnie osobiście obraża. — Poczém łagodniej: — Mości wojewodo, jesteś nadto pobożnym, żebyś się opierał żądaniu dwóch głów koronowanych; oto jest żona waszmości, której oddawna nie widziałeś; uściskaj swoją córkę, i oddaj ją naszemu przyjacielowi. Ja o jej rękę proszę.

Wojewoda nie nie odpowiedział, wziął rękę córki i rękę Śmigieńskiego, a oboje mu padli do nóg, kiedy on je połączył i zaczął błogosławić.

XXXII. E p i l o g.

Sam król sprawował wesele Śmigieńskiego z Zosią, wesele, które nastąpiło kilka niedziel potem w Warszawie. Piotr Wielki na niem się nie znajdował, ale posłał hojne upominki dla panny młodej. Na ten obrzęd Adam sprowadził do Warszawy rodziców i babkę, która

wszystkim bardzo się pobobała, a nie posiadała się z radości, że Opatrzność ziściła to wszystko, co przepowiadała o losie przyszłym Adasia.

Pan wojewoda, stosownie do polskiej natury, raz przyzwoliwszy na małżeństwo córki z Adamem, już w niczem nie pokazał, żeby to przyzwolenie mu ciążyło. Być może, że w czasie obrzędu, kiedy widział na równi z sobą siedzącego swojego sługę, a zwłaszcza kiedy jego córka, po swoich rodziców błogosławieństwie, z kolei ukłękła z obłubieńcem przed jego rodzicami i babką, i padła im do nóg, ta scena może ubodła jego arystokratyczne uczucia; ale to pewna, że tego nie pokazał, i owszem cały ten dzień wszyscy widzieli w nim prawdziwego szlachcica, nie przyznającego sobie rodowej wyższości nad braćmi. A pan stolnik koronny tyle miał wziętości i u króla i w narodzie, że nie było pana, któryby nie był rad mieć go koligatem. Zresztą był sam panem, piastując wysokie dostojęństwo, a posiadając intratne starostwa.

Król wielką poufałość mu pokazywał, i na pokojach swoich chcąc go uczyć, co wiedział że dla niego jest najprzyjemniejszym, po kilkakrotnie rozmawiał z jego rodzicami i babką, dziękując, że tak dobrze wychowali Adama; gdyż temu wychowaniu winien wszystkie swoje zaszczyty i szacunek, jakie pozyskał w narodzie. Wszakże pomimo tylu powodów oddania się wesołości, pan Zacharyasz chodził jak nie swój, przyjmował z pokorą, ale z widocznym roztargnieniem wyrazy, które do niego wychodziły z ust króla, a kiedy wojewoda do niego wyrzekł: — Panie Zacharyaszu, jesteście teraz w swojactwie, kiedy nasze dzieci się połączyły — ten tak się zmięszał, że długi czas ani słowa wymówić nie mógł, a potem zająkując się, zdobył przecie na odpowiedź: — Jaśnie wielmożny panie, ja zawsze sługa pański, a do tego co się tu robi, w niczem nie należałem, ani się tego spodziewałem, ani własnym oczom wierzę. Wszystko mi się wydaje być marą, a tém tylko się troszczę, żebym łaski jaśnie wielmożnego pana nie utracił; bo te wszystkie wielkości nie dla mnie; już jestem za stary, żebym do nich nawykał, a jako na jaśnie wielmożnego pana chlebnie wychowałem się i wzrosłem, także radbym przy jego łasce, na tymże samym chlebie i umrzeć. Niech mój syn, zwłaszcza przy takiej koligacji, będzie sobie panem, a ja sobie zawsze ubogim szlachcicem; ja bynajmniej odmienić nie chcę mojego stanu.

Pani Zacharyaszowa więc się oswajała z powrotem syna, a co do babuni, ta zawsze tak była tego pewna, że to dla niej nie było rzeczą niespodzianą. Staruszka tak umiała swoje godność zachować nawet przy królu, że panowie go otaczający pokilkakrotnie powtarzali: — Oto prawdziwa matrona polska!

Panów i szlachty mnóstwo było na pokojach. Adama wszyscy znali, podziwiali wdzięki jego dostojnej małżonki i szczerze mu win-

szowali szczęścia, jakie go spotkało. A co więcej jeszcze zjednało dla wojewodzianki już stolnikowej uwielbienia, niż jej czarująca piękność, to uszanowanie, jakie okazywała dla rodziców i babki męża. Teścię i babunię często całowała w rękę, bo co do pana Zacharyasza, ten ciągle trzymał ręce za sobą, a synowej niziutko się kłaniał. Ale względem syna był śmielszym; jego żonę nazywał jaśnie wielmożną stolnikową, a syna zawsze panie Adamie i waś. I ani jego dygnitarstwo, ani gwiazdy błyszczące na piersiach bynajmniej mu nie imponowały. Ale też było widzieć, z jakim szanowaniem syn do niego mówił.

Ale kiedy pan Zacharyasz z żoną, po weselu, został sam na sam w komnacie, przed nią wynurzył się ze swoich uczuć. — Cóż powiesz Marysienku? w piersi muszę się uderzyć, że nie wierzyłem w świętość mojej matki, tak jak ona na to zasługuje. Czy pamiętasz, jak to nieraz mnie piotra napędziła, mówiąc o przyszłych wielkościach naszego smarkacza, a co gorzej o jego ożenieniu z naszą wojewodzianką? Otóż wszystko wywróżyła, jak z rejestru. Bóg wielki, kiedy mógł tak wynieść naszego syna. To pewna, że prędzejbym się śmierci spodziewał, niż go oglądać orderowym panem, stolnikiem koronnym, a co jeszcze lepsza, starostą kilku starostw intratnych. A do tego zawsze posłuszny syn. Dałbym ja jemu, gdyby mnie nie szanował. Z synem choć magnatem, to nie z moim panem robota. Dobry chłop! niech go Bóg i nadal błogosławi! — Spodziewam się, mój mężu, że my przy nich osiadziemy. — O! nie, Marysiu, już ja nie opuszczę Krotoszyńskiego! Jak ty chcesz, żebym się rozstał z tym sadem, gdzie każde drzewo szczepione moją ręką, i z moją winnicą, która co roku więcej wina mi przynosi? Dozwoli mi pan nadal sobie służyć, i owszem; a jeżeli z powodu, że jestem ojcem jego zięcia, a jednak chudym pacholkiem, mnie sobie zbrzydził, bo ja nie bardzo wierzę tej równości, z jaką wielcy panowie występują przed nami szlachtą, to ja sobie w moim dworku będę Panu Bogu służył, a swój chleb jadł. Mamy z łaski Pana Boga z czego żyć, a niczyj, a nawet synowski nie potrzebujemy. — Jakto, Zacharyaszu? ty za to, że Adaś ożenił się z wojewodzianką, chcesz być z nim na bakier? — Otoś powiedziała! Ja miłuję syna, on nam wstydu nie robi, ale u niego mieszkać nie myślę, chociaż oboje o to na mnie nalegają. W cudzym domu, choć najlepszego syna, człowiek zawsze gościem, a jam przywykł być gospodarzem. Będę bywał u niego, byle nie nadto na mnie uważał, bo te wszystkie honory, to podkova nie na moje kopyto. Na co mi to się wszystko zdało? Adaś ma naturę dziada, a nie ojca; jakby się urodził na magnata; z małych lat miał wszystkie zacięcia wielkiego pana. Albo to mnie bywało mało nafrasowało? Otóż to mu poszło na rękę; niech się trzyma swojej natury, a ja mojej. Już pan dał się słyszeć, że oddaje córecę Prusowce z tym zamkiem, gdzie Adaś był zamknięty w piwnicy

jak beczka maślacz. Nowożeńcy tam mieszkać będą. Od Krotoszyńska niedaleko; do nich będziemy jeździli; a jeżeli Adaś mnie poprosi, urządzę mu gospodarstwo; sam pewnie nabijać się nie będę. A powinienby mnie o to prosić, bo ja pewny jestem, że ta wojaczka to z Turkiem, to ze Szwedem, musiała mu wybić z głowy to wszystko czego się mógł przy mnie nauczyć gospodarstwa, do czego nie miał pocho- pu; aż żal ściska, kiedy pomyślę, po jakimu u niego będzie szło gospodarstwo. A jednak pierwszy przed nim się nie odezwę z radą.

I w samą rzecz Adam Śmigieński osiadł w Prusowcach, a pan Zacharyasz, lubo sam wojewoda go przekonał, że ojcu jego zięcia nie przystoi być u niego gubernatorem, do syna nie chciał się przenieść na mieszkanie. Podziękował wojewodzie za ofiarowane mu od niego dożywocie na dwóch wsiach; wymawiał się, że mając dzieci już postanowione, a kawał własnego chleba, miałby za grzech żądać jeszcze więcej niż to co ma. I nie opuścił Krotoszyńskiego dworku, z którym był tak dobrze jak zrosnięty. U syna bywał dwa razy na tydzień, ale zawsze na noc do Krotoszyńska powracał; wszakże żonie pozwalał u dzieci nocować. Syn i synowa zawsze byli dla niego pełni uszanowania. Ile razy ich witał lub zegnał, prosili go o błogosławieństwo. Zosi nie pozwalała sobie w rękę całować, ale Adamowi podawał rękę pompatycznie, i często mu dawał napomnienia. A co go więcej radowało niż ta cześć, z jaką z nim obcowali, to że syn zawsze się go radził w gospodarstwie, i ile razy odjeżdżał do Warszawy, na niego zdawał opiekę nad całym majątkiem. Żadnego upominku od dzieci nie chciał przyjmować nawet w dniu swoich imienin, na który oni zawsze jeździli do jego dworku; ale on nie przepuścił żadnej ich rocznicy, by im nie dał gościnka, co oni przyjmowali z najuleglejszą uprzejmością. A jak nadejdzie pora dojrzłości owoców, ciągle posłałki z Krotoszyńskiego sadu idą do Prusowiec, wręczać jasnie wielmożnej stolnikowej koronnej: to gruszki, to śliwki, to brzoskwinie, to winne grona. Adam, myśląc szczerze o losie krwi swojej, uprosił rodziców, żeby cały swój majątek zapisali siostrze, będąc sam dość bogatym; a szwagra instrumentował podstarostą Gnieźnieńskim, czém matkę jeszcze uradował. Ale z tego pan Zacharyasz nie był kontent. — Na co te fomy przydadzą się szlachcicowi? — powiedział. — Urząd to dziura w kieszeni. Pan wojewoda chciał mnie wyrobić kiedyś urząd, ja mu podziękowałem za łaskę. Marysia, zwyczajnie kobieta; było z jej strony trocha płaczu, że nie chce żeby była wielmożną, ale ja na swój postawiłem. Żebym tylko o to pisał, pan stolnik koronny, mój syn, zarazby mi wyrobił u króla jegomości urząd; albo raz tém mnie kusił? Ja zawsze trzymam się jednego; dosyć mi mojego ubożego szlachectwa.

Co do babuni, ta osiadła przy dzieciach i tak rej wodziła w Pru-

sowcach, jak wprzód u pana Zacharyasza. Jej przywiązanie do Adasia i Zosi było tak wielkie, że z niemi rozstać się nie mogła. Ile razy odjeżdżają do Warszawy, staruszka z niemi się wlecze. I tam więcej jeszcze figuruje, niż w Prusowcach. Młode panie ją zawsze w rękę całowały, taki miała odgłos światobliwości; a król jej podarował paciorki z drogich kamieni, błogosławione od Ojca Świętego, do odmawiania różańca, prosząc, żeby o nim w modlitwach swoich nie zapominała. Ale co ją najwięcej uszczęśliwiło, to to, że pan stolnik koronny, za pozwoleniem księcia Prymasa, sprowadził z Prusów zwłoki swojego dziada Stanisława do kościoła metropolitalnego w Gnieźnie, i tam pyszne egzekwie mu sprawił. Gdy otworzono trumnę, znaleziono jego ciało tak świeże, jakby dopiero było opuszczone od duszy. Nawet zapach fiołków dał się czuć. Było widzieć radość babuni, kiedy zaczęła te zwłoki całować. Jeszcze żyła lat kilka przy wnukach, pokąd się nie złączyła ze swoim świętym małżonkiem; skonała z uśmiechem słodkim na ustach, a przez te lat kilka niczém tyle nie była zajęta, jak wyrobieniem, by w Rzymie rozpoczęto proces kanonizacyi jej męża. Przy popiecznictwie wnuka i jego przyjaciół wielkie były o to forsy. Nawet roku 1728, w instrukcyi województwa Sandomierskiego posłom na sejm, było wyraźne zalecenie, żeby się starali wyrobić kanonizacyą Stanisława Śmigieńskiego, umęczonego przez Aryanów. Zamieszania Europy wkrótce po śmierci Augusta II nie dozwoliły skutku tych zabiegów, wszakże dotąd w Gnieźnie jego ciało słygnie cudami.

Pan Kukawski, jak tylko wojewoda dowiedział się, że jest zamkniętym w więzieniu, które było przeznaczone Adamowi, kazał natychmiast go wypuścić, wszakże z zaleceniem, ażeby się nigdy nie ważył jemu pokazywać. Ale po weselu młodego przyjaciela, które unieśmiertelnił przez Epithalamium, powrócił do dawniej łaski wojewody. Osiadł w Prusowcach przy stolnikostwie, i do śmierci u nich opływał w to wszystko, na czém błogość życia się opiera. Latem wędrowki odbywał po kraju, ale w jesieni wracał do Prusowiec i aż do wiosny ich nie opuszczał. Cały dzień tworzył wiersze, wieczorem rozrywał protektorów swoich miłą mową, z babunią grywał w marysza na pacierze; a w niedziele zawsze w zamku krotoszyńskim uszanowanie swoje składał. Wstęp do wszystkich epopei skończył, i inne zaległości poetyczne doglądał. Jego pisma, złożone w księgozbiórze prusowieckim, wraz z tym księgozbiorem stały się pastwą płomieni podczas konfederacyi barskiej. Nie nam nie pozostało z jego prac, oprócz poematu o wyprawie pod Olkiennikami, nieszczęśliwej dla domu Sapiechów, a który uczony Gustaw hrabia Olizar wynalazł i ogłosił drukiem.

Pan stolnik przeżył rodziców a nawet żonę, która mu dla pociechy

potomstwa nie zostawiła. Jeszcze parę lat po jej śmierci, włókl żywot stargany pracą, a jeszcze więcej zgryzotą po tak drogiej stracie, aż nareszcie złożył szlachetną duszę w ręce swojego Zbawiciela, po długiej niemocy, roku 1749. Nie był on z takich, co by mogli majątek uzbierać. Królewsczyzny, które posiadał, dostały się innym zasłużonym ojczyźnie, Prusowce wróciły do imienia Potockich. Kilka dziesiąt tysięcy, jakimi mógł rozrządzać, rozpiśał na kościoły, klasztory i sługi, a siostra wzięła po nim srebra stołowe i bogate sprzęty, które odstąpiła sukcesorom wojewody, i na nowo hetmana Potockiego, za sumę stu tysięcy, jako świadczy tranzakcyja między stronami przyznana w grodzie Wschowskim roku 1751.

Jednak, co tylko wchodziło do jego ryszunków wojennych, siostrze się nie dostało; porozpisywał to przyjaciółom, i tak: szabla dziadowska wisi dotąd nad grobem w katedralnym kościele Gnieźnieńskim, gdzie jego zwłoki obok żoniny spoczywają. Szablę, którą zdobył na synie hana Krymskiego, przekazał Wacławowi Rzewuskiemu, synowi zesłego jego niegdyś hetmana, a już piastującemu pełną buławę, która to szabla a raczej bułat, znajduje się po dziś dzień w Podhorecach, gdzie jest jedną z ozdób tamecznej zbrojowni. Pancerz swój i koni wierzehowych dwa, zapisał Kurowskiemu, znanemu czytelnikowi, a który był wtedy porucznikiem jego chorągwi. Były i dla innych podobne legata, które odczytać można w jego testamentie oblatowanym w aktach trybunału Piotrkowskiego roku 1749, w kilka niedziel po jego śmierci. A co nowe świadectwo przynosi tej wziętości, którą miał w narodzie, za świadków i przyjaciół podpisali się na tym testamencie trzej mężowie w narodzie: Potocki strażnik koronny, głowa całej rodziny po zejściu teścia Śmigiełskiego, książę Lubomirski podstoli koronny, i Branicki Jan Klemens, hetman wielki koronny i kasztelan Krakowski, ostatni potomek krwi imienia wielkich Branickich Jaksów z Ruszczy, na którego pogrzebie odbył się poraz ostatni obrządek kruszenia kopią jego rodowego klejnotu, obrzęd używany na pogrzebie tych jedynie, na których dom w linii męzkiej się kończył.

KONIEC.

SPIS RZECZY.

	Str.
Dedykacya.	5
I. Wstęp	13
II. O przodkach naszego bohatera	19
III. Wojak ex abrupto	24
IV. Nasz bohater występuje na scenę	29
V. Rada familijna	31
VI. Uczta i burda.	36
VII. Posłuchanie u króla	45
VIII. Wyjazd z zamku Krotoszyńskiego	54
IX. Przygoda w podróży	60
X. Przybycie Śmigiełskiego do chorągwi	67
XI. Początki rycerskiego zawodu.	75
XII. Pierwsza nauka żołnierza	81
XIII. Działania wojenne	86
XIV. Obóz pod Barem.	92
XV. List ciekawy	101
XVI. Błądzący poeta	112
XVII. Nowa konferencyja familijna	124
XVIII. Przybycie Adasia do Krotoszyzna	129
XIX. Pół wyznania.	138
XX. Choroba	145
XXI. Podróż wojewody do Warszawy	151
XXII. Tajemnica odkryta	158
XXIII. Zamek Prusowiecki.	165
XXIV. Powrót do wolności	172
XXV. Niespodziewane spotkanie	178
XXVI. Działania wojenne	188
XXVII. Konfederacyja Sandomierska	194
XXVIII. Rozwiązanie konfederacyi Sandomierskiej.	200
XXIX. Niespodziewana pomoc	208
XXX. Przeprowadzenie przez Wisłę i bitwa	217
XXXI. Rozwiązanie	226
XXXII. Epilog	234